ANDRZEJ
SAPKOWSKI

CHRZEST OGNIA

WIEDŹMIN

superNOWA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANDRZEJ
SAPKOWSKI

CHRZEST OGNIA

WIEDŹMIN

superNOWA
WARSZAWA

Opracowanie graficzne Tomasz Piorunowski

ISBN 978-83-7578-085-7

Copyright © by Andrzej Sapkowski, Warszawa 2014

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.

Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny Mirosław Kowalski

Przygotowanie wersji elektronicznej LogoScript sp z o.o.

Through these fields of destruction
Baptisms of fire
I've watched all your suffering
As the battles raged higher
And though they did hurt me so bad
In the fear and alarm
You did not desert me
My brothers in arms...

Dire Straits, *Brothers in Arms*

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7

Wówczas rzekła wróżka do wiedźmina: „Taką ci dam radę: obuj żelazne buty, weź do ręki kostur żelazny. Idź w żelaznych butach na koniec świata, a drogę przed sobą kosturem macaj, łzami skrapiaj. Idź przez ogień i wodę, nie ustawaj, wstecz się nie oglądaj. A gdy już zedrą się chodaki, gdy zetrze się kostur żelazny, gdy już od wiatru i żaru wyschną twe oczy tak, że już ni jedna łza z nich wypłynąć nie zdoła, wówczas na końcu świata odnajdziesz to, czego szukasz i to, co kochasz. Być może."

I wiedźmin poszedł przez ogień i wodę, wstecz się nie oglądał. Ale nie wziął ni butów żelaznych, ni kostura. Wziął tylko swój miecz wiedźmiński. Nie posłuchał słów wróżki. I dobrze zrobił, bo to była zła wróżka.

Flourens Delannoy, *Bajki i klechdy*

Rozdział pierwszy

W krzakach darły się ptaki.

Zbocze parowu porastała gęsta, zbita masa jeżyn i berberysów, wymarzone miejsce do gniazdowania i do żeru, nic tedy dziwnego, że roiło się tam od ptactwa. Zawzięcie trylowały dzwońce, świergotały czeczotki i piegże, co chwila rozbrzmiewało też dźwięczne „pink-pink" zięby. Zięba dzwoni na deszcz, pomyślała Milva, odruchowo spoglądając na niebo. Nie było chmur. Ale zięby zawsze dzwonią na deszcz. Przydałoby się nareszcie trochę deszczu.

Miejsce na wprost wylotu kotlinki było dobrym myśliwskim stanowiskiem, dającym niezłe szanse na udane polowanie, zwłaszcza tu, w Brokilonie, mateczniku zwierzyny. Władające potężnym obszarem lasu driady polowały niezmiernie rzadko, a człowiek jeszcze rzadziej odważał się tu zapuszczać. Tutaj żądny mięsa lub skór łowca sam stawał się obiektem łowów. Brokilońskie driady nie miały litości dla intruzów. Milva przekonała się kiedyś o tym na własnej skórze.

Czego jak czego, ale zwierza w Brokilonie nie brakowało. Jednak Milva tkwiła w zasadzce już ponad dwie godziny i nadal nic nie wychodziło na strzał. Polować z marszu nie mogła – panująca od miesięcy susza wysłała poszycie chrustem i liśćmi, trzeszczącymi przy każdym kroku. W takich warunkach tylko bezruch w zasadzce mógł zaowocować sukcesem i zdobyczą.

Na gryfie łuku usiadł motyl admirał. Milva nie płoszyła go. Obserwując, jak składa i rozkłada skrzydełka, patrzyła równocześnie na łuk, nowy nabytek, którym wciąż jeszcze nie przestała się cieszyć. Była zawołaną łuczniczką, kochała dobrą broń. A ta, którą trzymała w dłoni, była najlepszą z najlepszych.

Milva miała w życiu wiele łuków. Uczyła się strzelać ze zwykłych jesionowych i cisowych, ale prędko zrezygnowała z nich na rzecz refleksyjnych laminatów, jakich używały driady i elfy. Elfie łuki były krótsze, lżejsze i poręczniejsze, a dzięki warstwowej kompozycji drewna i zwierzęcych ścięgien również o wiele „szybsze" od cisowych – wystrzelona z nich strzała dosięgała celu w czasie dużo krótszym i po płaskim torze, co w znacznej mierze eliminowało możliwość zniesienia przez wiatr. Najlepsze egzemplarze takiej broni, gięte poczwórnie, nosiły wśród elfów nazwę *zefhar*, taki bowiem runiczny znak tworzyły wygięte ramiona i gryfy łuku. Milva używała zefarów przez ładnych kilka lat i nie sądziła, by mógł istnieć łuk, który je przewyższał.

Ale wreszcie trafiła na taki łuk. Było to oczywiście na Morskim Bazarze w Cidaris, słynnym z bogatej oferty dziwnych i rzadkich towarów zwożonych przez żeglarzy z najdalszych zakątków świata, zewsząd, dokąd docierały kogi i galeony. Milva, gdy tylko mogła, odwiedzała bazar i oglądała zamorskie łuki. Tam właśnie nabyła łuk, o którym sądziła, że posłuży jej przez wiele lat – pochodzący z Zerrikanii zefar wzmacniany szlifowanym rogiem antylopy. Łuk ten miała za doskonały. Przez rok. Albowiem w rok później, na tym samym straganie, u tego samego kupca zobaczyła istne cudo.

Łuk pochodził z dalekiej Północy. Miał łęczysko długie na sześćdziesiąt dwa cale, mahoniowy, dokładnie wyważony majdan i płaskie, laminowane ramiona, sklejone z przeplatających się warstw szlachetnego drewna, warzonych ścięgien i kości wielorybich. Od innych leżących obok kompozytów różniła go nie tylko konstrukcja, ale i cena – i cena właśnie zwróciła uwagę Milvy. Gdy jednak wzięła łuk do

ręki i wypróbowała go, zapłaciła bez wahania i bez targów tyle, ile żądał handlarz. Czterysta novigradzkich koron. Rzecz jasna, nie miała przy sobie tak niebotycznej sumy – w targu poświęciła swój zerrikański zefar, pęk sobolowych łupieży i przecudnej roboty elfi medalionik, koralową kameę w wianuszku rzecznych pereł.

Ale nie żałowała. Nigdy. Łuk był niewiarygodnie lekki i wprost idealnie celny. Choć niezbyt długi, krył w kompozytowych ramionach nielichego kopa. Zaopatrzony w zapiętą na precyzyjnie podgiętych gryfach jedwabno-konopną cięciwę, przy dwudziestoczterocalowym naciągu dawał pięćdziesiąt pięć funtów mocy. Prawda, bywały łuki, które dawały nawet osiemdziesiąt, ale Milva uważała to za przesadę. Wystrzelona z jej wielorybiej pięćdziesiątki piątki strzała pokonywała odległość dwustu stóp w czasie pomiędzy dwoma uderzeniami serca, a na sto kroków miała aż nadto impetu, by skutecznie porazić jelenia, człowieka zaś, jeśli nie nosił zbroi, przeszywała na wylot. Na zwierzęta większe od jelenia i na ciężkozbrojnych Milva rzadko polowała.

Motyl odleciał. Zięby nadal darły się w krzakach. I nadal nic nie wychodziło na strzał. Milva oparła się barkiem o pień sosny, zaczęła wspominać. Ot tak, żeby zabić czas.

•

Do jej pierwszego spotkania z wiedźminem doszło w lipcu, dwa tygodnie po wydarzeniach na wyspie Thanedd i wybuchu wojny w Dol Angra. Milva wróciła do Brokilonu po kilkunastodniowej nieobecności, przyprowadziła resztki komanda Scoia'tael, rozbitego w Temerii podczas próby przedostania się na teren objętego wojną Aedirn. Wiewiórki chciały przyłączyć się do powstania wznieconego przez elfy w Dol Blathanna. Nie powiodło im się, gdyby nie Milva, byłoby po nich. Ale znalazły Milvę i azyl w Brokilonie.

Zaraz po przyjeździe poinformowano ją, że Aglais pilnie oczekuje jej w Col Serrai. Milva zdziwiła się trochę. Aglais była przełożoną brokilońskich uzdrowicielek, a głęboka, pełna gorących źródeł i jaskiń kotlina Col Serrai była miejscem uzdrowień.

Posłuchała jednak wezwania, będąc przekonana, że idzie o jakiegoś leczonego elfa, pragnącego za jej pośrednictwem skontaktować się ze swym komandem. A gdy zobaczyła rannego wiedźmina i dowiedziała

się, w czym rzecz, wpadła w istny szał. Wybiegła z groty z rozwianym włosem i całą złość wyładowała na Aglais.

– Widział mnie! Widział moją twarz! Czy pojmujesz, czym mi to grozi?

– Nie, nie pojmuję – odrzekła chłodno uzdrowicielka. – To Gwynbleidd, wiedźmin. Przyjaciel Brokilonu. Jest tu od czternastu dni, od nowiu. I jeszcze jakiś czas upłynie, zanim będzie mógł wstać i normalnie chodzić. Pragnie wieści ze świata, wieści o jego bliskich. Tylko ty możesz mu ich dostarczyć.

– Wieści ze świata? Chybaś rozum straciła, dziwożono! Czy ty wiesz, co teraz dzieje się na świecie, za granicami twojego spokojnego lasu? W Aedirn trwa wojna! W Brugge, w Temerii i w Redanii zamęt, piekło, wielkie łowy! Za tymi, co rebelię wszczęli na Thanedd, gonią wszędy! Wszędy pełno szpiegów i *an'givare*, jedno słowo nieraz wystarczy uronić, usta skrzywić, gdy nie trza, i już kat ci w lochu czerwonym żelazem zaświeci! A ja na przeszpiegi mam chodzić, dopytywać się, wieści zbierać? Karku nadstawiać? I dla kogo? Dla jakiegoś półżywego wiedźmina? A co to on mi, brat albo swat? Iście rozumu zbyłaś, Aglais!

– Jeśli masz zamiar wrzeszczeć – przerwała spokojnie driada – to idźmy dalej w las. Jemu potrzebny jest spokój.

Milva obejrzała się mimo woli na wylot jaskini, w której przed chwilą widziała rannego. Kawał chłopa, pomyślała odruchowo, choć chudy, ale jedna żyła... Łeb biały, ale brzuch płaski niby u młodzika, widno, że trud mu druhem, nie słonina i piwo...

– On na Thanedd był – stwierdziła, nie zapytała. – Rebeliant.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami Aglais. – Ranny. Potrzebuje pomocy. Reszta mnie nie obchodzi.

Milva żachnęła się. Uzdrowicielka znana była z niechęci do gadania. Ale Milva zdążyła już wysłuchać podnieconych relacji driad ze wschodniej rubieży Brokilonu, wiedziała już wszystko o wydarzeniach sprzed dwóch tygodni. O kasztanowłosej czarodziejce, która zjawiła się w Brokilonie w błysku magii, o przywleczonym przez nią kalece ze złamaną ręką i nogą. Kalece, który okazał się wiedźminem, znanym driadom jako Gwynbleidd, Biały Wilk.

Początkowo, opowiadały driady, nie wiadomo było, co czynić. Pokrwawiony wiedźmin na przemian krzyczał i mdlał, Aglais nakładała prowizoryczne opatrunki, czarodziejka klęła. I płakała. W to ostatnie Milva absolutnie nie wierzyła – a bo to widział kto kiedy płaczącą

magiczkę? A później przyszedł rozkaz z Duen Canell, od Srebrnookiej Eithné, Pani Brokilonu. Czarodziejkę odprawić, brzmiał rozkaz władczyni Lasu Driad. Wiedźmina leczyć.

Leczono go. Milva widziała. Leżał w jaskini, w niecce pełnej wody z magicznych brokilońskich źródeł, jego unieruchomione w szynach i na wyciągach kończyny spowite były gęstym kożuchem leczących pnączy conynhaeli i pędami purpurowego żywokostu. Włosy miał białe niby mleko. Był przytomny, choć leczeni conynhaelą zwykle bez ducha leżą, bredzą, magia przez nich gada...

– No? – beznamiętny głos uzdrowicielki wyrwał ją z zadumy. – Jak tedy będzie? Co mam mu powiedzieć?

– Żeby do wszystkich biesów poszedł – warknęła Milva, podciągając obciążony sakwą i myśliwskim nożem pas. – I ty też idź do biesa, Aglais.

– Twoja wola. Nie przymuszę cię.

– Prawaś. Nie przymusisz.

Poszła w las, pomiędzy rzadkie sosny, nie oglądając się. Była zła.

O wydarzeniach, jakie miały miejsce w pierwszy lipcowy nów księżyca na ostrowie Thanedd, Milva wiedziała, Scoia'tael mówili o tym bez przerwy. Podczas zjazdu czarodziejów na wyspie doszło do rebelii, polała się krew, poleciały głowy. A armie Nilfgaardu, jakby na sygnał, uderzyły na Aedirn i Lyrię, zaczęła się wojna. A w Temerii, Redanii i Kaedwen skrupiło się wszystko na Wiewiórkach. Raz, bo podobno zbuntowanym czarodziejom na Thanedd przyszło w sukurs komando Scoia'tael. Dwa, bo to podobno jakiś elf czy też półelf żgnął sztyletem i zabił Vizimira, redańskiego króla. Rozwścieczeni ludzie wzięli się więc ostro za Wiewiórki. Wrzało wszędzie niby w kotle, elfia krew płynęła rzeką...

Ha, pomyślała Milva, może i prawda to, co kapłani bają, że koniec świata i dzień sądu bliski? Świat w ogniu, człowiek nie tylko elfowi, ale i człowiekowi wilkiem, brat na brata nóż podnosi... A wiedźmin do polityki się miesza i do rebelii staje. Wiedźmin, któren przecie tylko od tego jest, by świat przemierzać i szkodzące ludziom monstra ubijać! Jak świat światem, nigdy wiedźmin żaden ni do polityki, ni do wojaczki wciągać się nie dawał. Toć nawet taka bajka jest, o głupim królu, co przetakiem wodę nosił, zająca chciał gońcem, a wiedźmina wojewodą uczynić. A tu masz, wiedźmin w rokoszu przeciw królom poszczerbiony, w Brokilonie przed karą kryć się musi. Iście, koniec świata!

– Witaj, Mario.

Drgnęła. Oparta o sosnę niewysoka driada miała oczy i włosy w kolorze srebra. Zachodzące słońce otaczało aureolą jej głowę na tle pstrokatej ściany lasu. Milva uklękła na jedno kolano, nisko skłoniła głowę:

– Bądź pozdrowiona, Pani Eithné.

Władczyni Brokilonu zatknęła za łykowy pasek złoty nożyk o kształcie sierpa.

– Wstań – powiedziała. – Przejdźmy się. Chcę z tobą porozmawiać.

Długo szły razem przez pełen cieni las, mała srebrnowłosa driada i wysoka płowowłosa dziewczyna. Żadna nie przerywała milczenia.

– Dawno nie zaglądałaś do Duen Canell, Mario.

– Czasu nie stało, Pani Eithné. Do Duen Canell daleka od Wstążki droga, a ja... Przecież wiesz.

– Wiem. Zmęczona jesteś?

– Elfy potrzebują pomocy. Z twego rozkazu im przecie pomagam.

– Na moją prośbę.

– Iście. Na prośbę.

– Mam jeszcze jedną.

– Takem myślała. Wiedźmin?

– Pomóż mu.

Milva zatrzymała się i odwróciła, ostrym ruchem złamała zawadzającą gałązkę wiciokrzewu, obróciła ją w palcach, cisnęła na ziemię.

– Od pół roku – powiedziała cicho, patrząc w srebrzyste oczy driady – głowę w hazard stawię, elfów z rozgromionych komand przeprowadzam do Brokilonu... Gdy wypoczną i z ran się wyleczą, nazad ich wywodzę... Mało tego? Nie dość uczyniłam? Co nów na szlak ciemną nocą ruszam... Słońca się już lękam jak nietoperz albo puszczyk jaki...

– Nikt nie zna leśnych ścieżek lepiej od ciebie.

– W kniei nie dowiem się niczego. Wiedźmin ponoć chce, bym wieści zbierała, między ludzi pojechała. To rebeliant, na jego imię mają *an'givare* wyostrzone uszy. Mnie samej też nijak w miastach się pokazywać. A jak mnie kto rozpozna? Pamięć o tamtym żywa jeszcze, nie przyschła jeszcze tamta krew... Bo dużo było wtedy krwi, Pani Eithné.

– Niemało – srebrne oczy starej driady były obce, zimne, nieprzeniknione. – Niemało, prawda to.

– Jeśli mnie rozpoznają, na pal nawleką.

– Jesteś rozważna. Jesteś ostrożna i czujna.

– By wieści, o które wiedźmin prosi, pozbierać, trza się czujności wyzbyć. Trza pytać. A teraz ciekawość niebezpiecznie objawiać. Jeśli mię pochwycą...

– Masz kontakty.

– Umęczą. Zakatują. Albo zgnoją w Drakenborgu...

– A wobec mnie masz dług.

Milva odwróciła głowę, zagryzła wargi.

– Ano, mam – powiedziała gorzko. – Nie zapomnieć mi o tym.

Przymknęła oczy, twarz skurczyła się jej nagle, usta drgnęły, zęby zwarły się silnie. Pod powiekami blado zaświeciło wspomnienie, upiornym, księżycowym blaskiem tamtej nocy. Wrócił nagle ból w kostce, ucapionej rzemienną pętlą pułapki, ból w stawach, dartych szarpnięciem. W uszach rozbrzmiał szum liści prostującego się gwałtownie drzewa... Krzyk, jęk, dzika, szaleńcza, przerażona miotanina i ohydne uczucie strachu, który spłynął na nią, gdy zrozumiała, że nie uwolni się... Krzyk i strach, skrzyp liny, rozfalowane cienie, rozkołysana, nienaturalna, odwrócona ziemia, odwrócone niebo, drzewa o odwróconych wierzchołkach, ból, krew tętniąca w skroniach... A o świcie driady, dookoła, wianuszkiem... Daleki srebrzysty śmiech... Kukiełka na sznurku! Huśtaj się, huśtaj, pacyneczko, główeczką do dołu... I jej własny, lecz obcy, rzężący krzyk. A potem ciemność.

– Iście, mam dług – powtórzyła przez ściśnięte zęby. – Iście, bom przecie wisielec odcięty z powroza. Póki życia, widzę, nie spłacić mi tego długu.

– Każdy ma jakiś dług – powiedziała Eithné. – Takie jest życie, Mario Barring. Długi i wierzytelności, zobowiązania, wdzięczność, zapłata... Uczynić coś dla kogoś. A może dla siebie? Bo tak naprawdę to zawsze płacimy sobie, nie komuś. Każdy zaciągnięty dług spłacamy sobie. W każdej z nas tkwi wierzyciel i dłużnik zarazem. Rzecz w tym, by zgodził się w nas ten rachunek. Przychodzimy na świat jako odrobina danego nam życia, potem wciąż zaciągamy i spłacamy długi. Sobie. Dla siebie. Po to, by w końcu rachunek się zgodził.

– Bliski jest ci ten człek, Pani Eithné? Ten... wiedźmin?

– Bliski. Choć sam o tym nie wie. Wróć do Col Serrai, Mario Barring. Idź do niego. I zrób to, o co cię poprosi.

•

W kotlince zachrzęścił chrust, trzasnęła gałązka. Zabrzmiało głośne i gniewne „czek-czek” sroki, zięby zerwały się do lotu, migając białymi sterówkami. Milva wstrzymała oddech. Nareszcie.

Czek-czek, zawołała sroka. Czek-czek-czek. Znowu trzasnęła gałązka.

Milva poprawiła wysłużony, wytarty do połysku skórzany ochraniacz na lewym przedramieniu, ułożyła kiść ręki w przymocowanej do majdanu pętli. Z płaskiego kołczanu na udzie wyjęła strzałę. Odruchowo, z nawyku sprawdziła stan brzeszczotów grotu i opierzenie. Kupowała brzechwy na jarmarkach – wybierając średnio jedną z dziesięciu, które jej oferowano – ale zawsze opierzała je sama. Większość dostępnych w handlu gotowych strzał miała lotki za krótkie i ustawione prosto wzdłuż brzechwy, a Milva używała wyłącznie strzał opierzonych spiralnie, lotkami nie krótszymi niż pięć cali.

Nałożyła strzałę na cięciwę i wpatrzyła się w wylot kotlinki, w zieleniejącą między pniami plamę berberysu, ciężkiego gronami czerwonych jagód.

Zięby nie odleciały daleko, wznowiły dzwonienie. Chodź, kózko, pomyślała Milva, unosząc i napinając łuk. Chodź. Jestem gotowa.

Ale sarny poszły parowem, w kierunku bagienka i źródeł zasilających wpadające do Wstążki strumyki. Z kotliny wyszedł koziołek. Ładny, na oko ponad czterdziestofuntowy. Uniósł głowę, zastrzygł uszami, potem odwrócił się ku krzakom, skubnął listki.

Stał korzystnie – tyłem. Gdyby nie pień zasłaniający cel, Milva strzelałaby bez zastanowienia. Nawet trafiając w brzuch, grot przeszyłby go i dosięgnął serca, wątroby lub płuc. Trafiając w udziec, rozwaliłby arterię, zwierzę również musiałoby paść w krótkim czasie. Czekała, nie zwalniając cięciwy.

Kozioł znowu uniósł głowę, postąpił krok, wyszedł zza pnia – i nagle odwrócił się lekko przodem. Milva, utrzymując strzałę w pełnym naciągu, zaklęła w myśli. Strzał od przodu był niepewny – miast w płuco, grot mógł ugodzić w brzuch. Czekała, wstrzymując oddech, wyczuwając słony smak cięciwy kącikiem ust. To była jeszcze jedna wielka, wręcz nieoceniona zaleta jej łuku – gdyby używała broni cięższej lub wykonanej mniej starannie, nie zdołałaby tak długo trzymać jej w napięciu, nie ryzykując zmęczenia ręki i obniżonej precyzji strzału.

Szczęściem kozioł pochylił głowę, skubnął wystające z mchu trawy i obrócił się bokiem. Milva odetchnęła spokojnie, wymierzyła na komorę i delikatnie wypuściła cięciwę z palców.

Nie usłyszała jednak oczekiwanego trzasku łamanego przez grot żebra. Kozioł natomiast wyskoczył w górę, wierzgnął i znikł przy wtórze chrupu suchych gałęzi i szumu potrącanych liści.

Przez kilka uderzeń serca Milva stała nieruchomo, skamieniała niby marmurowy posąg leśnej boginki. Dopiero wówczas, gdy wszelkie odgłosy ucichły, odjęła prawą dłoń od policzka i opuściła łuk. Odnotowawszy w pamięci trasę ucieczki zwierza, usiadła spokojnie, oparła plecy o pień. Była doświadczoną łowczynią, kłusowała w pańskich lasach od dziecka, pierwszą sarnę położyła mając jedenaście lat, pierwszego rogacza czternastaka – na niebywale szczęśliwą łowiecką wróżbę – w dniu swych czternastych urodzin. A doświadczenie uczyło, że z pogonią za strzelonym zwierzem nigdy nie należało się spieszyć. Jeśli trafiła dobrze, kozioł musiał paść nie dalej niż dwieście kroków od wylotu kotlinki. Jeśli trafiła gorzej – a w zasadzie nie dopuszczała takiej możliwości – pośpiech mógł tylko sprawę pogorszyć. Źle strzelony ranny zwierz, nie niepokojony, po panicznej ucieczce zwolni i będzie szedł. Ścigany i płoszony zwierz będzie gnał na złamanie karku i nie zwolni aż za siódmą górą.

Miała więc co najmniej pół godziny. Wsadziła w zęby wyrwane źdźbło trawy i zamyśliła się znowu. Wspominała.

•

Gdy po dwunastu dniach wróciła do Brokilonu, wiedźmin już chodził. Utykał lekko i nieznacznie zaciągał biodrem, ale chodził. Milva nie zdziwiła się – wiedziała o cudownych właściwościach leczniczych leśnej wody i zielska, zwanego conynhaelą. Znała też umiejętności Aglais, nie raz była świadkiem błyskawicznego wręcz uzdrawiania rannych driad. A pogłoski o niebywałej odporności i wytrzymałości wiedźminów też nie były widać wyssane z palca.

Nie poszła do Col Serrai zaraz po przybyciu, choć driady napomykały, że Gwynbleidd niecierpliwie wyglądał jej powrotu. Zwlekała celowo, wciąż była niezadowolona ze zleconej jej misji i chciała to zademonstrować. Odprowadziła do obozu elfy z przyprowadzonego komanda Wiewiórek. Rozwlekle zdała relację o wydarzeniach w drodze,

ostrzegła driady przed szykowaną przez ludzi blokadą granicy na Wstążce. Dopiero gdy napomniano ją po raz trzeci, Milva wykąpała się, przebrała i poszła do wiedźmina.

Czekał na nią na skraju polany, tam, gdzie rosły cedry. Przechadzał się, od czasu do czasu przysiadał, prostował się sprężyście. Widać Aglais zaleciła mu ćwiczenia.

– Jakie wieści? – spytał zaraz po powitaniu. Chłód w jego głosie nie zmylił jej.

– Wojna chyba ku końcowi się ma – odrzekła, wzruszając ramionami. – Nilfgaard, powiadają, srodze Lyrię i Aedirn pogromił. Verden się poddało, a król Temerii ułożył się z nilfgaardzkim cesarzem. A elfy w Dolinie Kwiatów własne królestwo założyły. Wszelako Scoia'tael z Temerii i Redanii nie powędrowały tam. Biją się nadal...

– Nie o to mi szło.

– Nie? – udała zdziwienie. – A, prawda. Tak, zawadziłam o Dorian, jakeś prosił, choć przyszło szmat drogi nadłożyć. A niebezpieczne nynie gościńce...

Urwała, przeciągnęła się. Tym razem nie ponaglał jej.

– Czy ów Codringher – spytała wreszcie – którego kazałeś mi odwiedzić, był twoim przyjacielem?

Twarz wiedźmina nie drgnęła, ale Milva wiedziała, że zrozumiał z miejsca.

– Nie. Nie był.

– To dobrze – kontynuowała swobodnie. – Bo nie ma go już wśród żyjących. Spłonął razem ze swą sadybą, został aby komin i pół frontowej ściany. Całe Dorian huczy od plotek. Jedni gadają, że ów Codringher uprawiał czarnoksięstwo i jady warzył, że z diabłem miał pakt, więc czarci ogień go pochłonął. Drudzy mówią, że wsunął nos i palce do niewłaściwej szpary, jako to miał we zwyczaju czynić. A komuś to nie w smak było, więc go zwyczajnie utrupił i podłożył ogień, by zatrzeć ślady. A ty jak myślisz?

Nie doczekała się ani odpowiedzi, ani emocji na poszarzałej twarzy. Kontynuowała więc, nie rezygnując ze złośliwego i aroganckiego tonu.

– Ciekawe jest, że ów pożar i zgon owego Codringhera w pierwszy lipcowy nów miesiączka się zdarzyły, dokładnie jako i tumult na ostrowie Thanedd. Wypisz wymaluj, jakby kto się domyślał, że właśnie Codringher coś o ruchawce wie i że o detale będzie pytany. Jakby kto

chciał mu zawczasu gębę na wieki zasznurować, jęzor oniemić. Co na to powiesz? Ha, widzę, nic nie powiesz. Małomównyś! Tedy ja ci powiem: niebezpieczne są te twoje dzieła, te twoje przeszpiegi i wypytywanki. Może ktoś oprócz Codringherowej również inne gęby i uszy chcieć zamknąć. Tak sobie myślę.

– Wybacz mi – powiedział po chwili. – Masz rację. Naraziłem cię. To było zbyt niebezpieczne zadanie dla...

– Dla niewiasty, tak? – szarpnęła głową, ostrym ruchem odrzuciła z ramienia wciąż jeszcze mokre włosy. – Toś chciał powiedzieć? Galant się znalazł! Zakarbuj sobie, że choć do sikania kucać muszę, moja kapota wilkiem, nie zającem podszyta! Tchórza mi nie zadawaj, bo mnie nie znasz!

– Znam – powiedział cicho i spokojnie, nie reagując na jej złość i podniesiony głos. – Jesteś Milva. Przeprowadzasz do Brokilonu Wiewiórki, przedzierając się przez obławy. Znane jest mi twoje męstwo. Ale ja lekkomyślnie i samolubnie naraziłem cię...

– Głupiś! – przerwała ostro. – O siebie się martw, nie o mnie. O dziewuszkę się martw!

Uśmiechnęła się kpiąco. Bo tym razem twarz mu się zmieniła. Milczała z rozmysłem, czekała na dalsze pytania.

– Co wiesz? – spytał wreszcie. – I od kogo?

– Ty miałeś twego Codringhera – parsknęła, dumnie unosząc głowę – ja mam moich znajomków. Takich, którzy bystre mają oczy i uszy.

– Mów. Proszę, Milva.

– Po ruchawce na Thanedd – zaczęła, odczekawszy chwilę – zawrzało wszędy. Łowy na zdrajców się zaczęły. Osobliwie na tych czarodziejów, co za Nilfgaardem stali, jako i na innych sprzedawczyków. Niektórych ujęto. Inni zniknęli, kamień w wodę. Nie trza wielkiego umu, by zgadnąć, dokąd uszli, pod czyje skrzydła się schronili. Ale nie tylko na czarowników i zdrajców polowano. W rebelii na Thanedd zbuntowanym czarodziejom pomogło komando Wiewiórek, nimi sławny Faoiltiarna przewodził. Szukają go. Rozkaz wydano, żeby każdego schwytanego elfa na męki brać, o komando Faoiltiarny pytać.

– Kim jest ten Faoiltiarna?

– Elf, Scoia'tael. Jak mało który ludziom za skórę zalazł. Wielka cena jest za jego głowę. Ale nie tylko jego szukają. Szuka się też jakiegoś nilfgaardzkiego rycerza, któren na Thanedd był. I jeszcze...

– Mów.

– *An'givare* o wiedźmina wypytują, imieniem Geralt z Rivii. I o dziewuszkę imieniem Cirilla. Tych dwoje przykazano żywymi brać. Pod gardłem to nakazano: obojgu ujętym włos z głowy spaść nie może, guz z sukni urwać się nie ma prawa. Ha! Drogi musisz być ich sercu, że tak się o twoje zdrowie troskają...

Urwała, widząc wyraz jego twarzy, z której raptownie zniknął nieludzki spokój. Zrozumiała, że choć się starała, nie zdołała napędzić mu strachu. Przynajmniej nie o jego własną skórę. Niespodziewanie poczuła wstyd.

– No, z tym pościgiem to przecie daremny ich zachód – powiedziała łagodniej, ale wciąż z lekko drwiącym uśmiechem na wargach. – Ty w Brokilonie bezpieczny jesteś. A dziewczyny też żywej nie dostaną. Gdy gruzy na Thanedd przekopali, rozwaliny tej magicznej wieży, co się zawaliła... Hej, co tobie?

Wiedźmin zatoczył się, oparł o cedr, usiadł ciężko przy pniu. Milva odskoczyła, przerażona bladością, która nagle pokryła mu twarz.

– Aglais! Sirssa! Fauve! Do mnie, żywo! Zaraza, na umieranie mu się chyba zebrało! Hej, ty!

– Nie wołaj ich... Nic mi nie jest... Mów. Chcę wiedzieć...

Milva zrozumiała nagle.

– Niczego nie naszli w rumowisku! – krzyknęła, czując, że też blednie. – Niczego! Choć każdy kamień obejrzeli i czary rzucali, nie znaleźli...

Otarła pot z brwi, gestem powstrzymała nadbiegające driady. Chwyciła siedzącego wiedźmina za ramiona, pochyliła się nad nim tak, że jej długie jasne włosy spadły na jego zbielałą twarz.

– Źle pojąłeś – powtarzała szybko, nieskładnie, z trudem znajdując słowa w natłoku tych, które cisnęły się jej na usta. – To jeno chciałam rzec, że... Opacznie mnie pojąłeś. Bo ja... Skądże wiedzieć mogłam, że ty aż tak... Nie tak chciałam. Ja jeno o tym, że dziewczyna... Że nie znajdą jej, bo bez śladu znikła, jak owi czarodzieje... Wybacz mi.

Nie odpowiedział. Patrzył w bok. Milva zagryzła wargi, zacisnęła pięści.

– We trzy dni wyjeżdżam z Brokilonu – powiedziała łagodnie po długim, bardzo długim milczeniu. – Niech jeno miesiączek pójdzie na uszczerb, niech nocki trochę ciemniejsze nastaną. Do dziesięciu dni wrócę, może wcześniej. Wnet po Lammas, w pierwszych dniach

sierpnia. Nie turbuj się. Ziemię i wodę poruszę, ale wywiem się wszystkiego. Jeśli kto co wie o tej pannie, też będziesz to wiedział.

– Dzięki, Milva.

– Do dziesięciu dni... Gwynbleidd.

– Jestem Geralt – wyciągnął dłoń. Uścisnęła bez zastanowienia. Bardzo silnie.

– Jestem Maria Barring.

Skinieniem głowy i cieniem uśmiechu podziękował za szczerość, wiedziała, że docenił.

– Bądź ostrożna, proszę. Zadając pytania uważaj, komu je zadajesz.

– Nie frasuj się o mnie.

– Twoi informatorzy... Ufasz im?

– Ja nikomu nie ufam.

•

– Wiedźmin jest w Brokilonie. Wśród driad.

– Tak przypuszczałem – Dijkstra splótł ramiona na piersi. – Ale dobrze, że to się potwierdziło.

Milczał przez chwilę. Lennep oblizał wargi. Czekał.

– Dobrze, że się potwierdziło – powtórzył szef tajnych służb królestwa Redanii, zamyślony, jak gdyby mówił do siebie. – Zawsze to lepiej mieć pewność. Ech, gdyby jeszcze okazało się, że Yennefer jest z nim... Nie ma z nim czarodziejki, Lennep?

– Słucham? – wywiadowca drgnął. – Nie, jaśnie panie. Nie ma. Co rozkażecie? Jeśli chcecie żywego, wywabię go z Brokilonu. Jeśli zaś milszy wam martwy...

– Lennep – Dijkstra uniósł na agenta swe zimne, bladobłękitne oczy. – Nie bądź nadgorliwy. W naszym fachu nadgorliwość nigdy nie popłaca. A zawsze jest podejrzana.

– Panie – Lennep zbladł lekko. – Ja jeno...

– Wiem. Ty jeno pytałeś, co rozkażę. Rozkazuję: zostaw wiedźmina w spokoju.

– Wedle rozkazu. A co z Milvą?

– Ją też zostaw w spokoju. Na razie.

– Wedle rozkazu. Czy mogę odejść?

– Możesz.

Agent wyszedł, ostrożnie i cichutko zamykając za sobą dębowe drzwi komnaty. Dijkstra milczał długo, zapatrzony w piętrzące się na stole mapy, listy, donosy, protokoły przesłuchań i wyroki śmierci.

– Ori.

Sekretarz uniósł głowę, chrząknął. Milczał.

– Wiedźmin jest w Brokilonie.

Ori Reuven znowu zachrząkał, odruchowo spoglądając pod stół, w kierunku nogi szefa. Dijkstra zauważył spojrzenie.

– Zgadza się. Tego mu nie zapomnę – warknął. – Przez dwa tygodnie nie mogłem przez niego chodzić. Straciłem twarz wobec Filippy, musząc jak pies skamleć i prosić o jej cholerne czary, bo inaczej kusztykałbym do dzisiaj. Cóż, sam sobie jestem winien, nie doceniłem go. Najgorsze, że nie mogę mu się teraz zrewanżować, dobrać do jego wiedźmińskiej dupy! Sam nie mam czasu, a przecież nie mogę dla prywaty używać moich ludzi! Prawda, Ori, że nie mogę?

– Hem, hem...

– Nie chrząkaj. Wiem. Ach, do diabła, jak ta władza nęci! Jak kusi, by się nią posłużyć! Jak łatwo się zapomnieć, gdy się ją ma! Ale gdy się zapomni raz, końca nie ma... Czy Filippa Eilhart ciągle jeszcze siedzi w Montecalvo?

– Tak.

– Bierz pióro i kałamarz. Podyktuję ci list do niej. Pisz... Psiakrew, skupić się nie mogę. Co to za cholerne wrzaski, Ori? Co się tam dzieje na placu?

– Żacy obrzucają kamieniami rezydencję nilfgaardzkiego posła. Zapłaciliśmy im za to, hem, hem, jak mi się zdaje.

– Aha. Dobrze. Zamknij okno. Jutro niech żacy pójdą obrzucać filię banku krasnoluda Giancardiego. Odmówił mi ujawnienia kont.

– Giancardi, hem, hem, przekazał znaczną sumę na fundusz wojenny.

– Ha. Niech więc obrzucają te banki, które nie przekazały.

– Wszystkie przekazały.

– Ach, nudny jesteś, Ori. Pisz, powiadam. Umiłowana Fil, słońce moich... Cholera, ciągle się zapominam. Weź nowy arkusz. Gotów?

– Tak jest, hem, hem.

– Droga Filippo. Pani Triss Merigold martwi się pewnie o wiedźmina, którego teleportowała z Thanedd do Brokilonu, czyniąc z tego faktu głęboki sekret, nawet przede mną, co okrutnie mnie zabolało. Uspokój

ją. Wiedźmin ma się już dobrze. Już nawet zaczął wysyłać z Brokilonu emisariuszki z zadaniem szukania śladów księżniczki Cirilli, osóbki, która tak Cię przecież interesuje. Nasz przyjaciel Geralt najwyraźniej nie wie, że Cirilla jest w Nilfgaardzie, gdzie sposobi się do ślubu z cesarzem Emhyrem. Zależy mi, aby wiedźmin spokojnie siedział w Brokilonie, dlatego też postaram się, żeby ta wieść dotarła do niego. Napisałeś?

– Hem, hem, dotarła do niego.

– Od akapitu. Zastanawia mnie... Ori, wycieraj pióro, do cholery! Piszemy do Filippy, nie do rady królewskiej, list ma wyglądać estetycznie! Od akapitu. Zastanawia mnie, dlaczego wiedźmin nie szuka kontaktu z Yennefer. Nie chce mi się wierzyć, aby ten graniczący z obsesją afekt wygasł tak nagle, niezależnie od opcji politycznych jego ideału. Z drugiej strony, gdyby to Yennefer była tą, która dostarczyła Cirillę Emhyrowi i gdyby były na to dowody, to z chęcią bym sprawił, żeby wiedźmin dostał je do ręki. Problem rozwiązałby się sam, pewien jestem tego, a wiarołomna czarnowłosa piękność nie byłaby pewna dnia ni godziny. Wiedźmin nie lubi, gdy ktoś dotyka jego dziewczynki, Artaud Terranova dowodnie przekonał się o tym na Thanedd. Chciałbym wierzyć, Fil, że nie masz dowodów zdrady Yennefer i nie wiesz, gdzie ona się ukrywa. Bolałoby mnie bardzo, gdyby się okazało, że to kolejny tajony przede mną sekret. Ja nie mam przed Tobą sekretów... Z czego się śmiejesz, Ori?

– Z niczego, hem, hem.

– Pisz! Ja nie mam przed Tobą sekretów, Fil, i liczę na wzajemność. Pozostaję z głębokim uszanowaniem, et caetera, et caetera. Daj, podpiszę.

Ori Reuven posypał list piaskiem. Dijkstra usiadł wygodniej, zakręcił młynka kciukami splecionych na brzuchu dłoni.

– Ta Milva, którą wiedźmin wysyła na przeszpiegi – zagadnął. – Co możesz mi o niej powiedzieć?

– Zajmuje się, hem, hem – chrząknął sekretarz – przerzucaniem do Brokilonu grup Scoia'tael rozbitych przez wojska temerskie. Wyprowadza elfy z obław i kotłów, umożliwiając im wypoczynek i ponowne sformowanie w bojowe komanda...

– Nie racz mnie wiedzą powszechnie dostępną – przerwał Dijkstra. – Działalność Milvy jest mi znana, zamierzam ją zresztą wykorzystać.

Gdyby nie to, dawno rzuciłbym ją na żer Temerczykom. Co możesz mi powiedzieć o niej samej? O Milvie jako takiej?

– Pochodzi, jak mi się zdaje, z jakiejś zapadłej wsi w Górnym Sodden. Naprawdę nazywa się Maria Barring. Milva to przydomek, który nadały jej driady. W Starszej Mowie znaczy...

– Kania – przerwał Dijkstra. – Wiem.

– Jej ród to z dziada pradziada myśliwcy. Leśni ludzie, za pan brat z knieją. Gdy syna starego Barringa zatratował łoś, stary wyuczył leśnego rzemiosła córkę. Gdy zmarło mu się, matka ponownie wyszła za mąż. Hem, hem... Maria nie ładziła z ojczymem i uciekła z domu. Miała wtedy, jak mi się zdaje, szesnaście lat. Powędrowała na północ, żyła z polowania, ale leśnicy baronów nie umilali jej życia, samą tropili i szczuli niby zwierza. Zaczęła więc kłusować w Brokilonie i tam, hem, hem, dopadły ją driady.

– I zamiast ukatrupić, przygarnęły – mruknął Dijkstra. – Uznały za swoją... A ona odwdzięczyła się. Zawarła pakt z Wiedźmą Brokilonu, ze starą Srebrnooką Eithné. Maria Barring umarła, niech żyje Milva... Ile ekspedycji załatwiła, zanim ci w Verden i Kerack połapali się? Trzy?

– Hem, hem... Cztery, jak mi się zdaje... – Oriemu Reuvenowi ciągle coś się zdawało, choć pamięć miał niezawodną. – Było tego do kupy coś koło setki ludzi, tych najzajadlejszych do polowań na dziwożonie skalpy. A długo nie mogli się połapać, bo Milva czasem wynosiła jednego z rzezi na własnych plecach, a ocalony pod niebiosa wychwalał jej męstwo. Dopiero za czwartym razem, w Verden, jak mi się zdaje, ktoś się w czoło pacnął. Jakże to tak, zawrzaśli nagle, hem, hem, że przewodniczka, która ludzi na dziwożony skrzykuje, za każdym razem z życiem uchodzi? I wylazło szydło z miecha, że przewodniczka wiedzie, ale w potrzask, wprost pod strzały czekających w zasadzce driad...

Dijkstra odsunął na brzeg biurka protokół z przesłuchania, bo wydało mu się, że pergamin wciąż cuchnie izbą tortur.

– I wtedy – domyślił się – Milva zniknęła w Brokilonie jak sen jaki złoty. Ale do dziś w Verden trudno o ochotników do wypraw na driady. Stara Eithné i młoda Kania dokonały niezłej selekcji. I oni ośmielają się twierdzić, że prowokacja to nasz ludzki wynalazek. A może...

– Hem, hem? – zachrząkał Ori Reuven, zdziwiony urwanym zdaniem i przedłużającym się milczeniem szefa.

– Może w końcu zaczęli uczyć się od nas – dokończył zimno szpieg, patrząc na donosy, protokoły przesłuchań i wyroki śmierci.

•

Gdy nigdzie nie dostrzegła farby, Milva zaniepokoiła się. Przypomniała sobie nagle, że koziołek zrobił krok w momencie strzału. Zrobił lub chciał zrobić – co na jedno wychodziło. Ruszył się, a strzała mogła trafić w brzuch. Milva zaklęła. Strzał w brzuch, przekleństwo i hańba dla łowcy! Pech! Tfu, tfu, złe licho!

Szybko podbiegła do zbocza kotlinki, rozglądając się bacznie wśród jeżyn, mchów i paproci. Szukała strzały. Zaopatrzona w grot o czterech brzeszczotach, wyostrzonych tak, że goliły włoski z przedramienia, wypuszczona z odległości pięćdziesięciu kroków strzała musiała przebić kozła na wylot.

Dostrzegła, znalazła i odetchnęła z ulgą, splunęła trzykrotnie, rada z fartu. Niepotrzebnie się obawiała, ba, było lepiej, niż przypuszczała. Strzała nie była oblepiona kleistą i śmierdzącą treścią żołądka. Nie nosiła też śladów jasnej, różowej i pienistej farby z płuc. Brzechwa była cała pokryta ciemną, bogatą czerwienią. Grot przeszył serce. Milva nie musiała się skradać ani podchodzić, nie czekał jej długi marsz po śladach. Kozioł bez wątpienia leżał martwy w gąszczu, nie dalej niż sto kroków od polanki, w miejscu, które wskaże jej farba. A postrzelony w serce kozioł musiał po paru skokach farbować, wiedziała więc, że znajdzie ślad z łatwością.

Po dziesięciu krokach odnalazła trop, podążyła nim, ponownie pogrążając się w myślach i wspomnieniach.

•

Dotrzymała danej wiedźminowi obietnicy. Wróciła do Brokilonu nawet wcześniej, niż obiecywała, pięć dni po Święcie Żniw, pięć dni po nowiu, zaczynającym u ludzi miesiąc sierpień, a u elfów Lammas, siódmy, przedostatni *savaed* roku.

Przeprawiła się przez Wstążkę o brzasku, ona i pięciu elfów. Komando, które wiodła, liczyło początkowo dziewięciu konnych, ale żołdacy z Brugge cały czas szli ich tropem, trzy stajania przed rzeką wsiedli im na kark, przycisnęli, poniechali dopiero nad Wstążką, gdy w oparach świtu zamajaczył im Brokilon na prawym brzegu. Żołdacy bali

się Brokilonu. To ich uratowało. Przeprawili się. Wycieńczeni, poranieni. I nie wszyscy.

Miała dla wiedźmina wieści, ale była przekonana, że Gwynbleidd wciąż jest w Col Serrai. Zamierzała pójść do niego dopiero około południa, wyspawszy się jak należy. Zdumiała się, gdy nagle jak duch wyłonił się z mgły. Bez słowa usiadł obok, patrząc, jak mości sobie legowisko, układa derkę na kupie gałęzi.

– Ależ ci pilno – powiedziała z przekąsem. – Wiedźminie, ja z nóg lecę. Dzień i noc na kulbace, tyłka nie czuję, a przemoczona jestem do pępka, bośmy się świtem jako wilcy przez nadrzeczne łozy przedzierali...

– Proszę cię. Dowiedziałaś się czegoś?

– Dowiedziałam – parsknęła, rozsznurowując i zzuwając przemoczone, opierające się buty. – Z niewielkim trudem, bo o sprawie głośno. Że ta twoja panna taka persona, tegoś mi nie powiedział! Myślałam sobie, pasierbica twoja, chudziaczek jakiś, sierota przez los ukrzywdzona. A tu masz: cintryjska królewna! Ha! A możeś i ty przebrany książę?

– Mów, proszę.

– Nie dostaną jej już w ręce królowie, bo ta twoja Cirilla, jak się wyjawiło, z Thanedd prosto do Nilfgaardu uciekła, pewno wraz z tymi magikami, co zdradzili. A w Nilfgaardzie cesarz Emhyr z pompą ją przyjął. I wiesz co? Pono żenić się z nią zamyśla. A teraz daj mi odetchnąć. Chcesz, pogadamy, jak się wyśpię.

Wiedźmin milczał. Milva rozwiesiła mokre onuce na rosochatej gałęzi, tak by znalazło je wschodzące słońce, szarpnęła klamrę pasa.

– Rozdziać się chcę – burknęła. – Czego tu jeszcze stoisz? Fortunniejszych wieści chybaś się spodziewać nie mógł? Nic ci już nie grozi, nikt o ciebie nie pyta, przestali się tobą szpiedzy zajmować. A twoja dziewka wymknęła się królom, cesarzową będzie...

– To pewna wiadomość?

– Nynie nic niepewne – ziewnęła, usiadła na barłogu – chyba to, że słoneczko co dnia niebem od wschodu na zachód podróżuje. Ale o nilfgaardzkim cesarzu i o królewnie z Cintry musi prawdą być, co gadają. Głośno o niej.

– Skąd ten nagły rozgłos?

– Niby to nie wiesz! Ona wszak Emhyrowi w wianie szmat ziemi wniesie! Nie tylko Cintrę, po tej stronie Jarugi też! Ha, toż i moja to

będzie pani, bo ja z Górnego Sodden, a całe Sodden, pokazało się, jej lenno! Tfu, gdy w jej lasach jelonka zwalę, a chycą mię, z jej rozkazu może powieszą... Ot, świat parszywy! Zaraza, oczy mi się same zamykają...

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Z tych czarodziejek... To znaczy, z tych czarodziejów, którzy zdradzili, ujęto któregoś?

– Nie. Ale jedna magiczka, powiadają, życie sobie odebrała. Skoro po tym, gdy padł Vengerberg, a wojska kaedweńskie wkroczyły do Aedirn. Ani chybi ze zgryzoty albo ze strachu przed kaźnią...

– W komandzie, które przyprowadziłaś, były luźne konie. Elfy dadzą mi któregoś?

– Aha, pilno ci w drogę – mruknęła, owijając się derką. – Tak sobie myślę, że wiem, dokąd...

Zamilkła, zdziwiona wyrazem jego twarzy. Nagle zrozumiała, że przyniesiona przez nią wieść wcale nie była fortunna. Nagle pojęła, że nic, całkiem nic nie rozumie. Nagle, niespodziewanie, znienacka poczuła chęć, by usiąść przy nim, zasypać go pytaniami, wysłuchać, dowiedzieć się, może coś poradzić... Gwałtownie zawierciła knykciem w kąciku oka. Jestem wycieńczona, pomyślała, śmierć przez całą noc deptała mi po piętach. Muszę odetchnąć. Co mnie wreszcie obchodzą jego frasunki i troski? Co on mnie obchodzi? I ta dziewka? Do diabła z nim i z nią! Zaraza, całkiem mnie przez to wszystko sen odbieżał...

Wiedźmin wstał.

– Dadzą mi konia? – powtórzył.

– Bierz, którego chcesz – powiedziała po chwili. – Elfom zaś lepiej w oczy nie leź. Przetrzepali nas na przeprawie, skrwawili... Jeno karego nie tykaj, bo kary mój... Czego tu jeszcze stoisz?

– Dziękuję ci za pomoc. Za wszystko.

Nie odpowiedziała.

– Mam dług wobec ciebie. Jak go spłacę?

– Jak? A tak, że precz pójdziesz sobie nareszcie! – krzyknęła, unosząc się na łokciu i szarpiąc gwałtownie derką. – Ja... Ja się wyspać muszę! Konia bierz... I jedź. Do Nilfgaardu, do piekła, do wszystkich biesów, mnie zajedno! Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!

– Spłacę, com winien – powiedział cicho. – Nie zapomnę. Może stanie się kiedyś tak, że ty będziesz potrzebowała pomocy. Oparcia. Ramienia. Krzyknij wtedy, krzyknij w noc. A ja przyjdę.

•

Kozioł leżał na skraju zbocza, gąbczastego od bijących źródeł, gęsto zarośniętego paprocią, wyciągnięty, ze szklistym okiem wpatrzonym w niebo. Milva widziała wielkie kleszcze, wpite w jego jasnopłowy brzuch.

– Będziecie musiały poszukać sobie innej krwi, robale – mruknęła, zawijając rękawy i dobywając noża. – Bo ta już stygnie.

Wprawnym i szybkim ruchem przecięła skórę od mostka aż do odbytu, zręcznie prowadząc ostrze obok genitaliów. Ostrożnie rozdzieliła warstwę tłuszczu, brocząc ręce do łokci, odcięła przełyk, wywaliła wnętrzności na wierzch. Rozcięła żołądek i pęcherz żółciowy w poszukiwaniu bezoarów. W magiczne właściwości bezoarów nie wierzyła, ale nie brakowało durniów, którzy wierzyli i płacili.

Uniosła kozła i ułożyła go na leżącym opodal pniu, rozpłatanym brzuchem ku ziemi, tak by krew mogła wyciekać. Wytarła ręce wiechciem paproci.

Usiadła obok zdobyczy.

– Opętany, szalony wiedźminie – powiedziała cicho, wpatrzona w wiszące sto stóp nad nią korony brokilońskich sosen. – Wyruszasz do Nilfgaardu po twoją dziewuszkę. Wyruszasz na koniec świata, który stoi w ogniu, a nawet nie pomyślałeś o tym, by zaopatrzyć się w prowiant. Wiem, że masz dla kogo żyć. Ale czy masz z czego?

Sosny, rzecz jasna, nie komentowały i nie przerywały monologu.

– Tak sobie myślę – podjęła Milva, wydłubując nożem krew spod paznokci – że nie masz nijakich szans na odzyskanie tej twojej pannicy. Nie zdołasz dotrzeć nie tylko do Nilfgaardu, ale nawet do Jarugi. Tak sobie myślę, że nie dojedziesz nawet do Sodden. Tak sobie myślę, że śmierć ci pisana. Na twojej gębie zaciętej jest ona wypisana, z oczu twoich paskudnych spoziera. Doścignie cię śmierć, szalony wiedźminie, dopadnie cię rychło. No, ale dzięki temu koziołeczkowi nie będzie to przynajmniej śmierć głodowa. A to chyba też coś. Tak sobie myślę.

•

Na widok wchodzącego do sali audiencyjnej nilfgaardzkiego ambasadora Dijkstra westchnął skrycie. Shilard Fitz-Oesterlen, poseł cesarza Emhyra var Emreisa, miał zwyczaj prowadzić rozmowy w języku dyplomatycznym i uwielbiał wplatać w zdania pompatyczne językowe dziwolągi, zrozumiałe tylko dla dyplomatów i uczonych. Dijkstra

studiował w Akademii Oxenfurckiej i choć nie uzyskał tytułu magistra, znał podstawy nadętego uniwersyteckiego żargonu. Niechętnie jednak się nim posługiwał, bo w głębi duszy nie cierpiał pompy i wszelkich form pretensjonalnego ceremoniału.

– Witam, ekscelencjo.

– Panie hrabio – ukłonił się ceremonialnie Shilard Fitz-Oesterlen. – Ach, raczcie wybaczyć. Może już powinienem mówić: jaśnie oświecony książę? Wasza wysokość regencie? Wasza mość sekretarzu stanu? Na honor, wasza wielmożność, godności sypią się na was takim gradem, że doprawdy nie wiem, jak mam tytułować, by nie uchybić protokołowi.

– Najlepiej będzie „wasza królewska mość" – odrzekł skromnie Dijkstra. – Wiecie wszak, ekscelencjo, że to dwór czyni króla. A nieobcy jest wam zapewne fakt, że gdy ja krzyknę: „Podskakiwać!", to dwór w Tretogorze pyta: „Jak wysoko?"

Ambasador wiedział, że Dijkstra przesadza, ale wcale nie tak bardzo. Królewicz Radowid był małoletni, królowa Hedwig przybita tragiczną śmiercią męża, arystokracja zastraszona, ogłupiała, skłócona i podzielona na frakcje. W Redanii faktyczne rządy sprawował Dijkstra. Dijkstra bez trudu uzyskałby każdą godność, jaką by tylko zechciał. Ale Dijkstra żadnej nie chciał.

– Wasza wielmożność raczyła mnie wezwać – powiedział po chwili ambasador. – Z pominięciem ministra spraw zagranicznych. Czemu przypisać mam ten honor?

– Minister – Dijkstra uniósł oczy ku powale – zrezygnował z funkcji ze względu na stan zdrowia.

Ambasador poważnie skinął głową. Wiedział doskonale, że minister spraw zagranicznych siedział w lochu, a będąc tchórzem i idiotą, bez wątpienia wyznał Dijkstrze wszystko o swych konszachtach z nilfgaardzkim wywiadem już podczas poprzedzającego przesłuchanie pokazu narzędzi. Wiedział, że siatka zorganizowana przez agentów Vattiera de Rideaux, szefa cesarskiego wywiadu, została rozgromiona, a wszystkie nitki były w rękach Dijkstry. Wiedział też, że te nitki wiodły wprost do jego własnej osoby. Ale jego osobę chronił immunitet, a obowiązki zmuszały do prowadzenia gry do samego końca. Zwłaszcza po dziwnych zaszyfrowanych instrukcjach, niedawno przysłanych do ambasady przez Vattiera i koronera Stefana Skellena, cesarskiego agenta do specjalnych poruczeń.

– Ponieważ następcy jeszcze nie mianowano – podjął Dijkstra – mnie przypadnie niemiły obowiązek poinformowania, że wasza ekscelencja uznana została personą non grata w królestwie Redanii.

Ambasador ukłonił się.

– Ubolewam – powiedział – że skutkujące wzajemnym odwołaniem ambasadorów dyfidencje wynikają ze spraw, które wszakże bezpośrednio nie dotyczą ani królestwa Redanii, ani Cesarstwa Nilfgaardu. Cesarstwo nie podjęło żadnych wrogich kroków wobec Redanii.

– Poza blokadą ujścia Jarugi i Wysp Skellige dla naszych statków i towarów. Poza uzbrajaniem i wspieraniem band Scoia'tael.

– To są insynuacje.

– A koncentracja wojsk cesarskich w Verden i w Cintrze? Rajdy zbrojnych band na Sodden i Brugge? Sodden i Brugge to temerskie protekcje, my zaś jesteśmy w sojuszu z Temerią, ekscelencjo, ataki na Temerię to ataki na nas. Pozostają też sprawy bezpośrednio Redanii dotyczące: rebelia na wyspie Thanedd i zbrodniczy zamach na króla Vizimira. I sprawa roli, jaką Cesarstwo odegrało w tych wydarzeniach.

– *Quod attinet* incydentu na Thanedd – rozłożył ręce ambasador – nie upoważniono mnie do wyrażania opinii. Jego Cesarskiej Mości Emhyrowi var Emreisowi obce są kulisy prywatnych porachunków waszych czarodziejów. Ubolewam nad faktem, że znikomy skutek odnoszą nasze protesty przeciw sugerującej coś innego propagandzie. Szerzonej, jak ośmielam się zauważyć, nie bez poparcia najwyższych władz królestwa Redanii.

– Protesty wasze zaskakują i niepomiernie dziwią – uśmiechnął się lekko Dijkstra. – Wszakże cesarz bynajmniej nie ukrywa faktu przebywania na jego dworze cintryjskiej diuszesy, uprowadzonej właśnie z Thanedd.

– Cirilla, królowa Cintry – poprawił z naciskiem Shilard Fitz-Oesterlen – nie została uprowadzona, lecz poszukała w Cesarstwie azylu. Nie ma to nic wspólnego z incydentem na Thanedd.

– Doprawdy?

– Incydent na Thanedd – ciągnął z kamienną twarzą ambasador – wbudził niesmak cesarza. A skrytobójczy, dokonany przez szaleńca zamach na życie króla Vizimira wywołał jego szczerą i żywą abominację. Jeszcze większą abominację budzi zaś szerzona wśród pospólstwa

ohydna plotka, ośmielająca się szukać w Cesarstwie instygatorów tych zbrodni.

– Ujęcie rzeczywistych instygatorów – powiedział wolno Dijkstra – położy kres plotkom, miejmy nadzieję. A ujęcie ich i wymierzenie sprawiedliwości to sprawa czasu.

– *Justitia fundamentum regnorum* – przyznał poważnie Shilard Fitz-Oesterlen. – A *crimen horribilis non potest non esse punibile*. Zaręczam, że Jego Cesarska Mość również pragnie, by tak się stało.

– Jest w mocy cesarza spełnić to pragnienie – rzucił od niechcenia Dijkstra, krzyżując ramiona na piersi. – Jedna z przywódczyń spisku, Enid an Gleanna, do niedawna czarodziejka Francesca Findabair, z cesarskiej łaski bawi się w królową marionetkowego państwa elfów w Dol Blathanna.

– Jego Cesarska Wysokość – ukłonił się sztywno ambasador – nie może mieszać się do spraw Dol Blathanna, niezależnego królestwa, uznanego przez wszystkie sąsiadujące mocarstwa.

– Ale nie przez Redanię. Dla Redanii Dol Blathanna to nadal część królestwa Aedirn. Choć wespół z elfami i Kaedwen rozebraliście Aedirn na sztuki, choć z Lyrii nie pozostał *lapis super lapidem*, zbyt wcześnie skreślacie te królestwa z mapy świata. Zbyt wcześnie, ekscelencjo. Jednak nie czas i nie miejsce dyskutować o tym. Niech Francesca Findabair króluje sobie na razie, na sprawiedliwość przyjdzie pora. A co z innymi rebeliantami i organizatorami zamachu na króla Vizimira? Co z Vilgefortzem z Roggeveen, co z Yennefer z Vengerbergu? Są podstawy, by mniemać, że po klęsce puczu obydwoje zbiegli do Nilfgaardu.

– Zapewniam – uniósł głowę amabasador – że tak nie jest. A gdyby do tego doszło, zaręczam, że nie minie ich kara.

– Nie wobec was zawinili, nie do was tedy należy ich karanie. Szczere pragnienie sprawiedliwości, będącej wszak *fundamentum regnorum*, cesarz Emhyr udowodniłby, wydając nam przestępców.

– Nie można odmówić słuszności waszemu żądaniu – przyznał Shilard Fitz-Oesterlen, udając zakłopotany uśmiech. – Osób tych jednak nie ma w Cesarstwie, to *primo*. *Secundo*, gdyby nawet tam trafiły, to istnieje impedyment. Ekstradycji dokonuje się z wyroku prawa, w danym przypadku ferowanego przez radę cesarską. Zważcie, wasza wielmożność, że zerwanie przez Redanię stosunków dyplomatycznych to akt nieprzyjazny, a trudno liczyć na to, by rada przegłosowała

ekstradycję osób poszukujących azylu, jeśli tej ekstradycji żąda kraj nieprzyjazny. Byłaby to rzecz bez precedensu... Chyba, żeby...

– Żeby co?

– Żeby stworzyć precedens.

– Nie rozumiem.

– Jeżeli królestwo Redanii byłoby gotowe wydać cesarzowi jego poddanego, ujętego tu pospolitego zbrodniarza, cesarz i jego rada mieliby podstawy, by odwzajemnić ten gest dobrej woli.

Dijkstra milczał długo, sprawiając wrażenie, że drzemie lub myśli.

– O kogo chodzi?

– Nazwisko przestępcy... – ambasador udał, że stara się przypomnieć sobie, wreszcie sięgnął do safianowej teczki po dokument. – Wybaczcie, *memoria fragilis est*... Mam. Niejaki Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach. Niebłahe na nim ciążą grawamina. Poszukiwany jest za morderstwo, dezercję, *raptus puellae*, gwałt, kradzież i fałszowanie dokumentów. Uciekając przed gniewem cesarza, zbiegł za granicę.

– Do Redanii? Daleką wybrał drogę.

– Wasza wielmożność – uśmiechnął się lekko Shilard Fitz-Oesterlen – nie ogranicza wszakże swych zainteresowań li tylko do Redanii. Nie mam cienia wątpliwości, że gdyby przestępca ten został ujęty w którymkolwiek ze sprzymierzonych królestw, wasza wielmożność wiedziałaby o tym z raportów swych licznych... znajomych.

– Jak, mówiliście, zwie się ów zbrodzień?

– Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach.

Dijkstra milczał długo, udając, że szuka w pamięci.

– Nie – powiedział wreszcie. – Nie ujęto nikogo o takim imieniu.

– Doprawdy?

– Moja *memoria* nie bywa *fragilis* w takich sprawach. Żałuję, ekscelencjo.

– Ja również – odrzekł lodowato Shilard Fitz-Oesterlen. – Zwłaszcza tego, że wzajemna ekstradycja przestępców nie wydaje się w takich warunkach możliwa do przeprowadzenia. Nie będę dłużej nużył waszej miłości. Życzę zdrowia i powodzenia.

– Wzajemnie. Żegnam, ekscelencjo.

Ambasador wyszedł, wykonawszy kilka skomplikowanych, ceremonialnych ukłonów.

– Pocałuj mnie w *sempiternum meam*, chytrusie – zamruczał Dijkstra, krzyżując ramiona na piersi. – Ori! Wyłaź!

Sekretarz, czerwony od długo powstrzymywanego chrząkania i pokasływania, wyłonił się zza kotary.

– Czy Filippa wciąż siedzi w Montecalvo?

– Tak, hem, hem. Są z nią panie Laux-Antille, Merigold i Metz.

– Za dzień lub dwa może wybuchnąć wojna, za chwilę granica na Jarudze zapłonie, a te zaszyły się w jakimś dzikim zamczysku! Bierz pióro, pisz. Umiłowana Fil... Cholera!

– Napisałem: „Droga Filippo".

– Dobrze. Pisz dalej. Może Cię zainteresuje, że cudak w hełmie z piórami, który z Thanedd zniknął równie tajemniczo, jak się pojawił, nazywa się Cahir Mawr Dyffryn i jest synem seneszala Ceallacha. Dziwnego tego osobnika poszukujemy nie tylko my, ale, jak się okazuje, również służby Vattiera de Rideaux i ludzie tego skurwysyna...

– Pani Filippa, hem, hem, nie lubi takich słów. Napisałem: „tej kanalii".

– Niech będzie. Tej kanalii Stefana Skellena. Wiesz zaś równie dobrze jak ja, droga Fil, że służby wywiadowcze Emhyra pilnie poszukują tylko tych agentów i emisariuszy, którym Emhyr poprzysiągł zalać sadła za skórę. Takich, którzy miast wykonać rozkaz lub zginąć, zdradzili i rozkazu nie wykonali. Rzecz wygląda zatem dość dziwnie, wszakże byliśmy pewni, że rozkazy tego Cahira dotyczyły pojmania księżniczki Cirilli i dostarczenia jej do Nilfgaardu. Akapit. Dziwne, acz uzasadnione podejrzenia, które ta sprawa wzbudziła we mnie, oraz nieco zaskakujące, acz nie pozbawione sensu teorie, które mam, chciałbym przedyskutować z Tobą w cztery oczy. Z wyrazami głębokiego uszanowania et cetera, et cetera.

•

Pojechała na południe, prosto jak strzelił, najpierw brzegiem Wstążki, przez Wypalanki, później, przeprawiwszy się przez rzekę, podmokłymi wąwozami, zarosłymi mięciutkim, jaskrawozielonym dywanem płonnika. Zakładała, że wiedźmin, nie znając terenu tak dobrze jak ona, nie będzie ryzykował przeprawy na ludzki brzeg. Ścinając potężny, wybrzuszony w stronę Brokilonu łuk rzeki miała szanse dogonić go w okolicach kaskady Ceann Treise. Podróżując szybko i bez postojów, miała szanse nawet go wyprzedzić.

Zięby nie myliły się, gdy dzwoniły. Niebo na południu zachmurzyło się wyraźnie. Powietrze stało się gęste i ciężkie, komary i gzy zrobiły się wyjątkowo natrętne i dokuczliwe.

Gdy wjechała w łęg, zarośnięty obwieszoną zielonymi jeszcze orzechami leszczyną i gołym, czarniawym szakłakiem, poczuła obecność. Nie usłyszała. Poczuła. Wiedziała więc, że to elfy.

Wstrzymała konia, by ukryci w gąszczu łucznicy mieli możliwość dobrze się jej przyjrzeć. Wstrzymała też oddech. W nadziei, że nie trafiła na popędliwych.

Nad przewieszonym przez zad konia koziołkiem brzęczała mucha.

Szelest. Ciche gwizdnięcie. Zagwizdała w odpowiedzi. Scoia'tael niczym duchy wyłonili się z zarośli, a Milva dopiero wówczas odetchnęła swobodniej. Znała ich. Należeli do komanda Coinneacha Dé Reo.

– *Hael* – powiedziała, zsiadając. – *Que'ss va*?

– *Ne'ss* – odrzekł sucho elf, którego imienia nie pamiętała. – *Caemm*.

Opodal, na polance, obozowali inni. Było ich co najmniej trzydziestu, więcej, niż liczyło komando Coinneacha. Milva zdziwiła się. Ostatnimi czasy oddziały Wiewiórek topniały raczej, niż rosły. Ostatnimi czasy spotykane komanda były grupami pokrwawionych, zgorączkowanych, ledwo trzymających się w siodłach i na nogach obszarpańców. To komando było inne.

– *Cead*, Coinneach – pozdrowiła zbliżającego się dowódcę.

– *Ceadmil, sor'ca*.

Sor'ca. Siostrzyczka. Tak ją nazywali ci, z którymi była w przyjaźni, gdy chcieli wyrazić szacunek i sympatię. I to, że przecież byli od niej wiele, wiele zim starsi. Z początku była dla elfów tylko Dh'oine, człowiekiem. Później, gdy już regularnie im pomagała, mówili na nią *Aen Woedbeanna*, „niewiasta z lasu". Jeszcze później, poznawszy lepiej, wzorem driad zwali ją Milvą, Kanią. Jej prawdziwe imię, które wyjawiała najbardziej zaprzyjaźnionym, odwzajemniając podobne gesty z ich strony, nie pasowało im – wymawiali je: „Mear'ya", z cieniem grymasu, jak gdyby w ich mowie niełądnie im się kojarzyło. I zaraz przechodzili na „*sor'ca*".

– Dokąd to zmierzacie? – Milva rozejrzała się baczniej, ale nadal nie dostrzegała rannych ani chorych. – Na Ósmą Milę? Do Brokilonu?

– Nie.

Powstrzymała się od dalszych pytań, znała ich zbyt dobrze. Wystarczyło jej tylko kilku spojrzeń na nieruchome, stężałe twarze, na przesadny, demonstracyjny spokój, z jakim porządkowali ekwipunek i broń. Dość było jednego uważnego spojrzenia w głębokie, bezdenne oczy. Wiedziała, że szli do walki.

Od południa niebo ciemniało, chmurzyło się.

– A dokąd ty zmierzasz, *Ess'creasa, sor'ca* ? – spytał Coinneach, potem szybko rzucił okiem na przewieszonego przez konia kozła, uśmiechnął się lekko.

– Na południe – chłodno wyprowadziła go z błędu. – Ku Drieschot.

Elf przestał się uśmiechać.

– Ludzkim brzegiem?

– Przynajmniej do Ceann Treise – wzruszyła ramionami. – Przy kaskadach pewnikiem wrócę na brokilońską stronę, bo...

Odwróciła się, słysząc chrapanie koni. Nowi Scoia'tael dołączali do i tak już niezwykle licznego komanda. Tych nowych Milva znała jeszcze lepiej.

– Ciaran! – krzyknęła cicho, nie kryjąc zdumienia. – Toruviel! Co wy tu robicie? Ledwo com was przeprowadziła do Brokilonu, a wy znów...

– *Ess'creasa, sor'ca* – powiedział poważnie Ciaran aep Dearbh. Spowijający głowę elfa bandaż plamiła sącząca się krew.

– Tak trzeba – powtórzyła za nim Toruviel, zsiadając ostrożnie, by nie urazić zgiętego w temblaku ramienia. – Przyszły wieści. Nie możemy tkwić w Brokilonie, gdy liczy się każdy łuk.

– Gdybym była wiedziała – wydęła wargi – nie trudziłabym się dla was. Nie nadstawiałabym karku na przeprawie.

– Wieści przyszły wczoraj w nocy – wyjaśniła cicho Toruviel. – Nie mogliśmy... Nie możemy w takiej chwili zostawić naszych towarzyszy broni. Nie możemy, zrozum to, *sor'ca*.

Niebo ciemniało coraz bardziej. Tym razem Milva wyraźnie usłyszała daleki grom.

– Nie jedź na południe, *sor'ca* – powiedział Coinneach Dé Reo. – Nadchodzi burza.

– A cóż mnie burza może... – urwała, spojrzała na niego uważniej. – Ha! A więc to takie wieści was doszły? Nilfgaard, tak? Przekraczają Jarugę w Sodden? Uderzają na Brugge? Dlatego wyruszacie?

Nie odpowiedział.

– Tak, jak w Dol Angra – spojrzała w jego ciemne oczy. – Znowu nilfgaardzki cesarz posłuży się wami, byście ludziom mąt na tyłach czynili mieczem a ogniem. A później cesarz mir z królami zawrze, a was wytłuką. W ogniu, który wzniecicie, sami zgorzejecie.

– Ogień oczyszcza. I hartuje. Trzeba przezeń przejść. *Aenyell'hael, ell'ea, sor'ca?* Po waszemu: chrzest ognia.

– Milszy mi inny ogień – Milva odtroczyła kozła i zwaliła go na ziemię, pod nogi elfów. – Taki, który pod rożenkiem trzaska. Macie, byście w pochodzie z głodu nie osłabli. Mnie już niepotrzebny.

– Nie jedziesz na południe?

– Jadę.

Jadę, pomyślała, jadę szybko. Muszę ostrzec tego głuptaka wiedźmina, muszę uprzedzić, w jaką zawieruchę się pakuje. Muszę go zawrócić.

– Nie jedź, *sor'ca.*

– Dajże mi pokój, Coinneach.

– Nadchodzi burza od południa – powtórzył elf. – Idzie wielka nawałnica. I wielki ogień. Schroń się w Brokilonie, siostrzyczko, nie jedź na południe. Zrobiłaś dla nas dość, więcej już nie możesz. I nie musisz. My musimy. *Ess'tedd, esse creasa!* Na nas czas. Żegnaj.

Powietrze było ciężkie i gęste.

•

Zaklęcie teleprojekcyjne było skomplikowane, musiały je rzucać wspólnie, złączywszy dłonie i myśli. Nawet wówczas okazało się, że to diabelnie duży wysiłek. Bo też i odległość była niemała. Zaciśnięte powieki Filippy Eilhart zadrgały, Triss Merigold dyszała, na wysokie czoło Keiry Metz pot wystąpił kroplami. Tylko na twarzy Margarity Laux-Antille nie znać było zmęczenia.

W skąpo oświetlonej komnacie zrobiło się nagle bardzo jasno, po ciemnej boazerii ścian zatańczyła mozaika rozbłysków. Nad okrągłym stołem zawisła jarząca się mlecznym blaskiem kula. Filippa Eilhart wyskandowała końcówkę zaklęcia, a kula opadła naprzeciw, na jedno z dwunastu ustawionych wokół stołu krzeseł. Wewnątrz kuli pojawiła się niewyraźna postać. Obraz drgał, projekcja była niezbyt stabilna. Ale szybko stawała się wyraźniejsza.

– Jasna cholera – mruknęła Keira, ocierając czoło. – Czy oni tam w Nilfgaardzie nie znają glamarye ani czarów upiększających?

– Najwidoczniej nie – stwierdziła Triss kątem ust. – O modzie też chyba nigdy nie słyszeli.

– Ani o czymś takim, jak makijaż – powiedziała cicho Filippa. – Ale teraz sza, dziewczyny. I nie gapcie się na nią. Trzeba ustabilizować projekcję i powitać naszego gościa. Wzmocnij mnie, Rita.

Margarita Laux-Antille powtórzyła formułę zaklęcia i gest Filippy. Obraz drgnął kilkakrotnie, stracił mglistą chwiejność i nienaturalne lśnienie, kontury i barwy wyostrzyły się. Czarodziejki mogły teraz jeszcze dokładniej przyjrzeć się postaci po przeciwnej stronie stołu. Triss przygryzła wargę i znacząco mrugnęła do Keiry.

Kobieta z projekcji miała bladą twarz o niełądnej cerze, nijakie, pozbawione wyrazu oczy, wąskie sinawe usta i lekko haczykowaty nos. Nosiła dziwaczny, stożkowaty, nieco wymięty kapelusz. Spod miękkiego ronda spadały ciemne, niezbyt świeżo wyglądające włosy. Wrażenia nieatrakcyjności i zaniedbania dopełniała czarna, luźna i niekształtna szata, obszyta na ramieniu wystrzępioną srebrną nitką. Haft przedstawiał półksiężyc w kręgu gwiazd. Była to jedyna noszona przez nilfgaardzką czarodziejkę ozdoba.

Filippa Eilhart wstała, starając się nadmiernie nie eksponować biżuterii, koronek i dekoltu.

– Czcigodna pani Assire – powiedziała. – Witamy w Montecalvo. Cieszymy się ogromnie, że zgodziłaś się przyjąć nasze zaproszenie.

– Zrobiłam to z ciekawości – powiedziała nieoczekiwanie miłym i melodyjnym głosem czarodziejka z Nilfgaardu, odruchowo poprawiając kapelusz. Dłoń miała szczupłą, poznaczoną żółtymi plamami, paznokcie połamane i nierówne, ewidentnie obgryzione.

– Wyłącznie z ciekawości – powtórzyła – której konsekwencje mogą zresztą okazać się dla mnie fatalne. Prosiłabym o wyjaśnienia.

– Niezwłocznie do nich przystąpię – kiwnęła głową Filippa, dając znak pozostałym czarodziejkom. – Pierwej jednak niech mi wolno będzie przywołać projekcje pozostałych uczestniczek zgromadzenia i dokonać wzajemnej prezentacji. Proszę o chwilę cierpliwości.

Czarodziejki ponownie złączyły dłonie, wspólnie wznowiły inkantację. Powietrze w komnacie zadzwoniło jak naprężony drut, spod kasetonów sufitu znowu spłynęła na stół jarząca się mgła, wypełniając pomieszczenie migotaniną cieni. Nad trzema z nie zajętych krzeseł wyrosły pulsujące światłem sfery, wewnątrz sfer zamajaczyły kontury

postaci. Jako pierwsza pojawiła się Sabrina Glevissig w turkusowej i wyzywająco wydekoltowanej sukni z wielkim, ażurowym, stojącym kołnierzem, stanowiącym piękną oprawę dla ufryzowanych i ujętych w brylantowy diadem włosów. Obok niej wyłoniła się z mglistego blasku projekcji Sheala de Tancarville w czarnych, obszytych perłami aksamitach, z szyją okręconą boa ze srebrzystych lisów. Magiczka z Nilfgaardu nerwowo oblizała wąskie wargi. Poczekaj na Franceskę, pomyślała Triss. Gdy zobaczysz Franceskę, czarny szczurku, to oczy wyjdą ci z orbit.

Francesca Findabair nie zrobiła zawodu. Ani przepyszną suknią barwy byczej krwi, ani dumną fryzurą, ani rubinową kolią, ani sarnimi oczami otoczonymi ostrym elfim makijażem.

– Witam wszystkie panie – powiedziała Filippa – w zamku Montecalvo, dokąd pozwoliłam sobie zaprosić was celem omówienia pewnych spraw o niebagatelnym znaczeniu. Ubolewam nad faktem, że spotykamy się w postaci teleprojekcji. Na spotkanie bezpośrednie nie pozwoliły jednak ani czas, ani dzielące nas odległości, ani sytuacja, w której znalazłyśmy się wszystkie. Jestem Filippa Eilhart, pani tego zamku. Jako inicjatorka spotkania i gospodyni pozwolę sobie dokonać prezentacji. Po mojej prawej zasiada Margarita Laux-Antille, rektorka akademii w Aretuzie. Po mojej lewej: Triss Merigold z Mariboru i Keira Metz z Carreras. Dalej, Sabrina Glevissig z Ard Carraigh. Sheala de Tancarville, przybyła z Creyden, z Koviru. Francesca Findabair, znana też jako Enid an Gleanna, obecna władczyni Doliny Kwiatów. I wreszcie Assire var Anahid z Vicovaro w Cesarstwie Nilfgaardu. A teraz...

– A teraz ja się pożegnam! – wrzasnęła Sabrina Glevissig, wskazując Franceskę upierścienioną dłonią. – Posunęłaś się za daleko, Filippa! Nie mam zamiaru siedzieć przy jednym stole z tą cholerną elfką nawet jako iluzja! Krew na murach i posadzkach Garstangu nie zdążyła spłowieć! A to ona rozlała tę krew! Ona i Vilgefortz!

– Prosiłabym o zachowanie form – Filippa oburącz wsparła się na krawędzi stołu. – I zimnej krwi. Wysłuchajcie tego, co mam do powiedzenia. O nic więcej nie proszę. Gdy skończę, każda z was zdecyduje, czy pozostać, czy odejść. Projekcja jest dobrowolna, można ją przerwać w każdej chwili. Jedyne, o co proszę te, które zdecydują się odejść, to dochowanie tajemnicy o tym spotkaniu.

– Wiedziałam! – Sabrina poruszyła się tak gwałtownie, że na moment wypadła z projekcji. – Sekretne spotkanie! Tajne ustalenia! Krótko mówiąc, spisek! I chyba oczywiste, przeciw komu wymierzony. Czy ty kpisz z nas, Filippa? Żądasz dochowania sekretu przed naszymi królami, przed kolegami, których nie uznałaś za stosowne tu zaprosić. A tam siedzi Enid Findabair, z łaski Emhyra var Emreisa królująca w Dol Blathanna, władczyni elfów, którzy czynnie i zbrojnie wspierają Nilfgaard. Mało tego, ze zdumieniem stwierdzam oto na tej sali projekcję czarodziejki z Nilfgaardu. Od kiedy to czarodzieje z Nilfgaardu przestali wyznawać ślepe posłuszeństwo i niewolniczy serwilizm wobec cesarskiej władzy? O jakich sekretach my tu mówimy? Jeśli ona tu jest, to za zgodą i wiedzą Emhyra! Z jego rozkazu! Jako jego oczy i uszy!

– Przeczę temu – powiedziała spokojnie Assire var Anahid. – Nikt nie wie, że uczestniczę w tym spotkaniu. Byłam proszona o dochowanie tajemnicy, dochowałam jej i dochowam. Także w moim własnym interesie. Bo gdyby to wyszło na jaw, nie uniosłabym cało głowy. Na tym bowiem opiera się serwilizm czarodziejów w Cesarstwie. Mają do wyboru serwilizm lub szafot. Podjęłam ryzyko. Przeczę, jakobym przybyła tu w charakterze szpiega. Udowodnić mogę to w jeden tylko sposób: własną śmiercią. Wystarczy złamać tajemnicę, o którą apeluje pani Eilhart. Wystarczy, by wieść o naszym spotkaniu wyszła za te mury, a stracę życie.

– Dla mnie zdrada sekretu również mogłaby mieć przykre konsekwencje – uśmiechnęła się uroczo Francesca. – Masz wspaniałą sposobność do rewanżu, Sabrino.

– Ja rewanżuję się w inny sposób, elfko – czarne oczy Sabriny zapłonęły złowróżbnie. – Jeżeli sekret wyjdzie na jaw, to nie z mojej winy czy nieostrożności. Bynajmniej nie z mojej!

– Czy ty coś sugerujesz?

– Oczywiście – wtrąciła Filippa Eilhart. – Oczywiście, że Sabrina sugeruje. Delikatnie przypomina paniom o mojej współpracy z Sigismundem Dijkstrą. Jak gdyby sama nie miała kontaktów z wywiadem króla Henselta!

– Jest różnica – warknęła Sabrina. – Ja nie byłam przez trzy lata kochanką Henselta! Ani tym bardziej jego wywiadu!

– Dosyć tego! Zamilknij!

– Popieram – powiedziała nagle głośno Sheala de Tancarville. – Zamilknij, Sabrino. Dość już o Thanedd, dość o szpiegowskich i pozamałżeńskich aferach. Nie przybyłam tu, by brać udział w sporach czy wysłuchiwać wzajemnych resentymentów i zniewag. Nie jestem też zainteresowana rolą mediatorki i jeśli w tym celu mnie tu zaproszono, to oświadczam, że daremny był to zachód. Zaiste, mam podejrzenia, że uczestniczę daremnie i niepotrzebnie, że tracę czas, wygospodarowany z trudem kosztem mojej pracy badawczej. Powstrzymam się jednak od presupozycji. Proponuję wreszcie oddać głos Filippie Eilhart. Dowiedzmy się nareszcie celu tego zgromadzenia. Poznajmy role, w jakich mamy tu wystąpić. Wówczas bez zbytecznych emocji zadecydujemy, czy kontynuować przedstawienie, czy spuścić kurtynę. Dyskrecja, o którą proszono, oczywiście zobowiązuje nas wszystkie. Z konsekwencjami, które ja, Sheala de Tancarville, osobiście wyciągnę wobec niedyskretnych.

Żadna z czarodziejek nie poruszyła się ani nie odezwała. Triss ani przez moment nie wątpiła w ostrzeżenie Sheali. Samotnica z Koviru nie zwykła była rzucać gróźb na wiatr.

– Oddajemy ci głos, Filippo. Do szacownego zgromadzenia zaś zwracam się z prośbą o zachowanie ciszy do chwili, gdy Filippa da znać, że skończyła.

Filippa Eilhart wstała, szeleszcząc suknią.

– Szanowne konfraterki – powiedziała. – Sytuacja jest poważna. Magia jest zagrożona. Tragiczne wydarzenia na Thanedd, do których powracam myślą z żalem i niechęcią, dowiodły, że efekty setek lat pozornie bezkonfliktowej współpracy w mgnieniu oka poszły na marne, gdy do głosu doszły prywata i wygórowane ambicje. Obecnie mamy rozbrat, bezład, wzajemną wrogość i nieufność. To, co się dzieje, zaczyna wymykać się spod kontroli. Aby kontrolę odzyskać, aby nie dopuścić do żywiołowego kataklizmu, należy wziąć w mocne ręce ster tego targanego sztormem okrętu. Ja, pani Laux-Antille, pani Merigold i pani Metz przedyskutowałyśmy już tę sprawę i jesteśmy zgodne. Odbudowanie zniszczonych na Thanedd Kapituły i Rady nie wystarczy. Nie ma zresztą z kogo odbudowywać obu tych instytucji, nie ma gwarancji, że odbudowane nie będą od początku zarażone chorobą, która zniszczyła poprzednie. Powinna powstać zupełnie inna, sekretna organizacja, która służyć będzie wyłącznie sprawom magii. Która uczyni

wszystko, by nie dopuścić do kataklizmu. Jeżeli bowiem zginie magia, zginie ten świat. Tak, jak przed wiekami, świat pozbawiony magii i niesionego przez nią postępu pogrąży się w chaosie i mroku, utonie w krwi i barbarzyństwie. Wszystkie obecne tu panie zapraszamy do wzięcia udziału w naszej inicjatywie, do aktywnego uczestnictwa w pracach proponowanego tajnego zespołu. Pozwoliłyśmy sobie was tu przywołać, aby usłyszeć wasze zdanie w tej kwestii. Skończyłam.

– Dziękujemy – skinęła głową Sheala de Tancarville. – Jeżeli panie pozwolą, ja rozpocznę. Pierwsze moje pytanie, droga Filippo, brzmi: dlaczego ja? Dlaczego mnie tu przywołano? Wielokrotnie odmawiałam wysuwania mej kandydatury do Kapituły, złożyłam rezygnację z fotela w Radzie. Po pierwsze, pochłania mnie moja praca. Po drugie, uważałam i nadal uważam, że są w Kovirze, Poviss i Hengfors inni, godniejsi tych zaszczytów. Zapytuję, dlaczego zaproszono tu mnie, a nie Carduina? Nie Istredda z Aedd Gynvael, Tugduala lub Zangenisa?

– Bo to mężczyźni – odrzekła Filippa. – Organizacja, o której mówiłam, ma zaś składać się wyłącznie z kobiet. Pani Assire?

– Wycofuję moje pytanie – uśmiechnęła się nilfgaardzka czarodziejka. – Było zbieżne w treści z pytaniem pani de Tancarville. Odpowiedź mnie satysfakcjonuje.

– Trąci mi to babskim szowinizmem – powiedziała z przekąsem Sabrina Glevissig. – Zwłaszcza w twoich ustach, Filippa, po twojej zmianie... orientacji erotycznej. Ja nie mam nic przeciw mężczyznom. Więcej, ja uwielbiam mężczyzn i życia sobie bez nich nie wyobrażam. Ale... Po chwili zastanowienia... To w sumie jest słuszna koncepcja. Mężczyźni są psychicznie niestabilni, zbyt podatni na emocje, nie można na nich liczyć w momentach kryzysu.

– To fakt – przyznała spokojnie Margarita Laux-Antille. – Stale porównuję wyniki adeptek Aretuzy z efektami pracy chłopców ze szkoły w Ban Ard, a porównanie wypada nieodmiennie na korzyść dziewcząt. Magia to cierpliwość, delikatność, inteligencja, rozwaga, wytrwałość, także pokorne, lecz spokojne znoszenie porażek i niepowodzeń. Mężczyzn gubi ambicja. Oni zawsze chcą tego, o czym wiedzą, że to niemożliwe i nieosiągalne. A możliwego nie zauważają.

– Dosyć, dosyć, dosyć – żachnęła się Sheala, nie kryjąc uśmiechu. – Nie ma nic gorszego niż naukowo podbudowany szowinizm, wstydź się, Rita. Wszelakoż... Tak, ja również uważam za rzecz słuszną

zaproponowaną jednopłciową strukturę tego... konwentu czy też, jeśli kto woli, loży. Jak słyszymy, chodzi o przyszłość magii, a magia to sprawa zbyt poważna, by jej los powierzać mężczyznom.

– Jeśli można – odezwała się melodyjnie Francesca Findabair – chciałabym przerwać na moment dywagacje o naturalnej i nie ulegającej kwestii dominacji naszej płci, a skupić się na sprawach dotyczących zaproponowanej inicjatywy, cel której nadal nie do końca jest dla mnie jasny. A chwila nie jest przypadkowa i budzi skojarzenia. Trwa wojna. Nilfgaard pogromił i przyparł północne królestwa do muru. Czy zatem pod ogólnikowymi hasłami, jakie tu słyszałam, nie kryje się zrozumiała chęć, by sytuację odwrócić? By pogromić i przyprzeć do muru Nilfgaard? A później dobrać się do skóry zuchwałym elfom? Jeśli tak jest, droga Filippo, to nie znajdziemy płaszczyzny porozumienia.

– Czy to jest powód, dla którego ja zostałam tu zaproszona? – spytała Assire var Anahid. – Nie poświęcam wiele uwagi polityce, ale wiem, że armia cesarska odnosi w wojnie przewagi nad waszymi wojskami. Poza panią Franceską i poza panią de Tancarville, pochodzącą z królestwa neutralnego, wszystkie panie reprezentują królestwa wrogie Cesarstwu Nilfgaardzkiemu. Jak mam rozumieć słowa o magicznej solidarności? Jako zachętę do zdrady? Przykro mi, ale nie widzę się w takiej roli.

Skończywszy przemowę, Assire pochyliła się, jakby dotykała czegoś, co nie mieściło się w projekcji. Triss zdawało się, że słyszy miauczenie.

– Ona ma jeszcze kota – szepnęła Keira Metz. – Założę się, że czarnego...

– Ciszej – syknęła Filippa. – Droga Francesko, szanowna Assire. Nasza inicjatywa ma być absolutnie apolityczna, to jest jej podstawowe założenie. Kierować się będziemy nie interesami ras, królestw, królów i imperatorów, lecz dobrem magii i jej przyszłością.

– Kierując się dobrem magii – Sabrina Glevissig uśmiechnęła się szyderczo – nie zapomnimy chyba jednak o dobrobycie magiczek? A przecież wiemy, jak traktowani są czarodzieje w Nilfgaardzie. My tu sobie będziemy apolitycznie gadać, a gdy Nilfgaard zwycięży i dostaniemy się pod cesarską władzę, wszystkie będziemy wyglądać tak, jak...

Triss poruszyła się niespokojnie, Filippa ledwie słyszalnie westchnęła. Keira opuściła głowę, Sheala udała, że poprawia boa. Francesca

przygryzła wargę. Twarz Assire var Anahid nie drgnęła, ale pokryła się lekkim rumieńcem.

– Wszystkie z nas spotka marny los, chciałam powiedzieć – dokończyła szybko Sabrina. – Filippa, Triss i ja, wszystkie trzy byłyśmy na Wzgórzu Sodden. Emhyr rozliczy się z nami za tamtą klęskę, za Thanedd, za całokształt naszej działalności. Ale to tylko jedno z zastrzeżeń, które budzi we mnie deklarowana apolityczność tego konwentu. Czy udział w nim oznacza natychmiastową rezygnację z czynnej i politycznej wszak służby, którą obecnie pełnimy przy naszych królach? Czy też mamy w tej służbie pozostać i służyć dwóm paniom: magii i władzy?

– Ja – uśmiechnęła się Francesca – gdy ktoś komunikuje mi, że jest apolityczny, zawsze pytam, którą z polityk konkretnie ma na myśli.

– A ja wiem, że z pewnością nie ma na myśli tej, którą prowadzi – powiedziała Assire var Anahid, patrząc na Filippę.

– Ja jestem apolityczna – uniosła głowę Margarita Laux-Antille. – I moja szkoła jest apolityczna. Mam na myśli wszystkie typy, rodzaje i gatunki polityki, jakie istnieją!

– Drogie panie – odezwała się milcząca od dłuższej chwili Sheala. – Pamiętajcie, że jesteście płcią dominującą. Nie zachowujcie się więc jak dziewczynki, wyszarpujące sobie przez stół tacę z łakociami. Zaproponowane przez Filippę *principium* jest wszakże jasne. Przynajmniej dla mnie, a wciąż za mało mam podstaw, by uważać was za mniej bystre. Poza tą salą bądźcie, kim chcecie, służcie, komu chcecie i czemu chcecie, tak wiernie, jak zechcecie. Ale gdy konwent się zbierze, zajmować będziemy się wyłącznie magią i jej przyszłością.

– Tak właśnie to sobie wyobrażam – potwierdziła Filippa Eilhart. – Wiem, że problemów jest wiele, że są wątpliwości i niejasności. Omówimy je przy następnym spotkaniu, w którym wszystkie weźmiemy udział nie w postaci projekcji czy iluzji, lecz we własnych osobach. Obecność uznana będzie nie za formalny akt przystąpienia do konwentu, lecz za gest dobrej woli. O tym, czy taki konwent w ogóle powstanie, zadecydujemy wspólnie. My wszystkie. Na równych prawach.

– My wszystkie? – powtórzyła Sheala. – Widzę tu puste krzesła, zakładam, że nie ustawiono ich przypadkowo.

– Konwent powinien liczyć dwanaście czarodziejek. Chciałabym, aby kandydatkę na jedno z tych pustych krzeseł zaproponowała nam i przedstawiła na następnym spotkaniu pani Assire. W Cesarstwie Nilfgaardu znajdzie się z pewnością jeszcze jedna godna czarodziejka. Drugie miejsce zostawiam do obsady tobie, Francesca, byś jako jedyna czystej krwi elfka nie czuła się osamotniona. Trzecie...

Enid an Gleanna uniosła głowę.

– Proszę o dwa miejsca. Mam dwie kandydatury.

– Czy któraś z pań ma coś przeciw tej prośbie? Jeśli nie, ja też się zgadzam. Mamy dziś piąty dzień sierpnia, piąty dzień po nowiu. Spotykamy się ponownie drugiego dnia po pełni, drogie konfraterki, za czternaście dni.

– Zaraz – przerwała Sheala de Tancarville. – Jedno miejsce wciąż pozostaje puste. Kto ma być dwunastą czarodziejką?

– To będzie właśnie pierwszym problemem, którym zajmie się loża – Filippa uśmiechnęła się tajemniczo. – Za dwa tygodnie powiem wam, kto powinien zasiąść na dwunastym krześle. A potem wspólnie zastanowimy się, jak sprawić, by ta osoba tu zasiadła. Zdziwi was moja kandydatura i ta osoba. Bo to nie jest zwykła osoba, szanowne konfraterki. To jest Śmierć albo Życie, Destrukcja lub Odrodzenie, Ład lub Chaos. Zależy, jak na to spojrzeć.

•

Cała wieś wyległa przed płoty, by patrzeć na przejazd bandy. Tuzik wyszedł wraz z innymi. Miał robotę, ale nie mógł się powstrzymać. Ostatnio wiele gadano o Szczurach. Krążyła nawet plotka, że wszystkich schwytano i powieszono. Plotka była jednak fałszywa, dowód demonstracyjnie i bez pośpiechu paradował właśnie przed całą wsią.

– Bezczelne łotry – szepnął ktoś za plecami Tuzika, a był to szept pełen podziwu. – Środkiem wsi walą...

– Wystrojeni, jakby na wesele...

– A jakie konie! I u Nilfgaardczyków takich nie obaczysz!

– Ba, zrabowane. Szczury wszystkim konie biorą. Konia teraz wszędy sprzedać łatwo. Ale najlepsze sobie ostawiają...

– Ten na przedzie, patrzajcie, to Giselher... Herszt ichni.

– A podle niego, na kasztance, to ta elfka... Iskra ją wołają...

Zza płotu wypadł kundel, zaniósł się szczekiem, uwijając się tuż przy przednich kopytach klaczy Iskry. Elfka potrząsnęła bujną grzywą ciemnych włosów, obróciła konia, pochyliła się mocno i smagnęła psa nahajem. Kundel zaskowyczał i trzykrotnie obrócił się w miejscu, a Iskra napluła na niego. Tuzik zmełł w zębach przekleństwo.

Stojący obok szeptali nadal, dyskretnie wskazując kolejnych Szczurów jadących stępa przez wieś. Tuzik słuchał, bo musiał. Znał plotki i gadki nie gorzej niż inni, bez trudu domyślał się, że ten ze zmierzwionymi, sięgającymi ramion włosami koloru słomy, gryzący jabłko, to Kayleigh, że ten barczysty to Asse, a ten w haftowanym półkożuszku to Reef.

Defiladę zamykały dwie dziewczyny, jadące bok w bok i trzymające się za ręce. Wyższa, siedząca na gniadoszu, była ostrzyżona jakby po tyfusie, kaftanik miała rozpięty, koronkowa bluzka błyskała spod niego nieskazitelną bielą, naszyjnik, bransolety i kolczyki słały oślepiające refleksy.

– Ta obsmyczona to Mistle... – usłyszał Tuzik. – Obwieszona błyskotkami, iście niby choinka na Yule...

– Powiadają, że ubiła więcej ludzi, niż wiosen liczy...

– A ta druga? Na dereszku? Ta z mieczem przez plecy?

– Falka ją zwą. Od tego lata ze Szczurami jeździ. Też pono ziółko nieliche...

Ziółko nieliche, jak ocenił Tuzik, nie było wiele starsze od jego córki, Milenki. Popielate włosy młodziutkiej bandytki kosmykami wymykały się spod aksamitnego beretu z butnie podrygującym pękiem bażancich piór. Na szyi płonęła jedwabna chustka w kolorze maku, zawiązana w fantazyjną kokardę.

Wśród wyległych przed chałupy wieśniaków zapanowało nagłe poruszenie. Bo oto jadący na czele bandy Giselher wstrzymał konia, niedbałym gestem rzucił brzęczącą sakieweczkę pod nogi wspartej na kosturze babki Mykitki.

– Niech cię bogi mają w opiece, synusiu miłościwy! – zawyła babka Mykitka. – Obyś zdrów był, dobroczyńco nasz, oby ci...

Perlisty śmiech Iskry zagłuszył mamlanie staruszki. Elfka zawadiacko przełożyła prawą stopę nad łękiem, sięgnęła do kabzy i zamaszyście sypnęła w tłum garścią monet. Reef i Asse poszli za jej przykładem, prawdziwy srebrny deszcz posypał się na piaszczystą drogę. Kayleigh, rechocząc, cisnął w kotłujących się nad pieniędzmi ogryzkiem jabłka.

– Dobroczyńcy!

– Sokoliki nasze!

– Niech wam dola będzie łaskawa!

Tuzik nie pobiegł za innymi, nie padł na kolana, by wygrzebywać monety z piasku i kurzego gówna. Stał nadal pod płotem, patrząc na mijające go wolno dziewczyny. Młodsza, ta o popielatych włosach, dostrzegła jego wzrok i wyraz twarzy. Puściła rękę ostrzyżonej, żgnęła konia i najechała na niego, przypierając do płotu i omal nie zawadzając strzemieniem. Zobaczył jej zielone oczy i zadrżał. Tyle w nich było zła i zimnej nienawiści.

– Zostaw, Falka – zawołała ostrzyżona. Niepotrzebnie. Zielonooka bandytka zadowoliła się przyparciem Tuzika do płotu, pojechała za Szczurami, nawet nie odwracając głowy.

– Dobroczyńcy!

– Sokoliki!

Tuzik splunął.

Na przedwieczerzu do wsi wpadli Czarni, budzący grozę konni z fortu pod Fen Aspra. Dudniły podkowy, rżały konie, brzękała broń. Sołtys i inni wypytywani chłopi łgali jak najęci, kierowali pościg na fałszywy ślad. Tuzika nikt o nic nie pytał. I dobrze.

Gdy wrócił z pastwiska i poszedł do ogrodu, usłyszał głosy. Rozpoznał szczebiot bliźniaczek stelmacha Zgarba, łamiące się falsety chłopców sąsiadów. I głos Milenki. Bawią się, pomyślał. Wyszedł zza drewutni. I zmartwiał.

– Milena!

Milenka, jego jedyna żyjąca córka, jego oczko w głowie, przewiesiła sobie przez plecy patyk na sznurku, udający miecz. Włosy rozpuściła, do wełnianej czapeczki przyczepiła kogucie piórko, na szyi zamotała matczyną chusteczkę. W dziwaczną, fantazyjną kokardę.

Oczy miała zielone.

Tuzik nigdy dotąd nie bił córki, nigdy nie robił użytku z ojcowskiego rzemienia.

To był pierwszy raz.

•

Na horyzoncie błysnęło, zagrzmiało. Podmuch wiatru jak brona przeorał powierzchnię Wstążki. Będzie burza, pomyślała Milva, a po

burzy przyjdzie słota. Zięby nie myliły się.

Popędziła konia. Jeśli chciała dogonić wiedźmina przed burzą, musiała się spieszyć.

Poznałem w życiu wielu wojskowych. Znałem marszałków, generałów, wojewodów i hetmanów, triumfatorów licznych kampanii i bitew. Przysłuchiwałem się ich opowieściom i wspomnieniom. Widywałem ich schylonych nad mapami, rysujących na nich różnokolorowe kreski, robiących plany, obmyślających strategie. W tej papierowej wojnie wszystko grało, wszystko funkcjonowało, wszystko było jasne i wszystko we wzorowym porządku. Tak być musi, wyjaśniali wojskowi. Armia to przede wszystkim porządek i ład. Wojsko nie może istnieć bez porządku i ładu.

Tym dziwniejsze jest, że prawdziwa wojna – a kilka prawdziwych wojen widziałem – pod względem porządku i ładu do złudzenia przypomina ogarnięty pożarem burdel.

Jaskier, *Pół wieku poezji*

Rozdział drugi

Kryształowo czysta woda Wstążki przelewała się przez krawędź uskoku łagodnym, obłym łukiem, szumiącą i spienioną kaskadą spadała między czarne jak onyks głazy, łamała się na nich i ginęła w białej kipieli, z której wylewała się w rozległe ploso, tak przejrzyste, że widać było każdy kamyczek w różnokolorowej mozaice dna, każdy zielony warkocz falujących w prądzie wodorostów.

Oba brzegi porastał kożuch rdestów, wśród których uwijały się pluszcze, dumnie prezentujące białe żabociki na podgardlach. Nad rdestami krzewy mieniły się zielenią, brązem i ochrą na tle świerków, wyglądających jak posypane sproszkowanym srebrem.

– Zaiste – westchnął Jaskier. – Pięknie tu.

Wielki ciemny łososiopstrąg spróbował skoku przez próg wodospadu. Przez moment wisiał w powietrzu, prężąc płetwy i zamiatając ogonem, potem ciężko spadł w kotłującą się pianę burzyny.

Ciemniejące na południu niebo przekreśliła rozwidlona wstęga błyskawicy, daleki grzmot głuchym echem przetoczył się po ścianie

lasu. Gniada klacz wiedźmina zatańczyła, szarpnęła łbem, wyszczerzyła zęby, usiłując wypluć wędzidło. Geralt ostro ściągnął jej wodze, klacz tanecznie podreptała do tyłu, dzwoniąc podkowami na kamieniach.

– Ho! Hooo! Widziałeś ją, Jaskier? Cholerna baletnica! Psiakrew, przy pierwszej sposobności pozbędę się tego zwierzaka! Niech skonam, zamienię choćby na osła!

– Prędko przewidujesz taką sposobność? – poeta podrapał się w swędzący od ukłuć komarów kark. – Dziki krajobraz tej doliny dostarcza wprawdzie niezrównanych wrażeń estetycznych, ale dla odmiany popatrzyłbym chętnie na jakąś mniej estetyczną oberżę. Wkrótce minie tydzień, od kiedy podziwiam romantyczną przyrodę, pejzaże i odległe horyzonty. Zatęskniłem do wnętrz. Zwłaszcza takich, w których podają ciepłą strawę i zimne piwo.

– Przyjdzie ci potęsknić jeszcze czas jakiś – wiedźmin odwrócił się w siodle. – Być może złagodzi twe cierpienia świadomość, że i mnie trochę tęskno do cywilizacji. Jak wiesz, tkwiłem w Brokilonie równo trzydzieści sześć dni. I nocy, w które romantyczna przyroda ziębiła mi tyłek, pełzała po plecach i osiadała rosą na nosie... Hooooo! Zaraza! Zaprzestaniesz wreszcie fochów, przeklęta kobyło?

– Bąki ją kłują. Gady zrobiły się zajadłe i krwiożercze, jak to przed burzą. Na południu grzmi i błyska coraz częściej.

– Zauważyłem – wiedźmin spojrzał w niebo, powstrzymując roztańczonego konia. – Wiatr też jest inny. Morzem zalatuje. Zmiana pogody, ani chybi. Jedziemy. Popędź no tego opasłego wałacha, Jaskier.

– Mój rumak nazywa się Pegaz.

– Jakżeby inaczej. Wiesz co? Moją elfią kobyłę też jakoś nazwiemy. Hmmm...

– Może Płotka? – zakpił trubadur.

– Płotka – zgodził się wiedźmin. – Ładnie.

– Geralt?

– Słucham.

– Czy miałeś w życiu konia, który nie nazywał się Płotka?

– Nie – odrzekł wiedźmin po chwili zastanowienia. – Nie miałem. Popędź wywałaszonego Pegaza, Jaskier. Daleka droga przed nami.

– I owszem – burknął poeta. – Nilfgaard... Ile to mil, według ciebie?

– Dużo.

– Dotrzemy przed zimą?

– Dotrzyjmy wpierw do Verden. Tam przedyskutujemy... pewne sprawy.

– Jakie? Nie zniechęcisz mnie ani nie pozbędziesz się. Będę ci towarzyszył! Tak postanowiłem.

– Zobaczymy. Powiedziałem, dotrzyjmy do Verden.

– A daleko jeszcze? Znasz te tereny?

– Znam. Jesteśmy przy kaskadzie Ceann Treise, przed nami miejsce, które nazywa się Siódma Mila. Te górki za rzeką to są Sowie Wzgórza.

– A my jedziemy na południe, z biegiem rzeki? Wstążka wpada do Jarugi gdzieś w okolicach twierdzy Bodrog...

– Pojedziemy na południe, ale tamtym brzegiem. Wstążka zakręca ku zachodowi, my pojedziemy lasami. Chcę dotrzeć do miejsca, które nazywa się Drieschot, czyli Trójkąt. Tam schodzą się granice Verden, Brugge i Brokilonu.

– A stamtąd?

– Nad Jarugę. I do ujścia. Do Cintry.

– A potem?

– A potem się zobaczy. Jeśli to w ogóle możliwe, zmuś twego gnuśnego Pegaza do nieco szybszego chodu.

•

Ulewa dopadła ich podczas przeprawy, na samym środku rzeki. Najpierw zerwał się gwałtowny wicher, huraganowymi iście podmuchami szarpiąc włosy i opończe, siekąc twarze liśćmi i patykami zdartymi z nadbrzeżnych drzew. Krzykiem i uderzeniami pięt popędzili konie, pieniąc wodę, ruszyli w stronę brzegu. Wtedy wiatr nagle ścichł i zobaczyli sunącą ku nim szarą ścianę deszczu. Powierzchnia Wstążki zbielała i zagotowała się, jakby ktoś z nieba ciskał do rzeki miliardy ołowianych kul.

Nim wydostali się na brzeg, zmoczyło ich tęgo. Pospiesznie skryli się w lesie. Korony drzew tworzyły nad ich głowami gęsty, zielony dach, ale nie był to dach mogący uchronić przed taką ulewą. Deszcz szybko zsiekł i pochylił liście, po chwili w lesie lało prawie tak samo jak na otwartej przestrzeni.

Okręcili się opończami, postawili kaptury. Wśród drzew zapanowała ciemność, rozjaśniana tylko coraz częstszymi błyskawicami. Grzmiało

co i rusz, przeciągle i z ogłuszającym gruchotem. Płotka płoszyła się, tupała i tańczyła. Pegaz zachowywał niewzruszony spokój.

– Geralt! – wrzasnął Jaskier, próbując przekrzyczeć kolejny grom, toczący się po lesie jak gigantyczny wóz. – Zatrzymajmy się! Schrońmy gdzieś!

– Gdzie? – odwrzasnął wiedźmin. – Jedź!

I jechali.

Po jakimś czasie deszcz osłabł wyraźnie, wicher znowu zaszumiał w koronach drzew, trzaski grzmotów przestały świdrować uszy. Wyjechali na ścieżkę wśród gęstej olszyny. Potem na polanę. Na polanie rósł potężny buk, pod jego konarami, na grubym i rozległym kobiercu zbrązowiałych liści i bukwi stał zaprzężony w parę mułów wóz. Na koźle siedział woźnica i mierzył do nich z kuszy. Geralt zaklął. Klątwę zagłuszył grom.

– Opuść kuszę, Kolda – powiedział niski człowiek w słomianym kapeluszu, odwracając się od pnia buka, podskakując na jednej nodze i zapinając spodnie. – To nie ci, na których czekamy. Ale to klienci. Nie strasz klientów. Czasu mamy niedużo, ale pohandlować zawsze zdążymy!

– Ki diabeł? – zamruczał Jaskier za plecami Geralta.

– Podjedźcie bliżej, panowie elfy – zawołał człowiek w kapeluszu. – Bez lęku, ja swój człek. *N'ess a tearth! Va, Seidhe. Ceadmil!* Ja swój, rozumie elf? Pohandlujemy? No, podjedźcie tu, pod buczynę, tu tak nie leci na głowę!

Geralt nie dziwił się pomyłce. Obaj z Jaskrem byli zakutani w szare elfie opończe. On sam nosił otrzymany od driad kubrak z ulubionym przez elfy liściastym motywem, siedział na koniu z typowo elfim rzędem i charakterystycznie zdobionymi tręzlami. Twarz częściowo zasłaniał mu kaptur. Co do gładysza Jaskra, ten już wcześniej brany był niekiedy za elfa lub półelfa, zwłaszcza od czasu, gdy zaczął nosić włosy do ramion i zwykł okazjonalnie fryzować je na żelazkach.

– Uważaj – mruknął, zsiadając. – Jesteś elf. Nie otwieraj gęby bez potrzeby.

– Dlaczego?

– To havekarzy.

Jaskier syknął z cicha. Wiedział, o co chodzi.

Wszystkim rządził pieniądz, a popyt wywoływał podaż. Grasujący po lasach Scoia'tael gromadzili zbywalny, a zbędny im łup, cierpieli zaś na niedostatek ekwipunku i broni. Tak zrodził się leśny obwoźny handel. I gatunek ludzi, którzy się takim handlem parali. Na duktach, ścieżkach, przesiekach i polanach zjawiały się cichaczem wozy kupczących z Wiewiórkami spekulantów. Elfy nazywały ich *hav'caaren*, słowem nieprzetłumaczalnym, ale kojarzącym się z drapieżną chciwością. Wśród ludzi upowszechnił się termin „havekarzy", a słowo kojarzyło się jeszcze paskudniej. Bo też i paskudni byli to ludzie. Okrutni i bezwzględni, nie cofający się przed niczym, nawet przed mordem. Schwytany przez wojsko havekar nie mógł liczyć na miłosierdzie. Toteż sam nie zwykł go okazywać. Napotkawszy w drodze kogoś, kto mógł go wydać żołnierzom, bez namysłu sięgał po kuszę lub nóż.

Nie trafili więc najlepiej. Szczęściem havekarzy brali ich za elfów. Geralt szczelniej zasłonił twarz kapturem i zaczął się zastanawiać, co będzie, gdy maskarada się wyda.

– Ależ plucha – zatarł ręce handlarz. – Leje, jakby kto w niebiosach dziurę zrobił! Brzydki *tedd, ell'ea*? Ale nic to, dla interesów nie ma złej pogody. Są jeno zły towar i zły pieniądz, he, he! Rozumie elf?

Geralt kiwnął głową, Jaskier burknął coś niewyraźnie zza kaptura. Na ich szczęście pogardliwa niechęć elfów do konwersowania z ludźmi była powszechnie znana i nikogo nie dziwiła. Woźnica jednak nie odkładał kuszy, a to nie był dobry znak.

– Od kogo jesteście? Z jakiego komanda? – havekar, jak każdy poważny hadlowiec, nie dawał się stropić rezerwą i małomównością klientów. – Od Coinneacha Dé Reo? Od Angusa Bri-Cri? Czy może od Riordaina? Riordain, wiem ci to, tydzień temu w pień wyciął królewskich komorników, z powodem idących, była w powodzie ściągnięta danina. Moneta, nie osep. Ja nie biorę w zapłacie dziegciu ni ziarna, ni poplamionej juchą odziewy, z łupieży zaś jeno aby norkę, sobola a gronostaja. Ale najmilsza mi monetka, kamyczki a klejnociki! Jeśli macie, możem pohandlować! U mnie towarek pierwszy sort! *Evelienn vara en ard scedde, ell'ea*, rozumie elf? Wszystko mam. Patrzajta.

Handlarz podszedł do wozu, ściągnął skraj mokrej płachty. Dostrzegli miecze, łuki, pęki brzechw, siodła. Havekar pogrzebał w towarze, wyciągnął jedną ze strzał. Grot był zębaty i nadpiłowany.

– U innych tego nie najdziecie – powiedział chełpliwie. – Inni kupce pietra mają, dudy w miech, bo za takie grociki konikami rozrywają, gdy kogo z nimi pochwycą. Ale ja wiem, co Wiewiórkom lube, klient nasz pan, a nie masz handelku bez ryzyczka, byleby proficik był! U mnie rozpryskowe groty dziewięć orenów za tuzin. *Naev'de aen tvedeane, ell'ea*, rozumie Seidhe? Klnę się, że nie zdzieram, sam niewiele zarabiam, na główeczki dzieci mych się klnę. Trzy tuzinki zasię zrazu weźmiecie, to sześć procent rabatu z ceny strącę. Okazyjka, klnę się, czysta okazyjka... Hola, Seidhe, wara od furgonu!

Jaskier płochliwie cofnął rękę od plandeki, głębiej nasunął kaptur na oczy. Geralt po raz nie wiadomo który przeklął w duchu nieopanowaną ciekawość barda.

– *Mir'me vara* – zamamrotał Jaskier, przepraszająco unosząc rękę. – *Squaess'me*.

– Bez urazy – wyszczerzył zęby havekar. – Ale tam nie lza zaglądać, bo tam na wozie inny towarek też jest. Ale nie na sprzedaż, nie dla Seidhe. Zamówiony, he, he. No, ale my tu gadu-gadu... Pokażcie pieniądze.

Zaczyna się, pomyślał Geralt, patrząc na napiętą kuszę woźnicy. Miał podstawy mniemać, że grot bełtu mógł być havekarską rozpryskową okazyjką, która trafiając w brzuch, wychodziła plecami w trzech, a niekiedy czterech miejscach, robiąc z wewnętrznych organów postrzelonego bardzo nieporządny gulasz.

– *N'ess tedd* – powiedział, udając śpiewny akcent. – *Tearde. Mireann vara, va'en vort*. Wrócimy z komando, wtedy handel. *Ell'ea*? Rozumie Dh'oine?

– Rozumie – havekar splunął. – Rozumie, żeście golcy, towar chciałoby się brać, jeno gotówki nie staje. Poszli precz! I nie wracajcie, bo ja tu z ważnymi osobami mam się widzieć, bezpieczniej wam tym osobom nie popaść w oczy. Ruszajcie do...

Urwał, słysząc chrapanie konia.

– Niech to kaduk! – warknął. – Za późno! Już tu są! Łby pod kaptury, elfy! Nie ruszać się i ni pary z gęby! Kolda, durniu, odłóż tę kuszę, a żywo!

Szum deszczu, grzmoty i dywan liści tłumiły dudnienie kopyt, dzięki czemu jeźdźcom udało się podjechać niepostrzeżenie i okrążyć buk w mgnieniu oka. To nie byli Scoia'tael. Wiewiórki nie nosiły zbroi, a ośmiu

otaczających drzewo konnych połyskiwało zlanym deszczem metalem hełmów, naramienników i kolczug.

Jeden z jeźdźców zbliżył się stępa, wzniósł nad havekarem jak góra. Sam był słusznego wzrostu, a siedział na potężnym bojowym ogierze. Opancerzone ramiona przykrywała wilcza skóra, twarz przysłaniał hełm z szerokim wystającym nosalem sięgającym dolnej wargi. W ręku obcy trzymał groźnie wyglądający nadziak.

– Rideaux! – zawołał chrapliwie.

– Faoiltiarna! – odkrzyknął handlarz lekko łamiącym się głosem.

Jeździec zbliżył się jeszcze bardziej, pochylił w siodle. Woda strumieniem ściekła ze stalowego nosala wprost na karwasz i złowrogo lśniący dziób nadziaka.

– Faoiltiarna! – powtórzył havekar, kłaniając się w pas. Zdjął kapelusz, deszcz momentalnie gładko przylepił do czaszki jego rzadkie włosy. – Faoiltiarna! Ja swój, hasło i odzew znam... Od Faoiltiarny jadę, wasza wielmożność... Czekam tu, jak było umówione...

– Ci tam, co za jedni?

– Moja eskorta – havekar skłonił się jeszcze głębiej. – Ten tego, elfy...

– Jeniec?

– Na wozie. W trumnie.

– W trumnie? – grom częściowo zagłuszył wściekły ryk jeźdźca w hełmie z nosalem. – Nie ujdzie ci to płazem! Pan de Rideaux rozkazał wyraźnie, że jeniec ma być dostarczony żywy!

– Żywy jest, żywy – wybełkotał pospiesznie handlarz. – Jak było rozkazane... W trumnę wsadzony, ale żywy... Nie mój to był pomysł, z tą trumną, wasza wielmożność... To Faoiltiarna...

Jeździec stuknął nadziakiem o strzemię, dał znak. Trzech konnych zeskoczyło z siodeł i ściągnęło plandekę z furgonu. Gdy wyrzucili na ziemię siodła, derki i pęki uprzęży, w świetle błyskawicy Geralt faktycznie dostrzegł trumnę ze świeżej sośniny. Nie przyglądał się jednak zbyt uważnie. Czuł mrowiące zimno w końcach palców. Wiedział, co się za chwilę stanie.

– Jakże to tak, wasza miłość? – odezwał się havekar, patrząc na lecące na zmoczone liście towary. – Dobro mi z wozu wygrużacie?

– Kupuję to wszystko. Razem z zaprzęgiem.

– Aaaa – na zarośniętą gębę handlarza wypełzł obleśny uśmiech. – To insza inszość. To będzie... Niech podumam... Pięć setek, z

przeproszeniem waszej szlachetności, jeśli w temerskiej walucie. Jeśli zaś waszymi florenami, tedy czterdzieści i pięć.

– Tak tanio? – parsknął jeździec, upiornie uśmiechając się zza nosala. – Zbliż się.

– Uważaj, Jaskier – syknął wiedźmin, niepostrzeżenie rozpinając klamrę płaszcza. Zagrzmiało.

Havekar zbliżył się do jeźdźca, naiwnie licząc na transakcję swego życia. I była to transakcja jego życia, może nie najlepsza, ale na pewno ostatnia. Jeździec stanął w strzemionach i z rozmachem wbił mu nadziak w wyłysiałe ciemię. Handlarz padł bez jęku, zadygotał, zatrzepał rękami, zorał obcasami mokry dywan liści. Któryś z buszujących na wozie zarzucił rzemień na szyję woźnicy, zacisnął, drugi przypadł, dźgnął sztyletem.

Jeden z konnych rzutem podniósł kuszę do ramienia mierząc w Jaskra. Geralt miał już jednak w ręku miecz, wyrzucony z wozu havekara. Uchwyciwszy broń w połowie klingi, cisnął nią jak oszczepem. Przeszyty kusznik zwalił się z konia, wciąż z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy.

– Uciekaj, Jaskier!

Jaskier dopadł Pegaza i dzikim susem skoczył na siodło. Skok był jednak trochę zbyt dziki, a poecie brakowało wprawy. Nie zdołał utrzymać się łęku i zleciał na ziemię po przeciwnej stronie konia. I to uratowało mu życie, klinga miecza atakującego jeźdźca z sykiem przecięła powietrze nad uszami Pegaza. Wałach spłoszył się, targnął, zderzył z koniem napastnika.

– To nie elfy! – ryknął jeździec w hełmie z nosalem, dobywając miecza. – Żywych brać! Żywych!

Jeden z tych, którzy zeskoczyli z wozu, zasugerował się rozkazem, zawahał. Geralt zdążył już jednak dobyć własnego miecza i nie wahał się ani sekundy. Zapał dwóch pozostałych schłodziła nieco lecąca na nich fontanna krwi. Wykorzystał to i zarąbał drugiego. Ale konni już siedzieli mu na karku. Wywinął się spod ich mieczy, sparował cięcia, wykonał unik i nagle poczuł dojmujący ból w prawym kolanie, poczuł, że pada. Nie był ranny. Leczona w Brokilonie noga zwyczajnie i bez ostrzeżenia odmówiła posłuszeństwa.

Zamierzający się na niego obuchem topora pieszy stęknął nagle i zatoczył się, jak gdyby ktoś pchnął go silnie. Zanim upadł, wiedźmin

spostrzegł strzałę z długimi lotkami, wbitą w bok napastnika do połowy brzechwy. Jaskier wrzasnął, wrzask zagłuszył grom.

Uczepiony koła wozu Geralt zobaczył w świetle błyskawicy jasnowłosą dziewczynę z napiętym łukiem, wypadającą z olszynki. Konni też ją dostrzegli. Nie mogli jej nie dostrzec, bo jeden z nich właśnie przewalał się przez koński zad z gardłem zamienionym przez grot w karminową miazgę. Trzej pozostali, w tym dowódca w hełmie z nosalem, z miejsca ocenili niebezpieczeństwo, z wrzaskiem pogalopowali w kierunku łuczniczki, kryjąc się za szyjami koni. Sądzili, że końskie szyje stanowią dostateczną osłonę przed strzałami. Mylili się.

Maria Barring, zwana Milvą, napięła łuk. Mierzyła spokojnie, z cięciwą przyciśniętą do twarzy.

Pierwszy z atakujących wrzasnął i zsunął się z konia, stopa uwięzła mu w strzemieniu, podkute kopyta zmiażdżyły go. Drugiego strzała wręcz zmiotła z kulbaki. Trzeci, dowódca, był już blisko, stanął w strzemionach, wzniósł miecz do ciosu. Milva nie drgnęła nawet, nieustraszenie patrząc na napastnika, napięła łuk i z odległości pięciu kroków wsadziła mu strzałę prosto w twarz, tuż obok stalowego nosala. Strzała przeszła na wylot, zrzucając hełm. Koń nie zwolnił galopu, pozbawiony hełmu i znacznej części czaszki jeździec przez kilka chwil siedział w siodle, potem powolutku przechylił się i plusnął w kałużę. Koń zarżał i pobiegł dalej.

Geralt wstał z trudem, pomasował nogę, która bolała, ale, o dziwo, wydawała się całkiem sprawna, mógł stanąć na niej bez kłopotów, mógł chodzić. Obok gramolił się z ziemi Jaskier, zwalając przygniatającego go trupa z rozerwanym gardłem. Twarz poety miała kolor niegaszonego wapna.

Milva zbliżyła się, po drodze wyrywając strzałę z zabitego.

– Dziękuję ci – rzekł wiedźmin. – Jaskier, podziękuj. To jest Milva Barring. Dzięki niej żyjemy.

Milva wyrwała strzałę z drugiego trupa, obejrzała zakrwawiony grot. Jaskier zamamrotał niewyraźnie, schylił się w dwornym, acz nieco rozdygotanym ukłonie, po czym upadł na kolana i zwymiotował.

– Kto on zacz? – Łuczniczka wytarła grot o mokre liście, wsadziła strzałę do kołczana. – Druh twój, wiedźminie?

– Tak. Nazywa się Jaskier. Jest poetą.

– Poeta – Milva popatrzyła na rzucanego suchymi już torsjami trubadura, potem podniosła wzrok. – Kiedy tak, tedy pojmuję. Jeśli czego nie pojmuję, to czemu on tu rzyga, miast gdzie w cichości rymy pisać. Nie moja zresztą rzecz.

– W pewnej mierze twoja. Ocaliłaś mu skórę. Mnie też.

Milva otarła spryskaną deszczem twarz, na której wciąż jeszcze można było dostrzec odcisk cięciwy. Choć strzelała kilkakrotnie, odcisk był tylko jeden – cięciwa za każdym razem przylegała dokładnie w tym samym miejscu.

– Byłam w olszynie już wtedy, gdy gadaliście z havekarem – powiedziała. – Nie chciałam, by szelma mnie widział, no i nie było musu. A potem nadjechali ci drudzy i zaczęła się sieczka. Kilku nieźle rozharatałeś. Umiesz mieczem obracać, trza ci przyznać. Chociażeś przecie kuternoga. Było ci jeszcze zostać w Brokilonie, kurować kulas. Pogorszysz, to do końca żywota kusztykać możesz, miarkujesz chyba?

– Przeżyję.

– I mnie się tak widzi. Bo jechałam za tobą w ślad, by cię ostrzec. I zawrócić. Nic nie będzie z twojej wyprawy. Na południu wojna. Od Drieschot idą na Brugge nilfgaardzkie wojska.

– Skąd wiesz?

– A choćby stąd – dziewczyna szerokim gestem wskazała na trupy i konie. – Przecie to Nilfgaardczyki! Słońc na szłomach nie widzisz? Haftów na czaprakach? Zbierajcie się, bierzem nogi za pas, wnet mogą tu dalsi nadciągnąć. Ci tutaj podjazdem szli.

– Nie myślę – pokręcił głową – żeby to był podjazd albo straż przednia. Po coś innego tu przyjechali.

– A po co, ciekawość?

– Po to – wskazał na leżącą na wozie sosnową trumnę, ściemniałą od deszczu. Padało już słabiej i przestało grzmieć. Burza przesuwała się ku północy. Wiedźmin podniósł leżący wśród liści miecz, wskoczył na wóz, klnąc z cicha, bo kolano wciąż jednak przypominało się bólem.

– Pomóż mi to otworzyć.

– Cóż to, umarlaka chcesz... – Milva urwała, widząc wywiercone w wieku otwory. – Do licha! Żywego havekar w tym pudle wiózł?

– To jakiś jeniec – Geralt podważył wieko. – Handlarz czekał tu na Nilfgaardczyków, by im go przekazać. Wymienili się hasłem i odzewem...

Wieko oderwało się z trzaskiem, odsłaniając zakneblowanego człowieka, rzemiennymi pętlami przykrępowanego do boków trumny za ręce i nogi. Wiedźmin pochylił się. Przyjrzał uważniej. I jeszcze raz, jeszcze uważniej. I zaklął.

– No, proszę – powiedział przeciągle. – A to siurpryza. Kto by się spodziewał?

– Ty go znasz, wiedźminie?

– Z widzenia – uśmiechnął się paskudnie. – Schowaj nóż, Milva. Nie rozcinaj mu pęt. To jest, jak widzę, wewnętrzna nilfgaardzka sprawa. Nie powinniśmy się wtrącać. Zostawimy go tak, jak jest.

– Czy ja dobrze słyszę? – odezwał się zza ich pleców Jaskier. Był wciąż jeszcze blady, ale ciekawość już przemogła inne emocje.

– Chcesz zostawić w lesie związanego człowieka? Domyślam się, że rozpoznałeś kogoś, z kim masz na pieńku, ale to jest przecież jeniec, do diabła! Był więźniem ludzi, którzy dybali na nas i omal nie zabili. Wróg naszych wrogów...

Urwał, widząc, że wiedźmin wyciąga nóż z cholewy. Milva chrząknęła cicho. Ciemnobłękitne, mrużone dotychczas przed kroplami deszczu oczy związanego rozszerzyły się. Geralt pochylił się i rozciął pętlę wiążącą jego lewe ramię.

– Spójrz, Jaskier – powiedział, chwytając za nadgarstek i podnosząc uwolnioną rękę. – Widzisz tę szramę na dłoni? To Ciri go cięła. Na wyspie Thanedd, miesiąc temu. To Nilfgaardczyk. Przyjechał na Thanedd specjalnie po to, by uprowadzić Ciri. Cięła go, broniąc się przed porwaniem.

– Na nic przecie zdała się ta obrona – mruknęła Milva. – Coś tu jednakoż, tak sobie myślę, kupy się nie dzierży. Jeśli onże twoją Ciri z ostrowu dla Nilfgaardu porwał, jaką modą do tej trumny popadł? Czemu go havekar Nilfgaardczykom właśnie wydawał? Zdejmij mu z gęby knebel, wiedźminie. Może nam co powie?

– Wcale nie chcę go słuchać – powiedział głucho. – Już teraz ręka mnie świerzbi, by go pchnąć, gdy tak leży i patrzy. Ledwo się hamuję. Gdy się odezwie, nie pohamuję się. Nie wszystko o nim wam powiedziałem.

– Nie hamuj się tedy – Milva wzruszyła ramionami. – Pchnij, jeśli taki to niegodziwiec. Ale co rychlej, bo czas nagli. Mówiłam, Nilfgaardczyków tylko patrzeć. Idę po mego konia.

Geralt wyprostował się, puszczając rękę związanego. Ten natychmiast zdarł z ust i wypluł knebel. Ale nie odzywał się. Wiedźmin rzucił mu nóż na pierś.

– Nie wiem, za jakie grzeszki wsadzili cię do tej skrzynki, Nilfgaardczyku – powiedział. – I nie obchodzi mnie to. Zostawiam ci ten kozik, oswobodź się sam. Czekaj tu na swoich albo umykaj w lasy, twoja wola.

Jeniec milczał. Skrępowany i ułożony w drewnianym pudle wyglądał jeszcze nędzniej i bezbronniej niż na Thanedd, a tam Geralt widział go na kolanach, rannego, dygoczącego ze strachu w kałuży krwi. Wyglądał też znacznie młodziej. Wiedźmin nie dawał mu więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Darowałem ci życie na wyspie – dodał. – Darowuję i teraz. Ale to już ostatni raz. Przy następnym spotkaniu zabiję jak psa. Pamiętaj o tym. Gdyby ci przyszło do głowy namówić kamratów do pościgu za nami, zabierz tę trumnę ze sobą. Przyda ci się. Jedziemy, Jaskier.

– A chyżo! – krzyknęła Milva, zawracając galopem z wiodącej na zachód ścieżki. – Ale nie tędy! W lasy, psia mać, w lasy!

– Co się stało?

– Od Wstążki jazda idzie ku nam wielką kupą! To Nilfgaard! Czego się gapicie? W konie, nim nas ogarną!

•

Bitwa o wieś trwała już dobrą godzinę i nadal nic nie wskazywało na to, by miała się ku końcowi. Piechurzy, broniący się zza kamiennych murków, płotów i ustawionych w zaporę wozów, odparli już trzy ataki konnicy, szarżującej na nich po grobli. Szerokość grobli nie pozwalała konnym nabrać frontalnego impetu, a piechurom umożliwiała skoncentrowanie obrony. W rezultacie fala jazdy za każdym razem rozbijała się o barykady, zza których zdesperowani, ale zajadli knechci razili ciżbę jeźdźców deszczem bełtów i strzał. Ostrzelana kawaleria kotłowała się i kłębiła, a wówczas obrońcy wypadali na nią szybkim kontratakiem, łupiąc ile wlezie berdyszami, gizarmami i okutymi bojowymi cepami. Konnica wycofywała się nad stawy, zostawiając trupy ludzi i koni, piesi zaś kryli się za barykadą i obrzucali wroga plugawymi wyzwiskami. Po jakimś czasie konnica formowała się i atakowała ponownie.

I tak dalej.

– Ciekawe, kto bije się z kim? – po raz kolejny spytał Jaskier, niewyraźnie, albowiem właśnie trzymał w ustach i próbował zmiękczyć wyproszony u Milvy suchar.

Siedzieli na samym skraju urwiska, dobrze ukryci wśród jałowców. Mogli obserwować bitwę, nie lękając się, że ich samych ktoś dostrzeże. Dokładniej biorąc, musieli obserwować. Nie mieli innego wyjścia. Przed nimi była bitwa, za nimi płonące lasy.

– Nietrudno zgadnąć – Geralt niechętnie zdecydował się wreszcie odpowiedzieć na pytanie Jaskra. – Konni to Nilfgaardczycy.

– A piesi?

– Piesi to nie Nilfgaardczycy.

– Konni to regularna jazda z Verden – powiedziała Milva, do tej pory ponura i podejrzanie małomówna. – Wyszyte szachownice mają na jakach. A ci we wiosce to bruggeńskie zaciężne wojaki. Toć po chorągwi poznać.

W samej rzeczy, rozochoceni kolejnym sukcesem knechci wznieśli nad szańcem zielony sztandar z białym krzyżem kotwicznym. Geralt przyglądał się uważnie, ale wcześniej sztandaru nie dostrzegł, obrońcy podnieśli go dopiero teraz. Widocznie na początku bitwy gdzieś się zapodział.

– Długo tu będziemy siedzieć? – spytał Jaskier.

– Masz tobie – mruknęła Milva – Pytanie zadał. Rozejrzyj się! Jak się nie obrócisz, tak rzyć z tyłu.

Jaskier nie musiał rozglądać się ani obracać. Cały widnokrąg pasiasty był od słupów dymu. Najgęściej dymiło na północy i zachodzie, tam, gdzie któreś z wojsk podpaliło lasy. Liczne dymy biły też w niebo na południu, tam, dokąd zmierzali, gdy drogę zagrodziła im bitwa. Ale w ciągu godziny, jaką spędzili na wzgórzu, dymy uniosły się również na wschodzie.

– Wszelakoż – podjęła łuczniczka po chwili, patrząc na Geralta – to mnie, wiedźminie, iście ciekawi, cóż to teraz począć zamyślasz. Za nami Nilfgaard i płonąca knieja, co przed nami, sam miarkujesz. Jakie tedy masz plany?

– Moje plany nie uległy zmianie. Przeczekam tę bijatykę i ruszam na południe. Nad Jarugę.

– Chyba rozumu zbyłeś – wykrzywiła się Milva. – Przecie widzisz, co się dzieje. Gołym przecie okiem widać, że to nie jakaś tam rajza kup swawolnych, ale wojna co się zowie. Nilfgaard pospołu z Verden idzie. Na południu Jarugę już pewnie przeszli, pewnie już całe Brugge, a może i Sodden w ogniu...

– Muszę dotrzeć do Jarugi.

– Pięknie. A potem?

– Znajdę łódź, popłynę z prądem, spróbuję przedostać się do ujścia. Później statek... Stamtąd, do cholery, muszą kursować jakieś statki...

– Do Nilfgaardu? – parsknęła. – Plany nie uległy zmianie?

– Nie musisz mi towarzyszyć.

– Iście, nie muszę. I chwalić bogów, bo ja śmierci nie szukam. Lękać się jej nie lękam, ale to ci muszę rzec: zabić się dać, niewielka to sztuka.

– Wiem – odpowiedział spokojnie. – Mam praktykę. Nie wędrowałbym w tamte strony, gdybym nie musiał. Ale muszę, więc jadę. Nic mnie nie powstrzyma.

– Ha – zmierzyła go wzrokiem. – Ależ głos, jakby kto nożem dno starego garnka drapał. Gdyby cię cesarz Emhyr słyszał, w gacie by pewnie popuścił ze strachu. Do mnie, straże, do mnie, hufce moje cesarskie, biada, biada, już tu do mnie do Nilfgaardu wiedźmin czółnem płynie, wraz tu będzie, życia i korony zbawi! Zgubionym!

– Przestań, Milva.

– A jużci! Czas, by ci ktoś wreszcie prawdę w oczy rzekł. Niech mnie wyliniały królik wychędoży, jeślim kiedy durniejszego chłopa widziała! Emhyrowi jedziesz twoją dziewkę wydrzeć? Którą Emhyr na cesarzową upatrzył? Którą królom odebrał? U Emhyra mocne pazury, co ucapią, tego nie puszczą. Z nim królom się nie dołać, a ty chcesz?

Nie odpowiedział.

– Do Nilfgaardu się wybierasz – powtórzyła Milva, z politowaniem kiwając głową. – Z cesarzem wojować, narzeczoną mu odbić. A podumałeś, co może być? Gdy tam dojedziesz, gdy ową Ciri na pałacowych pokojach odnajdziesz, całą we złocie i jedwabiach, co jej rzekniesz? Pójdź, miła, za mnie, co ci tam cesarski tron, we dwoje w szałasie zażyjem, na przednówku korę jeść będziem. Pojrzyj po sobie, kulawy oberwańcu. Nawet kapotę i buty dostałeś od driad, po jakimś elfie, co z ran umarł w Brokilonie. Tedy wiesz, co będzie, gdy cię twoja

panna obaczy? W oczy ci plunie, wyśmieje, trabantom za próg wykinąć każe i psami poszczwać!

Milva mówiła coraz głośniej, pod koniec przemowy prawie krzyczała. Nie tylko ze złości, ale by przekrzyczeć wzmagający się hałas. Z dołu zaryczały dziesiątki, może setki gardzieli. Na bruggeńskich knechtów zwaliło się kolejne natarcie. Ale tym razem z dwóch stron jednocześnie. Odziani w sine tuniki z szachownicami Verdeńczycy cwałowali po grobli, a zza stawu, uderzając na flankę obrońców, wypadł silny oddział jazdy w czarnych płaszczach.

– Nilfgaard – rzekła krótko Milva.

Tym razem piechota z Brugge nie miała żadnych szans. Kawaleria przedarła się przez zapory i w mgnieniu oka rozniosła obrońców na mieczach. Sztandar z krzyżem upadł. Część pieszych rzuciła broń i poddała się, część usiłowała uciekać w kierunku lasu. Ale od strony lasu zaatakował trzeci oddział, wataha niejednolicie umundurowanych, lekkozbrojnych jeźdźców.

– Scoia'tael – powiedziała Milva, wstając. – Teraz już pojmujesz, co się dzieje, wiedźminie? Dotarło do cię? Nilfgaard, Verden i Wiewiórki w kupie. Wojna. Jak w Aedirn przed miesiącem.

– To rajd – pokręcił głową Geralt. – Wyprawa łupieska. Tylko konnica, żadnej piechoty...

– Piechota dobywa fortów i prezydiów. Tamte dymy, myślisz, z czego? Z wędzarni?

Z dołu, od wioski, dobiegały ich dzikie, przeraźliwe krzyki zbiegów, doganianych i wyrzynanych przez Wiewiórki. Z dachów chat buchnęły dymy i płomienie. Silny wiatr przesuszył strzechy po porannej ulewie, pożar szerzył się błyskawicznie.

– Ot – mruknęła Milva – z dymem pójdzie sioło. A ledwie co odbudowali po tamtej wojnie. Dwa lata w pocie czoła stawiali zręby, a zgorzeje w parę chwil. Naukę by z tego wyciągać!

– Jaką? – spytał ostro Geralt.

Nie odpowiedziała. Dym z płonącej wioski wzbił się wysoko, sięgnął urwiska, zaszczypał w oczy, wycisnął łzy. Z pożogi rozbrzmiały wrzaski. Jaskier zrobił się nagle blady jak płótno.

Jeńców spędzono w kupę, otoczono pierścieniem. Na rozkaz rycerza w hełmie z czarnym pióropuszem jeźdźcy zaczęli siec i kłuć

bezbronnych. Padających tratowano końmi. Pierścień zwierał się. Krzyki, które dobiegły do urwiska, przestały przypominać głosy ludzi.

– I my mamy iść na południe? – spytał poeta, patrząc wymownie na wiedźmina. – Przez te pożary? Tam, skąd nadciągają tacy rzeźnicy?

– Wydaje mi się – odrzekł z ociąganiem Geralt – że nie mamy wyboru.

– Mamy – powiedziała Milva. – Mogę przeprowadzić was lasami na Sowie Wzgórza i z powrotem do Ceann Treise. Do Brokilonu.

– Przez płonące lasy? Przez zagon, przed którym ledwo uciekliśmy?

– Pewniejsze to niż droga na południe. Do Ceann Treise jest wszystkiego czternaście mil, a ja znam ścieżki.

Wiedźmin patrzył w dół, na ginącą w pożarze wieś. Nilfgaardczycy uporali się już z jeńcami, jazda formowała się w kolumnę marszową. Pstrokata wataha Scoia'tael ruszyła gościńcem wiodącym na wschód.

– Ja nie wracam – odrzekł twardo. – Ale przeprowadź do Brokilonu Jaskra.

– Nie! – zaprotestował poeta, choć nadal nie odzyskał normalnych kolorów. – Jadę z tobą.

Milva machnęła ręką, podniosła kołczan i łuk, zrobiła krok w stronę koni, nagle odwróciła się.

– Do diabła – warknęła. – Za długo i za często elfów od zguby ratowałam. Nijak mi teraz patrzeć, jak ktoś ginie! Przeprowadzę was do Jarugi, szalone pałki. Ale nie południowym, jeno wschodnim szlakiem.

– Tam też już płoną lasy.

– Przeprowadzę was przez ogień. Przywykłam.

– Nie musisz tego robić, Milva.

– Pewnie, że nie muszę. No, na kulbaki! Ruszcie się wreszcie!

•

Nie ujechali daleko. Konie z trudem poruszały się w gąszczu i na zarośniętych ścieżkach, a nie odważali się korzystać z dróg – zewsząd dobiegał ich tętent i szczęk, zdradzający ciągnące wojska. Zmrok zaskoczył ich wśród zakrzaczonych parowów, zatrzymali się na nocleg. Nie padało, niebo było jasne od łun.

Znaleźli stosunkowo suche miejsce, usiedli, owinąwszy się w opończe i derki. Milva penetrowała okolicę. Gdy tylko odeszła, Jaskier dał upust długo wstrzymywanej ciekawości, jaką wzbudzała w nim brokilońska łuczniczka.

– Dziewczyna jak łania – mruczał. – Ty masz szczęście do takich znajomości, Geralt. Strzelista i zgrabna, chodzi, jakby tańczyła. W biodrach trochę za wąska, jak na mój gust, a w ramionach odrobinkę za mocna, ale przecież kobieca, kobieca... Te dwa jabłuszka z przodu, ho, ho... Mało koszula nie praśnie...

– Przymknij się, Jaskier.

– W drodze – marzył dalej poeta – zdarzyło mi się dotknąć przypadkiem. Udo, mówię ci, jak z marmuru. Oho, nie nudziło ci się przez ten miesiąc w Brokilonie...

Milva, która właśnie wróciła z patrolu, usłyszała teatralny szept i zauważyła spojrzenia.

– O mnie gadasz, poeto? Czego się we mnie wpatrujesz, ledwie się odwrócę? Ptak mi na plecy nasrał?

– Wciąż nie możemy się nadziwić twemu łuczniczemu kunsztowi – wyszczerzył zęby Jaskier. – Na zawodach strzeleckich mało znalazłabyś konkurentów.

– Baju, baju.

– Czytałem – Jaskier łypnął znacząco na Geralta – że najlepsze łuczniczki spotkać można wśród Zerrikanek, w stepowych klanach. Niektóre podobno obcinają sobie lewe piersi, by nie wadziły im w napinaniu łuków. Biust, powiadają, wchodzi w paradę cięciwie.

– Musiał to jakiś poeta wydumać – parsknęła Milva. – Siada taki i wypisuje osielstwa, pióro w nocniku maczając, a głupie ludzie wierzą. Co to, cyckami się strzela, czy jak? Do gęby się cięciwę dociąga, bokiem stojąc, o, tak. Nic cięciwie nie zawadza. O tym obcinaniu to durnota, wymysł głowy próżniaczej, której wiecznie aby babskie cycki na myśli.

– Dziękuję ci za pełne uznania słowa o poetach i poezji. I za naukę o łucznictwie. Dobry oręż, łuk. Wiecie co? Myślę, że właśnie w tym kierunku rozwinie się sztuka wojenna. W wojnach przyszłości będzie się walczyć na odległość. Wynaleziona zostanie broń tak dalekosiężna, że przeciwnicy będą mogli zabijać się nawzajem, nie widząc w ogóle.

– Durnota – oceniła krótko Milva. – Łuk dobra rzecz, ale wojaczka to chłop przeciw chłopu, na długość miecza, krzepki słabszemu łeb rozwala. Zawsze tako było i tako będzie. A skończy się, tedy i wojaczki się skończą. Póki co, widziałeś, jak się wojuje. W tamtej wsi podle grobli. Ech, co tu gadać po próżnicy. Idę, rozejrzę się. Konie chrapią, jakby jaki wilczek tu gdzie krążył...

– Jak łania – Jaskier odprowadził ją wzrokiem. – Hmmm... Wracając jednak do wspomnianej wsi przy grobli i tego, co ci powiedziała, gdyśmy siedzieli na urwisku... Nie uważasz, że jednak miała trochę racji?

– Względem?

– Względem... Ciri – zająknął się lekko poeta. – Nasza piękna i szybkostrzelna dziewoja zdaje się nie rozumieć relacji między tobą a Ciri, mniema, jak mi się wydaje, że zamierzasz konkurować z nilfgaardzkim cesarzem o jej rękę. Że to jest prawdziwy motyw twojej wyprawy do Nilfgaardu.

– A zatem w tym względzie nie ma racji ani trochę. W jakim więc ma?

– Zaczekaj, nie unoś się. Ale spójrz prawdzie w oczy. Przygarnąłeś Ciri i uważasz się za jej opiekuna. Ale to nie jest zwykła dziewczyna. To królewskie dziecko, Geralt. Jej, co tu dużo gadać, pisany jest tron. Pałac. Korona. Nie wiem, czy akurat nilfgaardzka. Nie wiem, czy Emhyr to dla niej najlepszy mąż...

– W samej rzeczy. Nie wiesz.

– A ty wiesz?

Wiedźmin owinął się derką.

– Zmierzasz, rzecz jasna, ku konkluzji – powiedział. – Ale nie wysilaj się, ja wiem, jaka to konkluzja. Nie ma sensu ratować Ciri przed losem, który jest jej pisany od dnia urodzin. Bo ocalona Ciri gotowa kazać trabantom spuścić nas ze schodów. Dajmy sobie tedy spokój. Tak?

Jaskier otworzył usta, ale Geralt nie dał mu dojść do słowa.

– Dziewczyny – mówił coraz bardziej zmieniającym się głosem – nie porwał wszakże smok ani zły czarownik, nie uprowadzili jej dla okupu piraci. Nie siedzi w wieży, w lochu ani w klatce, nie katują jej ani nie morzą głodem. Wręcz przeciwie. Śpi na adamaszkach, jada na srebrze, nosi jedwabie i koronki, obwiesza się biżuterią, tylko patrzeć, jak ją koronują. Krótko mówiąc, jest szczęśliwa. A jakiś wiedźmin, którego kiedyś zła dola przypadkiem postawiła na jej drodze, zawziął się, by to szczęście zburzyć, popsuć, zniszczyć, podeptać dziurawymi butami, które odziedziczył po jakimś elfie. Tak?

– Nie to miałem na myśli – burknął Jaskier.

– On nie do ciebie gadał – Milva wyłoniła się nagle z mroku, po chwili wahania usiadła obok wiedźmina. – To do mnie było. To moje słowa mu tak dopiekły. W złości mówiłam, nie myśląc... Wybacz mi, Geralt. Wiem ci, jak to jest, gdy w żywą ranę pazur wrazić... No, nie złob się. Nie

uczynię tego więcej. Wybaczasz? Czy cię mam na przeprosiny pobоćkać?

Nie czekając na odpowiedź ani przyzwolenie objęła go silnie za szyję i pocałowała w policzek. Mocno uścisnął jej ramię.

– Przysuń się – odkaszlnął. – I ty też, Jaskier. Razem... będzie nam cieplej.

Milczeli długo. Po jasnym od łun niebie sunęły chmury, przesłaniając migocące gwiazdy.

– Chcę wam coś powiedzieć – rzekł wreszcie Geralt. – Ale przyrzeknijcie, że nie będziecie się śmiać.

– Gadaj.

– Miałem dziwne sny. W Brokilonie. Początkowo myślałem, że to majaczenia. Coś z moją głową. Widzicie, na Thanedd zdrowo przylali mi w łeb. Ale od paru dni śnię wciąż ten sam sen. Ciągle ten sam.

Jaskier i Milva milczeli.

– Ciri – podjął po chwili – nie śpi w pałacu pod brokatowym baldachimem. Jedzie konno przez jakąś zakurzoną wieś... Wieśniacy pokazują ją palcami. Nazywają ją imieniem, którego nie znam. Psy ujadają. Ona nie jest sama. Są tam inni. Jest krótko ostrzyżona dziewczyna, ta trzyma Ciri za rękę... Ciri uśmiecha się do niej. Nie podoba mi się ten uśmiech. Nie podoba mi się jej ostry makijaż... A najmniej podoba mi się to, że jej tropem podąża śmierć.

– Gdzież tedy dziewczyna jest? – zamruczała Milva, przytulając się do niego jak kot. – Nie w Nilfgaardzie?

– Nie wiem – powiedział z trudem. – Ale ten sam sen śniłem kilkakrotnie. Problem polega na tym, że ja nie wierzę w takie sny.

– Głupiś tedy. Ja wierzę.

– Nie wiem – powtórzył. – Ale czuję. Przed nią jest ogień, a za nią śmierć. Muszę się spieszyć.

•

O świcie zaczęło padać. Nie tak, jak poprzedniego dnia, gdy burzy towarzyszyła silna, lecz krótkotrwała ulewa. Niebo poszarzało i zasnuło się ołowianym nalotem. Zaczęło mżyć, drobno, równo i dokuczliwie siąpić.

Jechali na wschód. Milva prowadziła. Gdy Geralt zwrócił jej uwagę, że Jaruga jest na południu, łuczniczka zburczała go i przypomniała, że to

ona jest przewodniczką i że wie, co robi. Nie odzywał się więcej. W końcu ważne było to, że jechali. Kierunek nie miał większego znaczenia.

Jechali w milczeniu, mokrzy, zziębnięci, skurczeni na kulbakach. Trzymali się leśnych ścieżek, przemykali wzdłuż duktów, przecinali gościńce. Zapadali w gąszcz, słysząc łomot kopyt ciągnącej drogami kawalerii. Szerokim łukiem omijali bitewny wrzask i zgiełk. Przejeżdżali obok ogarniętych pożarem wsi, obok dymiących i żarzących się zgliszcz, mijali osady i sadyby, po których zostały tylko czarne kwadraty wypalonej ziemi i ostry smród zmoczonej deszczem spalenizny. Płoszyli stada wron żerujących na trupach. Mijali grupy i kolumny uginających się pod tobołami, uciekających przed wojną i pożogą wieśniaków, otępiałych, reagujących na pytania tylko lękliwym, nierozumiejącym i niemym uniesieniem pustych od nieszczęścia i zgrozy oczu.

Jechali na wschód, wśród ognia i dymu, wśród mżawki i mgły, a przed ich oczami przewijał się gobelin wojny. Obrazy.

Był obraz z żurawiem, czarną krechą sterczącym wśród ruin spalonej wioski. Na żurawiu wisiał nagi trup. Głową w dół. Krew ze zmasakrowanego krocza i brzucha ściekła mu na pierś i twarz, soplami zwisała z włosów. Na plecach trupa widać było runę Ard. Wyciętą nożem.

– *An'givare* – powiedziała Milva, odrzucając mokre włosy z karku. – Wiewiórki tu były.

– Co to znaczy *an'givare*?

– Donosiciel.

Był obraz z koniem, osiodłanym siwkiem w czarnym kropierzu. Koń chwiejnie stąpał skrajem pobojowiska, klucząc między kupami trupów i wbitymi w ziemię ułomkami włóczni, rżał cicho i przejmująco, wlókł za sobą wnętrzności wywalone z rozprutego brzucha. Nie mogli go dobić – oprócz konia po pobojowisku krążyli obdzierający zwłoki maruderzy.

Był obraz z rozkrzyżowaną dziewczyną, leżącą niedaleko spalonego obejścia, nagą, zakrwawioną, wpatrzoną w niebo zeszklonymi oczyma.

– Gadają, wojaczka męska rzecz – zawarczała Milva. – Ale nad babą się nie zlitują, muszą sobie pofolgować. Bohaterowie, psia ich mać.

– Masz rację. Ale nie zmienisz tego.

– Już zmieniłam. Uciekłam z domu. Nie chciałam zamiatać chałupy i szorować podłogi. I czekać, aż nadjadą, chałupę podpalą, a mnie rozłożą na tej podłodze i...

Nie dokończyła, popędziła konia.

A później był obraz ze smolarnią. Wtedy to Jaskier wyrzygał wszystko, co tego dnia zjadł, to znaczy suchar i połówkę sztokfisza.

W smolarni Nilfgaardczycy – a może Scoia'tael – rozprawili się z pewną liczbą jeńców. Jaka to była liczba, nie dało się stwierdzić nawet w przybliżeniu. Bo do rozprawy posłużyły nie tylko strzały, miecze i lance, ale i znaleziony w smolarni drwalski sprzęt – siekiery, ośniki i piły rozpłatnice.

Były jeszcze inne obrazy, ale Geralt, Jaskier i Milva już ich nie zapamiętali. Wyrzucili je z pamięci.

Zobojętnieli.

•

Przez następne dwa dni nie przejechali nawet dwudziestu mil. Padało nadal. Chłonna po letniej suszy ziemia opiła się już wodą do przesytu, leśne dróżki zamieniły się w błotniste ślizgawki. Mgły i opary odebrały im możliwość obserwowania dymów pożarów, ale smród spalenizny wskazywał, że wojska są wciąż niedaleko i nadal palą wszystko, czego ima się ogień.

Uciekinierów nie widzieli. Byli wśród lasów sami. Przynajmniej tak myśleli.

Geralt pierwszy usłyszał chrapnięcie idącego w ślad za nimi konia. Z kamienną twarzą zawrócił Płotkę. Jaskier otworzył usta, ale Milva gestem nakazała mu milczenie, wyjęła łuk z sajdaka przy siodle.

Jadący za nimi wyłonił się z zarośli. Zobaczył, że czekają na niego, i zatrzymał konia, cisawego ogiera. Stali tak w ciszy przerywanej tylko szumem deszczu.

– Zabroniłem ci jechać za nami – powiedział wreszcie wiedźmin.

Nilfgaardczyk, którego Jaskier ostatni raz widział w trumnie, wbił oczy w mokrą grzywę. Poeta ledwie go poznał, odzianego w kolczugę, skórzany kaftan i płaszcz, bez wątpienia zwleczone z któregoś z zabitych przy wozie havekara. Zapamiętał jednak młodą twarz, której od czasu przygody pod bukiem nie zdołał zmienić skąpo sypiący się zarost.

– Zabroniłem ci – powtórzył wiedźmin.

– Zabroniłeś – przyznał wreszcie młodzik. Mówił bez nilfgaardzkiego akcentu. – Ale ja muszę.

Geralt zeskoczył z konia, podał wodze poecie. I wyciągnął miecz.

– Zsiądź – powiedział spokojnie. – Zaopatrzyłeś się już w kawałek żelaza, jak widzę. To dobrze. Nijak mi było cię zarzynać, gdy byłeś bezbronny. Teraz to co innego. Zsiadaj.

– Nie będę z tobą walczył. Nie chcę.

– Domyślam się. Jak wszyscy twoi rodacy, wolisz inny rodzaj walki. Taki, jak w tej smolarni, obok której musiałeś przejechać, jadąc naszym tropem. Zsiadaj, powiedziałem.

– Jestem Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach.

– Nie prosiłem, byś się przedstawiał. Rozkazałem, byś zsiadł.

– Nie zsiądę. Nie chcę się z tobą bić.

– Milva – wiedźmin skinął na łuczniczkę. – Zrób mi łaskę, zabij pod nim konia.

– Nie! – Nilfgaardczyk uniósł rękę, zanim Milva osadziła strzałę na cięciwie. – Nie, proszę. Zsiadam.

– Lepiej. A teraz dobądź miecza, synku.

Młodzik splótł ręce na piersi.

– Zabij mnie, jeśli chcesz. Jeśli wolisz, każ tej elfce zastrzelić mnie z łuku. Nie będę się z tobą bił. Jestem Cahir Mawr Dyffryn... syn Ceallacha. Chcę... Chcę się do was przyłączyć.

– Chyba się przesłyszałem. Powtórz.

– Chcę się do was przyłączyć. Jedziesz na poszukiwanie dziewczyny. Chcę ci pomóc. Muszę ci pomóc.

– To jest szaleniec – Geralt odwrócił się do Milvy i Jaskra. – Doznał pomieszania zmysłów. Mamy do czynienia z szaleńcem.

– Pasowałby do kompanii – mruknęła Milva. – Jak ulał by pasował.

– Przemyśl jego propozycję, Geralt – zadrwił Jaskier. – Koniec końców, to nilfgaardzki szlachcic. Może z jego pomocą łatwiej nam będzie przedostać się do...

– Trzymaj jęzor na wodzy – przerwał mu ostro wiedźmin. – Dalejże, dobądź miecza, Nilfgaardczyku.

– Nie będę się bił. I nie jestem Nilfgaardczykiem. Pochodzę z Vicovaro, a nazywam się...

– Nie obchodzi mnie, jak się nazywasz. Dobądź broni.

– Nie.

– Wiedźminie – Milva przechyliła się w siodle, splunęła na ziemię. – Czas bieży, a deszcz moczy. Nilfgaardczyk nie chce ci stanąć, a ty, choć srogie stroisz miny, przecie go nie zarąbiesz z zimną krwią. Mamy tak

sterczeć tu do usranej śmierci? Wsadzę jego ciskowi strzałę w słabiznę i jedźmy w swoją drogę. Pieszo za nami nie nadąży.

Cahir, syn Ceallacha, jednym susem dopadł cisawego ogiera, wskoczył na siodło i pogalopował z powrotem, krzykiem popędzając wierzchowca do szybszego biegu. Wiedźmin przez chwilę patrzył za nim, potem wsiadł na Płotkę. W milczeniu. I nie oglądając się.

– Starzeję się – mruknął po jakimś czasie, gdy Płotka zrównała się z karoszem Milvy. – Zaczynam miewać skrupuły.

– Ano, zdarza się u starych – łuczniczka spojrzała na niego ze współczuciem. – Odwar z miodunki pomaga na to. A na razie kładź sobie poduszeczkę na siodło.

– Skrupuły – wyjaśnił poważnie Jaskier – to nie to samo co hemoroidy, Milva. Mylisz pojęcia.

– A kto by tam pojął wasze mądre gadanie! Ustawicznie gadacie, to jeno umiecie! Dalej, w drogę!

– Milva – zapytał po chwili wiedźmin, chroniąc twarz przed deszczem siekącym w galopie. – Zabiłabyś pod nim konia?

– Nie – przyznała niechętnie. – Koń niczemu nie winien. A i ten Nilfgaardczyk... Po kiego biesa on za nami śledzi? Czemu gada, że musi?

– Niech mnie diabli, jeśli wiem.

•

Padało nadal, gdy nagle las się skończył i wyjechali na gościniec wijący się wśród wzgórz z południa na północ. Lub odwrotnie, stosownie do punktu widzenia.

To, co zobaczyli na gościńcu, nie zaskoczyło ich. Widzieli to już. Wywrócone i wybebeszone wozy, trupy koni, porozrzucane pakunki, juki i łuby. I złachmanione, zastygłe w dziwnych pozach kształty, które jeszcze niedawno były ludźmi.

Podjechali bliżej, bez lęku, bo widoczne było, że rzeź miała miejsce nie dziś, lecz wczoraj lub przedwczoraj. Nauczyli się już rozpoznawać takie rzeczy, a może wyczuwali je iście zwierzęcym instynktem, który obudziły i wyczuliły w nich poprzednie dni. Nauczyli się też penetrować pobojowiska, bo niekiedy – rzadko – udawało się im znaleźć wśród porozrzucanego dobytku odrobinę prowiantu albo worek paszy.

Zatrzymali się przy ostatnim furgonie rozgromionej kolumny, zepchniętym do rowu, przechylonym na piastę strzaskanego koła. Pod

wozem leżała tęga kobieta z nienaturalnie zgiętą szyją. Kołnierz kabata pokrywały rozmyte przez deszcz wężyki zakrzepłej krwi z rozszarpanej małżowiny ucha, z którego wydarto kolczyk. Na kryjącej wóz płachcie widniał napis: „Vera Loewenhaupt i Synowie". Synów w pobliżu nie było widać.

– To nie chłopi – zacisnęła wargi Milva. – To kupcy. Szli z południa, od Dillingen ku Brugge, tutaj ich naścignęli. Niedobrze jest, wiedźminie. Myślałam już tutaj ku południu wykręcić, ale teraz iście nie wiem, co czynić. Dillingen i całe Brugge już niechybnie w nilfgaardzkich rękach, tędy do Jarugi nie dojdziemy. Mus nam dalej na wschód, przez Turlough. Tam lasy i bezludzie, tamtędy wojsko nie pójdzie.

– Nie jadę dalej na wschód – zaprotestował. – Muszę dostać się do Jarugi.

– Dostaniesz się – odrzekła niespodziewanie spokojnie. – Ale bezpieczniejszym szlakiem. Jeśli stąd na południe ruszysz, popadniesz Nilfgaardczykom prosto w paszczę. Nic nie zyskasz.

– Zyskam czas – warknął. – Jadąc na wschód, wciąż go tracę. Mówiłem wam, nie mogę sobie na to...

– Cicho – powiedział nagle Jaskier, obracając konia. – Przestańcie na chwilę gadać.

– Co się stało?

– Słyszę... śpiew.

Wiedźmin pokręcił głową. Milva parsknęła.

– Omamy masz, poeto.

– Cicho! Zamknijcie się! Ktoś śpiewa, mówię wam! Nie słyszycie?

Geralt ściągnął kaptur, Milva również nadstawiła uszu, po chwili spojrzała na wiedźmina i w milczeniu kiwnęła głową.

Muzyczny słuch nie zawodził trubadura. To, co wydawało się niemożliwe, okazało się prawdą. Stali oto w środku lasu, wśród mżawki, na drodze zasłanej trupami, a dobiegał ich śpiew. Od południa ktoś nadchodził, śpiewając raźnie i wesoło.

Milva szarpnęła wodze karosza, gotowa do ucieczki, ale wiedźmin powstrzymał ją gestem. Był ciekawy. Bo śpiew, który słyszeli, nie był groźnym, rytmicznym, dudniącym wielogłosowo śpiewem maszerującej piechoty ani buńczuczną piosenką kawalerzystów. Zbliżający się śpiew nie budził lęku. Wręcz przeciwnie.

Deszcz szumiał w listowiu. Zaczęli rozróżniać słowa piosenki. Wesołej piosenki, zdającej się w tym pejzażu wojny i śmierci czymś obcym, nienaturalnym i absolutnie nie na miejscu.

Patrzajta, tam pod borem wilczysko tańcuje
Zęby szczerzy, chwostem macha, raźno podskakuje
Czemuż to tak wesoła ta leśna bestyja?
Widno jeszcze nie żonata, kiedy tak wywija!
Um-ta, um-ta, uhu-ha!

Jaskier nagle zaśmiał się, wyciągnął spod mokrego płaszcza lutnię, nie bacząc na sykania wiedźmina i Milvy szarpnął struny i zawtórował na całe gardło:

Patrzajta, tam na łęgu wilczek łapy wlecze
Łeb spuszczony, chwost skulony, z oka łezka ciecze
Czemuż to ta bestyja taka zasmucona?
Widno wczoraj ożeniona albo zaręczona!

– Hu-hu-ha!!! – odwrzasnęły z całkiem bliska liczne głosy.

Huknął gromki śmiech, ktoś przenikliwie zagwizdał na palcach, po czym zza zakrętu gościńca wyłoniła się dziwna, acz malownicza kompania, maszerująca gęsiego, rozbryzgująca błoto rytmicznymi uderzeniami ciężkich buciorów.

– Krasnoludy – stwierdziła półgłosem Milva. – Ale to nie Scoia'tael. Bród nie mają zaplecionych.

Nadchodzących było sześciu. Odziani byli w krótkie, mieniące się niezliczonymi odcieniami szarości i brązu płaszcze z kapturami, noszone zwykle przez krasnoludy w czasie słoty. Płaszcze takie, jak wiedział Geralt, miały zaletę absolutnej wodoodporności, uzyskiwaną w drodze kilkunastoletniej impregnacji dziegciem, kurzem z gościńców i resztkami tłustej strawy. Praktyczna ta przyodziewa przechodziła z ojca na najstarszego syna, toteż dysponowały nią z reguły wyłącznie dojrzałe krasnoludy. Krasnolud osiągał dojrzałość, gdy broda sięgała mu pasa, co następowało zwykle w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

Żaden ze zbliżających się nie wyglądał na młodszego. Ale i nie na starszego.

– Prowadzą ludzi – mruknęła Milva, ruchem głowy wskazując Geraltowi grupkę wyłaniającą się z lasu w ślad za szóstką krasnali. –

Niechybnie zbiegów, bo tobołami objuczeni.

– Sami też objuczeni są nieźle – stwierdził Jaskier.

W samej rzeczy, każdy krasnolud taszczył bagaż, pod którym w krótkim czasie padłby niejeden człowiek i niejeden koń. Oprócz zwykłych rukzaków i sakw Geralt dostrzegł zamczyste kuferki, spory miedziany kociołek i coś, co wyglądało jak mała komódka. Jeden niósł na plecach koło od wozu.

Idący na czele nie niósł bagażu. Za pasem miał niewielki toporek, na plecach długi miecz w pochwie owiniętej skórami pręgowatych kotów, a na ramieniu zieloną, mokrą i nastroszoną papugę. Właśnie ten ich pozdrowił.

– Witajcie! – ryknął, zatrzymując się pośrodku drogi i biorąc pod boki. – Czasy takie, że lepiej wilka spotkać w boru niźli człowieka, a jeśli już, to radziej spotkanego bełtem z kuszy niźli dobrym słowem powitać! Ale kto śpiewem wita, kto muzyką się przedstawia, ten widać swój chłop! Albo i swoja baba, z przeproszeniem miłej pani! Witajcie. Jestem Zoltan Chivay.

– Jestem Geralt – przedstawił się po chwili wahania wiedźmin. – Ten, który śpiewał, to Jaskier. A to jest Milva.

– Rrr-rrwa mać! – zaskrzeczała papuga.

– Zamknij dziób – warknął na ptaka Zoltan Chivay. – Wybaczcie. Mądre to zamorskie ptaszysko, ale nieobyczajne. Dziesięć talarów za cudaka dałem. Zowie się Feldmarszałek Duda. A to reszta mojej kompanii. Munro Bruys, Yazon Varda, Caleb Stratton, Figgis Merluzzo i Percival Schuttenbach.

Percival Schuttenbach nie był krasnoludem. Spod mokrego kaptura, miast skołtunionej brody, wyzierał długi i szpiczasty nos, niezawodnie określający przynależność posiadacza do starej i szlachetnej rasy gnomów.

– A tamci – Zoltan Chivay wskazał na zatrzymaną i skupioną opodal grupkę – to uciekinierzy z Kernow. Jak widzicie, same baby z dzieciakami. Było ich więcej, ale Nilfgaard ogarnął ich grupę trzy dni temu, wyrżnął i rozproszył. Natknęliśmy się na nie w lasach i teraz wspólnie idziemy.

– Śmiało idziecie – pozwolił sobie na uwagę wiedźmin. – Gościńcem i ze śpiewem.

– Nie wydaje mi się – poruszył brodą krasnolud – by marsz z płaczem był lepszym rozwiązaniem. Od Dillingen szliśmy lasami, cicho i skrycie, gdy wojska przeszły, wyszliśmy na gościniec, by czas nadrobić.

Urwał, popatrzył po pobojowisku.

– Do takich widoków – wskazał na trupy – przywykliśmy. Od samego Dillingen, od Jarugi, na gościńcach jedna śmierć... Należeliście do tych tutaj?

– Nie. Nilfgaard wyrżnął kupców.

– Nie Nilfgaard – pokręcił głową krasnolud, z beznamiętną miną patrząc na zabitych. – Scoia'tael. Regularne wojsko nie trudzi się wyciąganiem strzał z trupów. A dobry grot kosztuje pół korony.

– Zna się – mruknęła Milva.

– Dokąd idziecie?

– Na południe – odrzekł natychmiast Geralt.

– Odradzam – Zoltan Chivay znowu pokręcił głową. – Tam istne piekło, ogień i zagłada. Dillingen już niechybnie zdobyte, coraz większe siły Czarnych przechodzą Jarugę, lada moment zaleją całą dolinę na prawym brzegu. Jak widzicie, są też już przed nami, na północy, idą na miasto Brugge. Jedyny rozumny zatem kierunek ucieczki to wschód.

Milva wymownie spojrzała na wiedźmina, a wiedźmin powstrzymał się od komentarza.

– My właśnie na wschód zmierzamy – ciągnął Zoltan Chivay. – Jedyna szansa to skryć się za front, a od wschodu, od rzeki Iny, ruszą się w końcu wojska temerskie. Chcemy tedy iść leśnymi duktami do wzgórz Turlough, potem Starą Drogą do Sodden, do rzeki Chotli, która do Iny wpada. Chcecie, pomaszerujemy razem. Jeśli wam wadzić nie będzie, że wolno. Wy macie konie, a nam uciekinierzy zwalniają tempo.

– Wam wszelakoż – odezwała się Milva, patrząc na niego przenikliwie – jakoś to nie wadzi. Krasnolud, nawet z bagażem, piechty trzydzieści mil dziennie może zrobić, bez mała tyle, co konny człowiek. Ja znam Starą Drogę. Bez zbiegów bylibyście nad Chotlą w jakie trzy dni.

– To są baby z dziećmi – Zoltan Chivay wypiął brodę i brzuch. – Nie zostawimy ich na łasce losu. Doradzalibyście coś przeciwnego, hę?

– Nie – powiedział wiedźmin. – Nie doradzalibyśmy.

– Rad jestem to słyszeć. Znaczy, nie zmyliło mnie pierwsze wrażenie. Jakże więc? Idziemy w kompanii?

Geralt spojrzał na Milvę, łuczniczka kiwnęła głową.

– Dobra – Zoltan Chivay zauważył kiwnięcie. – W drogę tedy, nim nas tu na gościńcu jaki podjazd ogarnie. Ale najsamprzód... Yazon, Munro, spenetrujcie wozy. Jeśli coś pożytecznego tam ostało, zabrać sakum-pakum. Figgis, sprawdź, czy nasze koło pasuje do tego małego furgonku. Byłby dla nas w sam raz.

– Pasuje! – wrzasnął po chwili ten, który taszczył koło. – Jakby od tego było!

– A widzisz, barani łbie? Dziwowałeś się, kiedym ci wczoraj kazał to koło wziąć i nieść! Montuj! Pomóż mu, Caleb!

W imponująco krótkim czasie wyposażony w nowe koło wóz nieboszczki Very Loewenhaupt, odarty z plandeki i wszelkich niepotrzebnych elementów, wyciągnięty został z rowu na drogę. Migiem zwalono na niego cały bagaż. Po namyśle Zoltan Chivay rozkazał posadzić na wóz również dzieci. Polecenie wykonane zostało z ociąganiem – Geralt zauważył, że uciekinierki boczą się na krasnoludów i starają trzymać z daleka.

Jaskier z widocznym niesmakiem przyglądał się dwóm krasnoludom, przymierzającym ściągnięte z trupów sztuki odzieży. Pozostali myszkowali wśród wozów, ale niczego nie uznali za godne zabrania. Zoltan Chivay gwizdnął na palcach, dając im znać, że czas kończyć szabrowanie, po czym fachowym wzrokiem obrzucił Płotkę, Pegaza i karosza Milvy.

– Wierzchowe – stwierdził, z dezabrobatą kręcąc nosem. – Znaczy, do niczego. Figgis, Caleb, do dyszla. Będziemy zmieniać się w zaprzęgu. Wymaaaaaarsz!

•

Geralt był pewien, że krasnoludom przyjdzie rychło porzucić zdobyty wóz, gdy ten na dobre uwięźnie na rozkisłych duktach, ale mylił się. Karły były silne jak byki, a wiodące na wschód leśne drogi okazały się trawiaste i niezbyt grząskie. Padało nadal bez przerwy. Milva zrobiła się ponura i zła, jeżeli się odzywała, to tylko aby wyrazić przekonanie, że lada moment koniom popęka rozmiękły róg na kopytach. Zoltan Chivay oblizywał się w odpowiedzi, przyglądał kopytom i powiadał się mistrzem w przyrządzaniu koniny, czym doprowadzał Milvę do szału.

Utrzymywali stały szyk, którego centrum stanowił ciągnięty na zmianę wóz. Przed wozem maszerował Zoltan, obok niego jechał na

Pegazie Jaskier, drocząc się z papugą. Za wozem jechali Geralt z Milvą, na końcu wlokło się sześć kobiet z Kernow.

Przewodnikiem był zwykle Percival Schuttenbach, długonosy gnom. Ustępując krasnoludom wzrostem i siłą, dorównywał im wytrzymałością, a zwinnością znacznie przewyższał. W marszu nieustanie kluczył, szperał po krzakach, wysforowywał się do przodu i znikał, po czym objawiał się nagle i nerwowymi, małpimi gestami dawał z daleka znak, że wszystko w porządku, można iść dalej. Czasami wracał i szybko zdawał relację o przeszkodach na szlaku. Ilekroć wrócił, miał dla czwórki siedzących na wozie dzieci garść jeżyn, orzechy lub jakieś dziwaczne, ale wyraźnie smakowite kłącza.

Tempo mieli potwornie wolne, maszerowali duktami trzy dni. Nie natknęli się na żadne wojska, nie widzieli dymów ani łun. Nie byli jednak sami. Zwiadowca Percival kilkakrotnie meldował im o kryjących się w lasach grupach uciekinierów. Kilka takich grup minęli, i to szybko, bo miny uzbrojonych w widły i kłonice chłopów nie zachęcały do nawiązywania kontaktów. Padła propozycja, by jednak spróbować negocjacji i pozostawić którejś z grup zbiegów kobiety z Kernow, ale Zoltan był przeciwny, a Milva go poparła. Kobiety też wcale nie kwapiły się, by opuścić kompanię. Było to o tyle dziwne, że odnosiły się do krasnoludów z wyraźną, przepełnioną strachem niechęcią i rezerwą, nie odzywały się prawie wcale, a na każdym postoju trzymały się na uboczu.

Geralt przypisywał zachowanie kobiet tragedii, jaką niedawno przeżyły, podejrzewał jednak, że przyczyną niechęci mogły być też dość swobodne maniery krasnoludów. Zoltan i jego kompania klęli równie plugawie i często, co papuga nazywana Feldmarszałkiem Dudą, ale mieli bogatszy repertuar. Śpiewali świńskie piosenki, w czym zresztą dzielnie sekundował im Jaskier. Pluli, smarkali w palce i puszczali gromkie bąki, stanowiące zazwyczaj okazję do śmiechów, żartów i współzawodnictwa. W krzaki chodzili wyłącznie za naprawdę grubą potrzebą, z lżejszymi nie trudzili się dalekim chodzeniem. To ostatnie rozjuszyło wreszcie Milvę, która zdrowo obrugała Zoltana, gdy ten rankiem wysikał się na ciepły jeszcze popiół ogniska, zupełnie nie przejmując się widownią. Zwymyślany Zoltan nie stropił się i oświadczył, że wstydliwie ukrywać się z tego rodzaju czynnościami zwykli tylko osobnicy dwulicowi, perfidni i skłonni do donosicielstwa,

po czym się takich zwykle rozpoznaje. Na łuczniczce jednak elokwentne wyjaśnienie żadnego wrażenia nie wywarło. Krasnoludy poczęstowane zostały bogatą wiązanką i kilkoma bardzo konkretnymi groźbami, które poskutkowały, bo wszyscy posłusznie zaczęli chodzić w zarośla. By nie narazić się jednak na miano perfidnych donosicieli, chodzili grupowo.

Nowe towarzystwo zupełnie natomiast odmieniło Jaskra. Poeta był z krasnoludami za pan brat, zwłaszcza gdy okazało się, że niektórzy słyszeli o nim i znają nawet jego ballady i kuplety. Jaskier nie odstępował Zoltanowej kompanii na krok. Nosił wycyganioną od krasnoludów pikowaną kurtę, zniszczony kapelusik z piórkiem zastąpił zawadiackim kunim kołpakiem. Przepasał się szerokim, nabijanym mosiądzem pasem, za który zatknął otrzymany w prezencie nóż o zbójeckim wyglądzie. Nożem tym zwykle kłuł się w pachwinę przy każdej próbie pochylenia się. Na szczęście szybko zgubił gdzieś morderczy puginał, a drugiego już nie dostał.

Wędrowali wśród gęstych lasów, porastających zbocza Turlough. Lasy zdawały się wymarłe, nie było śladu zwierzyny, wypłoszonej widać przez wojska i zbiegów. Nie było na co zapolować, ale głód im na razie nie zagrażał. Krasnoludy tarabaniły ze sobą sporo prowiantu. Gdy ten zaś się skończył – a skończył się rychło, bo gąb do wyżywienia było sporo – Yazon Varda i Munro Bruys zniknęli, ledwie się ściemniło, biorąc ze sobą pusty worek. Gdy nad ranem wrócili, mieli dwa worki, oba pełne. W jednym była pasza dla koni, w drugim krupy, mąka, suszona wołowina, ledwie napoczęty krąg sera, a nawet ogromny kindziuk – specjał w postaci nadziewanego podrobami wieprzowego żołądka, sprasowanego między dwiema deszczułkami na kształt dmuchawy do niecenia ognia w kominku.

Geralt domyślał się, skąd pochodziły zdobycze. Nie skomentował od razu, lecz odczekał na sposobną chwilę. Gdy był z Zoltanem sam na sam, zagadnął go grzecznie, czy nie widzi niczego zdrożnego w okradaniu innych uciekinierów, nie mniej wszakże od nich głodnych i na równi z nimi walczących o przeżycie. Krasnolud odrzekł poważnie, że owszem, bardzo się tego wstydzi, ale taki już ma charakter.

– Moją ogromną przywarą – wyjaśnił – jest niepohamowana dobroć. Ja po prostu muszę czynić dobro. Jestem jednak rozsądnym krasnoludem i wiem, że wszystkim wyświadczyć dobra nie zdołam. Gdybym próbował być dobry dla wszystkich, dla całego świata i

wszystkich zamieszkujących go istot, byłaby to kropelka pitnej wody w słonym morzu, innymi słowy: stracony wysiłek. Postanowiłem zatem czynić dobro konkretne, takie, które nie idzie na marne. Jestem dobry dla siebie i dla mego bezpośredniego otoczenia.

Geralt nie zadawał więcej pytań.

•

Na jednym z biwaków Geralt i Milva pogawędzili dłużej z Zoltanem Chivayem, niepoprawnym i nałogowym altruistą. Jeśli chodzi o przebieg działań wojennych, krasnolud był zorientowany. Przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

– Atak – opowiedział, uciszając co i rusz klnącego skrzekliwie Feldmarszałka Dudę – wyszedł od Drieschot, zaczął się o świtaniu siódmego dnia po Lammas. Razem z Nilfgaardem szło sprzymierzone verdeńskie wojsko, bo Verden, jak wiecie, to teraz cesarska protekcja. Szli szybkim marszem, puszczając z dymem wszystkie wsie za Drieschot i znosząc bruggeńskie wojska, które tam stały na prezydiach. A na twierdzę Dillingen ruszyła zza Jarugi nilfgaardzka Czarna Piechota. Przeszli rzekę w najmniej spodziewanym miejscu. Most ustawili na łodziach, w pół dnia postawili, uwierzycie?

– We wszystko przyjdzie uwierzyć – mruknęła Milva. – Byliście w Dillingen, gdy się zaczęło?

– W okolicach – odrzekł wymijająco krasnolud. – Gdy doszły nas wieści o najeździe, byliśmy już w drodze ku miastu Brugge. Na gościńcu powstał straszny bajzel, czarno było od zbiegów, jedni wiali z południa na północ, drudzy odwrotnie. Zatarasowali gościniec, tedy utknęliśmy. A Nilfgaard, jak się pokazało, faktycznie był i za nami, i przed nami. Ci, którzy szli od Drieschot, musieli się rozdzielić. Widzi mi się, że duży konny zagon poszedł na północny wschód, ku miastu Brugge właśnie.

– Tedy Czarni są już na północ od Turlough. Wychodzi, że myśmy są w środku, miedzy dwoma zagonami. W pustym.

– W środku – przyznał krasnolud. – Ale nie w pustym. Hufom cesarskim flankują boki Wiewiórki, verdeńscy wolentarze i różne luźne kupy, a ci są jeszcze gorsi od Nilfgaardczyków. Tacy to Kernow spalili i nas poźniej mało nie capnęli, ledwośmy zdołali w lasy dunąć. Nie wysuwać nam tedy nosa z puszczy. I baczenie mieć. Dojdziemy do Starej Drogi, tamtędy z biegiem rzeczki Chotli do Iny, a nad Iną musimy już

trafić na temerskie wojska. Wojacy króla Foltesta pewnie już się otrząsnęli z zaskoczenia i odpór dali Nilfgaardczykom.

– Oby – powiedziała Milva, patrząc na wiedźmina. – Wżdy sęk w tym, że nas pilne a ważne sprawy na południe gonią. Dumaliśmy od Turlough na południe ruszyć, ku Jarudze.

– Nie wiem, jakie to sprawy gnają was w tamte strony – Zoltan łypnął na nich podejrzliwie. – Wielce jednak pilne i ważne być muszą, by dla nich szyją ryzykować.

Zawiesił głos, odczekał, ale nikt nie pospieszył z wyjaśnieniem. Krasnolud podrapał się w zadek, chrząknął, splunął.

– Nie zdziwiłbym się – powiedział wreszcie – gdyby Nilfgaard trzymał już w garści oba brzegi Jarugi aż po samo ujście Iny. A wam w które miejsce nad Jarugą trzeba?

– W żadne konkretne – Geralt zdecydował się odpowiedzieć. – Byle nad rzeką. Chcę łodzią popłynąć do ujścia.

Zoltan spojrzał na niego i zaśmiał się. Zamilkł natychmiast, gdy zorientował się, że to nie był żart.

– Trzeba przyznać – powiedział po chwili – że nieliche marzą wam się trasy. Ale porzućcie te mrzonki. Całe południowe Brugge w ogniu, nim dojdziecie do Jarugi, wbiją was na pale albo pognają do Nilfgaardu w łykach. Gdyby zaś nawet jakimś cudem udało się wam dotrzeć do rzeki, na spływ do ujścia nie macie żadnych szans. Wspomniałem wam o moście na łodziach, przerzuconym z Cintry na bruggeński brzeg. Tego mostu, wiem to, strzegą pilnie dzień i noc, tamtędy nic rzeką nie przepłynie, łosoś chyba. Wasze pilne i ważne sprawy muszą stracić na pilności i ważności. Wyżej rzyci nie podskoczysz. Tak ja widzę tę sprawę.

Wyraz twarzy i spojrzenie Milvy świadczyły wymownie, że widzi sprawę podobnie. Geralt nie komentował. Czuł się bardzo źle. Kość lewego przedramienia i prawe kolano wciąż gryzły niewidzialne kły tępego, drążącego bólu, wzmaganego wysiłkiem i wszechobecną wilgocią. Dokuczały mu też dojmujące, deprymujące, nad wyraz niemiłe uczucia, obce uczucia, których nigdy dotychczas nie doznawał, z którymi nie umiał sobie poradzić.

Bezsiła i rezygnacja.

•

Po dwóch dniach deszcz przestał padać, wyjrzało słońce. Lasy odetchnęły oparem i szybko rozwiewającą się mgłą, ptaki gwałtownie zaczęły nadrabiać wymuszone słotą milczenie. Zoltan poweselał i zarządził dłuższy postój, po którym obiecywał szybszy marsz i dotarcie do Starej Drogi w ciągu góra jednego dnia.

Kobiety z Kernow ozdobiły wszystkie okoliczne gałęzie czernią i szarością suszonej przyodziewy, same, tylko w giezełkach, skryły się wstydliwie w krzakach i pitrasiły strawę. Rozebrane dzieciaki rozigrały się, na wyszukane sposoby zakłócając dostojny spokój parującej puszczy. Jaskier odsypiał zmęczenie. Milva znikła.

Krasnoludy odpoczywały aktywnie. Figgis Merluzzo i Munro Bruys udali się na poszukiwanie grzybów. Zoltan, Yazon Varda, Caleb Stratton i Percival Schuttenbach usiedli nieopodal wozu i bez wytchnienia grali w gwinta, ich ulubioną grę karcianą, której poświęcali każdą wolną chwilę, nawet w poprzednie, mokre wieczory.

Wiedźmin przysiadał się niekiedy i kibicował, teraz uczynił podobnie. Skomplikowanych reguł tej typowo krasnoludzkiej gry nadal nie mógł pojąć, ale zachwycał się wyjątkowo starannym wykonaniem kart i malunkami figur. W porównaniu do kart, w które grali ludzie, karty krasnoludów były prawdziwymi arcydziełami poligrafii. Geralt po raz kolejny przekonywał się, że technika brodatego ludku była mocno zaawansowana bynajmniej nie wyłącznie w dziedzinie górnictwa, hutnictwa i metalurgii. To, że w konkretnej, karcianej dziedzinie zdolności krasnoludów nie pomogły im w zmonopolizowaniu rynku, wynikało z faktu, że karty były wśród ludzi wciąż mniej popularne od kości, a ludzcy hazardziści nie wywodzili się z grup przywiązujących wagę do estetyki. Ludzcy karciarze, których wiedźmin miał niejedną okazję obserwować, grywali zawsze w wymamłane kartoniki, tak brudne, że przed położeniem na stół trzeba było je mozolnie odlepiać od palców. Figury były wymalowane tak niechlujnie, że odróżnienie panny od niżnika możliwe było tylko dzięki temu, że niżnik siedział na koniu. Który to koń bardziej zresztą przypominał kaleką łasicę.

Wizerunki na kartach krasnoludów wykluczały podobne pomyłki. Noszący koronę wyżnik był prawdziwie królewski, panna cycata i urodziwa, a uzbrojony w halabardę niżnik zawadiacko wąsaty. Figury te zwały się po krasnoludzku *hraval*, *vaina* i *ballet*, ale Zoltan i jego kompania używali w grze języka wspólnego i nazw ludzkich.

Słońce grzało, las parował, Geralt kibicował.

Podstawową zasadą krasnoludzkiego gwinta było coś przypominającego licytację na targu końskim – tak intensywnością, jak i natężeniem głosu licytujących. Następnie para zgłaszająca najwyższą „cenę" starała się zdobyć jak najwięcej wziątek, czemu druga para na wszelkie sposoby przeszkadzała. Rozgrywka przebiegała głośno i gwałtownie, a obok każdego gracza leżał gruby kij. Okładano się kijami dość rzadko, ale wymachiwano często.

– Jakeś grał, wołku ty zbożowy? Pało zakuta? Czemuś w listki, miast w serca wyszedł? Co to ja, dla krotochwili w serca wistowałem? Ach, wziąłbym pałę i walnął cię w ten głupi łeb!

– Miałem cztery listki z niżnikiem, myślałem wyoptymować!

– Cztery listki, a jużci! Chybaś własnego ptoka doliczył, karty na podołku dzierżący. Ty myśl trochę, Stratton, bo tu nie uniwersytet! Tu się w karty gra! No, ale i świnia burmistrza ograła, gdy dobre karty miała. Rozdawaj, Varda.

– Placek w dzwonki.

– Mała kupa w kule!

– Grał król w kule, przesrał koszulę. Dubel w listki!

– Gwint!

– Nie śpij, Caleb. Dubel z gwintem był! Co licytujesz?

– Duża kupa w dzwonki!

– Akces. Haaa! I co? Nikt nie gwintuje? Dudy w miech, synkowie? Wistujesz, Varda. Percival, jeszcze raz do niego mrugniesz, to cię tak pieprznę w oczodół, że do zimy nie pomrugasz.

– Niżnik.

– Panna!

– Wyżnikiem po niej! Panna wydymanna! Biję i ha, ha, jeszcze serca mam, na czarną godzinę ukryte! Niżnik, krzyżka, kralka...

– I trumfem po niej! Kto nie ściąga kozery, ten jest cztery litery. I w kule! Aha, Zoltan? Tum cię w miętkie trafił!

– Widzieliście go, gnoma pieprzonego. Ech, wziąłbym pałę...

Nim Zoltan zrobił użytek z pały, z lasu dobiegł ich przeraźliwy wrzask.

Geralt zerwał się pierwszy. Zaklął w biegu, bo kolano znowu przeszył mu ból. Tuż za nim pospieszył Zoltan Chivay, chwyciwszy z wozu swój omotany kocimi skórkami miecz. Percival Schuttenbach i reszta krasnoludów biegli za nimi, uzbrojeni w pałki, z tyłu podążał Jaskier,

rozbudzony krzykiem. Z boku, z lasu wyskoczyli Figgis i Munro. Rzuciwszy koszyki z grzybami, oba krasnoludy złapały i odciągnęły uciekające dzieci. Nie wiadomo skąd pojawiła się Milva, w biegu wyciągając strzałę z kołczana i wskazując wiedźminowi miejsce, skąd dobiegał krzyk. Niepotrzebnie. Geralt słyszał, widział i już wiedział, w czym rzecz.

Krzyczało jedno z dzieci, piegowata, dziewięcioletnia może dziewuszka z warkoczykami. Stała jak wryta kilka kroków przed stertą spróchniałych pni. Geralt doskoczył błyskawicznie, chwycił ją pod pachę, przerywając dziki pisk, kątem oka łowiąc ruch pomiędzy pniami. Cofnął się szybko, wpadając na Zoltana i jego krasnoludów. Milva, która również dostrzegła ruch wśród pniaków, napięła łuk.

– Nie strzelaj – syknął. – Zabierz stąd dzieciaka, prędko. A wy, cofnąć się. Tylko spokojnie. Nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów.

Z początku zdawało im się, że poruszyła się któraś ze spróchniałych kłód, iście jakby miała zamiar zleźć z nasłonecznionej sterty i poszukać cienia wśród drzew. Dopiero uważniejsze spojrzenia pozwoliły dostrzec nietypowe dla kłody elementy – przede wszystkim cztery pary cienkich nóg o gruzłowatych stawach wznoszących się nad pobrużdżonym, nakrapianym i podzielonym na racze segmenty pancerzem.

– Tylko spokojnie – powtórzył cicho Geralt. – Nie prowokujcie go. Niech was nie zwiedzie jego pozorna nieruchawość. Nie jest agresywny, ale potrafi poruszać się błyskawicznie. Jeśli poczuje się zagrożony, może zaatakować, a na jego jad nie ma odtrutki.

Stwór powolutku wpełzł na kłodę. Przyglądał się ludziom i krasnoludom, wolno obracając osadzonymi na słupkach oczami. Prawie się nie poruszał. Czyścił końce odnóży, po kolei unosząc je i starannie poszczypując imponującymi, ostrymi żuwaczkami.

– Tyle było wrzasku – oświadczył nagle bez emocji Zoltan, stając obok wiedźmina – żem myślał, że to coś naprawdę strasznego. Na przykład kawalerzysta z ochotniczej verdeńskiej formacji. Albo prokurator. A to, ot, taki sobie wyrośnięty pająkowaty skorupiak. Trzeba przyznać, ciekawe formy potrafi przybierać natura.

– Już nie potrafi – odrzekł Geralt. – To, co tam siedzi, to jest okogłów. Twór Chaosu. Wymierający relikt pokoniunkcyjny, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Pewnie, że wiem – krasnolud spojrzał mu w oczy. – Chociaż nie jestem wiedźminem, specem od Chaosu i takich stworzonek. No, wielcem ciekaw, co wiedźmin teraz zrobi z reliktem pokoniunkcyjnym. Dokładniej mówiąc, ciekaw jestem, jak wiedźmin to zrobi. Użyjesz własnego miecza czy wolisz mój sihill?

– Ładna broń – Geralt rzucił okiem na miecz, który Zoltan wyciągnął z omotanej kocimi skórkami pochwy, wykonanej z laki. – Ale nie będzie potrzebna.

– Ciekawe – powtórzył Zoltan. – Mamy zatem stać i przyglądać się sobie wzajem? Czekać, aż relikt poczuje się zagrożony? A może zawrócić i wezwać na pomoc Nilfgaardczyków? Co proponujesz, zabójco potworów?

– Przynieście z wozu chochlę i pokrywkę od kociołka.

– Co?

– Nie dyskutuj ze specem, Zoltan – odezwał się Jaskier.

Percival Schuttenbach kopnął się do wozu i w mgnieniu oka dostarczył wymagane przedmioty. Wiedźmin mrugnął do kompanii, po czym z całej siły jął walić łyżką w pokrywkę.

– Dość! Dość! – wrzasnął po chwili Zoltan Chivay, przyciskając dłonie do uszu. – Chochelkę, kurwa, zniszczysz! Skorupiak uciekł! Uciekł już, cholera jasna!

– Jeszcze jak uciekał! – zachwycił się Percival. – Aż się kurzyło! Mokro jest, a kurzyło się za nim, niech ja skonam!

– Okogłów – wyjaśnił chłodno Geralt, oddając krasnoludom lekko pogięte kuchenne utensylia – ma niezwykle czuły i wrażliwy słuch. Nie ma uszu, ale słyszy, że się tak wyrażę, całym sobą. W szczególności metalicznych dźwięków nie jest w stanie znieść. Doznaje bólu...

– Nawet w rzyci – przerwał Zoltan. – Wiem, bo ja też doznałem, gdy zacząłeś tłuc w pokrywkę. Jeśli monstrum ma słuch czulszy niźli ja, współczuję mu. Nie wróci on tu aby? Nie przyprowadzi kolegów?

– Nie sądzę, by na świecie pozostało wielu jego kolegów. Sam okogłów też z pewnością nieprędko wróci w te strony. Nie ma się czego lękać.

– O potworach dyskutował nie będę – zasępił się krasnolud. – Ale twój koncert na instrumenty blaszane słychać było pewnie aż na Wyspach Skellige, nie wykluczałbym, że jacyś miłośnicy muzyki już ciągną w te

strony, lepiej, by nas tu nie zastali, gdy nadciągną. Zwijamy obóz, chłopcy! Hej, niewiasty, odziewać się i przeliczyć dzieci! Wymarsz, żywo!

•

Gdy zatrzymali się na nocleg, Geralt postanowił wyjaśnić niejasności. Zoltan Chivay tym razem nie zasiadł do gry w gwinta, nie było więc problemów z odciągnięciem go w ustronne miejsce na szczerą męską rozmowę. Zaczął bez owijania w bawełnę.

– Gadaj, skąd wiedziałeś, że jestem wiedźminem?

Krasnolud łypnął na niego i uśmiechnął się przebiegle.

– Mógłbym chełpić się przed tobą mą spostrzegawczością. Mógłbym powiedzieć, że zauważyłem, jak zmieniają się twoje oczy po zmierzchu i w pełnym słońcu. Mógłbym też wykazać, żem krasnolud bywały i słyszałem niejedno o Geralcie z Rivii. Ale prawda jest bardziej banalna. Nie patrz wilkiem. Tyś dyskretny, ale twój przyjaciel bard śpiewa i gada, gęba mu się nie zamyka. Stąd wiem, jaka twa profesja.

Geralt wstrzymał się z zadaniem kolejnego pytania. I słusznie.

– No, dobra – podjął Zoltan. – Jaskier wygadał wszystko. Wyczuć musiał, że szczerość sobie cenimy, a tego, żeśmy do was przyjaźnie usposobieni, nie musiał przecie wyczuwać, bo my usposobień nie kryjemy. Krótko: wiem, dlaczego ci tak na południe pilno. Wiem, jakie to ważne i pilne sprawy do Nilfgaardu cię wiodą. Wiem, kogo tam szukać zamierzasz. I nie tylko z plotek poety. Mieszkałem przed wojną w Cintrze i słyszałem opowieści o Dziecku Niespodziance i białowłosym wiedźminie, któremu Niespodzianka była przeznaczona.

Geralt i tym razem nie skomentował.

– Reszta – podjął krasnolud – to już kwestia obserwacji. Poniechałeś tego skorupiatego obrzydliwca, chociażeś wiedźmin, a wiedźmińską wszakże sprawą jest takie monstra tępić. Ale potwór nic złego twojej Niespodziance nie wyrządził, więc pożałowałeś miecza, przepędziłeś go tylko, w pokrywkę tłukąc. Boś tyś teraz nie wiedźmin, ale szlachetny rycerz, któren porwanej i uciśnionej dziewicy na ratunek spieszy.

– Wciąż mnie oczami wiercisz – dodał, nadal nie mogąc doczekać się odpowiedzi lub komentarza. – Wciąż zdradę węszysz, niespokojny, jak też wyjawiony sekret przeciw tobie obrócić się może. Nie gryź się. Dojdziemy wspólnie do Iny, wzajem sobie pomagając, wspierając się wzajem. Taki sam cel przed tobą, jak i przed nami: przeżyć i żyć dalej. Po

to, by szlachetną misję kontynuować. Albo żyć zwyczajnie, ale tak, by nie musieć wstydzić się w godzinie śmierci. Ty myślisz, żeś się odmienił. Że świat się odmienił. A przecie taki ten świat jest, jaki wprzódy był, taki sam. I ty jesteś taki sam, jak byłeś. Nie gryź się.

– Porzuć myśl o odłączeniu się – Zoltan wznowił monolog, nie speszony milczeniem wiedźmina – i o samotnej podróży na południe, przez Brugge i Sodden ku Jarudze. Musisz poszukać innej drogi do Nilfgaardu. Chcesz, doradzę ci...

– Nie doradzaj – Geralt pomasował kolano, którego od kilku dni nie porzucał ból. – Nie doradzaj, Zoltan.

Odnalazł Jaskra, kibicującego łupiącym w gwinta krasnoludom. Bez słowa wziął poetę za rękaw i odciągnął w las. Jaskier od razu zorientował się, o co chodzi, wystarczyło mu jednego spojrzenia na twarz wiedźmina.

– Papla – powiedział cicho Geralt. – Gaduła. Kłapigęba. Jęzor by ci w leszczot należało wziąć, bałwanie ty. Wędzidło w zęby wsadzić.

Trubadur milczał, ale minę miał hardą.

– Gdy rozeszło się, że zacząłem z tobą przestawać – ciągnął wiedźmin – niektórzy rozsądni ludzie dziwili się tej znajomości. Zdumiewało ich, że pozwalam ci podróżować ze mną. Doradzali mi, bym cię gdzieś na pustkowiu ograbił, udusił, wrzucił do wykrotu i przysypał ściółką. Zaiste, żałuję, że nie posłuchałem.

– Czy to był aż taki sekret, kim jesteś i co zamierzasz? – uniósł się nagle Jaskier. – Czy przed wszystkimi mamy się kryć i udawać? Te krasnoludy... To tak jakby nasza kompania...

– Ja nie mam kompanii – warknął. – Nie mam. I nie chcę mieć. Nie jest mi potrzebna. Rozumiesz?

– Pewnie, że rozumie – powiedziała Milva zza jego pleców. – I ja też rozumiem. Tobie nikt nie jest potrzebny, wiedźminie. Często to pokazujesz.

– Ja nie prowadzę prywatnej wojny – odwrócił się gwałtownie. – Zbędna mi jest kompania chwatów, bo nie idę do Nilfgaardu, by ocalić świat, obalić imperium zła. Idę do Ciri. Dlatego mogę iść samotnie. Wybaczcie, jeśli to niełądnie zabrzmi, ale reszta mnie nie obchodzi. A teraz odejdźcie. Chcę być sam.

Gdy po chwili odwrócił się, stwierdził, że odszedł tylko Jaskier.

– Miałem znowu sen – stwierdził krótko. – Milva, ja tracę czas. Ja tracę czas! Ona mnie potrzebuje. Ona potrzebuje ratunku.

– Mów – powiedziała cicho. – Wyrzuć to z siebie. Choćby straszne było, wyrzuć.

– To nie było straszne. W moim śnie... Ona tańczyła. Tańczyła w jakiejś zadymionej budzie. I była, cholera jasna, szczęśliwa. Muzyka grała, ktoś wrzeszczał... Cała buda aż trzęsła się od krzyku i rzępolenia... A ona tańczyła, tańczyła, tupała obcasikami... A nad dachem tej cholernej budy, w zimnym, nocnym powietrzu... tańczyła śmierć. Milva... Mario... Ona mnie potrzebuje.

Milva odwróciła oczy.

– Nie tylko ona – szepnęła.

Tak, by nie dosłyszał.

•

Na następnym postoju wiedźmin wykazał zainteresowanie sihillem, mieczem Zoltana, na który zdążył rzucić okiem podczas przygody z okogłowem. Krasnolud bez ociągania odwinął broń z kocich futerek i dobył jej z lakowej pochwy.

Miecz mierzył około czterdziestu cali, ważył zaś nie więcej niż trzydzieści pięć uncji. Pokryta na znacznej długości tajemniczymi znakami runicznymi klinga miała niebieskawe zabarwienie i była ostra jak brzytwa, przy odrobinie wprawy można by się nią ogolić. Dwunastocalowa, owinięta krzyżującymi się paskami jaszczurczej skóry rękojeść miała zamiast głowicy walcowatą mosiężną skuwkę, jelec był bardzo mały i misternie wykonany.

– Ładna rzecz – Geralt wykonał sihillem krótki, syczący młyniec, zamarkował szybkie cięcie od lewicy i błyskawiczne przejście do parady wysoką sekundą dexter. – W istocie, ładna sztuka żelaza.

– He! – parsknął Percival Schuttenbach. – Sztuka żelaza! Weź i lepiej się przyjrzyj, bo za chwilę gotów żeś to kawałkiem chrzanu nazwać.

– Miałem kiedyś lepszy miecz.

– Nie przeczę – wzruszył ramionami Zoltan. – Bo niechybnie pochodził z naszych kuźni. Wy, wiedźmini, umiecie mieczami wywijać, ale przecie sami ich nie robicie. Takie miecze tylko u nas się kuje, w Mahakamie, pod górą Carbon.

– Krasnoludy wytapiają stal – dodał Percival – i wykuwają warstwowe głownie. Ale to my, gnomy, zajmujemy się szlifem i ostrzeniem. W naszych warsztatach. Wedle naszej, gnomiej technologii, tak jak niegdyś robiliśmy nasze gwyhyry, najlepsze miecze świata.

– Miecz, który teraz noszę – Geralt obnażył klingę – pochodzi z Brokilonu, z katakumb na Craag An. Dostałem go od driad. Pierwszorzędna broń, a przecież ani krasnoludzka, ani gnomia. To elfi brzeszczot, ma ze sto albo i dwieście lat.

– On się w ogóle nie zna! – zawołał gnom, biorąc miecz do ręki i wodząc po nim palcami. – Wykończenie jest elfie, owszem. Rękojeść, jelec i głowica. Także elfie jest trawienie, ryt, cyzelerka i inne zdobienia. Ale głownia jest kuta i ostrzona w Mahakamie. I prawda to, że wykowano ją parę wieków temu wstecz, bo od razu widać, że to poślednia stal i obróbka prymitywna. Ot, przyłóż do niego sihill Zoltana, widzisz różnicę?

– Widzę. Mój sprawia wrażenie nie gorzej wykonanego.

Gnom parsknął i machnął ręką. Zoltan uśmiechnął się z wyższością.

– Brzeszczot – wyjaśnił mentorskim tonem – ma ciąć, a nie sprawiać wrażenie, i nie po wrażeniu się go ocenia. Rzecz w tym, że twój miecz to zwykła kompozycja stali i żelaza, a mój sihill ma głownię kutą ze stopu uszlachetnionego grafitem i boraksem...

– Nowoczesna technika! – nie wytrzymał Percival, gorączkując się nieco, albowiem dyskurs niechybnie schodził na dobrze znane mu sprawy. – Konstrukcja i kompozycja głowni, liczne warstwy miękkiego rdzenia, okute twardą, nie zaś miękką stalą...

– Z wolna, z wolna – zmitygował go krasnolud. – Metalurga z niego nie zrobisz, Schuttenbach, nie nudź go detalami. Ja mu to wyjaśnię prosto. Dobrą, twardą magnetytową stal, wiedźminie, niesłychanie trudno naostrzyć. Dlaczego? Bo jest twarda! Gdy się nie dysponuje technologią, tak jak my niegdyś, a wy do dzisiaj, a chce się mieć ostry miecz, utwardzony rdzeń głowni okuwa się na krawędziach miękką stalą, mniej oporną w obróbce. Taką właśnie uproszczoną metodą wykonany jest twój brokiloński miecz. Nowoczesne klingi wykonane są odwrotnie – miękki rdzeń, twarde ostrze. Obróbka jest czasochłonna i, jak powiedziałem, wymaga zaawansowanej technologii. Ale w rezultacie można otrzymać klingę, którą daje się przeciąć w powietrzu podrzucony batystowy fular.

– Twoim sihillem da się dokonać takiej sztuki?

– Nie – uśmiechnął się krasnolud. – Tak wyostrzone egzemplarze można na palcach policzyć i rzadko który wyszedł poza Mahakam. Ale gwarantuję ci, skorupa tamtego kostropatego kraba stawiłaby sihillowi znikomy opór. Pociąłbyś go na porcje i nawet byś się nie zmęczył.

Dyskusja o mieczach i metalurgii trwała jeszcze czas jakiś. Geralt przysłuchiwał się z zainteresowaniem, dzielił własnymi doświadczeniami, uzupełniał wiedzę, pytał o to i owo, oglądał i wypróbowywał Zoltanowy sihill. Nie widział jeszcze, że już nazajutrz przyjdzie mu uzupełnić teorię praktyką.

•

Pierwszym sygnałem, że w okolicy mieszkają ludzie, był stojący wśród wiórów i kory równy sąg opałowego drewna, dostrzeżony przy dukcie przez idącego w awangardzie Percivala Schuttenbacha.

Zoltan zatrzymał pochód i wysłał gnoma na daleki zwiad. Percival znikł, a po pół godzinie wrócił pędem, podniecony i zdyszany, z daleka gestykulując. Dobiegł, ale miast od razu przystąpić do relacji, chwycił się palcami za długi nos i wysmarkał potężnie, z odgłosem przypominającym granie pasterskiej trombity.

– Nie płosz zwierzyny – warknął Zoltan Chivay. – I gadaj. Co tam przed nami?

– Sadyba – wydyszał gnom, wycierając palce w poły swego opatrzonego licznymi kieszeniami kabata. – Na polanie. Chałup trzy, stodoła, parę kleci... Po podwórzu lata pies, a z komina dymi. Strawa się tamój gotuje. Owsianka, i to na mleku.

– Ty co, w kuchni byłeś? – zaśmiał się Jaskier. – Do garnków zaglądałeś? Skąd wiesz, że to owsianka?

Gnom spojrzał na niego z wyższością, a Zoltan prychnął gniewnie.

– Nie obrażaj go, poeto. On wywęszy żarcie na milę. Jeśli mówi, że to owsianka, znaczy owsianka. Cholera, nie podoba mi się to.

– A to czemu? Mnie owsianka się podoba. Zjadłbym z chęcią.

– Zoltan ma rację – powiedziała Milva. – A ty milcz, Jaskier, bo to nie poezja. Jeśli owsianka jest na mleku, to tam jest krowa. A kmieć, któren zoczy dymy, bierze krowę i zmyka w knieję. Czemu ten akurat nie zemknął? Skręcajmy w las, obejdźmy łukiem. Źle mi to pachnie.

– Z wolna, z wolna – mruknął krasnolud. – Uciec zawsze zdążymy. A może już po wojnie? Może ruszyła się wreszcie temerska armia? Co my tu wiemy, w tej kniei? Może już gdzie walna była bitwa, może odparty Nilfgaard, może front już za nami, chłopi i krowy do domów wracają? Trzeba sprawdzić, wywiedzieć się. Figgis, Munro, obaj tu zostańcie, a oczy miejcie otwarte. My zaś uczynimy rekonesans. Jeśli będzie bezpiecznie, zawołam głosem krogulca.

– Głosem krogulca? – niespokojnie poruszył brodą Munro Bruys. – Przecie ty pojęcia nie masz o naśladowaniu ptasich głosów, Zoltan.

– I o to chodzi. Gdy usłyszysz dziwny, niepodobny do niczego głos, to będę ja. Percival, prowadź. Geralt, pójdziesz z nami?

– Wszyscy pójdziemy – Jaskier zsiadł z konia. – Gdyby to była jakaś zasadzka, w dużej grupie będzie bezpieczniej.

– Zostawiam wam Feldmarszałka – Zoltan zdjął papugę z ramienia i podał ją Figgisowi Merluzzo. – Ptaszysko gotowe z nagła zacząć kurwami sadzić wniebogłosy i diabli wezmą skryte podejście. Idziemy.

Percival szybko wyprowadził ich na skraj lasu, w gęste krzaki dzikiego bzu. Za krzakami teren lekko opadał, piętrzyła się tam kupa wykarczowanych pniaków. Dalej rozciągała się wielka polana. Wyjrzeli ostrożnie.

Relacja gnoma była precyzyjna. Na środku polany faktycznie stały trzy chałupy, stodoła i kilka krytych darnią kleci. Podwórze lśniło ogromną kałużą gnojówki. Zabudowania i nieduży prostokąt zaniedbanego pola otaczał niski, częściowo rozwalony płot, za płotem uwijał się bury pies. Z dachu jednej z chałup unosił się dym, leniwie pełzając po zapadniętej strzesze.

– W samej rzeczy – szepnął Zoltan, węsząc – smakowicie ten dym pachnie. Zwłaszcza że do smrodu pogorzelisk nozdrza przywykły. Koni ni straży nie widać, to dobrze, bo nie wykluczałem, że to jakieś hultajstwo tu popasa i pitrasi sobie. Hmm, widzi mi się, rzecz jest bezpieczna.

– Pójdę tam – zadeklarowała Milva.

– Nie – zaprotestował krasnolud. – Ty za bardzo na Wiewiórkę patrzysz. Jeśli ciebie zoczą, mogą się zlęknąć, a w strachu nieobliczalni bywają ludzie. Pójdą Yazon i Caleb. A ty łuk miej narychtowany, osłonisz ich w razie czego. Percival, kopnij się do reszty. Bądźcie w pogotowiu, gdyby przyszło do odwrotu zatrąbić.

Yazon Varda i Caleb Stratton ostrożnie wyszli z gęstwiny i ruszyli ku zabudowaniom. Maszerowali wolno, bacznie rozglądając się na boki.

Pies zwęszył ich od razu, zahaukał wściekle, obiegając podwórko, nie zareagował na przymilne cmokania i pogwizdywania krasnoludów. Drzwi chaty otworzyły się. Milva natychmiast uniosła łuk i płynnie napięła cięciwę. I natychmiast ją zwolniła.

Na próg wypadła niska, tęgawa dziewczyna z długimi warkoczami. Krzyknęła coś, wymachując rękoma. Yazon Varda rozłożył ręce, coś odkrzyknął. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć, słyszeli ten wrzask, lecz nie byli w stanie rozróżnić słów.

Ale do Yazona i Caleba słowa te musiały dotrzeć i zrobić wrażenie, bo oba krasnoludy jak na komendę wykonały w tył zwrot i pędem puściły się z powrotem w stronę krzaków bzu. Milva znowu napięła łuk, wodziła grotem, szukając celu.

– Co jest, do czarta? – charknął Zoltan. – Co się dzieje? Przed czym oni tak wieją? Milva?

– Zawrzyj gębę – syknęła łuczniczka, wciąż wodząc grotem od chałupy do chałupy, od kleci do kleci. Ale nadal nie znajdowała żadnego celu. Dziewczyna z warkoczami znikła w chacie, zamknęła za sobą drzwi.

Krasnoludy gnały, jakby wszystkie demony Chaosu deptały im po piętach. Yazon coś wrzeszczał, może klął. Jaskier pobladł nagle.

– On woła... O, matko!

– Co za... – Zoltan urwał, bo Yazon i Caleb już dobiegali, czerwoni z wysiłku. – Co jest? Gadajcie!

– Tam zaraza... – wydyszał Caleb. – Czarna ospa...

– Dotykaliście czego? – Zoltan Chivay cofnął się gwałtownie, omal nie przewracając Jaskra. – Dotykaliście czego na podwórzu?

– Nie... Pies nie dał podejść...

– Dzięki niech będą pieprzonej sobace – Zoltan wzniósł oczy ku niebu. – Dajcie jej bogowie długie życie i kupę kości, wyższą niźli góra Carbon. Dziewucha, ta przysadzista, miała krosty?

– Nie. Ona zdrowa. Chorzy w ostatniej chacie leżą, jej swaki. A wielu już pomarło, mówiła. Aj, aj, Zoltan, wiatr ku nam zawiewał!

– Dość będzie tego szczękania zębami – powiedziała Milva, opuszczając łuk. – Jeśliście zarażonych nie tykali, nic wam nie będzie,

strachu nie ma. Jeśli to naisto prawda, z tą ospą. Mogła ino chcieć was dziewka wypłoszyć.

– Nie – zaprzeczył Yazon, wciąż dygocząc. – Za klecią dół był... W nim trupy. Dziewucha nie ma sił pomarłych grzebać, więc do dołu wrzuca...

– No – Zoltan pociągnął nosem. – To i masz owsiankę, Jaskier. Ale mnie jakoś przeszedł na nią smak. Zabierajmy się stąd, żywo.

Od zabudowań rozszczekał się pies.

– Kryć się – syknął wiedźmin, klękając.

Z przesieki po przeciwnej stronie polany wypadła grupa jeźdźców, gwiżdżąc i hałłakując galopem otoczyła zabudowania, potem wdarła się na podwórze. Jeźdźcy byli zbrojni, ale nie nosili jednolitych barw. Wręcz przeciwnie, ustrojeni byli pstrokato i nieporządnie, także ich rynsztunek sprawiał wrażenie skompletowanego przypadkowo. I nie w cekhauzie, lecz na pobojowisku.

– Trzynastu – policzył szybko Percival Schuttenbach.

– Co to za jedni?

– Ani Nilfgaard, ani inni regularni – ocenił Zoltan. – Ani Scoia'tael. Widzi mi się, wolentarze. Luźna kupa.

– Albo maruderzy.

Konni wrzeszczeli, hasali po podwórzu. Pies dostał trzonkiem oszczepu i uciekł. Dziewczyna z warkoczami wyskoczyła na próg, krzyknęła. Ale tym razem ostrzeżenie nie podziałało albo nie potraktowano go poważnie. Jeden z jeźdźców podgalopował, chwycił dziewczynę za warkocz, ściągnął z progu, powlókł przez kałużę. Inni zeskoczyli z koni, pomogli, wywlekli dziewczynę na koniec podwórza, obdarli z giezła i zwalili na stertę przegniłej słomy. Dziewka broniła się zacięcie, ale nie miała szans. Tylko jeden maruder nie dołączył do uciechy, pilnował koni uwiązanych do płotu. Dziewczyna krzyknęła przeciągle, przeszywająco. Potem krótko, boleśnie. A potem już jej nie słyszeli.

– Wojownicy! – Milva zerwała się. – Bohaterowie, kurwa ich mać!

– Ospy się nie boją – pokręcił głową Yazon Varda.

– Strach – zamamrotał Jaskier – to rzecz ludzka. W nich nie zostało już niczego ludzkiego.

– Kromie flaków – wychrypiała Milva, pieczołowicie osadzając strzałę na cięciwie. – Które im zaraz podziurawię, hultajom.

– Trzynastu – powiedział znacząco Zoltan Chivay. – I mają konie. Sięgniesz jednego albo dwóch, reszta nas osaczy. Poza tym to może być podjazd. Diabeł wie, jaka siła ciągnie za nimi.

– Mam się spokojnie przyglądać?

– Nie – Geralt poprawił miecz na plecach i opaskę na włosach. – Mam dość przyglądania się. Mam serdecznie dość bezczynności. Ale oni nie powinni się rozproszyć. Widzisz tego, który trzyma konie? Gdy tam dojdę, ściągnij go z kulbaki. Jeśli ci się uda, to jeszcze z jednego. Ale dopiero gdy dojdę.

– Zostanie jedenastu – łuczniczka odwróciła się.

– Umiem liczyć.

– Zostaje jeszcze ospa – mruknął Zoltan Chivay. – Pójdziesz tam, przywleczesz zarazę... Do czarta, wiedźminie! Narażasz nas wszystkich dla... Psiakrew, to nie jest ta dziewczyna, której szukasz!

– Zamknij się, Zoltan. Wracajcie do wozu, skryjcie się w lesie.

– Idę z tobą – oświadczyła chrapliwie Milva.

– Nie. Osłaniaj mnie z daleka, w ten sposób skuteczniej mi pomożesz.

– A ja? – spytał Jaskier. – Co ja mam robić?

– To, co zwykle. Nic.

– Tyś oszalał... – warknął Zoltan. – Sam na taką kupę... Co z tobą? Bohatera chcesz odgrywać, wybawiciela dziewic?

– Zamknij się.

– A niech cię diabli! Zaczekaj. Zostaw twój miecz. Dużo ich, lepiej, byś nie musiał poprawiać cięć. Weź mój sihill. Nim wystarczy ciąć raz.

Wiedźmin przyjął broń krasnoluda bez wahania i bez słowa. Jeszcze raz wskazał Milvie marudera pilnującego koni. A potem przeskoczył przez karcze i szybkim krokiem ruszył ku chałupom.

Słońce świeciło. Pasikoniki pryskały spod nóg.

Strzegący koni zauważył go, wyciągnął oszczep z tulei przy siodle. Miał bardzo długie, zmierzwione włosy, spadające na porwaną, poreperowaną zardzewiałym drutem kolczugę. Nosił nowiutkie, niedawno widać zrabowane buty z błyszczącymi klamerkami.

Wartownik krzyknął, wtedy zza płotu wyszedł drugi maruder. Ten niósł pas z mieczem na szyi i właśnie dopinał portki. Geralt był już całkiem blisko. Od sterty słomy słyszał rechot zabawiających się z dziewczyną. Oddychał głęboko, a każdy oddech wzmagał w nim żądzę

mordu. Mógł się uspokoić, ale nie chciał. Chciał mieć trochę przyjemności.

– A tyś kto? Stój! – krzyknął długowłosy, ważąc oszczep w dłoni. – Czego tu chcesz?

– Mam dosyć przyglądania się.

– Czegoooo?

– Czy imię Ciri mówi ci coś?

– Ja ci...

Więcej maruder nie zdążył powiedzieć. Szaropióra strzała trafiła go w środek piersi i zrzuciła z kulbaki. Nim runął na ziemię, Geralt już słyszał szum lotek drugiej strzały. Drugi żołdak dostał grotem w brzuch, nisko, między dłonie trzymające rozporek. Zawył jak zwierzę, zgiął się wpół i poleciał plecami na płot, obalając i łamiąc żerdzie.

Nim pozostali zdążyli opamiętać się i chwycić za broń, wiedźmin już był wśród nich. Krasnoludzki miecz zamigotał i zaśpiewał, w śpiewie leciutkiej jak piórko i ostrej jak brzytwa stali była dzika żądza krwi. Cięte ciała niemal nie stawiały oporu. Krew trysnęła mu na twarz, nie miał czasu jej obetrzeć.

Jeśli nawet maruderzy myśleli o walce, widok padających trupów i sikającej strumieniami posoki skutecznie ich zniechęcił. Jeden miał spodnie opuszczone do kolan, nie zdążył nawet ich podciągnąć, dostał w tętnicę szyjną i runął na wznak, śmiesznie kołysząc wciąż nie zaspokojoną męskością. Drugi, zupełny gołowąs, zasłonił głowę obu rękoma, a sihill przeciął obie, w nadgarstkach. Pozostali pierzchnęli, rozbiegli się w różne strony. Wiedźmin ścigał ich, przeklinając w duchu ból, który znowu zatętnił mu w kolanie. Miał nadzieję, że noga nie odmówi posłuszeństwa.

Dwóch zdołał przyprzeć do płotu, ci spróbowali się bronić, zastawiać mieczami. Paraliżowani grozą, robili to niemrawo. Twarz wiedźmina znowu obryzgała krew z ciętych krasnoludzką klingą arterii. Ale pozostali wykorzystali czas, zdołali zbiec, już wskakiwali na konie. Jeden natychmiast spadł, ugodzony strzałą, trzepocząc i podrygując jak wyrzucona z sieci ryba. Dwaj poderwali konie do galopu. Ale uciec zdołał tylko jeden, bo na placu boju zjawił się nagle Zoltan Chivay. Krasnolud zawinął toporkiem i cisnął nim, trafiając jednego z umykających w środek pleców. Maruder zaryczał, wyleciał z siodła,

fikając nogami. Ostatni przywarł do końskiego karku, przesadził wypełniony trupami dół i pocwałował w stronę przesieki.

– Milva! – krzyknęli jednocześnie wiedźmin i krasnolud.

Łuczniczka już biegła ku nim, teraz zatrzymała się, zamarła w rozkroku. Opuściła napięty łuk i zaczęła go powoli podnosić, coraz wyżej i wyżej. Nie usłyszeli szczęku cięciwy, Milva też nie zmieniła pozycji, nie drgnęła nawet. Strzałę zobaczyli dopiero wtedy, gdy załamała lot i pomknęła w dół. Jeździec zwisł z konia, z ramienia sterczała mu opierzona brzechwa. Ale nie spadł. Wyprostował się i krzykiem popędził wierzchowca do ostrzejszego galopu.

– Ależ łuk – stęknął w podziwie Zoltan Chivay. – Ależ strzał!

– Do dupy z takim strzałem – wiedźmin otarł krew z twarzy. – Sukinsyn uciekł i sprowadzi kamratów.

– Trafiła! A to było chyba ze dwieście kroków!

– Mogła mierzyć do konia.

– Koń niczemu nie winien – sapnęła ze złością Milva, podchodząc do nich. Splunęła, patrząc na jeźdźca znikającego w lesie. – Chybiłam łapserdaka, bom się zdyszała krzynę... Tfu, gadzie, uciekaj z moim grotem! Żeby ci tak pecha przyniósł!

Z przesieki dobiegło ich rżenie konia, a zaraz potem przeraźliwy wrzask mordowanego człowieka.

– Ho, ho – Zoltan spojrzał na łuczniczkę z podziwem. – Daleko nie ujechał! Nieźle działają twoje szypy! Zatrute? Czy to może czary? Bo wszakże nawet jeśli hultaj ospę złapał, to tak szybko choróbsko się nie rozwija!

– To nie ja – Milva spojrzała na wiedźmina znacząco. – Ani nie ospa. Ale tak sobie myślę, że wiem, kto.

– Ja też wiem – krasnolud przygryzł wąs w przebiegłym uśmiechu. – Przyuważyłem, że cięgiem się oglądacie, wiem, że ktosik za nami tajemnie jedzie. Na cisawym źrebcu. Nie wiem, kto zacz, ale skoro wam to nie wadzi... Nie moja rzecz.

– Zwłaszcza że pożytek bywa z takiej tylnej straży – powiedziała Milva, patrząc na Geralta wymownie. – Pewien jesteś, że ten Cahir ci wrogiem?

Wiedźmin nie odpowiedział. Oddał Zoltanowi miecz.

– Dzięki. Nieźle tnie.

– W dobrym ręku – błysnął zębami krasnolud. – Słyszałem opowieści o wiedźminach, ale położyć ośmiu chłopa w niecałe dwie minuty...

– Nie ma się czym szczycić. Nie umieli się bronić.

Dziewczyna z warkoczami uniosła się na czworaki, potem stanęła na nogach, zachwiała się, rozdygotanymi dłońmi bezskutecznie starała się poprawić na sobie resztki podartego giezła. Wiedźmin doznał zdziwienia, widząc, że w ogóle, w niczym, absolutnie w niczym nie jest podobna do Ciri, a jeszcze przed momentem przysiągłby, że wygląda jak jej bliźniacza siostra. Dziewczyna nieskoordynowanym ruchem potarła twarz, chwiejnie ruszyła w stronę chałupy. Nie omijając kałuży.

– Hej, zaczekaj – zawołała Milva. – Hej, ty... Może ci w czym dopomóc? Hej!

Dziewczyna nawet nie spojrzała w jej stronę. Na progu potknęła się, omal nie upadając, przytrzymała ościeżnicy. I zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Wdzięczność ludzka nie zna granic – powiedział krasnolud. Milva odwróciła się jak sprężyna, twarz jej stężała.

– Za co ona ma być wdzięczna?

– Właśnie – dodał wiedźmin. – Za co?

– Za maruderskie konie – Zoltan nie spuścił oczu. – Ubije na mięso, nie będzie musiała ubijać krowy. Na ospę widać odporna, a teraz i głód jej niestraszny. Przeżyje. A to, że dzięki tobie ominęła ją dłuższa zabawa i ogień z tych chałup, zrozumie dopiero za parę dni, gdy zbierze myśli. Chodźmy stąd, nim zawieje nas morowe powietrze... Hej, wiedźminie, a ty dokąd? Po wyrazy wdzięczności?

– Po buty – powiedział zimno Geralt, schylając się nad długowłosym maruderem, wybałuszającym w niebo martwe oczy. – Wygląda, że te będą na mnie w sam raz.

•

Przez następne dni jedli koninę. Buty z błyszczącymi klamerkami były całkiem wygodne. Nilfgaardczyk zwany Cahirem wciąż jechał za nimi na swym cisawym ogierze, ale wiedźmin nie oglądał się.

Rozgryzł wreszcie tajniki gry w gwinta i nawet zagrał z krasnoludami. Przegrał.

O wydarzeniu na puszczańskiej porębie nie rozmawiali. Nie było sensu.

Mandragora *a. dziwostręt, rodzaj roślin z rodziny psiankowatych, obejmujący rośliny zielne, bezłodygowe z korzeniami rzepowemi, w których dostrzedz można podobieństwo do postaci ludzkiej; liście zebrane są w rozetę.* ***M.*** *autumnalis a. officinalis, uprawiana na niewielką skalę w Vicovaro, Rowan i Ymlac, dziko rośnie rzadko. Jagody zielone, następnie żółknące, jadane są z octem i pieprzem, liście używają się w stanie surowym. Korzeń* ***m.****, dziś ceniony w medycynie i farmacji, miał dawniej wielkie znaczenie w zabobonach, zwłaszcza u ludów Północy; wyrzynano z niego figurki ludzkie (alruniki, alrauny) i przechowywano w domach jako szacowny talizman. Uważano je za ochronę od chorób, dawały szczęście w procesach, kobietom zapewniały płodność i łatwe porody. Strojono je w sukienki i na nowiu dawano nową odzież. Korzeniami* ***m.*** *prowadzono handel, a cena ich dochodziła do sześćdziesięciu florenów. Do tegoż celu używane były korzenie przestępu (ob.). Wedle zabobonu był korzeń* ***m.*** *używany do czarów i czarodziejskich filtrów, a także trucizn; przesąd ten powrócił w okresie polowań na czarownice. Zarzut zbrodniczego posługiwania się* ***m.*** *postawiono m.in. w procesie Lukrezii Vigo (ob.). Używać* ***m.*** *jako trucizny miała też legendarna Filippa Alhard (ob.).*

Effenberg i Talbot,
Encyclopaedia Maxima Mundi, tom IX

Rozdział trzeci

Stara Droga zmieniła się nieco od czasów, gdy wiedźmin poprzedni raz podróżował po niej. Równy niegdyś, wyłożony płaskimi złomami bazaltu trakt, zbudowany przez elfy i krasnoludy przed setkami lat, stał się teraz ziejącą dziurami ruiną. Miejscami wyryte dziury były tak głębokie, że przypominały małe kamieniołomy. Tempo marszu osłabło, wóz krasnoludów z najwyższym trudem lawirował wśród jam, utykał co i rusz.

Zoltan Chivay znał przyczyny dewastacji szlaku. Po ostatniej wojnie z Nilfgaardem, wyjaśnił, niesłychanie wzrosło zapotrzebowanie na materiał budowlany. Ludzie wówczas przypomnieli sobie, że Stara Droga to niewyczerpane źródło obrobionego kamienia. A ponieważ zaniedbany, położony na pustkowiu i wiodący znikąd donikąd trakt z dawien dawna utracił znaczenie dla transportu i mało komu służył, dewastowano go bez litości i umiaru.

– Wasze większe miasta – narzekał krasnolud do wtóru skrzekliwych przekleństw papugi – jak jeden mąż pobudowaliście na elfich i naszych fundamentach. Pod mniejsze zamki i miasteczka położyliście własne fundamenty, ale na elewacje nadal bierzecie nasze kamienie. Przy tym cały czas powtarzacie, że to dzięki wam, ludziom, dokonuje się postęp i rozwój.

Geralt nie komentował.

– Ale wy nawet dewastować z głową nie umiecie – klął Zoltan, komenderując kolejną akcją wyciągania koła z dziury. – Dlaczego nie wyrywacie kamienia stopniowo, z krańców drogi? Jesteście jak dzieci! Zamiast konsekwentnie jeść pączek, wydłubujecie palcem marmoladę ze środka, a resztę wyrzucacie, bo już nie tak smaczna.

Geralt tłumaczył, że wszystkiemu winna geografia polityczna. Zachodni kraniec Starej Drogi leży w Brugge, wschodni w Temerii, środek natomiast w Sodden, każde królestwo dewastuje więc swój kawałek według własnego uznania. W odpowiedzi Zoltan plugawie określił miejsce, w którym ma królów i wymienił wyszukane nieprzyzwoitości, jakich dopuszcza się wobec ich polityki, zaś Feldmarszałek Duda dołożył swoje na temat królowych matek.

Im dalej, tym było gorzej. Zoltanowe porównanie do pączka i marmolady okazywało się coraz mniej trafne – droga przypominała raczej drożdżowe ciasto, z którego pracowicie wydłubano wszystkie rodzynki i bakalie. Wyglądało na to, że nieuchronnie zbliża się chwila, gdy wóz roztrzaska się lub uwięźnie zupełnie i nieodwołalnie. Uratowało ich jednak to samo, co zniszczyło drogę. Natrafili na wiodący w kierunku południowo-wschodnim szlak, wyjeżdżony i ubity przez ciężkie wozy transportujące wyszabrowany cios. Zoltan poweselał, szlak uznał za niezawodnie wiodący do któregoś z fortów nad Iną, rzeką, nad którą miał nadzieję spotkać już wojska temerskie. Krasnolud święcie wierzył, że podobnie jak podczas poprzedniej wojny właśnie zza Iny, z

Sodden, ruszy druzgocące kontruderzenie północnych królestw, po którym niedobitki złamanego Nilfgaardu sromotnie zemkną za Jarugę.

I faktycznie, zmiana kierunku marszu zbliżyła ich ponownie do wojny. W nocy niebo przed nimi rozświetliła nagle wielka łuna, w dzień zaś dostrzegli słupy dymu, znaczące horyzont na południu i wschodzie. Ponieważ jednak wciąż nie było pewności, kto bije i pali, a kto jest bity i palony, posuwali się ostrożnie, wysyłając na dalekie zwiady Percivala Schuttenbacha.

Któregoś ranka przeżyli zaskoczenie – dogonił ich koń bez jeźdźca, cisawy ogier. Zielony czaprak z nilfgaardzkim haftem znaczyły ciemne zacieki krwi. Nie sposób było poznać, czy jest to krew jeźdźca zabitego obok wozu havekara, czy też rozlana później, gdy koń zyskał już nowego właściciela.

– No, i po kłopocie – powiedziała Milva, patrząc na Geralta. – O ile to naprawdę był kłopot.

– Prawdziwy kłopot w tym, że nie wiemy, kto jeźdźca z siodła wysadził – mruknął Zoltan. – I czy ów ktoś nie jedzie nam w trop, śladem naszym i naszej byłej a dziwnej straży tylnej.

– To był Nilfgaardczyk – Geralt zacisnął zęby. – Mówił prawie bez akcentu, ale zbiegli chłopi mogli rozpoznać...

Milva odwróciła głowę.

– Trzeba było go wówczas zasiec, wiedźminie – powiedziała cicho. – Miałby lżejszą śmierć.

– Wyszedł z trumny – pokiwał głową Jaskier, patrząc na Geralta wymownie – tylko po to, by zgnić w jakimś rowie.

Na tym skończyło się epitafium dla Cahira, syna Ceallacha, wypuszczonego z trumny Nilfgaardczyka, który twierdził, że nie jest Nilfgaardczykiem. Więcej o nim już nie rozmawiano. Ponieważ Geralt – mimo wielokrotnych gróźb – nie kwapił się jakoś rozstać z narowistą Płotką, ciska dosiadł Zoltan Chivay. Krasnolud nie sięgał nogami strzemion, ale ogierek był łagodny i dawał sobą powodować.

•

Nocą widnokrąg wciąż jaśniał od łun, za dnia wstęgi dymów unosiły się w niebo, brudząc błękit. Wkrótce trafili na spalone zabudowania, ogień nadal jeszcze pełzał po zwęglonych belkach i kalenicach. Tuż opodal zgliszcz siedziało ośmiu oberwańców i pięć psów, solidarnie

zajętych objadaniem resztek mięsa z rozdętego, zwęglonego po części końskiego ścierwa. Na widok krasnoludów ucztujący zemknęli w popłochu. Został tylko jeden człowiek i jeden pies, których żadna groza nie była zdolna oderwać od najeżonej grzebieniem żeber padliny. Zoltan i Percival spróbowali indagować człowieka, ale niczego się nie dowiedzieli. Człowiek kwilił tylko, dygotał, wciągał głowę w ramiona i dławił się zdzieranymi z gnatów ochłapami. Pies warczał i odsłaniał zęby aż po krańce dziąseł. Koński zewłok cuchnął wstrętnie.

Zaryzykowali i nie porzucili drogi, która wkrótce doprowadziła ich do kolejnego pogorzeliska. Puszczono tu z dymem sporą wieś, w pobliżu której musiało też dojść do potyczki, bo tuż za dymiącymi ruinami zobaczyli świeży kurhan. A w pewnej odległości za kurhanem rósł na rozstajach olbrzymi dąb. Dąb był obwieszony żołędziami.

I ludźmi.

•

– Trzeba to obejrzeć – zadecydował Zoltan Chivay, kładąc kres dyskusji o ryzyku i zagrożeniu. – Podjedźmy bliżej.

– Po jaką cholerę – uniósł się Jaskier – chcesz oglądać tych wisielców, Zoltan? Żeby ich obedrzeć? Widzę stąd, że nie mają nawet butów.

– Głupiś. Nie o ich buty mi chodzi, ale o sytuację militarną. O rozwój wydarzeń na teatrze działań wojennych. Czego rechoczesz? Ty jesteś poeta, nie wiesz, co to strategia.

– Zaskoczę cię. Wiem.

– A ja ci powiadam, że nie rozpoznałbyś strategii nawet wtedy, gdyby wyskoczyła z krzaków i kopnęła cię w dupę.

– W rzeczy samej, takiej bym nie rozpoznał. Strategie wyskakujące z krzaków zostawiam krasnoludom. Wiszące na dębach również.

Zoltan machnął ręką i pomaszerował w stronę drzewa. Jaskier, który nigdy nie potrafił opanować ciekawości, popędził Pegaza i pojechał za nim stępa. Geralt po chwili zastanowienia ruszył w ślad. Zobaczył, że Milva jedzie za nim.

Żerujące na trupach wrony z ociąganiem zerwały się na ich widok, krocząc i szumiąc piórami. Niektóre odleciały ku lasowi, inne przesiadły się tylko na wyższe gałęzie potężnego drzewa, z zainteresowaniem przyglądając się Feldmarszałkowi Dudzie, który z ramienia krasnoluda plugawie ubliżał ich matkom.

Pierwszy z siedmiu wisielców miał na piersi tabliczkę z napisem: „Zdrajca narodu”. Drugi wisiał jako „Kolaborant”, trzeci jako „Elfi kapuś”, czwarty jako „Dezerter”. Piąta była kobieta w podartym i pokrwawionym gieźle, oznakowana jako „Nilfgaardzka kurwa”. Dwóch wisielców nie miało tabliczek, z czego należało wnosić, że wisieli przypadkowo.

– Dobra jest – rozradował się Zoltan Chivay, wskazując na tabliczki. – Widzicie? Przeszły tędy nasze wojska. Nasi chłopcy malowani przeszli do ofensywy, odparli agresora. I mieli, jak widzę, czas na odpoczynek i wojackie rozrywki.

– I co to dla nas oznacza?

– To, że front przesunął się już, a od Nilfgaardczyków oddziela nas wojsko temerskie. Jesteśmy bezpieczni.

– A dymy przed nami?

– To nasi – oświadczył pewnym głosem krasnolud. – Palą wioski, w których dano Wiewiórkom nocleg lub spyżę. Jesteśmy już za frontem, powiadam wam. Z tego rozstaja biegnie południowy szlak, który wiedzie do Armerii, prezydium leżącego w widłach Chotli i Iny. Droga wygląda porządnie, możemy nią iść. Nilfgaardczyków lękać się już nie musimy.

– Gdzie się dymi, tam się pali – odezwała się Milva. – A gdzie się pali, tam się sparzyć można. Tak sobie myślę, że głupia to rzecz na ogień się kierować. Głupia to rzecz drogą iść, na której jazda w mig może nas ogarnąć. Zapadnijmy w lasy.

– Tędy przeszli Temerczycy lub armia z Sodden – upierał się krasnolud. – Jesteśmy za frontem. Możemy bez lęku walić gościńcem; jeżeli napotkamy wojska, to nasze.

– Hazardownie – pokręciła głową łuczniczka. – Jeśli taki z ciebie wojennik, Zoltan, to wiesz przecie, że Nilfgaard zwykł był daleko zagony jazdy puszczać. Tutaj byli Temerczycy, może to być. Ale co jest przed nami, tego nie wiemy. Niebo na południu aż czarne od dymu, ani chybi gorzeje właśnie owo twoje prezydium w Armerii. Tedy my nie za frontem, ale na froncie. Możemy nadziać się na wojsko, na maruderów, na luźne hultajstwo, na Wiewiórki. Idźmy ku Chotli, ale duktami.

– Racja – poparł ją Jaskier. – Mnie też nie podobają się tamte dymy. Nawet jeśli Temeria przeszła do ofensywy, przed nami mogą być jeszcze wysforowane nilfgaardzkie szwadrony. Czarni robią dalekie rajdy.

Wychodzą na tyły, łączą się ze Scoia'tael, robią mąt i zawracają. Pamiętam, co działo się w Górnym Sodden podczas poprzedniej wojny. Też jestem zdania, żeby iść lasami. W lasach nic nam nie zagrozi.

– Nie byłbym tego taki pewien – Geralt wskazał na ostatniego wisielca, który, choć dyndał wysoko, zamiast stóp miał poorane pazurami, skrwawione kikuty ze sterczącymi kośćmi. – Spójrzcie. To robota ghuli.

– Upiorów? – Zoltan Chivay cofnął się, splunął. – Trupojadów?

– Jak najbardziej. W nocy wśród lasów musimy się strzec.

– Krr-rrwa mać! – zaskrzeczał Feldmarszałek Duda.

– Z ust mi to wyjąłeś, ptaku – zmarszczył brwi Zoltan Chivay. – Ot, popadli my w kabałę. Jakże więc? W las, gdzie upiory, czy drogą, gdzie wojska i maruderzy?

– W lasy – powiedziała z przekonaniem Milva. – A co gęstsze. Wolę ghule niźli ludzi.

•

Szli lasami, początkowo ostrożni, spięci, reagujący alarmem na każdy szelest w chaszczach. Wkrótce jednak odzyskali kontenans, humor i poprzednie tempo. Nie widzieli ani ghuli, ani najmniejszych śladów ich bytności. Zoltan żartował, że upiory i wszelkie inne demony musiały dowiedzieć się o nadciągających wojskach, a jeśli potworom zdarzyło się zobaczyć w akcji maruderów i verdeńskich wolentarzy, to zdjęte zgrozą skryły się w najgłębszych i najdzikszych matecznikach, gdzie teraz siedzą, trzęsąc się i dzwoniąc kłami.

– I strzegą upiorzyc, żon swych i córek – warczała Milva. – Monstra wiedzą, że wojownik w pochodzie nawet owcy nie przepuści. A jeśli babskie giezło na wierzbie powiesić, to bohaterom dość będzie i dziury po sęku.

Jaskier, który od dłuższego czasu nie tracił werwy i humoru, nastroił lutnię i zaczął układać stosowny kuplet o wierzbach, dziuplach i jurnych wojownikach, a krasnoludy i papuga prześcigały się w podpowiadaniu mu rymów.

•

– O – powtórzył Zoltan.

– Co? Gdzie? – spytał Jaskier, stając w strzemionach i zaglądając do wąwozu, w kierunku wskazywanym przez krasnoluda. – Niczego nie

widzę!

– O.

– Nie pleć jak papuga! Co: o?

– Rzeczka – wyjaśnił spokojnie Zoltan. – Prawy dopływ Chotli. Nazywa się O.

– Aaa...

– Skądże znowu! – zaśmiał się Percival Schuttenbach. – Rzeczka A wpada do Chotli w górze rzeki, kawał drogi stąd. To jest O, nie A.

Parów, dnem którego płynęła rzeczka o nieskomplikowanej nazwie, zarośnięty był sięgającą ponad głowy pieszych krasnoludów pokrzywą, przenikliwie pachniał miętą i zbutwiałym drewnem i rozbrzmiewał nieustannym rechotem żab. Miał też strome zbocza, i to właśnie okazało się fatalne. Wóz Very Loewenhaupt, który od początku podróży dzielnie znosił przeciwności losu i pokonał wszystkie przeszkody, przegrał w starciu z rzeczką O. Wymknął się z rąk sprowadzających go w dół krasnoludów, zjechał podskakując na samo dno jaru i rozleciał się dokumentnie.

– Rrrurr... wa mać! – zaskrzeczał Feldmarszałek Duda, kontrapunktując chóralny okrzyk Zoltana i jego kompanii.

•

– Prawdę powiedziawszy – ocenił Jaskier, przypatrując się szczątkom wehikułu i porozrzucanym bagażom – to może i lepiej się stało. Ten wasz zatracony wóz tylko spowalniał marsz, wieczne były z nim kłopoty. Spójrz realnie, Zoltan. I tak mieliśmy szczęście, że nikt nas nie zaskoczył i nie ścigał. Gdybyśmy musieli szybko uciekać, przyszłoby furgon porzucić razem z całym waszym dobytkiem, który w danej sytuacji jest do uratowania.

Krasnolud żachnął się i gniewnie zaburczał w brodę, ale Percival Schuttenbach niespodziewanie poparł trubadura. Poparciu, jak zauważył wiedźmin, towarzyszyło kilka znaczących mrugnięć. Mrugnięcia miały być ukradkowe, ale wyrazista mimika drobnej twarzy gnoma wykluczała ukradkowość.

– Poeta ma rację – powtórzył Percival, wykrzywiając się i mrugając. – Od Chotli i Iny jesteśmy na rzut mokrym kapeluszem. Przed nami Fen Carn, same bezdroża. Tam ciężko byłoby z wozem. Jeśli zaś nad Iną

spotkamy temerskie wojska, to z naszym ładunkiem... moglibyśmy mieć kłopoty.

Zoltan zastanowił się, pociągając nosem.

– No, dobra – rzekł wreszcie, spoglądając na resztki wozu, omywane leniwym nurtem rzeczki O. – Rozdzielamy się. Munro, Figgis, Yazon i Caleb zostają. Reszta rusza w dalszą drogę. Konie będziemy zmuszeni dociążyć sakwami z prowiantem i podręcznym sprzętem. Munro, wiecie, co robić? Łopaty macie?

– Mamy.

– Tylko żeby mi śladów widocznych nie zostało! A miejsce dobrze oznaczcie i zapamiętajcie!

– Spokojna głowa.

– Dogonicie nas bez trudu – Zoltan zarzucił na ramię rukzak i sihill, poprawił toporek za pasem. – Idziemy z biegiem O, potem wzdłuż Chotli do Iny. Bywajcie.

– Ciekawe – mruknęła Milva do Geralta, gdy osłabiony oddziałek ruszył w drogę, żegnany machaniem pozostawionej z tyłu czwórki krasnoludów. – Ciekawe, cóż takiego mieli w tych sepetach, że aż zakopać je trzeba i miejsce oznaczyć? I to tak, by nie widziało tego żadne z nas?

– Nie nasza rzecz.

– Nie sądzę – rzekł półgłosem Jaskier, ostrożnie kierując Pegazem wśród obalonych pni – żeby w tych kuferkach były gacie na zmianę. Oni wielkie nadzieje wiążą z tym ładunkiem. Dostatecznie często z nimi gadałem, by wymiarkować, co w trawie piszczy i co w tych skrzynkach może być ukryte.

– A co tam może być ukryte, twoim zdaniem?

– Ich przyszłość – poeta obejrzał się, czy ktoś nie słyszy. – Percival jest z zawodu szlifierzem kamieni, chce założyć własny warsztat. Figgis i Yazon są kowalami, mówili o kuźni. Caleb Stratton chce się żenić, a rodzice narzeczonej już raz przepędzili go jako golca. A Zoltan...

– Przestań, Jaskier. Plotkujesz jak baba. Przepraszam, Milva.

– A i nie ma za co.

Za rzeczką, za ciemnym i podmokłym pasem starodrzewu las zrzedł, wyjechali na polany, niskie brzeziny i suche łąki. Mimo tego jechali wolno. Za przykładem Milvy, która natychmiast po wyruszeniu wzięła na łęk piegowatą dziewuszkę z warkoczykami, Jaskier również posadził

dziecko na Pegaza, a Zoltan wziął na cisawego ogierka dwoje, sam szedł obok, trzymając wodze. Ale tempo nie wzrosło, kobiety z Kernow nie były w stanie nadążyć.

•

Był prawie wieczór, gdy po blisko godzinie kluczenia wśród jarów i wąwozów Zoltan Chivay zatrzymał się, wymienił kilka słów z Percivalem Schuttenbachem, po czym odwrócił się do reszty kompanii.

– Nie wrzeszczcie i nie śmiejcie się ze mnie – powiedział. – Ale wydaje mi się, że zabłądziłem. Nie wiem, cholera jasna, gdzie jesteśmy i którędy mamy iść.

– Nie opowiadaj głupstw – zdenerwował się Jaskier. – Co to znaczy, nie wiesz? Przecież kierujemy się biegiem rzeczki. A tam, w wąwozie, to wszakże wasza rzeczka O. Mam rację?

– Masz. Ale zauważ, w którą stronę ona płynie.

– Jasna cholera. To niemożliwe!

– Możliwe – powiedziała ponuro Milva, cierpliwie wyciągając suche listki i igliwie z włosów piegowatej dziewuszki, którą wiozła na łęku. – Pogubiliśmy się wśród jarów. Rzeka kręci, wywija podkowy. Jesteśmy na łuku.

– Ale to ciągle rzeczka O – upierał się Jaskier. – Jeśli będziemy trzymać się rzeczki, nie możemy zabłądzić. Rzeczkom zdarza się meandrować, przyznaję, ale końcem końców wszystkie nieodmiennie do czegoś wpadają. Taki jest porządek świata.

– Nie wymądrzaj się, śpiewaku – zmarszczył nos Zoltan. – Zamknij gębę. Nie widzisz, że właśnie myślę?

– Nie. Nic nie wskazuje, byś myślał. Powtarzam, trzymajmy się biegu rzeczki, a wówczas...

– Zaprzestań – warknęła Milva. – Mieszczuch jesteś. Twój porządek świata murami ogrodzony, tam twe mądrości może i co warte. Rozejrzyj się wkoło! Dolina parowami zryta, brzegi strome i zarośnięte. Jak chcesz wzdłuż rzeczki iść? Zboczem jaru w dół, w chaszcze i bagno, znowu w górę, znowu w dół, znowu w górę, konie za wodze ciągnąc? Po dwóch jarach tak ci się oddech skróci, że w połowie zbocza plackiem zalegniesz. My kobiety i dzieci wiedziemy, Jaskier. A wnetki słońce zajdzie.

– Zauważyłem. Ale dobrze, milczę. Posłucham, co zaproponują obyci z lasami tropiciele śladów.

Zoltan Chivay trzepnął po łbie klnącą papugę, nakręcił na palec kłak brody, szarpnął ze złością.

– Percival?

– Kierunek z grubsza znamy – gnom spojrzał na słońce, wiszące tuż-tuż nad koronami drzew. – Tedy pierwsza koncepcja jest taka: pluńmy na rzeczkę, zawróćmy, wyjdźmy z jarów znowu na suchy teren i idźmy przez Fen Carn, wskroś międzyrzecza, aż do Chotli.

– Druga koncepcja?

– O jest płytka. Choć po ostatnich deszczach niesie więcej wody niż zwykle, można ją przebrodzić. Tnijmy meandry, brodząc strugę, ilekroć zagrodzi nam szlak. Trzymając kierunek podle słońca, wyjdziemy wprost na widły Chotli i Iny.

– Nie – odezwał się nagle wiedźmin. – Z drugiej koncepcji proponuję od razu zrezygnować. Nawet o tym nie myślmy. Na tamtym brzegu prędzej czy później wpakujemy się na któreś z Miechunowych Uroczysk. To paskudne miejsca, stanowczo radzę trzymać się od nich z daleka.

– Znasz tedy te tereny? Byłeś tu kiedyś? Wiesz, jak się stąd wydostać?

Wiedźmin milczał przez chwilę.

– Byłem tam raz – powiedział, trąc czoło. – Trzy lata temu. Ale wjechałem z przeciwnej strony, od wschodu. Zmierzałem ku Brugge i chciałem skrócić sobie drogę. A jak się wydostałem, nie pamiętam. Bo wywieziono mnie półżywego na wozie.

Krasnolud patrzył na niego przez chwilę, ale więcej pytań nie zadawał.

Zawrócili w milczeniu. Kobiety z Kernow szły z trudem, potykając się i wspierając na kosturach, ale żadna nie uroniła słowa skargi. Milva jechała tuż obok wiedźmina, podtrzymując w ramionach uśpioną na łęku dziewuszkę z warkoczykami.

– Miarkuję – odezwała się nagle – że poharatali cię tam na uroczyskach, wtedy, trzy roki temu. Jakiś potwór, mniemam. Hazardowne masz zajęcie, Geralt.

– Nie przeczę.

– Ja wiem – pochwalił się z tyłu Jaskier – jak to wtedy było. Byłeś ranny, jakiś kupiec wywiózł cię stamtąd, a potem na Zarzeczu odnalazłeś Ciri. Mówiła mi o tym Yennefer.

Na dźwięk imienia Milva uśmiechnęła się lekko. Uwadze Geralta to nie uszło. Postanowił na najbliższym biwaku zdrowo natrzeć Jaskrowi uszu za niepohamowane mielenie ozorem. Znając poetę, nie liczył jednak na efekty, tym bardziej że prawdopodobnie Jaskier wypaplał już wszystko, co wiedział.

– Może źle się jednak stało – powiedziała po chwili łuczniczka – że nie pojechaliśmy na tamten brzeg, na uroczyska. Jeśliś wonczas dziewczynę odnalazł... Elfy powiadają, że jeśli wtóry raz takie miejsce odwiedzić, gdzie się coś wydarzyło, to czas powtórzyć się może... Mówią na to... Psiamać, zapomniałam. Stryczek losu?

– Pętla – poprawił. – Pętla losu.

– Tfu! – skrzywił się Jaskier. – Przestalibyście gadać o stryczkach i pętlach. Mnie kiedyś elfka wywróżyła, że na rusztowaniu pożegnam ten padół łez, za sprawą małodobrego mistrza. Nie wierzę wprawdzie w tego typu tanie wróżbiarstwo, ale parę dni temu przyśniło mi się, że mnie wieszają. Obudziłem się cały spocony, śliny nie mogłem przełknąć ani tchu złapać. Nierad więc słucham, jak ktoś o szubienicach rozprawia.

– Nie do ciebie gadam, jeno do wiedźmina – odparowała Milva. – A ty uszów nie nadstawiaj, tedy nic paskudnego nie wleci do nich. Co, Geralt? Co na ową pętlę losu rzekniesz? Gdybyśmy na uroczyska pojechali, a nuż powtórzyłby się czas?

– Dlatego dobrze, że zawróciliśmy – odpowiedział szorstko. – Nie mam najmniejszej ochoty powtarzać koszmaru.

•

– Nie ma co – pokiwał głową Zoltan, rozglądając się. – W urocze miejsce nas wywiodłeś, Percival.

– Fen Carn – mruknął gnom, drapiąc się w czubek długiego nosa. – Błonie Kurhanów... Zawsze zastanawiałem się, skąd ta nazwa...

– Teraz już wiesz.

Rozległa kotlina przed nimi osnuta już była wieczornym oparem, z którego, niczym z morza, sterczały jak okiem sięgnąć tysięczne kurhany i omszałe monolity. Niektóre z głazów były zwykłymi bezkształtnymi bryłami. Inne, równo ociosane, obrobiono na obeliski i menhiry. Jeszcze inne, stojące bliżej centrum tego kamiennego lasu, były

pogrupowane w dolmeny, tumulusy i kromlechy, ustawione w kręgi w sposób wykluczający przypadkowe działanie natury.

– Zaiste – powtórzył krasnolud. – Urokliwe miejsce na spędzenie nocy. Elfi cmentarz. Jeśli mnie pamięć nie myli, wiedźminie, niedawno wspominałeś o ghulach? No, to wiedz, że ja je czuję wśród tych kurhanów. Tu musi być wszystko. Ghule, graveiry, upiory, wichty, elfie duchy, zjawy, widma, pełny przegląd. Wszystkie siedzą tam i wiecie, co właśnie szepczą? Że oto nie trza wieczerzy szukać, bo sama przyszła.

– Może zawróćmy? – zaproponował szeptem Jaskier. – Może wynieśmy się stąd, póki jeszcze w miarę widno?

– Też jestem tego zdania.

– Baby ni kroku już nie ujdą – powiedziała gniewnie Milva. – Dziecka przez ręce lecą. Konie ustały. Sam poganiałeś, Zoltan, jeszcze idźmy, jeszcze z pół mili, powtarzałeś, jeszcze ze staje, gadałeś. A teraz co? Ze dwa stajania nazad? Łajno. Cmentarz nie cmentarz, zanocujem, gdzie wypadło.

– A i owszem – poparł ją wiedźmin, zsiadając. – Nie panikujcie. Nie każda nekropolia roi się od potworów i widm. Nie bywałem nigdy na Fen Carn, ale gdyby tu było naprawdę niebezpiecznie, słyszałbym o tym.

Nikt, nie wyłączając Feldmarszałka Dudy, nie odezwał się ani nie skomentował. Kobiety z Kernow odebrały swe dzieci i siadły w ciasnej grupce, milczące i wyraźnie wystraszone. Percival i Jaskier spętali konie i puścili je na bujną trawę. Geralt, Zoltan i Milva zbliżyli się do skraju łąki, obserwując tonące w mgłach i zapadającym mroku cmentarzysko.

– Na domiar złego księżyc równiutko w pełni – mruknął krasnolud. – Oj, będzie dziś w nocy upiorowe święto, czuję, oj, dadzą nam demony bobu... A co to tam jaśnieje od południa? Nie łuna?

– A jakże, łuna – potwierdził wiedźmin. – Znowu ktoś komuś strzechy nad głowami zapalił. Wiesz co, Zoltan? Jakoś bezpieczniej czuję się tu, na Fen Carn.

– Ja też się tak poczuję, ale gdy słońce wzejdzie. O ile pozwolą nam ghule wschód obejrzeć.

Milva pogrzebała w sakwie, wyciągnęła coś błyszczącego.

– Srebrny grot – powiedziała. – Na takową okazję chowany. Pięć koron mnie na bazarze kosztował. Takim ghula da się ubić, wiedźminie?

– Nie sądzę, by tu były ghule.

– Sam mówiłeś – warknął Zoltan – że wisielca na dębie ghule obgryzły. A gdzie cmentarz, tam i ghule.

– Nie zawsze.

– Trzymam cię za słowo. Tyś wiedźmin, specjalista, będziesz nas tedy bronił, mam nadzieję. Maruderów dziarsko pochlastałeś... Czy ghule biją się lepiej od maruderów?

– Nieporównanie. Prosiłem, przestań panikować.

– A na wąpierza dobry będzie? – Milva nakręciła srebrny grot na brzechwę, sprawdziła ostrość opuszkiem kciuka. – Albo na upiora?

– Może podziałać.

– Na moim sihillu – warknął Zoltan, obnażając miecz – wyryte jest starodawnymi krasnoludzkimi runami prastare krasnoludzkie zaklęcie. Niech no jeno który ghul zbliży się na długość klingi, popamięta mnie. O, popatrzcie.

– Ha – zaciekawił się Jaskier, który właśnie zbliżył się do nich. – Więc to są słynne tajne runy krasnoludów? Co głosi ten napis?

– „Na pohybel skurwysynom!”

– Coś się ruszyło wśród kamieni! – wrzasnął nagle Percival Schuttenbach. – Ghul, ghul!

– Gdzie?

– Tam, tam! Wśród głazów się skrył!

– Jeden?

– Jednego widziałem!

– Musi zdrowo być głodny, skoro próbuje nas podskubać, nim jeszcze ciemność zapadła. – Krasnolud popluł w dłonie i mocno uchwycił rękojeść sihilla. – Ha! Zaraz się przekona, że łakomstwo gubi! Milva, wsadź mu strzałę w rzyć, a ja wypuszczę z niego wątpia!

– Nic tam nie widzę – syknęła Milva z lotką strzały przy podbródku. – Ani chwast między kamieniami nie drgnie. Nie przywidziało ci się, gnomie?

– Żadną miarą – zaprotestował Percival. – Widzicie ten głaz, co wygląda jak rozwalony stół? Tam się ghul skrył, za ten głaz właśnie.

– Zostańcie tu – Geralt szybkim ruchem wyciągnął miecz z pochwy na plecach. – Strzeżcie bab i uważajcie na konie. Gdyby ghule zaatakowały, zwierzęta wpadną w szał. Ja pójdę i sprawdzę, co to było.

– Sam nie pójdziesz – zaprotestował stanowczo Zoltan. – Wtedy, na porębie, pozwoliłem ci iść samemu, bom przed ospą stchórzył. I przez

dwie noce z rzędu nie mogłem ze sromoty spać. Nigdy więcej! Percival, a ty dokąd? Na tyły? Tyś niby upiora zoczył, to teraz w przedniej straży pójdziesz. Nie lękaj się, ja idę za tobą.

Ostrożnie weszli między kurhany, starając się nie szeleścić w chwastach, sięgających Geraltowi powyżej kolan, a krasnoludowi i gnomowi do pasa. Zbliżając się do dolmenu, który wskazał Percival, rozdzielili się sprytnie, odcinając ghulowi możliwe drogi ucieczki. Ale strategia okazała się daremną. Geralt wiedział, że tak będzie – jego wiedźmiński medalion nie drgnął nawet, nie zasygnalizował niczego.

– Nikogo tu nie ma – stwierdził fakt Zoltan, rozglądając się. – Ni żywego ducha. To było jednak przywidzenie, Percival. Fałszywy alarm. Napędziłeś nam niepotrzebnie stracha, zaprawdę, godzien za to jesteś kopniaka w rzyć.

– Widziałem! – zaperzył się gnom. – Widziałem, jak między kamieniami przeskakiwał! Chudy był, czarny jak poborca podatków...

– Milcz, gnomie głupi, bo jak cię...

– Co to za dziwny zapach? – spytał nagle Geralt. – Nie czujecie?

– W rzeczy samej – krasnolud powęszył jak wyżeł. – Dziwnie śmierdzi.

– Zioła – Percival pociągnął swym wrażliwym, długim na dwa cale nosem. – Piołun, bazylia, szałwia, anyżek... Cynamon? Ki diabeł?

– Czym śmierdzą ghule, Geralt?

– Trupem – wiedźmin rozejrzał się bystro, szukając śladów wśród traw, potem kilkoma szybkimi krokami wrócił do zapadniętego dolmenu i lekko postukał płazem miecza o kamień.

– Wyłaź – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Wiem, że tam jesteś. Żywo albo pchnę w dziurę żelazem.

Z doskonale zamaskowanej jamy pod głazami rozległ się cichy chrobot.

– Wyłaź – powtórzył Geralt. – Niczego ci nie zrobimy.

– Włos ci z głowy nie spadnie – zapewnił słodko Zoltan, wznosząc nad dziurą sihill i groźnie przewracając oczami. – Wychodź śmiało!

Geralt pokręcił głową i zdecydowanym gestem nakazał mu odstąpić. Z dziury pod dolmenem zachrobotało ponownie i ostro powiało ziołowo-korzennym zapachem. Po chwili ujrzeli szpakowatą głowę, a potem twarz ozdobioną szlachetnie garbatym nosem, należącą bynajmniej nie do ghula, lecz do szczupłego mężczyzny w średnim wieku. Percival nie

mylił się. Mężczyzna w samej rzeczy przypominał nieco poborcę podatków.

– Mogę wyjść bez obawy? – spytał, unosząc na Geralta czarne oczy pod lekko siwymi brwiami.

– Możesz.

Mężczyna wygramolił się z dziury, otrzepał czarną szatę, przewiązaną w pasie czymś w rodzaju fartucha, poprawił płócienną torbę, powodując kolejną falę ziołowych zapachów.

– Proponuję, by schowali panowie broń – oświadczył spokojnym głosem, wodząc oczami po otaczających go wędrowcach. – Nie będzie potrzebna. Ja, jak widzicie, żadnego oręża nie noszę. Nigdy nie noszę. Nie mam również przy sobie niczego, co można by nazwać godziwym łupem. Zwę się Emiel Regis. Pochodzę z Dillingen. Jestem cyrulikiem.

– W istocie – skrzywił się lekko Zoltan Chivay. – Cyrulik, alchemik lub zielarz. Bez obrazy, moiściewy, ale zdrowo jedzie od was apteką.

Emiel Regis uśmiechnął się dziwnie, zaciśniętymi wargami, przepraszająco rozłożył ręce.

– Zapach was zdradził, panie cyruliku – powiedział Geralt, chowając miecz do pochwy. – Mieliście jakieś szczególne powody, by się przed nami kryć?

– Szczególne? – mężczyzna skierował na niego czarne oczy. – Nie. Ogólne raczej. Przeląkłem się was po prostu. Takie czasy.

– Prawda – przytaknął krasnolud i wskazał kciukiem na rozjaśniającą niebo łunę. – Takie czasy. Miarkuję, żeście uciekinier, tak jak i my. Ciekawe jednakowoż, że choć tak daleko od rodzinnego Dillingen zbieżaliście, samojeden kryjecie się wśród tych kurhanów. No, ale różna ludziom dola wypada, osobliwie w trudnych czasach. Myśmy zlękli się was, wy nas. Strach ma wielkie oczy.

– Z mojej strony – podający się za Emiela Regisa mężczyzna nie spuszczał z nich wzroku – nic wam nie grozi. Mam nadzieję, że mogę liczyć na wzajemność?

– Cóż to – Zoltan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Za rozbójników nas macie, czy jak? My, panie cyruliku, też jesteśmy uciekinierzy. Zmierzamy w kierunku granicy temerskiej. Jeśli chcecie, możecie się przyłączyć. W kupie raźniej i bezpieczniej niż w pojedynkę, a nam medyk może się przydać. Prowadzimy kobiety i dzieci. Czy wśród

tych śmierdzących driakwi, które, jak czuję, macie przy sobie, znajdzie się lek na obtarte nogi?

– Coś się znajdzie – powiedział cicho cyrulik. – Rad okażę pomoc. Jeśli zaś chodzi o wspólne wędrowanie... Dziękuję za propozycję, ale ja nie jestem uciekinierem, panowie. Nie uciekłem z Dillingen przed wojną. Ja tutaj mieszkam.

– Że jak? – zmarszczył brwi krasnolud, cofając się o krok. – Mieszkacie tu? Tu, na cmentarzysku?

– Na cmentarzysku? Nie. Mam chatę niedaleko stąd. Oprócz domu i sklepu w Dillingen, ma się rozumieć. Ale tutaj spędzam lato, co roku, od czerwca do września, od Sobótki do ekwinokcjum. Zbieram lecznicze zioła i korzenie, z części na miejscu destyluję leki i eliksiry...

– Ale o wojnie wiecie – stwierdził, nie zapytał Geralt – pomimo pustelniczej samotności z dala od świata i ludzi. Od kogo?

– Od uciekinierów, którzy tędy ciągnęli. Niecałe dwie mile stąd, nad rzeką Chotlą, jest wielki obóz. Zgrupowało się tam dobre parę setek zbiegów, wieśniaków z Brugge i Sodden.

– A wojska temerskie? – zaciekawił się Zoltan. – Ruszyły się?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Krasnolud zaklął, potem łypnął na cyrulika.

– Tak tedy mieszkacie tu sobie, panie Regis – powiedział przeciągle. – Nocami zaś spacerujecie wśród grobów. Nie strach wam?

– Czego miałbym się lękać?

– Ten oto jegomość – Zoltan wskazał na Geralta – jest wiedźminem. Widział niedawno ślady ghuli. Trupojadów, rozumiecie? A nie trzeba być wiedźminem, by wiedzieć, że ghule trzymają się cmentarzy.

– Wiedźmin – cyrulik spojrzał na Geralta z wyraźnym zainteresowaniem. – Zabójca potworów. No, no. Ciekawe. Nie wyjaśniliście towarzyszom, panie wiedźminie, że ta nekropolia liczy sobie ponad pół tysiąca lat? Ghule nie przebierają w jedzeniu, ale nie gryzą pięćsetletnich kości. Nie ma ich tutaj.

– Absolutnie mnie to nie martwi – rzekł Zoltan Chivay, rozglądając się. – No, panie medyku, pozwólcie do naszego obozowiska. Mamy zimną koninę, przecie nie pogardzicie?

Regis patrzył na niego długo.

– Dziękuję – powiedział wreszcie. – Mam jednak lepszy pomysł. Zapraszam do mnie. Moje letnie domostwo to wprawdzie szałas raczej

niż chata, i to maleńki, nocować i tak przyjdzie wam pod księżycem. Ale jest przy chacie źródlana woda. I palenisko, na którym można odgrzać koninę.

– Skorzystamy z chęcią – ukłonił się krasnolud. – Może i nie ma tu ghuli, ale i tak myśl o nocy na tym cmentarzu nieszczególnie mnie nastraja. Chodźmy, poznacie resztę naszej kompanii.

Gdy podchodzili do obozowiska, konie zaparskały, uderzyły kopytami o grunt.

– Stańcie nieco pod wiatr, panie Regis – Zoltan Chivay obrzucił medyka wymownym spojrzeniem. – Zapach szałwii płoszy wierzchowce, a mnie, wstyd przyznać, przykro kojarzy się z wyrywaniem zębów.

•

– Geralt – mruknął Zoltan, gdy tylko Emiel Regis znikł za płachtą przesłaniającą wejście do chaty. – Miejmy oczy otwarte. Ten śmierdzący zielarz niezbyt mi się podoba.

– Jakiś konkretny powód?

– Nie podobają mi się ludzie spędzający lato opodal cmentarzy, i to cmentarzy bardzo odległych od miejsc zamieszkania. Czyżby w milszych okolicach nie rosły zioła? Ten cały Regis patrzy mi na rabusia grobów. Cyrulicy, alchemicy i im podobni wykopują na żalnikach trupy, by później wyczyniać z nimi różne ekskrementy.

– Eksperymenty. Ale do takich praktyk używa się świeżych zwłok. Ten cmentarz jest bardzo stary.

– Fakt – podrapał się w brodę krasnolud, obserwując kobiety z Kernow, szykujące sobie nocleg pod krzakami czeremchy rosnącymi dookoła chałupy cyrulika. – Może więc on ograbia mogiły z ukrytych kosztowności?

– Zapytaj go – wzruszył ramionami Geralt. – Zaproszenie do jego sadyby przyjąłeś z miejsca, bez certowania się, a teraz nagle zrobiłeś się podejrzliwy niby stara panna, gdy jej prawią komplementy.

– Hmmm... – zacukał się Zoltan. – Trochę racji masz. Ale chętnie rzuciłbym okiem, co on tam ma w tej lepiance. Ot tak, dla pewności...

– Wejdź tam za nim i udaj, że chcesz pożyczyć widelec.

– Dlaczego widelec?

– A dlaczego nie?

Krasnolud popatrzył na niego przeciągle, w końcu jednak zdecydował się, szparkim krokiem zbliżył się do chatki, zapukał grzecznie w ościeżnicę i wszedł. Nie wychodził kilka bitych chwil, po czym nagle pojawił się w drzwiach.

– Geralt, Percival, Jaskier, pozwólcie. Zobaczycie coś interesującego. No, śmiało, bez ceregieli, pan Regis nas zaprasza.

Wnętrze chaty było ciemne i przepełnione ciepłym, oszołamiającym, wiercącym w nozdrzach zapachem, bijącym głównie od pęków ziół i korzeni, którymi obwieszone były wszystkie ściany. Za całe umeblowanie służył barłóg, również usłany ziołami, oraz krzywy stół, zagracony niezliczoną ilością szklanych, glinianych i porcelanowych buteleczek. Skąpe światło, które pozwalało widzieć to wszystko, wydzielały węgle w palenisku dziwacznego pękatego piecyka, przypominającego brzuchatą klepsydrę. Piecyk otaczała pajęcza sieć błyszczących rurek różnej średnicy, powykręcanych w łuki i spirale. Pod jedną z takich rurek stał drewniany ceber, do którego kapało.

Na widok piecyka Percival Schuttenbach wybałuszył oczy, rozdziawił usta, westchnął, a potem podskoczył.

– Ho, ho, ho! – zawołał w nie dającym się ukryć zachwyceniu. – Co ja widzę? Toż to najprawdziwszy atanor sprzężony z alembikiem! Wyposażony w kolumnę rektyfikacyjną i miedzianą chłodnicę! Piękna robota! Samiście to skonstruowali, panie cyruliku?

– Owszem – przyznał skromnie Emiel Regis. – Zajmuję się wyrobem eliksirów, muszę więc destylować, wyciągać piąte esencje, a także...

Urwał, widząc, jak Zoltan Chivay łowi kapiącą z rurki kroplę i oblizuje palec. Krasnolud westchnął, na jego rumianej twarzy odmalowała się nieopisana błogość.

Jaskier nie wytrzymał, również spróbował. I jęknął z cicha.

– Piąta esencja – przyznał, mlaskając. – I chyba szósta albo nawet siódma.

– No tak... – cyrulik uśmiechnął się lekko. – Mówiłem, destylat...

– Samogon – poprawił bez nacisku Zoltan. – I to jaki. Spróbuj, Percival.

– Ale ja się nie znam na organicznej chemii – odrzekł w roztargnieniu gnom, na kolanach oglądający szczegóły montażu alchemicznego pieca. – Wątpliwe, bym poznał składniki...

– Destylat jest z alrauny – rozwiał wątpliwości Regis. – Wzbogaconej belladonną. I sfermentowaną masą skrobiową.

– Znaczy, zacierem?

– Można to i tak nazwać.

– A jakiś kubek można dostać?

– Zoltan, Jaskier – wiedźmin skrzyżował ręce na piersi. – Czy wy głusi jesteście? To mandragora. Samogon jest zrobiony z mandragory. Zostawcie w spokoju ten kociołek.

– Ależ drogi panie Geralt – alchemik wygrzebał niewielką menzurkę spomiędzy zakurzonych retort i butli, pieczołowicie wytarł ją szmatką. – Nie ma się czego lękać. Mandragora jest właściwie sezonowana, a proporcje starannie dobrane i precyzyjnie odważone. Na librę masy skrobiowej daję tylko pięć uncji alrauny, a belladonny tylko pół drachmy...

– Nie o to szło – Zoltan spojrzał na wiedźmina, zrozumiał w lot, spoważniał, ostrożnie cofnął się od piecyka. – Nie o to się rozchodzi, panie Regis, ile drachm wrzucacie, ale o to, ile drachma alrauny kosztuje. Zbyt drogi to trunek jak dla nas.

– Mandragora – szepnął z podziwem Jaskier, wskazując na piętrzącą się w kącie szałasu kupkę bulw przypominających małe buraki cukrowe. – To jest mandragora? Prawdziwa mandragora?

– Odmiana żeńska – kiwnął głową alchemik. – Rośnie w dużych skupiskach właśnie na cmentarzu, na którym przyszło nam się poznajomić. Dlatego też tutaj właśnie spędzam lato.

Wiedźmin wymownie spojrzał na Zoltana. Krasnolud mrugnął. Regis uśmiechnął się półgębkiem.

– Proszę, proszę, panowie, jeśli macie ochotę, serdecznie zapraszam do degustacji. Doceniam wasz takt, ale w obecnej sytuacji mało mam szans, by dowieźć eliksiry do objętego wojną Dillingen. To wszystko i tak musiałoby się zmarnować, w związku z czym nie mówmy o cenach. Przepraszam, ale naczynie do picia mam tylko jedno.

– Wystarczy – mruknął Zoltan, biorąc menzurkę i ostrożnie naczerpując z cebrzyka. – Pańskie zdrowie, panie Regis. Uuuuuuch...

– Proszę wybaczenia – uśmiechnął się znowu cyrulik. – Jakość destylatu pozostawia zapewne wiele do życzenia... To w zasadzie półfabrykat.

– To najlepszy półfabrykat, jaki w życiu piłem – złapał oddech Zoltan. – Masz, poeto.

– Aaaach... O, matko moja! Przedni! Spróbuj, Geralt.

– Gospodarzowi – wiedźmin ukłonił się lekko w stronę Emiela Regisa. – Gdzie twoje maniery, Jaskier?

– Raczcie wybaczyć, panowie – odkłonił się alchemik – ale nie pozwalam sobie na żadne używki. Zdrowie już nie to, co niegdyś, przyszło zrezygnować... z wielu przyjemności.

– Nawet łyczka?

– Chodzi o zasadę – wyjaśnił spokojnie Regis. – Nigdy nie łamię zasad, które sam sobie określam.

– Podziwiam i zazdroszczę pryncypialności – Geralt upił nieco z menzurki, po chwili wahania golnął do dna. W delektowaniu się smakiem przeszkodziły nieco łzy, cieknące z oczu. Po żołądku rozlało się ożywcze ciepło.

– Pójdę po Milvę – zaofiarował się, oddając naczynie krasnoludowi. – Nie wydudlijcie wszystkiego, nim wrócimy.

Milva siedziała w pobliżu koni, przekomarzając się z piegowatą dziewuszką, którą cały dzień wiozła na łęku. Gdy dowiedziała się o gościnności Regisa, zrazu wzruszyła ramionami, ale nie dała się długo prosić.

Gdy weszli do szałasu, zastali towarzystwo przy oględzinach zmagazynowanych korzeni mandragory.

– Pierwszy raz widzę – przyznał się Jaskier, obracając w palcach kłączastą bulwę. – Rzeczywiście, nieco przypomina człowieka.

– Pokręconego przez lumbago – stwierdził Zoltan. – A ten drugi, o, wypisz wymaluj baba w ciąży. Ten zaś, z przeproszeniem, jakby dwoje ludzi, zajętych pochędóżką.

– Wam tylko jedno w głowie – Milva chwacko wychyliła napełnioną menzurkę, mocno kaszlnęła w pięść. – A niech mnie... Krzepka ta gorzała! Prawdziwie to z dziwostrętu? Ha, tedy czarodziejski napitek pijemy! Nie co dnia się trafia. Dzięki, panie cyruliku.

– Ależ cała przyjemność po mojej stronie.

Konsekwentnie napełniana menzurka okrążyła kompanię, pobudzając humor, wigor i gadatliwość.

– Taka mandragora, jakem słyszał, to warzywo o wielkiej magicznej mocy – rzekł z przekonaniem Percival Schuttenbach.

– A jakże – potwierdził Jaskier, po czym golnął sobie, otrząsnął się i zaczął gadać. – Mało to ballad na ten temat ułożono? Czarodzieje używają mandragory do eliksirów, dzięki którym zachowują wieczną młodość. Czarodziejki nadto wyrabiają z alrauny maść, która nazywa się glamarye. Wysmarowana taką maścią czarodziejka robi się tak piękna i czarowna, że oczy na wierzch wyłażą. Trzeba wam też wiedzieć, że mandragora jest silnym afrodyzjakiem i używa się jej do magii miłosnej, zwłaszcza do przełamywania dziewczęcych oporów. Stąd właśnie bierze się ludowa nazwa mandragory: dziwostręt. Znaczy się, ziele, które stręczy dziwki.

– Bałwan – skomentowała Milva.

– A ja słyszałem – rzekł gnom, wychyliwszy napełnione naczynie – że gdy się korzeń alrauny ze ziemi wyciąga, to roślina płacze i zawodzi jak żywa.

– Ba – powiedział Zoltan, naczerpując z cebrzyka. – Żeby tylko zawodziła! Mandragora, mówią, wrzeszczy tak okropnie, że zmysły postradać od tego można, a nadto gusła wykrzykuje i klątwy miota na tego, kto ją z ziemi wyrywa. Życiem można taki hazard przypłacić.

– Widzi mi się to osielską bajędą – Milva wzięła od niego menzurkę, wypiła z rozmachem i otrząsnęła się. – Nie może to być, by roślina taką moc miała.

– Niezawodna to prawda! – zawołał zapalczywie krasnolud. – Ale roztropni zielarze wynaleźli sposób, by się ochronić. Znalazłszy alraunę, trzeba umotać do korzenia postronek jednym końcem, do drugiego zasię końca postronka uwiązać psa...

– Albo świnię – wtrącił gnom.

– Albo dziką świnię – dodał poważnie Jaskier.

– Głupiś, poeto. Rzecz w tym, by to sobaka albo świnia mandragorę z ziemi wytargała, wówczas klątwy i uroki zielska na ciągnącego zwierzaka spadną, zielarz zasię, daleko i bezpiecznie w chaszczach ukryty, cało ujdzie. Co, panie Regis? Słusznie mówię?

– Metoda jest interesująca – przyznał alchemik, uśmiechając się zagadkowo. – Głównie przez jej pomysłowość. Minusem jest jednak daleko posunięta komplikacja. Wszakże teoretycznie wystarczyłby sam postronek, bez pociągowego zwierzęcia. Nie posądzałbym mandragory o zdolność rozpoznania, kto ciągnie za postronek. Czary i klątwy zawsze

powinny spaść na sznurek, który jest przecież tańszy i mniej kłopotliwy w obsłudze niż pies, że o świni nie wspomnę.

– Kpicie?

– Gdzieżbym śmiał. Mówiłem, podziwiam pomysłowość. Bo jakkolwiek mandragora, wbrew powszechnej opinii, nie jest zdolna do rzucania uroków czy klątw, jest to w stanie świeżym roślina silnie toksyczna, tak dalece, że trująca jest nawet gleba wokół korzenia. Pryśnięcie świeżego soku na twarz lub na skaleczoną dłoń, ba, nawet wdychanie oparu może mieć fatalne skutki. Ja używam maski i rękawic, co nie znaczy, bym miał coś do zarzucenia metodzie postronka.

– Hmmm... – zastanowił się krasnolud. – A z owym krzykiem straszliwym, który wyrywana alrauna wydaje, prawda to?

– Mandragora nie posiada strun głosowych – wyjaśnił spokojnie alchemik. – To raczej typowe dla roślin, nieprawdaż? Wydzielana przez kłącze toksyna ma jednak silne działanie halucynogenne. Głosy, krzyki, szepty i inne dźwięki to nic innego, jak halucynacje wytwarzane przez porażony centralny ośrodek nerwowy.

– Ha, na śmierć zapomniałem – z ust Jaskra, który właśnie wychylił menzurkę, wyrwało się stłumione beknięcie. – Mandragora jest silnie trująca! A ja brałem ją do ręki! A teraz chlamy ten wywar bez opamiętania...

– Toksyczny jest wyłącznie świeży korzeń alrauny – uspokoił go Regis. – Mój jest sezonowany i właściwie przygotowany, a destylat jest filtrowany. Nie ma powodu do obaw.

– Pewnie, że nie ma – zgodził się Zoltan. – Bimber zawsze będzie bimbrem, pędzić go można nawet z szaleju, pokrzywy, rybich łusek i starych sznurowadeł. Dawaj szklankę, Jaskier, bo kolejka czeka.

Konsekwentnie napełniana menzurka okrążyła kompanię. Wszyscy porozsiadali się wygodnie na polepie. Wiedźmin syknął i zaklął, poprawił pozycję, bo przy siadaniu ból znowu przeszył mu kolano. Zobaczył, że Regis przygląda mu się uważnie.

– Świeża rana?

– Niezbyt. Ale dokucza. Masz tu jakieś zioła, zdolne uśmierzyć ból?

– To zależy od rodzaju bólu – uśmiechnął się nieznacznie cyrulik. – I od jego przyczyn. W twoim pocie, wiedźminie, wyczuwam dziwny zapach. Byłeś leczony magią? Podawano ci magiczne enzymy i hormony?

– Podawano mi różne leki. Nie miałem pojęcia, że jeszcze można je wywęszyć w moim pocie. Masz cholernie czuły węch, Regis.

– Każdy ma jakieś zalety. Dla wyrównania wad. Jaką dolegliwość leczono ci magicznie?

– Miałem złamaną rękę i trzon kości udowej.

– Jak dawno temu?

– Miesiąc z okładem.

– I już chodzisz? Niebywałe. Driady z Brokilonu, prawda?

– Jak na to wpadłeś?

– Tylko driady znają leki, zdolne tak szybko odbudować tkankę kostną. Na wierzchach twoich dłoni widzę ciemne punkty, miejsca, w które wniknęły korzonki conynhaeli i symbiotyczne pędy purpurowego żywokostu. Conynhaelą umieją się posługiwać wyłącznie driady, a purpurowy żywokost nie rośnie poza Brokilonem.

– Brawo. Bezbłędna dedukcja. Mnie jednak interesuje coś innego. Złamano mi kość uda i przedramię. Silne bóle odczuwam natomiast w kolanie i w łokciu.

– Typowe – pokiwał głową cyrulik. – Magia driad odbudowała ci uszkodzoną kość, ale jednocześnie spowodowała małą rewolucję w pniach nerwowych. Skutek uboczny, najsilniej odczuwalny w stawach.

– Co możesz mi na to poradzić?

– Nic, niestety. Jeszcze przez długi czas będziesz nieomylnie przewidywał słotę. Zimą bóle się nasilą. Nie zalecałbym ci jednak silnych leków znieczulających. Zwłaszcza narkotyków. Jesteś wiedźminem, w twoim przypadku jest to absolutnie niewskazane.

– Poleczę się więc twoją mandragorą – wiedźmin uniósł napełnioną menzurkę, którą właśnie wręczyła mu Milva, wypił do dna i zakaszlał, aż łzy napłynęły mu do oczu. – Już mi, cholera, lepiej.

– Nie jestem pewien – Regis uśmiechnął się zaciśniętymi wargami – czy leczysz właściwą chorobę. Przypominam też, że winno się leczyć przyczyny, nie zaś objawy.

– Nie w przypadku tego wiedźmina – parsknął nieco już rumiany Jaskier, przysłuchujący się rozmowie. – Jemu akurat, na jego zmartwienia, gorzałka dobrze zrobi.

– Tobie też powinna – Geralt zmroził poetę wzrokiem. – Zwłaszcza jeśli ci od niej jęzor skołowacieje.

– Na to bym raczej nie liczył – uśmiechnął się znowu cyrulik. – W skład preparatu wchodzi belladonna. Wiele alkaloidów, w tym skopolamina. Zanim mandragora was rozbierze, wszyscy niezawodnie dacie mi popis elokwencji.

– Popis czego? – spytał Percival.

– Wymowności. Przepraszam. Używajmy prostszych słów.

Geralt skrzywił wargi w pseudouśmiechu.

– Słusznie – powiedział. – Łatwo popaść w manierę i zacząć używać takich słów na co dzień. Ludzie mają wówczas rozmówcę za aroganckiego błazna.

– Albo za alchemika – powiedział Zoltan Chivay, czerpiąc menzurką z cebra.

– Lub za wiedźmina – parsknął Jaskier – który naczytał się, by móc imponować pewnej czarodziejce. Czarodziejki, moi panowie, na nic tak nie lecą, jak na wyszukany bajer. Prawdę mówię, Geralt? No, opowiedz nam coś...

– Opuść kolejkę, Jaskier – przerwał zimno wiedźmin. – Za szybko działają na ciebie zawarte w tym bimbrze alkaloidy. Rozgadałeś się.

– Przestałbyś, Geralt – skrzywił się Zoltan – z tymi twymi sekretami. Wiele nowego nam Jaskier nie powiedział. Nic na to nie poradzisz, że jesteś chodzącą legendą. Historie o twoich przygodach grywa się w teatrzykach kukiełkowych. W tym i historię o tobie i czarodziejce imieniem Guinevere.

– Yennefer – poprawił półgłosem Regis. – Oglądałem taki spektakl. Historię o polowaniu na dżinna, o ile mnie pamięć nie myli.

– Byłem przy tym polowaniu – pochwalił się Jaskier. – Śmiechu było, powiadam wam...

– Opowiedz wszystkim – Geralt wstał. – Popijając i ubarwiając ładnie. Ja idę się przejść.

– Ejże – żachnął się krasnolud. – Nie ma się o co obrażać...

– Nie zrozumiałeś mnie, Zoltan. Idę ulżyć pęcherzowi. Cóż, zdarza się to nawet chodzącym legendom.

•

Noc była zimna jak wszyscy diabli. Konie tupały i pochrapywały, para buchała im z nozdrzy. Zalana księżycowym światłem buda cyrulika

wyglądała iście bajecznie. Wypisz, wymaluj, chatka leśnej wróżki. Wiedźmin zapiął spodnie.

Milva, która wyszła wkrótce po nim, chrząknęła niepewnie. Jej długi cień zrównał się z jego cieniem.

– Czemu z powrotem zwłóczysz? – spytała. – Naprawdeś się na nich rozeźlił?

– Nie – zaprzeczył.

– Po kiego biesa stoisz tu tedy sam, po księżycu?

– Liczę.

– Hę?

– Od wyruszenia z Brokilonu minęło dwanaście dni, w czasie których przebyłem jakieś sześćdziesiąt mil. Ciri, jak głosi plotka, jest w Nilfgaardzie, stolicy Cesarstwa, mieście, od którego dzieli mnie, według ostrożnych rachunków, coś około dwóch i pół tysiąca mil. Z prostej kalkulacji wynika, że w tym tempie dotrę tam za rok i cztery miesiące. Co ty na to?

– Nic – Milva wzruszyła ramionami, chrząknęła znowu. – Nie umiem rachować tak dobrze, jak ty. Czytać ni pisać w ogóle nie umiem. Jestem głupia, prosta dziewucha ze wsi. Żadna dla ciebie kompania. Ni druh do gadki.

– Nie mów tak.

– Wżdy to prawda – odwróciła się gwałtownie. – Po coś mi te dni i te mile wyliczył? Bym ci co poradziła? Otuchy dodała? Lęk twój odpędziła, stłumiła żal, co targa tobą gorzej niźli ból w połamanym kulasie? Nie umiem! Tobie kogo innego trza. Tamtej, o której Jaskier gadał. Mądrej, uczonej. Ukochanej.

– Jaskier jest papla.

– Jużci. Ale czasem z głową paple. Wracajmy, chcę się jeszcze napić.

– Milva?

– Czego?

– Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego zdecydowałaś się jechać ze mną.

– Nigdyś nie pytał.

– Teraz pytam.

– Teraz za późno. Teraz już sama nie wiem.

•

– No, jesteście nareszcie – ucieszył się na ich widok Zoltan, wyraźnie już zmienionym głosem. – A myśmy tu, wystawcie sobie, ustalili, że Regis rusza z nami w dalszą drogę.

– Doprawdy? – wiedźmin spojrzał na cyrulika uważnie. – Skąd ta nagła decyzja?

– Pan Zoltan – nie spuścił oczu Regis – uświadomił mi, że moje okolice ogarnęła wojna znacznie poważniejsza, niż wynikało to z opowieści uciekinierów. Powrót w tamte strony nie wchodzi w grę, pozostanie na tym pustkowiu nie wydaje się mądre. Samotne wędrowanie również.

– A my, choć zupełnie ci nie znani, wyglądamy na takich, z którymi wędruje się bezpiecznie. Wystarczył ci jeden rzut oka?

– Dwa – odrzekł z lekkim uśmiechem cyrulik. – Jeden na kobiety, którymi się opiekujecie. Drugi na ich dzieci.

Zoltan beknął gromko, skrobnął menzurką o dno cebrzyka.

– Pozory mogą mylić – zadrwił. – Może my zamierzamy sprzedać te baby w niewolę? Percival, zrób no coś z tym aparatem. Odkręć trochę zawór albo co? Chcemy się napić, a ciecze jak krew z nosa.

– Chłodnica nie wyrobi. Wygon będzie ciepły.

– Nie szkodzi. Noc jest chłodna.

Ciepławy samogon ostro pobudził konwersację. Jaskier, Zoltan i Percival nabrali rumieńców, głosy zmieniły im się jeszcze bardziej – w przypadku poety i gnoma można było już w zasadzie mówić o lekkim bełkocie. Zgłodniawszy, towarzystwo żuło zimną koninę i pogryzało znalezione w chacie korzonki chrzanu, roniąc łzy, bo chrzan był równie krzepki, jak bimber. Ale dodawał ognia dyskusji.

Regis nagle dał wyraz zdziwieniu, gdy okazało się, że finalnym celem wędrówki nie jest enklawa masywu Mahakam, odwieczna i bezpieczna krasnoludzka siedziba. Zoltan, który zrobił się jeszcze gadatliwszy od Jaskra, oświadczył, że do Mahakamu nie wróci pod żadnym pozorem, i dał upust swej niechęci wobec panujących tam porządków, zwłaszcza zaś wobec polityki i absolutnej władzy starosty Mahakamu i wszystkich krasnoludzkich klanów, Brouvera Hooga.

– Stary grzyb! – wrzasnął i napluł w palenisko piecyka. – Spojrzysz i nie wiesz, żywy czy wypchany. Prawie się nie rusza, i dobrze, jako że pierdzi przy każdym poruszeniu. Nie sposób zrozumieć, co gada, bo mu

się broda z wąsami skleiła zeschłym barszczem. Ale rządzi wszystkim i wszystkimi, wszyscy muszą tańczyć, jak zagra...

– Trudno jednak twierdzić, by polityka starosty Hooga była zła – wtrącił Regis. – To dzięki jego zdecydowanym akcjom krasnoludy odłączyły się od elfów i nie walczą już wspólnie ze Scoia'tael. A dzięki temu ustały pogromy, dzięki temu nie doszło do karnej ekspedycji na Mahakam. Spolegliwość w kontaktach z ludźmi przynosi owoce.

– Gówno prawda – Zoltan wychylił menzurkę. – W sprawie Wiewiórek staremu piernikowi nie szło o żadną spolegliwość, lecz o to, że zbyt wielu młodzików rzucało robotę w kopalniach i kuźniach, przyłączało się do elfów, by w komandach zażyć swobody i męskiej przygody. Gdy zjawisko urosło do rozmiarów problemu, Brouver Hoog wziął gówniarzy w twarde karby. Gdzieś miał zabijanych przez Wiewiórki ludzi i bimbał na represje, spadające z tego tytułu na krasnoludów, w tym i na wasze osławione pogromy. Te ostatnie guzik go obchodziły i guzik obchodzą, bo krasnoludów osiadłych w miastach uważa za odszczepieńców. Co się zaś tyczy zagrożenia w postaci karnych ekspedycji na Mahakam, to nie rozśmieszajcie mnie, mili moi. Nijakiego zagrożenia nie ma i nie było, bo żaden z królów nie ośmieliłby się ruszyć Mahakamu nawet palcem. Więcej wam powiem: nawet Nilfgaardczycy, gdyby udało im się opanować otaczające masyw doliny, Mahakamu ruszyć się nie ośmielą. Wiecie, dlaczego? Powiem wam: Mahakam to stal. I nie byle jaka. Tam jest węgiel, tam są magnetytowe rudy, nieprzebrany pokład. Wszędzie indziej aby sama darniówka.

– I technika jest w Mahakamie – wtrącił Percival Schuttenbach. – Hutnictwo i metalurgia! Wielkie piece, nie jakieś tam zasrane dymarki. Młoty wodne i parowe...

– Masz, Percival, golnij sobie – Zoltan podał gnomowi napełnione znowu naczynie – bo zanudzisz nas tą twoją techniką. Wszyscy wiedzą o technice. Ale nie wszyscy wiedzą, że Mahakam eksportuje stal. Do królestw, ale i do Nilfgaardu też. A jeśli nas kto palcem tknie, zniszczymy warsztaty i zalejemy kopalnie. A wówczas bijcie się, ludzie, ale na dębowe pały, krzemienie i ośle szczęki.

– Niby taki zawzięty jesteś na Brouvera Hooga i porządki w Mahakamie – zauważył wiedźmin – a nagle zacząłeś mówić „my".

– A i owszem – potwierdził zapalczywie krasnolud. – Jest coś takiego jak solidarność, nie? Przyznam, że trochę też i duma mnie rozpiera,

żeśmy mądrzejsi od pyszałków elfów. Nie zaprzeczycie chyba? Elfy przez parę setek lat udawały, że was, ludzi, wcale nie ma. W niebo patrzały, kwiatki wąchały, a na widok człowieka odwracały wypacykowane oczka. A gdy się okazało, że to nic nie daje, nagle ocknęły się i złapały za broń. Postanowiły zabijać i dać się pozabijać. A my, krasnoludy? Myśmy się przystosowali. Nie, nie daliśmy się wam podporządkować, niech się wam to nie marzy. To myśmy was sobie podporządkowali. Ekonomicznie.

– Prawdę powiedziawszy – odezwał się Regis – wam było łatwiej się przystosować niż elfom. Elfów integruje ziemia, terytorium. Was integruje klan. Gdzie klan, tam ojczyzna. Gdyby nawet jakiś szczególnie krótkowzroczny król zaatakował Mahakam, zalejecie kopalnie i bez żalu powędrujecie gdzie indziej. W inne, odległe góry. A choćby i do ludzkich miast.

– A pewnie! W waszych miastach można całkiem fajnie żyć.

– Nawet w gettach? – Jaskier złapał oddech po hauście destylatu.

– A co złego w gettach? Wolę mieszkać wśród swoich. Na co mi integracja?

– Byleby nas do cechów przypuścili – Percival otarł nos rękawem.

– W końcu kiedyś dopuszczą – rzekł z przekonaniem krasnolud. – A nie, to będziemy partaczyć albo założymy własne cechy, niech zadecyduje zdrowa konkurencja.

– A jednak w Mahakamie jest bezpieczniej niż w miastach – zauważył Regis. – Miasta mogą w każdej chwili pójść z dymem. Rozumniej byłoby przeczekać wojnę w górach.

– Komu wola, niech tam idzie – Zoltan naczerpał z cebra. – Mnie milsza swoboda, a w Mahakamie jej nie uświadczysz. Nie wyobrażacie sobie, jak wygląda władza starego. On zabrał się ostatnio za regulację spraw, jak to nazywa, społecznych. Dla przykładu: wolno nosić szelki azali nie. Jeść karpia od razu czy czekać, aż się galareta zetnie. Jest li gra na okarynie zgodna z naszą wielowiekową krasnoludzką tradycją azali to zgubny wpływ zgniłej i dekadenckiej kultury ludzi. Po ilu latach pracy można złożyć wniosek o przydział stałej żony. Którą ręką się podcierać. W jakiej odległości od kopalni dozwala się gwizdać. I temu podobne sprawy o żywotnym znaczeniu. Nie, chłopcy, ja nie wracam pod górę Carbon. Nie mam ochoty spędzić życia na przodku w kopalni.

Czterdzieści lat na dole, o ile wcześniej nie pierdyknie metan. Ale my już mamy inne plany, co, Percival? Myśmy już sobie zapewnili przyszłość...

– Przyszłość, przyszłość... – gnom wypił menzurkę, smarknął i spojrzał na krasnoluda nieco już zamglonym wzrokiem. – Nie mówmy hop, Zoltan. Bo jeszcze mogą nas złapać, a wtedy nasza przyszłość to stryczek... Albo Drakenborg.

– Zamknij gębę – warknął krasnolud, patrząc na niego groźnie. – Rozgadałeś się!

– Skopolamina – mruknął z cicha Regis.

•

Gnom bajdurzył. Milva była ponura. Zoltan, zapomniawszy, że już raz to czynił, opowiadał wszystkim o Hoogu, starym grzybie, staroście Mahakamu. Geralt, zapomniawszy, że już raz wysłuchał, słuchał. Regis też słuchał i nawet dodawał komentarze, zupełnie niespeszony tym, że jest jedynym trzeźwym w mocno już pijanym towarzystwie. Jaskier brzdąkał na lutni i śpiewał.

Nie dziwota, że są harde urodziwe panie
Wszak im drzewo wyniośleјsze,
tym trudniej wleźć na nie.

– Idiota – skomentowała Milva. Jaskier nie przejął się.

Wżdy i z panną, i ze drzewem kto nie kiep poradzi
Trzeba owszem wziąć i zerżnąć, no i po zawadzie.

– Puchar... – bełkotał Percival Schuttenbach. – Kielich, znaczy... Z jednego kawałka mlecznego opalu wyrżnięty... O, taki wielki. Znalazłem go na szczycie góry Montsalvat. Brzeg miał wysadzany jaspisami, a podstawa była ze złota. Istne cudo...

– Nie dawajcie mu więcej wódki – powiedział Zoltan Chivay.

– Zaraz, zaraz – zaciekawił się Jaskier, również nieco bełkocząc. – Co stało się z tym legendarnym kielichem?

– Wymieniłem go na muła. Potrzebowałem muła, by przewieźć ładunek... Korundy i krystaliczny węgiel. Miałem tego... Eee... Całą kupę... Eeeep... Ładunek, znaczy, ciężki, bez muła ani rusz... Po cholerę mi był ten puchar?

– Korundy? Węgiel?

– No, po waszemu rubiny i diamenty. Bardzo... eeep... przydatne.

– Ja myślę.

– Do świdrów i do pilników. Do łożysk. Miałem tego całą kupę...

– Słyszysz, Geralt? – Zoltan machnął ręką i chociaż siedział, o mało nie przewrócił się od tego machnięcia. – Mały jest, to prędko się urżnął. Kupa diamentów mu się śni. Uważaj, Percival, żeby ci się ten sen nie sprawdził! W połowie. Tej, która nie dotyczy diamentów!

– Sny, sny – zabełkotał znowu Jaskier. – A ty, Geralt? Znowu śniłeś o Ciri? Bo trzeba ci wiedzieć, Regis, że Geralt ma prorocze sny! Ciri to Dziecko Niespodzianka, Geralt związany jest z nią więzami przeznaczenia, dlatego widzi ją w snach. Trzeba ci też wiedzieć, że my do Nilfgaardu jedziemy, aby odebrać naszą Ciri cesarzowi Emhyrowi, który ją porwał. Ale niedoczekanie jego, sukinsyna, bo my ją odbijemy, zanim się obejrzy! Powiedziałbym wam więcej, chłopcy, ale to tajemnica. Straszna, głęboka i mroczna tajemnica... Nikt nie może się o tym dowiedzieć, rozumiecie? Nikt!

– Ja nic nie słyszałem – zapewnił Zoltan, patrząc bezczelnie na wiedźmina. – Chyba skorek wlazł mi do ucha.

– Takie skorki to istna plaga – przyznał Regis, udając, że dłubie w uchu.

– Do Nilfgaardu wędrujemy... – Jaskier oparł się o krasnoluda w celu utrzymania równowagi, co w dużej mierze okazało się błędem. – Jest to, jak powiedziałem, tajemnica. Cel sekretny!

– I w samej rzeczy przemyślnie ukryty – kiwnął głową cyrulik, rzucając okiem na bladego ze złości Geralta. – Analizując kierunek waszego marszu, nawet najbardziej podejrzliwy osobnik nie domyśli się celu wędrówki.

•

– Milva, co ci jest?

– Nie odzywaj się do mnie, pijany głupku.

– He! Ona płacze! Hej, patrzcie...

– Idź do biesa, mówię! – łuczniczka otarła łzy. – Bo cię między oczy zdzielę, wierszokleto ty chędożony... Dawaj szklenicę, Zoltan...

– Gdzieś się zapodziała... – wybełkotał krasnolud. – O, jest. Dzięki, cyruliku... A gdzie, u diabła, jest Schuttenbach?

– Wyszedł. Jakiś czas temu. Jaskier, przypominam, obiecałeś opowiedzieć mi historię o Dziecku Niespodziance.

– Zaraz. Zaraz, Regis. Tylko sobie łyknę... I wszystko ci opowiem... O Ciri, o wiedźminie... Z detalami...

– Na pohybel skurwysynom!

– Cichajże, krasnoludzie! Dzieciska przed chałupą pobudzisz!

– Nie złość się, łuczniczko. Masz, napij się.

– Eeeech – Jaskier potoczył po szałasie lekko błędnym wzrokiem. – Żeby mnie tak teraz zobaczyła hrabina de Lettenhove...

– Kto?

– Nieważne. Cholera, ten bimber faktycznie rozwiązuje język... Geralt, nalać ci jeszcze? Geralt!

– Daj mu pokój – powiedziała Milva. – Niech śni.

•

Stojąca na skraju wsi stodoła dudniła muzyką, muzyka dopadła ich, zanim jeszcze podjechali, wypełniła podnieceniem. Mimo woli zaczęli kołysać się w siodłach idących stępa koni, najpierw w rytm głuchego huku bębna i basetli, potem, gdy byli bliżej, w takt melodii wyśpiewywanej przez gęśle i piszczałki. Noc była zimna, księżyc lśnił w pełni, w jego poświacie szopa, rozjarzona bijącym przez szpary w deskach światłem, wyglądała jak bajeczny, czarodziejski zamek.

Z wrót szopy bił gwar i blask, migotliwy od cieni pląsających par.

Gdy weszli, muzyka ścichła natychmiast, rozpłynęła się w przeciągłym, fałszywym akordzie. Roztańczeni i spoceni wieśniacy rozstąpili się, schodząc z klepiska, skupili przy ścianach i słupach. Ciri, idąca obok Mistle, widziała rozszerzone strachem oczy dziewczyn, zauważała twarde, zawzięte, gotowe na wszystko spojrzenia mężczyzn i chłopaków. Słyszała rosnący szept i pomruk, głośniejszy niż powściągliwe buczenie dud, niż owadzie brzęczenie skrzypek i gęśli. Szept. Szczury... Szczury... Rozbójniki...

– Bez lęku – powiedział głośno Giselher, rzucając oniemiałym muzykantom nabity i brzęczący mieszek. – Przyjechaliśmy się bawić. Festyn jest dla wszystkich, nieprawdaż?

– Gdzie tu jest piwo? – Kayleigh potrząsnął sakiewką. – I gdzie tu jest gościnność?

– I dlaczego tak tu cicho? – Iskra rozejrzała się dookoła. – Jechaliśmy tu z gór na zabawę. Nie na stypę!

Któryś z wieśniaków przełamał wreszcie wahanie, podszedł do Giselhera z ociekającym pianą gliniakiem. Giselher przyjął z ukłonem, wypił, grzecznie i obyczajnie podziękował. Kilku chłopów krzyknęło ochoczo. Ale reszta milczała.

– Ej, kumotrzy – zawołała znowu Iskra. – Ochota do tańca bierze, ale widzę, że wpierw trzeba was rozruszać!

Pod ścianą szopy stał ciężki stół, zastawiony glinianymi naczyniami. Elfka klasnęła w dłonie, zwinnie wskoczyła na dębowy blat. Chłopi co prędzej pozbierali naczynia, te, których zabrać nie zdążyli, Iskra usunęła zamaszystym kopniakiem.

– No, panowie grajkowie – wparła pięści w biodra, wstrząsnęła włosami. – Pokażcie, co umiecie. Muzyka!

Szybko wybiła obcasami takt. Bęben powtórzył, basetla i szałamaja zawtórowały. Melodię podchwyciły fujarki i gęśle, prędziutko komplikując, wyzywając Iskrę do zmiany kroku i rytmu. Elfka, kolorowa i lekka jak motyl, dopasowała się z łatwością, zapląsała. Wieśniacy zaczęli klaskać.

– Falka! – zawołała Iskra, mrużąc przedłużone ostrym makijażem oczy. – Z mieczem jesteś szybka! A w tańcu? Dotrzymasz mi kroku?

Ciri wyzwoliła się spod ramienia Mistle, odwiązała z szyi chustkę, zdjęła beret i kubraczek. Jednym skokiem znalazła się na stole obok elfki. Chłopi wrzasnęli ochoczo, bęben i basetla zahuczały, dudy zaśpiewały jękliwie.

– Grać, muzykanci! – wrzasnęła Iskra. – Od ucha! I żywiej!

Chwyciwszy się pod boki i ostro odrzuciwszy głowę, elfka zadrobiła nogami, zapląsała, wystukała obcasami szybkie, rytmiczne staccato. Ciri, urzeczona rytmem, powtórzyła kroki. Elfka zaśmiała się, podskoczyła, zmieniła rytm. Ciri gwałtownym szarpnięciem głowy strząsnęła z czoła włosy, powtórzyła idealnie. Zapląsały obie jednocześnie, każda jak lustrzane odbicie drugiej. Chłopi wrzeszczeli, bili brawo. Gęśle i skrzypki zaniosły się wysokim śpiewem, drąc na strzępy miarowe, poważne buczenie basetli i zawodzenie dud.

Tańczyły obydwie, wyprostowane jak trzciny, dotykając się łokciami wspartych o biodra rąk. Podkówki obcasów wybijały rytm, stół trząsł się i dygotał, w świetle łojówek i pochodni wirował kurz.

– Szybciej! – ponagliła grajków Iskra. – Z życiem!

To już nie była muzyka, to było szaleństwo.

– Tańcz, Falka! Zapamiętaj się!

Obcas, czubek buta, obcas, czubek buta, obcas, wykrok i podskok, ruch ramieniem, pięści na biodrach, obcas, obcas. Stół dygocze, światło faluje, tłum faluje, wszystko faluje, cała szopa tańczy, tańczy, tańczy... Tłum wrzeszczy, Giselher wrzeszczy, Asse wrzeszczy, Mistle śmieje się, klaszcze, wszyscy klaszczą i tupią, szopa drży, ziemia drży, świat drży w posadach. Świat? Jaki świat? Nie ma już świata, nie ma nic, jest tylko taniec, taniec... Obcas, czubek buta, obcas... Łokieć Iskry... Gorączka, gorączka... Rżną już tylko skrzypki, fujarki, basetla i dudy, bębnista tylko wznosi i opuszcza pałeczki, jest już niepotrzebny, takt wybijają one, Iskra i Ciri, ich obcasy, aż huczy i kołysze się stół, huczy i kołysze się cała szopa... Rytm, rytm jest w nich, muzyka jest w nich, one są muzyką. Ciemne włosy Iskry tańczą nad czołem i na ramionach. Struny gęśli zanoszą się zgorączkowanym, płomiennym, sięgającym najwyższych rejestrów śpiewem. Krew wali w skroniach.

Zapamiętanie. Zapomnienie.

Jestem Falka. Zawsze byłam Falką! Tańcz, Iskra! Klaszcz, Mistle! Skrzypki i fujarki kończą melodię ostrym, wysokim akordem, Iskra i Ciri punktują koniec tańca jednoczesnym łomotnięciem obcasów, a ich łokcie nie tracą przy tym kontaktu. Dyszą obie, rozedrgane, mokre, lgną do siebie nagle, obejmują, obdarzają się wzajem potem, gorącem i szczęściem. Szopa eksploduje jednym wielkim wrzaskiem, klaskaniem dziesiątków dłoni.

– Falka, ty diablico – dyszy Iskra. – Gdy znudzi się nam rozbój, pójdziemy w świat zarabiać jako tancerki...

Ciri też dyszy. Nie jest w stanie powiedzieć ani słowa. Śmieje się tylko spazmatycznie. Po jej policzku płynie łza.

W tłumie nagle krzyk, zamieszanie. Kayleigh gwałtownie popycha potężnego wieśniaka, wieśniak popycha Kayleigha, obaj utykają w ścisku, migają wzniesione pięści. Reef doskakuje, w świetle pochodni błyska sztylet.

– Nie! Stać! – krzyczy przenikliwie Iskra. – Żadnej rozróby!

– To jest noc tańca! – Elfka bierze Ciri za rękę, obie sfruwają ze stołu na klepisko. – Grajkowie, grać! Kto chce pokazać, jak umie skakać, proszę z nami! No, kto odważny?

Basetla monotonnie buczy, w buczenie wdziera się przeciągłe zawodzenie dud, po nim wysoki, dziki śpiew gęśli. Wieśniacy śmieją się, szturchają wzajem, pokonują wahanie. Jeden, barczysty i jasnowłosy, porywa Iskrę. Drugi, młodszy i szczuplejszy, niepewnie kłania się przed Ciri. Ciri hardo podrzuca głowę, ale zaraz po tym uśmiecha się przyzwalająco. Chłopak zaciska dłonie na jej talii, Ciri kładzie swoje na jego ramionach. Dotyk przeszywa ją jak ognisty grot, wypełnia roztętnionym pragnieniem.

– Z życiem, muzykanci!

Szopa drży od krzyku, wibruje rytmem i melodią.

Ciri tańczy.

Wampir *a. upiór, jest człowiek zmarły, przez Chaos ożywiony. Pierwsze życie utraciwszy,* ***w.*** *drugiego w nocnej porze używa. Wychodzi z grobu przy świetle księżyca i jeno za śladem jego promieni postępować może; napada śpiące dziewczęta lub młodych parobczaków, których nie przebudziwszy, krew ich słodką ssie.*

Physiologus

Wieśniacy czosnek w wielkiej obfitości pojedli, a ku większej pewności wieńce sobie czosnkowe na szyjach pozawieszali. Niektórzy, osobliwie niewiasty, całe główki czosnku pozatykali sobie, gdzie jeno mogli. Całe sioło czosnkiem śmierdziało horrendum, dumali tedy kmiecie, że w bezpieczności są i że nic im upir uczynić nie zdoła. Wielkie było zasię ich zdumienie, gdy upir, o północku nadleciawszy, nie zląkł się zgoła, jeno śmiać się jął, zębami od uciechy zgrzytać a szydzić. „Dobrze to, wołał, żeście się przyprawili, wnet was żreć będę, a przyprawione mięsiwo więcej mi do smaku. Posólcie się jeszcze a popieprzcie, a i o musztardzie nie zapomnijcie."

Silvester Bugiardo, *Liber Tenebrarum, czyli Xięga Przypadków Strasznych, lecz Prawdziwych, nigdy Nauką nie Explikowanych*

Księżyc świeci, martwiec leci
Sukieneczką szach, szach...
Panieneczko, czy nie strach?

Piosenka ludowa

Rozdział czwarty

Ptaki, jak zwykle, wyprzedziły wschód słońca, wypełniając szarą i mglistą ciszę świtu istną eksplozją ćwierkania. Jak zwykle, pierwsze gotowe do drogi były milczące kobiety z Kernow i ich dzieci. Równie szybki i energiczny okazał się cyrulik Emiel Regis, dołączając z

podróżnym kosturem i skórzaną torbą na ramieniu. Reszta kompanii, która nocą rozprawiła się z destylarnią, nie była tak rześka. Chłód poranka wybudził i ocucił birbantów, ale nie zdołał całkowicie unicestwić skutków działania mandragorowego samogonu. Geralt ocknął się w kącie lepianki z głową na podołku Milvy. Zoltan i Jaskier, objęci, leżeli na stercie alraunowych korzeni, chrapiąc tak, że aż powiewały wiszące na ścianach wiązki ziół. Percival odnalazł się za chałupą, zwinięty w kłębek w krzaku czeremchy i nakryty słomianą rogóżką służącą Regisowi do wycierania butów. Cała piątka zdradzała wyraźne, choć zróżnicowane symptomy zmęczenia i intensywnie koiła pragnienie przy źródełku.

Gdy jednak rozwiały się mgły i czerwona kula słońca zapłonęła w koronach sosen i modrzewi Fen Carn, kompania była już w drodze, żwawo maszerując wśród kurhanów. Prowadził Regis, za nim kroczyli Percival i Jaskier, dodając sobie animuszu śpiewaną na dwa głosy balladą o trzech siostrach i wilku żelaznym. Za nimi tupał Zoltan Chivay, ciągnąc za wodze cisawego ogiera. Krasnolud znalazł w obejściu cyrulika sękatą lagę z jesionowego drewna, teraz walił nią we wszystkie mijane menhiry i życzył dawno umarłym elfom wiecznego odpoczynku, zaś siedzący na jego ramieniu Feldmarszałek Duda stroszył pióra i od czasu do czasu skrzeczał niechętnie, niewyraźnie i jakoś bez przekonania.

Najmniej odporną na alraunowy destylat okazała się Milva. Maszerowała z wyraźnym trudem, była spocona, blada i zła jak osa, nie odpowiadała nawet na szczebiotanie dziewuszki z warkoczykami, wiezionej na siodle karosza. Geralt nie próbował więc nawiązać rozmowy, sam również nie był w najlepszym nastroju.

Mgła, a także wyśpiewywane głośnymi, acz nieco przepitymi głosami perypetie żelaznego wilka sprawiły, że na grupkę wieśniaków wpakowali się nagle i bez ostrzeżenia. Chłopi natomiast słyszeli ich już z daleka i czekali, stojąc nieruchomo wśród zarytych w ziemię monolitów, a ich szare siermięgi znakomicie ich maskowały. Niewiele brakowało, by Zoltan Chivay zdzielił jednego lagą, biorąc go za kamień nagrobny.

– Ohohoho! – krzyknął. – Wybaczcie, ludzie! Nie zauważyłem was. Dobry dzień! Powitać!

Dziesiątka chłopów wymruczała nieskładnym chórem odpowiedź na pozdrowienie, ponuro przypatrując się kompanii. W rękach wieśniacy ściskali łopaty, oskardy i sążniowej długości zaostrzone kołki.

– Witajcie – powtórzył krasnolud. – Zgaduję, żeście z obozu nad Chotlą. Utrafiłem?

Zamiast odpowiedzieć, jeden z chłopów wskazał reszcie konia Milvy.

– Kary – powiedział. – Widzicie?

– Kary – powtórzył drugi i oblizał wargi. – Iście, kary. W sam raz będzie.

– Hę? – Zoltan zauważył spojrzenia i gesty. – No, kary. I co z tego? Przecie to koń, nie żyrafa, dziwować się nie ma czemu. Co tu porabiacie, kumotrzy, na tym cmentarzysku?

– A wy? – chłop obrzucił kompanię niechętnym spojrzeniem. – Co wy tu robicie?

– Kupiliśmy ten teren – krasnolud spojrzał mu prosto w oczy i stuknął lagą o menhir. – I mierzymy krokami, czy nas nie oszukali na akrach.

– A my tu wąpierza tropim!

– Kogo?

– Wąpierza – powtórzył dobitnie najstarszy z chłopów, drapiąc się w czoło pod sztywną od brudu filcową czapką. – Gdzieś tu swe leże mieć musi, przeklętnik. Osinowych kołków nastrugalim, najdziem potępieńca, przebodziem go, coby już nie wstał!

– I wodę święconą mamy w dwojakach, której nam błogosławiony kapłan użyczył! – zawołał ochoczo drugi wieśniak, demonstrując naczynie. – Pokropim krwiopijcę, niech na wieki wieków sczeźnie!

– Ha, ha – powiedział Zoltan Chivay z uśmiechem. – Polowanie, jak widzę, całą gębą, szeroko zakrojone i detalicznie przygotowane. Wampir, mówicie? No, to macie szczęście, dobrzy ludzie. My specjalistę od upiorów w kompanii mamy, wiedź...

Urwał i zaklął z cicha, albowiem wiedźmin silnie kopnął go w kostkę.

– Kto tego wampira widział? – spytał Geralt, wymownym spojrzeniem nakazując towarzyszom milczenie. – Skąd wiadomo, że właśnie tutaj go należy szukać?

Chłopi poszeptali między sobą.

– Nikt go nie widział – przyznał wreszcie ten w filcowej czapce. – Ani nie słyszał. Jakże jego widzieć, gdy on nocą lata, we ćmie? Jakże jego słyszeć, gdy on na nietoperzych skrzydłach fruwa, bez szmeru i szustu?

– Wąpierza nie widzielim – dodał drugi. – Ale ślady strasznego jego procederu były. Od kiedy miesiąc w pełni, co noc kogoś z naszych morduje upiorzysko. Dwoje już rozdarł, na sztuki poszarpał. Babę jedną i otroka jednego. Zgroza a trwoga! Na szmaty wąpierz nieszczęsnych podarł, całą z żył krew wypił! Tak co nam, bezczynnie trzeciej nocy czekać?

– Kto powiedział, że sprawcą był właśnie wampir, a nie inny drapieżnik? Kto wpadł na to, by buszować po cmentarzysku?

– Świątobliwy kapłan tak rzekł. Uczony i pobożny człek, bogom dzięki, że do naszego obozu popadł. Zrazu zgadł, że to wąpierz nas nachodzi. Za karę, bośmy modłów zaniedbali i świątynnych datków. On nynie w obozie modlitwy odprawia i przegzordyzmy wszelakie, nam zaś nakazał grobowca poszukiwać, w którym martwiec dzionki przesypia.

– Właśnie tutaj?

– A gdzie grobu wąpierza szukać, jeśli nie na żalniku? A to przecie elfowy żalnik, każde dziecko wie, że elfy to rasa podła i bezbożna, co drugi elf po śmierci potępieńcem zostaje! Wszystko, co złe, przez elfów!

– I balwierzy – poważnie kiwnął głową Zoltan. – Prawda. Każde dziecko wie. Daleko ten obóz, o którym była mowa?

– Oj, niedaleko...

– A nie rzekajcie im za dużo, ojcze Owsiwuju – warknął zarośnięty chłop z włosami po brwi, ten, który już poprzednio objawiał niechęć. – Diasek ich wie, co oni za jedni, podejrzana to jakaś szajka. Nuże, do dzieła. Niechże konia dają, a potem idą w swoją stronę.

– Ano, święta prawda – rzekł starszy wieśniak. – Trza nam dzieło kończyć, bo czas bieży. Dajta konia. Tego karego. Potrzebny nam, by wąpierza odszukać. Zdejm, młódko, dzieciaka z kulbaki.

Milva, która przez cały czas z obojętną miną gapiła się w niebo, popatrzyła na chłopa, a rysy zaostrzyły jej się niebezpiecznie.

– Do mnie mówisz, kmiocie?

– Wżdy do ciebie. Dawaj karego, potrzebny nam.

Milva potarła spocony kark i zacięła zęby, a wyraz jej zmęczonych oczu stał się prawdziwie wilczy.

– O co wam chodzi, ludzie? – wiedźmin uśmiechnął się, próbując rozładować napiętą sytuację. – Po co wam koń, o którego tak grzecznie prosicie?

– A jakże nam inaczej grób upiora znaleźć? Wżdy wiada, że trza na karym źrebcu żalnik objechać, a u której mogiły źrebiec stanie i ruszyć się z miejsca nie dozwoli, tam wąpierz leży. Wtedy trza go wykopać i osinowym kołkiem przebić. Nie przeciwcie się, bo nam wóz albo przewóz. Musim tego karosza mieć!

– Inna maść – spytał pojednawczo Jaskier, wyciągając ku chłopu wodze Pegaza – nie może być?

– Nijak.

– Tedy bieda wam – powiedziała przez zaciśnięte zęby Milva. – Bo ja konia nie dam.

– Jakże to, nie dasz? Nie baczyłaś, co mówilim, dziewko? Nam mus!

– Wam. A mnie nie.

– Istnieje rozwiązanie polubowne – odezwał się łagodnie Regis. – Jak rozumiem, pani Milva wzdraga się przed oddaniem wierzchowca w cudze ręce...

– Jużci – łuczniczka splunęła siarczyście. – Wzdrygam się na samą myśl.

– Aby więc wilk był syty, a owca cała – kontynuował spokojnie cyrulik – niechajże pani Milva sama wsiądzie na karosza i dokona koniecznego jakoby objazdu nekropolii.

– Nie będę jak głupia po cmentarzu jeździć!

– Wżdy cię nikt nie prosi, dziewko! – krzyknął ten z włosami po brwi. – Do tego trza junaka, chwata, białejgłowie w kuchni przy garnkach się krzątać. Dziewka i owszem, może się później przydać, bo przeciw upioru wielce są łzy dziewicze przydatne, jeśli wąpierza pokropić niemi, spłonie jako żagiew. Ale ślozy musi czysta i nie ruchana jeszcze młódka przelać. Nie widzi mi się, żebyś ty taka była, białko. Tegdy ty do niczego niezdatna.

Milva zrobiła szybki krok do przodu i nieuchwytnym ruchem wyrzuciła przed siebie prawą pięść. Trzasnęło, głowa chłopa odskoczyła, przez co zarośnięta szyja i podbródek utworzyły znakomity cel. Dziewczyna zrobiła drugi krok i walnęła na wprost, nasadą otwartej dłoni, wzmagając siłę ciosu skrętem bioder i barku. Chłop podreptał do tyłu, zaplątał się we własne łapcie i wywalił, ze słyszalnym trzaskiem uderzając potylicą o menhir.

– Teraz widzisz, do czegom zdatna – powiedziała drżącym z wściekłości głosem łuczniczka, rozcierając pięść. – Kto z nas chwat, a

komu przy garnkach miejsce. Wierę, nie ma to jak kułaczny bój, po nim wszystko zawżdy wiadome. Kto junak i chwat, ten na nogach stoi, kto kiep i churlęga, ten na ziemi leży. Prawam, kmiotkowie?

Wieśniacy nie spieszyli się z potwierdzeniem, patrzyli na Milvę z otwartymi gębami. Ten w filcowej czapce ukląkł przy powalonym i delikatnie poklepał go po policzku. Bez efektu.

– Ubity – jęknął, podnosząc głowę. – Na śmierć. Jakże to tak, dziewko? Jakże to tak, wziąć i człeka ubić?

– Nie chciałam – szepnęła Milva, opuszczając ręce i blednąc do przeraźliwości. A potem zrobiła coś, czego absolutnie nikt się nie spodziewał.

Odwróciła się, zachwiała, oparła czołem o menhir i zwymiotowała gwałtownie.

•

– Co z nim?

– Lekkie wstrząśnienie mózgu – odrzekł Regis, wstając i zapinając torbę. – Czaszka jest cała. Już odzyskał przytomność. Pamięta, co się stało, pamięta, jak się nazywa. To dobrze rokuje. Żywe emocje pani Milvy były, na szczęście, bezpodstawne.

Wiedźmin spojrzał na łuczniczkę, siedzącą opodal pod głazem z oczami zapatrzonymi w dal.

– To nie jest delikatna panienka, podatna na tego typu emocje – mruknął. – Winę przypisywałbym raczej wczorajszemu bimbrowi z belladonną.

– Ona rzygała już wcześniej – wtrącił z cicha Zoltan. – Przedwczoraj, świtem bladym. Wszyscy jeszcze spali. Ja myślę, że to przez te grzyby, które żarliśmy na Turlough. Mnie też żywot dwa dni bolał.

Regis spojrzał na wiedźmina dziwnym spojrzeniem spod siwiejących brwi, uśmiechnął się zagadkowo, owijając w czarny, wełniany płaszcz. Geralt podszedł do Milvy, chrząknął.

– Jak się czujesz?

– Podle. Co z kmiotkiem?

– Nic mu nie będzie. Oprzytomniał. Regis zabronił mu jednak wstawać. Chłopi montują kołyskę, do obozu zawieziemy go między dwoma końmi.

– Weźcie mojego karego.

– Wzięliśmy Pegaza i ciska. Łagodniejsze. Wstań, czas w drogę.

•

Zwiększona liczebnie kompania przypominała teraz orszak pogrzebowy i wlokła się w pogrzebowym tempie.

– Co powiesz o tym ich wampirze? – zagadnął wiedźmina Zoltan Chivay. – Wierzysz w tę historię?

– Nie widziałem zabitych. Nic nie mogę powiedzieć.

– To jawna lipa – oświadczył z przekonaniem Jaskier. – Kmiotkowie mówili, że zabici byli rozszarpani. Wampir nie rozszarpuje. Wgryza się w arterię i wypija krew, zostawiając dwa wyraźne ślady kłów. Ofiara wcale często przeżywa. Czytałem o tym w specjalistycznej księdze. Były tam też grawiury przedstawiające ślady ukąszeń wampira na łabędzich szyjach dziewic. Potwierdź, Geralt.

– Co mam potwierdzić? Nie widziałem tych grawiur. Na dziewicach też mało się wyznaję.

– Nie kpij. Ślady ukąszeń wampirzych musiałeś widywać nie raz i nie dwa. Zetknąłeś się kiedyś z przypadkiem, by wampir rozszarpał ofiarę na strzępy?

– Nie. To się nie zdarza.

– W przypadku wampirów wyższych nigdy – odezwał się łagodnie Emiel Regis. – Z tego, co mi wiadomo, nie kaleczą też w tak straszny sposób alp, katakan, mula, bruxa ani nosferat. Dość brutalnie ze zwłokami ofiar obchodzą się natomiast fleder i ekimma.

– Brawo – Geralt spojrzał na niego z niekłamanym podziwem. – Nie pominąłeś ani jednego rodzaju wampira. I nie wymieniłeś żadnego z mitycznych, istniejących tylko w bajkach. Zaiste, imponująca wiedza. Nie możesz więc też nie wiedzieć, że ekimm i flederów nigdy nie spotyka się w naszym klimacie.

– Jakże więc? – parsknął Zoltan, wywijając swą jesionową lagą. – Kto tedy w naszym klimacie rozdarł ową babę i chłopaka? Sami się rozszarpali w przystępie desperacji?

– Lista stworów, którym można by przypisać ten wyczyn, jest dość długa. Otwiera ją stado zdziczałych psów, plagi dość zwykłej w wojennych czasach. Nie wyobrażacie sobie, do czego są zdolne takie psy. Połowa ofiar przypisywanych chaotycznym potworom idzie w rzeczywistości na konto stad zdziczałych podwórzowych burków.

– Wykluczasz więc potwory?

– Bynajmniej. Mogła to być strzyga, harpia, graveir, ghul...

– Nie wampir?

– Raczej nie.

– Kmiotkowie powoływali się na jakiegoś kapłana – przypomniał Percival Schuttenbach. – Czy kapłani znają się na wampirach?

– Niektórzy znają się na wielu rzeczach i to dość dobrze, ich opinie z reguły warte są wysłuchania. Niestety, nie wszystkich to dotyczy.

– Zwłaszcza nie takich, którzy włóczą się po lasach z uciekinierami – parsknął krasnolud. – To najpewniej jakiś pustelnik, ciemny eremita z głuszy. Skierował chłopską ekspedycję na twój cmentarz, Regis. Zbierając mandragorę przy pełni księżyca, nigdy nie zauważyłeś tam żadnego wampira? Nawet malutkiego? Tyciego?

– Nie, nigdy – uśmiechnął się półgębkiem cyrulik. – Ale i nie dziwota. Wampir, jak dopiero co słyszeliście, fruwa w ciemnościach na nietoperzych skrzydłach, bez szmeru ni szustu. Łatwo go przegapić.

– I łatwo dostrzec tam, gdzie go nie ma i nigdy nie było – potwierdził Geralt. – Gdy byłem młodszy, ładnych kilka razy zmarnowałem czas i energię na uganianie się za przywidzeniem i zabobonem, który widziała i malowniczo opisała cała wieś, z sołtysem na czele. Kiedyś przez dwa miesiące mieszkałem na zamku nawiedzanym jakoby przez wampira. Wampira nie było. Ale nieźle dawali jeść.

– Bez wątpienia zdarzały ci się jednak przypadki, gdy pogłoska o wampirze była uzasadniona – powiedział Regis, nie patrząc na wiedźmina. – Wtedy, jak mniemam, czas i energia nie szły na marne. Potwór ginął od twego miecza?

– Zdarzało się.

– Tak czy inak – rzekł Zoltan – chłopkowie mają szczęście. Myślę poczekać w tym ich obozie na Munro Bruysa i chłopaków, wam też nie zaszkodzi odpoczynek. Cokolwiek ubiło babę i chłopca, marny jego los, gdy w obozie będzie wiedźmin.

– Jeśli już przy tym jesteśmy – zacisnął wargi Geralt – to bardzo proszę, byście nie rozpowiadali, kim jestem i jak się nazywam. W pierwszej kolejności prośba dotyczy ciebie, Jaskier.

– Twoja wola – kiwnął głową krasnolud. – Musisz mieć powody. Dobrze, że w porę nas uprzedziłeś, bo obóz już widać.

– I słychać – potwierdziła Milva, przerywając długie milczenie. – Jazgot czynią, że strach.

– To, co nas dobiega – zrobił mądrą minę Jaskier – to zwyczajna symfonia obozu uciekinierów. Jak zwykle, rozpisana na kilka setek ludzkich gardzieli, tudzież nie mniej krów, owiec i gęsi. Partie solowe w wykonaniu kłócących się bab, drących się dzieci, piejącego koguta oraz, jeśli się nie mylę, osła, któremu wetkano oset pod ogon. Tytuł symfonii: „Ludzkie zbiorowisko walczy o przetrwanie".

– Symfonia – zauważył Regis, poruszając skrzydełkami swego szlachetnego nosa – jest, jak zwykle, akustyczno-olfaktoryczna. Od walczącego o przetrwanie zbiorowiska bije rozkoszna woń gotowanej kapusty, warzywa, bez którego przetrwać widać nie sposób. Charakterystyczny akcent zapachowy tworzą również efekty potrzeb fizjologicznych, załatwianych gdzie popadło, najczęściej na obrzeżach obozowiska. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego walka o przetrwanie objawia się niechęcią do kopania latryn.

– Niech was bies porwie z tym waszym mądrym gadaniem – zdenerwowała się Milva. – Z pół setki wymyślnych słów, gdy starczą trzy: śmierdzi gównem i kapustą!

– Gówno i kapusta zawsze w parze idą – rzekł sentencjonalnie Percival Schuttenbach. – Jedno popędza drugie. *Perpetuum mobile*.

•

Gdy tylko wkroczyli do gwarnego i smrodliwego obozu, między ogniska, wozy i szałasy, natychmiast stali się ośrodkiem zainteresowania wszystkich zgromadzonych tu zbiegów, których było dobre dwie setki, a może nawet i więcej. Zainteresowanie zaprocentowało szybko i w sposób trudny do uwierzenia – nagle ktoś krzyknął, nagle ktoś zawył, nagle ktoś rzucił się komuś na szyję, ktoś zaczął się dziko śmiać, a ktoś równie dziko szlochać. Powstało potężne zamieszanie. Z kakofonii męskich, damskich i dziecięcych wrzasków trudno było początkowo wywnioskować, o co idzie, ale wreszcie rzecz się wyjaśniła. Dwie z wędrujących wspólnie z nimi kobiet z Kernow odnalazły oto w obozie męża i brata, o których mniemały, że nie żyją lub zaginęli bez wieści w wojennej zawierusze. Radości i łzom nie było końca.

– Coś podobnie banalnego i melodramatycznego – rzekł z przekonaniem Jaskier, wskazując palcem wzruszającą scenę – może zdarzyć się tylko w prawdziwym życiu. Gdybym spróbował w ten sposób zakończyć którąś z moich ballad, wykpiono by mnie bez litości.

– Niechybnie – potwierdził Zoltan. – Wszelakoż cieszy jakoś taki banał. Lżej sercu, gdy komuś dola podarzy, miast wciąż ujmować. No, baby mamy tedy z głowy. Wiedlim, wiedlim, aż dowiedlim. Chodźcie, nie ma co tu stać.

Wiedźmin miał przez chwilę ochotę zaproponować wstrzymanie się z odejściem, liczył bowiem, że któraś z kobiet uzna za stosowne i zechce choćby słowem wyrazić krasnoludowi wdzięczność i podziękowanie. Poniechał jednak, bo nic na to nie wskazywało. Rozradowane spotkaniem kobiety przestały ich w ogóle zauważać.

– Na co czekasz? – Zoltan spojrzał na niego bystro. – Aż cię w podzięce kwieciem obsypią? Miodkiem pomażą? Zabierajmy się, nic tu po nas.

– Masz niewątpliwą słuszność.

Nie uszli daleko. Powstrzymał ich piskliwy głosik. Dogoniła ich piegowata dziewczynka z warkoczykami. Była zdyszana, w ręku dzierżyła zaś spory bukiecik polnych kwiatów.

– Dziękuję wam – zapiszczała – żeście się opiekowali mną i braciszkiem, i mamą. Że byliście dla nas dobrzy i w ogóle. Nazrywałam dla was kwiatków.

– Dziękujemy – powiedział Zoltan Chivay.

– Jesteście dobrzy – dodała dziewuszka, wkładając do buzi koniec warkocza. – Ja wcale nie wierzę w to, co mówiła stryjna. Wy wcale a wcale nie jesteście plugawe podziemne karzełki. Ty nie jesteś siwy odmieniec z piekła rodem, a ty, wujku Jaskrze, wcale nie jesteś wrzaskliwy indor. Nieprawdę mówiła stryjna. A ty, ciociu Mario, nie jesteś żadna gamratka z łukiem, tylko ciocia Maria, i ja ciebie lubię. Dla ciebie nazrywałam najładniejszych kwiatków.

– Dziękuję – powiedziała Milva lekko zmienionym głosem.

– Wszyscy dziękujemy – powtórzył Zoltan. – Hej, Percival, plugawy podziemny karzełku, dajże no dziecku na pożegnanie jakiego gościńca. Coś na pamiątkę. Nie masz w której kieszeni jakiego zbędnego kamienia?

– Mam. Trzymaj, panieneczko. To jest glinokrzemian berylu, popularnie zwany...

– Szmaragdem – dokończył krasnolud. – Nie mąć dziecku w głowie, i tak nie spamięta.

– Ależ śliczny! Zieloniutki! Dziękuję bardzo, bardzo!

– Baw się na zdrowie.

– I nie zgub – mruknął Jaskier. – Bo kamyczek wart jest tyle, co mały folwark.

– E, tam – Zoltan zatknął na kołpaku otrzymane od dziewczynki bławatki. – Kamień jak kamień, o czym tu gadać. Bywaj w zdrowiu, dziewuszko. A my chodźmy, siądziemy gdzie przy brodzie, poczekamy na Bruysa, Yazona Vardę i innych. Lada chwila winni nadciągnąć. Dziwne, że ich tak długo nie widać. Zapomniałem im, cholera, odebrać kart. Założę się, że siedzą gdzieś i rżną w gwinta!

– Konie trza zaobroczyć – powiedziała Milva. – I napoić je. Chodźmy ku rzece.

– Może trafi się też dla nas jakaś ciepła strawa – dodał Jaskier. – Percival, rozejrzyj się po obozie i zrób użytek ze swego nosa. Zjemy tam, gdzie najsmaczniej gotują.

Ku ich lekkiemu zdumieniu dostęp do rzeki był zagrodzony i strzeżony, pilnujący wodopoju chłopi zażądali po groszu od konia. Milva i Zoltan wściekli się nie na żarty, ale Geralt, nie życząc sobie awantury i związanego z nią rozgłosu, uspokoił ich, a Jaskier wyłożył wygrzebane z dna kieszeni monety.

Wkrótce odnalazł się Percival Schuttenbach, posępny i zły.

– Znalazłeś żarcie?

Gnom wysmarkał się i wytarł palce w runo przechodzącej obok owcy.

– Znalazłem. Ale nie wiem, czy będzie nas stać. Tutaj za wszystko wołają zapłaty, a ceny, że proszę siadać. Mąka i krupy koronę za funt. Talerz cienkiej zupy dwa noble. Garnuszek złowionych w Chotli wiunów kosztuje tyle, co w Dillingen funt wędzonego łososia...

– A obrok dla koni?

– Miarka owsa talara.

– Ile? – wrzasnął krasnolud. – Ile?

– Ile, ile – warknęła Milva. – Koni spytaj, ile. Padną, gdy im trawę szczypać każemy! Tu zresztą i trawy nie ma.

Z oczywistymi faktami nie było sposobu dyskutować. Nie pomogły też ostre targi z dysponującym owsem wieśniakiem. Chłop odebrał Jaskrowi resztkę grosza, odebrał też kilka wyzwisk Zoltana, wcale się zresztą nimi nie przejmując. Ale konie z ochotą wsunęły łby w worki z obrokiem.

– Cholerne zdzierstwo! – wrzeszczał krasnolud, wyładowując złość ciosami lagi w koła mijanych wozów. – Dziwne, że oddychać tu pozwalają za darmo, nie wołają po półgroszku od wdechu! Albo piątaka od zrobionej kupy!

– Wyższe potrzeby fizjologiczne – oświadczył zupełnie poważnie Regis – są wycenione. Widzicie tę rozpiętą na kijach płachtę? I chłopa, który stoi obok? Frymarczy wdziękami własnej córki. Cena do uzgodnienia. Przed chwilą widziałem, jak przyjął kurę.

– Źle wróżę waszej rasie, ludzie – rzekł ponuro Zoltan Chivay. – Każde rozumne stworzenie na tym świecie, gdy popadnie w biedę, nędzę i nieszczęście, zwykło kupić się do pobratymców, bo wśród nich łatwiej zły czas przetrwać, bo jeden drugiemu pomaga. A wśród was, ludzi, każdy tylko patrzy, jakby tu na cudzej biedzie zarobić. Gdy głód, to nie dzieli się żarcia, tylko najsłabszych się zżera. Proceder taki sprawdza się u wilków, pozwala przetrwać osobnikom najzdrowszym i najsilniejszym. Ale wśród ras rozumnych taka selekcja zazwyczaj pozwala przetrwać i dominować największym skurwysynom. Wnioski i prognozy wyciągnijcie sobie sami.

Jaskier zaoponował gwałtownie, rzucając znanymi mu przykładami na jeszcze większe zdzierstwo i interesowność krasnoludów, ale Zoltan i Percival zagłuszyli go, jednocześnie i donośnie imitując wargami przeciągłe odgłosy towarzyszące pierdzeniu, co u obu ras uznawane było za wyraz lekceważenia argumentów adwersarza w dyspucie. Kres kłótni położyło nagłe pojawienie się grupki chłopów prowadzonych przez znanego już im łowcę wampirów, starca w filcowej czapce.

– My względem Chodaka – powiedział jeden z wieśniaków.

– Nie kupujemy – warknęli unisono krasnolud i gnom.

– Idzie o tego, któremuście łeb rozbili – wyjaśnił prędko drugi chłop. – My jego żenić zamyślaliśmy.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedział gniewnie Zoltan. – Wszystkiego mu życzę dobrego na nowej drodze życia. Zdrowia, szczęścia, pomyślności.

– I mnóstwo małych Chodaczków – dodał Jaskier.

– No, no, panowie – powiedział wieśniak. – Was firleje się trzymają, a jak my jego teraz żenić mamy? Kiedy on po tym, jak go w rozum natłukliście, kołowaty cały, dnia od nocy nie odróżnia?

– No, aż tak źle przecie nie jest – burknęła Milva, patrząc w ziemię. – Widzi mi się, że już mu lepiej. Dużo lepiej się ma, niźli się z samego rana miał.

– Nie wiem ja, jak się Chodak z samego rana miał – odparował chłop. – Ale aby co widziałem, jak stał przed hołoblą sztorcem postawioną i prawił tej hołobli, że kraśna z niej dziewka. At, co tu dużo gadać. Krótko rzeknę: zapłaćcie główszczyznę.

– Co?

– Jak rycerz chłopa ubije, ma główszczyznę zapłacić. Tak w prawie stoi.

– Nie jestem rycerzem! – wrzasnęła Milva.

– To po pierwsze – poparł ją Jaskier. – Po drugie, to był wypadek. Po trzecie, Chodak żyje, nie może być zatem mowy o główszczyźnie, a co najwyżej o nawiązce, czyli basarunku. Ale, po czwarte, nie mamy pieniędzy.

– To konie oddajcie.

– Ejże – oczy Milvy zwęziły się złowrogo. – Chybaś zbiesił się, kmiotku. Bacz, byś nie przeholował.

– Krrrrwa mać! – zaskrzeczał Feldmarszałek Duda.

– Ot, utrafił ptak w samo sedno – rzekł przeciągle Zoltan Chivay, poklepując zatknięty za pas toporek. – Wiedzcie, rolnicy, że i ja nie mam najlepszej opinii o matkach osobników, którzy myślą wyłącznie o zarobku, nawet jeśli zarobić się ma na rozbitym łbie swojaka. Ruszajcie precz, ludzie. Jeżeli odejdziecie bezzwłocznie, obiecuję, że nie będę was gonił.

– Nie chcecie płacić, niech nas wyższa władza rozsądzi.

Krasnolud zgrzytnął zębami i już sięgał po broń, gdy Geralt chwycił go za łokieć.

– Spokojnie. Tak chcesz rozwikłać ten problem? Pozabijać ich?

– Po co zaraz pozabijać? Wystarczy porządnie okaleczyć.

– Dość tego, do diabła – syknął wiedźmin, po czym obrócił się do wieśniaka. – Kto sprawuje tu ową wyższą władzę, o której wspomnieliście?

– Starosta nasz obozowy, Hector Laabs, sołtys ze spalonej Brezy.

– Prowadźcie tedy do niego. Dogadamy się jakoś.

– On zajęty tera – oznajmił wieśniak. – Sąd nad czarownicą odprawia. Ot, widzicie, jakie tam zbiegowisko podle klona? Wiedźmę schwytano, która z wąpierzem była w zmowie.

– Znowu wampir – Jaskier rozłożył ręce. – Słyszycie? Oni znowu swoje. Jak nie cmentarz rozkopują, to czarownice łowią, wampirze wspólniczki. Ludzie, a może miast orać, siać i zbierać, wiedźminami zostaniecie?

– Wolne pańskie żarty – powiedział chłop. – I śmichy-chichy. Kapłan tu jest, a kapłan pewniejszy niźli wiedźmin. Kapłan orzekł, że wąpierz zawżdy do spółki z czarownicą proceder swój czyni. Czarownica przyzywa upira i ofiary wskazuje jemu, a wszystkim oczy mroczy, żeby nie widzieli nic.

– I pokazało się, że w samej rzeczy tak jest – dodał drugi. – Wiedźmę wśród nas zdradziecką hodowaliśmy. Ale kapłan jej czary przejrzał i tera ją spalim.

– Jakżeby inaczej – mruknął wiedźmin. – No cóż, rzucimy okiem na ten wasz sąd. I pogadamy z panem starostą o wypadku, który spotkał nieszczęsnego Chodaka. Pomyślimy o jakimś stosownym zadośćuczynieniu. Prawda, Percival? Założę się, że jeszcze jakiś kamyczek znajdzie się w którejś z twoich kieszeni. Prowadźcie, ludkowie.

Orszak ruszył w kierunku rozłożystego klonu, pod którym w samej rzeczy czarno było od podnieconych ludzi. Wiedźmin, zostawszy nieco z tyłu, spróbował nawiązać rozmowę z jednym z chłopków, któremu w miarę porządnie patrzyło z oblicza.

– Co to za czarownica, którą pojmano? Faktycznie uprawiała magię?

– Ech, panie – mruknął wieśniak – ja tam nie wiem. Dziewka owa to przybłęda, obca. Po mojemu, nie całkiem na umyśle zdrowa. Wyrośnięta, a cięgiem jeno z dzieciakami się bawiła, i sama jako dzieciak, zagadniesz, ni be, ni me. Ale ja tam nic nie wiem. Bogać, wszyscy mówią, że z wąpierzem sprośność czyniła i czary.

– Wszyscy oprócz aresztowanej – powiedział cicho idący obok wiedźmina Regis. – Bo ta, gdy ją o to zagadnięto, ni be, ni me. Jak mniemam.

Na szczegółowszą indagację zabrakło czasu, bo już byli pod klonem. Przepuszczono ich przez tłum, prawda, że nie bez pomocy Zoltana i jego jesionowej lagi.

Do drabiny wyładowanego workami wozu przywiązano dziewczynę lat około szesnastu, szeroko rozkrzyżowując jej ręce. Dziewczyna ledwie sięgała ziemi palcami stóp. W chwili, gdy podeszli, odarto jej z giezła chude ramiona, na co związana zareagowała przewróceniem oczu i głupią mieszanką chichotu i łkania.

Tuż obok rozpalono ognisko. Ktoś porządnie rozdmuchał węgle, ktoś inny brał za pomocą obcęgów podkowy i pieczołowicie umieszczał je w żarze. Nad całym zbiegowiskiem unosił się podniecony krzyk kapłana.

– Podła czarownico! Bezbożna niewiasto! Wyznaj prawdę! Ha, spójrzcie jeno na nią, ludzie, opiła się jakiegoś czarciego ziela! Spójrzcie jeno na nią! Wypisane ma czarostwo na obliczu!

Kapłan był chudy, twarz miał suchą i ciemną jak wędzona ryba. Czarna szata wisiała na nim jak na kołku. Na szyi połyskiwał święty symbol, Geralt nie mógł rozpoznać, jakiego bóstwa, nie znał się na tym zresztą. Szybko mnożący się ostatnimi czasy panteon mało go obchodził. Kapłan musiał jednak bez wątpienia należeć do którejś z nowszych sekt religijnych. Te starsze zajmowały się rzeczami pożyteczniejszymi niż chwytanie dziewcząt, przywiązywanie ich do wozów i judzenie przeciw nim zabobonnej tłuszczy.

– Od samego zarania dziejów kobieta wszelkiego zła jest siedliskiem! Narzędziem Chaosu, wspólniczką spisku przeciw światu i rodzajowi ludzkiemu! Kobietą rządzi jeno cielesna lubieżność! Dlatego tak chętnie demonom służy, by mogła chuć swą nienasyconą zaspokoić i swe naturze przeciwne żądze!

– Zaraz dowiemy się więcej o kobietach – mruknął Regis. – To fobia, w czystej, klinicznej postaci. Świątobliwemu mężowi często musi się śnić *vagina dentata*.

– Założę się, że jest gorzej – odmruknął Jaskier. – Głowę dam, że on nawet na jawie nieustannie marzy o zwykłej, bezzębnej. I nasienie rzuciło mu się na mózg.

– A upośledzona dziewczyna za to zapłaci.

– Jeżeli nie znajdzie się ktoś – zawarczała Milva – kto powstrzyma tego czarnego durnia.

Jaskier wymownie i z nadzieją popatrzył na wiedźmina, ale Geralt unikał jego wzroku.

– A czegóż, jeśli nie niewieściego czarostwa, są obecne nasze klęski i nieszczęścia wynikiem? – wrzeszczał dalej kapłan. – Wszak nie kto inny, a czarownice królów zdradziły na wyspie Thanedd, zamach na króla Redanii uknuły! Wszak nie kto inny, a elfia wiedźma z Dol Blathanna nasyła na nas Wiewiórki! Widzicie teraz, do jakiego zła przywiodła konfidencja z czarownicami! Tolerowanie ich plugawych praktyk! Przymykanie oczu na ich samowolę, ich zuchwałą pychę, ich bogactwo! A kto temu winien? Królowie! Zadufani władcy wyrzekli się bogów, odsunęli kapłanów, odebrali im urzędy i miejsca w radach, a obmierzłe czarownice obsypali zaszczytami i złotem! I mają teraz skutek!

– Aha! To tu leży wampir pogrzebany – powiedział Jaskier. – Myliłeś się, Regis. Tu o politykę, nie o waginę chodzi.

– I o pieniądze – dodał Zoltan Chivay.

– Zaprawdę – ryczał kapłan – powiadam wam, nim staniemy do walki z Nilfgaardem, oczyśćmy wpierw z tych abominacji własny dom! Wypalmy ten wrzód białym żelazem! Oczyśćmy chrztem ogniowym! Takiej, która para się czarami, nie zezwólmy żyć!

– Nie zezwolimy! Na stos z nią!

Przywiązana do wozu dziewczyna zaśmiała się histerycznie, przewróciła oczami.

– Zara, zara, pomalušku – odezwał się milczący do tej pory posępny wieśniak olbrzymiego wzrostu, dokoła którego kupiła się grupka podobnie milczących mężczyzn i kilka ponurych kobiet. – Do nynie jeno aby krzyki słyszelim. Krzykać każdy potrafi, wrona nawet. Od was, świątobliwy, szacunek więcej czekać niż od wrony każe.

– Negujecie me słowa, starosto Laabs? Słowa kapłana?

– Nie nygusuję ja niczego – olbrzym splunął na ziemię i podciągnął zgrzebne portki. – Ta dziewka to sierota i przybłęda, nikt dla mnie. Jeśli się pokaże, że z wąpierzem jest w zmowie, bierzcie ją, ubijcie. Ale pókim ja tego obozu starostą, póty jeno winnych karać się tu będzie. Chcecie karać, wprzód dowód winy pokażcie.

– A pokażę! – krzyknął kapłan, dając znak swoim pachołkom, tym, którzy niedawno wkładali podkowy do ognia. – Do oczu pokażę! Wam, Laabs, i wszystkim obecnym!

Pachołkowie wynieśli zza wozu i ustawili na ziemi nieduży, osmolony kociołek z pałąkiem.

– Oto dowód! – ryknął kapłan, kopnięciem wywracając kociołek. Na ziemię chlusnęła rzadka ciecz, osadzając na piasku kawałeczki marchwi, wstążki nierozpoznawalnej zieleniny i kilka małych kostek.

– Wiedźma warzyła magiczne konkokcje! Eliksir, dzięki któremu mogła w powietrzu latać! Do swego miłośnika wampira, by z nim obcować występnie i dalsze zbrodnie knuć! Znam ja czarowników sprawy i sposoby, wiem ja, z czego ten dekokt! Czarownica ugotowała żywcem kota!

Tłum ochnął ze zgrozą.

– Makabra – wzdrygnął się Jaskier. – Ugotować żywe stworzenie? Było mi żal dziewczyny, ale trochę za daleko posunęła się...

– Zawrzyj gębę – syknęła Milva.

– Oto dowód! – wrzeszczał kapłan, podnosząc z parującej kałuży kostkę. – Oto dowód niezbity! Kocia kość!

– To ptasia kość – stwierdził zimno Zoltan Chivay, mrużąc oczy. – Sójki, jak mi się widzi, albo gołębia. Dziewucha trochę rosołu uwarzyła sobie i tyle!

– Milcz, pogański skrzacie! – huknął kapłan. – Nie bluźnij, bo cię bogowie skarzą rękami ludzi pobożnych! To wywar z kota, twierdzę!

– Z kota! Niechybnie z kota! – zawrzaśli otaczający kapłana chłopi. – Dziewka miała kota! Czarnego kota! Wszyscy widzieli, że miała! Wszędzie za nią łaził! A gdzie on tera, ów kot? Nie ma go! Znaczy ugotowany!

– Ugotowany! Ugotowany na dekokt!

– Prawda! Czarownica ugotowała kota na dekota!

– Nie trza innego dowodu! Do ognia z wiedźmą! A najprzód na męki! Niech wszystko wyzna!

– Rrrrwa mać! – zaskrzeczał Feldmarszałek Duda.

– Szkoda tego kota – powiedział nagle głośno Percival Schuttenbach. – Ładna była bestia, tłuściutka. Futerko lśniące jak antracyt, ślepia niby dwa chryzoberyle, wąsiska długie, a ogon gruby jak zbójecka pała! Kot jak malowanie. Musiał ci on siła myszów zniszczyć!

Wieśniacy uciszyli się.

– A wy skąd to niby wiecie, panie gnom? – bąknął któryś. – Skąd wam wiedzieć, jak ów kot wyglądał?

Percival Schuttenbach wysmarkał się, wytarł palce w nogawkę.

– A bo on tam, o, na wozie siedzi. Za waszymi plecyma.

Wieśniacy odwrócili się jak na komendę, zamruczeli, patrząc na siedzącego na tobołkach kota. Ten zaś, za nic sobie mając powszechne zainteresowanie, zadarł do pionu tylną nogę i skupił się na wylizywaniu sobie zadka.

– Ot i pokazało się – powiedział wśród zupełnej ciszy Zoltan Chivay – że wasz niezbity dowód kocurowi pod chwost, pobożny mężu. Jaki drugi dowód będzie? Może kocica? Dobrze by było, spikniemy parkę, rozmnożymy, żaden gryzoń do spichlerza na pół strzelenia z łuku nie podejdzie.

Kilku wieśniaków parsknęło, kilku innych, w tym starosta Hector Laabs, otwarcie zarechotało. Kapłan spurpurowiał.

– Zapamiętam cię, bluźnierco! – ryknął, mierząc palcem w krasnoluda. – Bezbożny koboldzie! Kreaturo ciemności! Skąd się tu wziąłeś? Możeś i ty z wampirem w konszachtach? Poczekaj, ukarzemy wiedźmę, ciebie weźmiemy na spytki! Ale pierwej z czarownicą uczynimy sąd! Włożone już podkowy w węgle, zobaczymy, co grzesznica wyjawi, gdy jej paskudna skóra zasyczy! Zaręczam wam, że sama się do zbrodni czarostwa przyzna, trzebaż innego dowodu, jak przyznanie?

– A trzebaż, trzebaż – powiedział Hector Laabs. – Bo gdyby tak wam, świątobliwy, te podkowy rozpalone do pięt przystawić, to wierę, przyznalibyście się nawet i do występnego z kobyłą obcowania. Tfu! Wyście człek boży, a jak rakarz gadacie!

– Tak, jam jest człek boży! – zaryczał kapłan, przekrzykując wzmagający się wśród wieśniaków pomruk. – W boską wierzę sprawiedliwość, karę i pomstę! I w boży sąd! Niech przed bożym sądem wiedźma stanie! Sąd boży...

– Świetny pomysł – przerwał głośno wiedźmin, występując z tłumu.

Kapłan zmierzył go złym wzrokiem, chłopi przestali szemrać, gapili się z otwartymi ustami.

– Sąd boży – podjął Geralt wśród absolutnej ciszy – to rzecz całkowicie pewna i bezwzględnie sprawiedliwa. Ordalia akceptowane są również przez sądy świeckie i mają swe reguły. Reguły te stanowią, że w przypadku oskarżenia niewiasty, dziecka, starca lub osoby ułomnej do sądu stanąć może obrońca. Prawda, panie starosto Laabs? Zgłaszam

się oto na obrońcę. Ogrodźcie szranki. Kto pewien jest winy tej dziewczyny i nie boi się sądu bożego, niech wystąpi do walki ze mną.

– Ha! – zawołał kapłan, wciąż mierząc go wzrokiem. – Nie za chytrze, mości nieznajomy? Do pojedynku wyzywasz? Na pierwszy rzut oka widać, żeś rezun i rębacz! Na twój miecz bandycki chcesz zdać sąd boży?

– Jeśli miecz wam nie po myśli, świątobliwy – oznajmił przeciągle Zoltan Chivay, stając obok Geralta – i jeśli ten jegomość wam nie pasuje, to może ja będę godny? Proszę, niech oskarżyciel dziewki stanie ze mną na topory.

– Albo ze mną na łuki – Milva, mrużąc oczy, również wystąpiła. – Po jednej strzale, ze stu kroków.

– Widzicie, ludzie, jak szybko mnożą się obrońcy wiedźmy? – krzyknął kapłan, po czym odwrócił się i wykrzywił twarz w przebiegłym uśmiechu. – Dobrze, hultaje, przyjmuję do ordalium całą waszą trójkę. Wnet sąd boży się odbędzie, wnet ustalimy winę wiedźmy, a i waszą cnotę sprawdzimy zarazem! Ale nie na miecze, topory, kopie czy strzały! Znacie, mówicie, reguły sądu bożego? I ja je znam! Oto podkowy w węgle włożone, rozpalone do białości! Chrzest ognia! Nuże, czarostwa poplecznicy! Który podkowę z ognia wyjmie, do mnie ją przyniesie i śladu oparzeń nie zdradzi, ten dowiedzie, że wiedźma jest bez winy. Jeśli zaś co innego sąd boży pokaże, tedy i wam śmierć, i jej! Rzekłem!

Niechętne pomruki starosty Laabsa i jego grupy zgłuszyły entuzjastyczne wrzaski większości zgromadzonej za kapłanem, wietrzącej kapitalną uciechę i widowisko. Milva spojrzała na Zoltana, Zoltan na wiedźmina, a wiedźmin na niebo, a potem na Milvę.

– Wierzysz w bogów? – spytał półgłosem.

– Wierzę – odburknęła z cicha łuczniczka, patrząc na węgle w ognisku. – Ale nie dumam, by chciało im się zaprzątać głowy gorącymi podkowami.

– Od ogniska do tego sukinsyna wszystkiego trzy kroki – syknął przez zaciśnięte zęby Zoltan. – Jakoś wytrzymam, pracowałem w hucie... Módlcie się jednak za mnie do tych waszych bogów...

– Chwileczkę – Emiel Regis położył krasnoludowi rękę na ramieniu. – Proszę wstrzymać się z modłami.

Cyrulik podszedł do ogniska, ukłonił się kapłanowi i publiczności, po czym schylił się szybko i włożył rękę w gorejące węgle. Tłum wrzasnął

jednym głosem, Zoltan zaklął, Milva wpiła palce w ramię Geralta. Regis wyprostował się, spokojnie popatrzył na trzymaną w dłoni rozżarzoną do białości podkowę, nie spiesząc się podszedł do kapłana. Ten cofnął się, ale utknął na stojących za jego plecami wieśniakach.

– O to wam chodziło, jeśli się nie mylę, czcigodny? – spytał Regis, unosząc podkowę. – Chrzest ognia? Jeśli tak, mniemam, że boży wyrok jest jednoznaczny. Dziewczyna jest niewinna. Jej obrońcy są niewinni. I ja, imaginujcie sobie, też jestem niewinny.

– Po... po... pokażcie rękę... – zabełkotał kapłan. – Czy nie oparzona...

Cyrulik uśmiechnął się po swojemu, zaciśniętymi ustami, po czym przełożył podkowę do lewej dłoni, a prawą, całkiem zdrową, zademonstrował najpierw kapłanowi, potem zaś, unosząc wysoko, wszystkim. Tłum zaryczał.

– Czyja to podkowa? – spytał Regis. – Niech właściciel weźmie ją sobie.

Nikt się nie zgłosił.

– To sztuczka diabelska! – zawył kapłan. – Tyś sam czarownik albo diabeł wcielony!

Regis cisnął podkowę na ziemię i odwrócił się.

– Rzućcie więc na mnie egzorcyzmy – zaproponował chłodno. – Wolno wam. Ale sąd boży już się odbył. Słyszałem zaś, że podważanie wyniku ordaliów jest herezją.

– Zgiń, przepadnij! – wrzasnął kapłan, wymachując przed nosem cyrulika amuletem i wykonując drugą ręką kabalistyczne gesty. – Precz do piekielnej otchłani, czarcie! Niechaj ziemia rozstąpi się pod tobą...

– Dosyć tego! – krzyknął gniewnie Zoltan. – Hej, ludzie! Panie starosto Laabs! Zamierzacie dłużej przyglądać się temu błazeństwu? Zamierzacie...

Głos krasnoluda zgłuszył przeraźliwy wrzask.

– Niiiilfgaaaaaard!

– Konni od zachodu! Konni! Nilfgaard nadciąga! Ratuj się, kto może!

Obozowisko w jednej chwili zamieniło się w totalne pandemonium. Wieśniacy runęli do swych wozów i szałasów, przewracając się i tratując nawzajem. Jeden wielki ryk wzbił się ku niebiosom.

– Nasze konie! – wrzasnęła Milva, czyniąc dokoła siebie rum ciosami pięści i kopniakami. – Nasze konie, wiedźminie! Za mną, prędko!

– Geralt! – wrzeszczał Jaskier. – Ratuj!

Tłum rozdzielił ich, rozrzucił jak fala przyboju, w mgnieniu oka poniósł Milvę ze sobą. Geralt, trzymający Jaskra za kołnierz, nie dał się ponieść, bo w porę uczepił się wozu, do którego przywiązana była oskarżona o czary dziewczyna. Wóz jednak szarpnął nagle i ruszył z miejsca, a wiedźmin i poeta zwalili się na ziemię. Dziewczyna zaszarpała głową i zaczęła się histerycznie śmiać. W miarę oddalania się wozu śmiech cichł i gubił się wśród ogólnego ryku.

– Zadepczą! – wrzeszczał leżący na ziemi Jaskier. – Zmiażdżą! Ratunkuuuu!

– Rrrwa mać! – skrzeknął niewidoczny Feldmarszałek Duda.

Geralt uniósł głowę, wypluł piasek i zobaczył prześmieszną scenę.

Do ogólnej paniki nie dołączyły tylko cztery osoby, z czego jedna wbrew swej woli. Tą ostatnią był kapłan, unieruchomiony żelaznym chwytem za kark przez starostę Hectora Laabsa. Dwiema pozostałymi osobami byli Zoltan i Percival. Gnom szybkim ruchem zadarł z tyłu szatę kapłana, a uzbrojony w obcęgi krasnolud wyciągnął z ogniska rozpaloną podkowę i wrzucił ją w gacie świątobliwego męża. Wypuszczony z uścisku Laabsa kapłan pomknął przed siebie jak kometa z dymiącym ogonem, a jego wrzask utonął w ryku tłumu. Geralt widział, jak starosta, gnom i krasnolud chcieli sobie wzajem pogratulować udanego ordalium, gdy wprost na nich zwaliła się następna fala uciekającego w panice motłochu. Wszystko znikło we wzbitym kurzu, wiedźmin nie widział już nic, nie miał zresztą czasu się przyglądać, zajęty ratowaniem Jaskra, którego ponownie zwalił z nóg gnający na oślep wieprz. Gdy Geralt się schylił, by podnieść poetę, z turkoczącego obok wozu zrzucono mu prosto na plecy drabinę. Ciężar przypłaszczył go do ziemi, nim zdążył zwalić go z siebie, po drabinie przebiegło z piętnaście osób. Gdy wreszcie zdołał się wyzwolić, tuż obok z trzaskiem i hukiem przewrócił się kolejny wóz, z którego spadły na wiedźmina trzy worki pszennej mąki, kosztującej tu koronę za funt. Worki rozwiązały się i świat utonął w białym obłoku.

– Wstawaj, Geralt! – darł się trubadur. – Wstawaj, do cholery!

– Nie mogę – stęknął oślepiony drogocenną mąką wiedźmin, chwytając się oburącz za przeszywane obezwładniającym bólem kolano. – Ratuj się, Jaskier...

– Nie zostawię cię!

Od zachodniego skraju obozu dobiegały makabryczne krzyki, mieszające się z łoskotem podkutych kopyt i rżeniem koni. Wrzask i tętent wzmogły się nagle, nałożył się na nie dzwon, szczęk i łomot żelaza zderzającego się z żelazem.

– Bitwa! – krzyknął poeta. – Biją się!

– Kto? Z kim? – Geralt gwałtownymi ruchami starał się oczyścić oczy z mąki i plew. Niedaleko coś się paliło, ogarnął ich dech żaru i kłąb smrodliwego dymu. Tętent rósł w uszach, ziemia zadygotała. Pierwszym, co zobaczył w chmurze pyłu, były dziesiątki końskich pęcin w galopie. Wszędzie dookoła. Przemógł ból.

– Pod wóz! Kryj się pod wóz, Jaskier, bo nas stratują!

– Nie ruszajmy się... – zajęczał przypłaszczony do ziemi poeta. – Leżmy... Słyszałem, że koń nigdy nie nadepnie leżącego człowieka...

– Nie jestem pewien – wydyszał Geralt – czy każdy koń o tym słyszał. Pod wóz! Prędko!

W tym momencie jeden z nie znających ludzkich przysłów koni kopnął go w przelocie w bok głowy. W oczach wiedźmina rozbłysły nagle czerwienią i złotem wszystkie gwiazdozbiory firmamentu, a w chwilę potem nieprzebite ciemności okryły niebo i ziemię.

•

Szczury zerwały się, zbudzone przeciągłym krzykiem, dudniącym zwielokrotnionym echem po ścianach jaskini. Asse i Reef chwycili za miecze, Iskra zaklęła głośno, bo uderzyła głową w występ skalny.

– Co jest? – wrzasnął Kayleigh. – Co się stało?

W jaskini panował mrok, choć na zewnątrz świeciło słońce – Szczury odsypiały noc spędzoną na kulbakach w ucieczce przed pościgiem. Giselher włożył łuczywo do żaru, rozpalił je, uniósł, podszedł do miejsca, gdzie spały Ciri i Mistle, jak zwykle z dala od reszty bandy. Ciri siedziała z opuszczoną głową, Mistle obejmowała ją.

Giselher wyżej uniósł pochodnię. Pozostali też się zbliżyli. Mistle nakryła futrem nagie ramiona Ciri.

– Posłuchaj, Mistle – powiedział poważnie herszt Szczurów. – Nigdy nie wtrącałem się do tego, co wy dwie robicie na jednym posłaniu. Nigdy nie powiedziałem przykrego ani kpiącego słowa. Zawsze staram się patrzeć w innym kierunku i nie zauważać. To wasza sprawa i wasze

upodobania, nic innym do tego, tak długo, jak robicie to dyskretnie i cicho. Ale tym razem przesadziłyście nieco.

– Nie bądź głupi – wybuchnęła Mistle. – Co ty sobie wyobrażasz, że to... Dziewczyna krzyczała przez sen! To był koszmar!

– Nie wrzeszcz. Falka?

Ciri pokiwała głową.

– Taki straszny był ten sen? Co ci się śniło?

– Zostaw ją w spokoju!

– Przymknij się, Mistle. Falka?

– Kogoś, kogo kiedyś znałam – wykrztusiła Ciri – stratowały konie. Kopyta... Czułam, jak mnie miażdżą... Czułam jego ból... Głowa i kolano... Wciąż jeszcze mnie boli... Przepraszam. Pobudziłam was.

– Nie przepraszaj – Giselher spojrzał na zacięte usta Mistle. – To wam należą się przeprosiny. A sen? Cóż, każdemu może się przyśnić. Każdemu.

Ciri zamknęła oczy. Nie była pewna, czy Giselher ma słuszność.

•

Ocucił go kopniak.

Leżał z głową opartą o koło przewróconego wozu, tuż obok niego kurczył się Jaskier. Kopiącym okazał się knecht w przeszywanicy i okrągłym hełmie. Obok niego stał drugi. Obaj trzymali za wodze konie, przy siodłach których wisiały kusze i tarcze.

– Młynarze czy ki diabeł?

Drugi knecht wzruszył ramionami. Geralt zobaczył, że Jaskier nie odrywa oczu od tarcz. Sam też już dawno zauważył, że na tarczach były lilie. Godła królestwa Temerii. Takie same znaki nosili inni strzelcy konni, od których roiło się w pobliżu. Większość zajęta była łapaniem koni i obdzieraniem zwłok. W większości noszących czarne nilfgaardzkie płaszcze.

Obozowisko nadal było dymiącą ruiną po szturmie, ale już pojawili się chłopi, którzy ocaleli i nie uciekli za daleko. Strzelcy konni z temerskimi liliami spędzali ich do kupy, pokrzykiwali.

Milvy, Zoltana, Percivala i Regisa nigdzie nie było widać.

Tuż obok siedział bohater niedawnego procesu o czary, czarny kocur, beznamiętnie patrząc na Geralta zielonozłotymi oczami. Wiedźmin zdziwił się nieco, zwykle koty nie znosiły jego bliskości. Na

zastanawianie się nad niecodziennym zjawiskiem nie miał czasu, bo jeden z knechtów szturchnął go drzewcem oszczepu.

– Wstawać, obaj! Hola, ten siwy ma miecz!

– Rzuć broń! – krzyknął drugi, przywołując pozostałych. – Miecz na ziemię, ale już, bo glewią przebodę!

Geralt usłuchał. W głowie mu dzwoniło.

– Wy co za jedni?

– Podróżni – powiedział Jaskier.

– Jużci – parsknął żołdak. – Podróżujecie do dom? Zbieżawszy spod znaku i zrzuciwszy barwy? Dużo w tym obozie takich podróżnych, co się Nilfgaardu przelękli, co im wojskowy chlebek nie smakował! Niektórzy starzy nasi znajomi. Z naszej chorągwi!

– Tych podróżnych tera inna podróż czeka – zarechotał drugi. – Krótka! Do góry, na gałąź!

– Nie jesteśmy dezerterami! – wrzasnął poeta.

– Pokaże się, kim jesteście. Szarży zdacie sprawę.

Zza pierścienia strzelców konnych wyłonił się oddział lekkiej jazdy prowadzony przez kilku ciężkozbrojnych z pysznymi pióropuszami na hełmach.

Jaskier przyjrzał się rycerzom, otrzepał z mąki i doprowadził do porządku przyodziewę, po czym popluł na dłoń i przyczesał zmierzwione włosy.

– Ty, Geralt, milcz – uprzedził. – Ja będę paktował. To temerskie rycerstwo. Rozbili Nilfgaardczyków. Nic nam nie zrobią. Już ja wiem, jak się z pasowanymi rozmawia. Trzeba im pokazać, że nie z pospólstwem, lecz z równymi sobie mają sprawę.

– Jaskier, zmiłuj się...

– Nie turbuj się, wszystko będzie dobrze. Zęby zjadłem na rozmowach z rycerstwem i szlachtą, połowa Temerii mnie zna. Hej, z drogi, pachołki, nastąpcie się! Mam słowo do waszych panów!

Knechci popatrzyli z wahaniem, ale unieśli nastawione włócznie, rozstąpili się. Jaskier i Geralt ruszyli w stronę rycerzy. Poeta kroczył dumnie i z wielkopańską miną, mało pasującą do wystrzępionego i utytłanego w mące kabata.

– Stać! – ryknął do niego jeden z pancernych. – Ani kroku! Coście za jedni?

– A komu to niby mam się opowiadać? – Jaskier wziął się pod boki. – I dlaczego? Kim to są urodzeni panowie, by niewinnych podróżnych oprymować?

– Nie tobie pytać, hołyszu! Tobie odpowiadać!

Trubadur przekrzywił głowę, popatrzył na herby na tarczach i tunikach rycerzy.

– Trzy serca czerwone w polu złotym – zauważył. – Z tego wynika, żeście Aubry. W głowie tarczy lambel o trzech zębach, a zatem musicie być pierworodnym synem Anzelma Aubry'ego. Rodzica waszego dobrze znam, panie rycerzu. A wy, panie krzykliwy, co tam na srebrnej tarczy nosicie? Między gryfimi głowami słup czarny? Herb rodu Papebrocków, jeśli się nie mylę, a ja w takich sprawach rzadko się mylę. Słup, jak powiadają, odzwierciedla właściwy członkom tego rodu pomyślunek.

– Przestań, do licha – jęknął Geralt.

– Jestem słynny poeta Jaskier! – nadął się bard, nie zwracając na niego uwagi. – Pewnikiem słyszeliście? Prowadźcie tedy do waszego dowódcy, do seniora, bo z równymi sobie przywykłem rozmawiać!

Pancerni nie zareagowali, ale wyraz ich twarzy stawał się coraz bardziej niesympatyczny, a żelazne rękawice coraz mocniej zaciskały się na ozdobnych trzęzlach. Jaskier najwyraźniej tego nie dostrzegał.

– No, cóż to z wami? – zapytał wyniośle. – Czego się tak gapicie, rycerzu? Tak, do was mówię, panie słupie czarny! Czemu miny robicie? Ktoś wam powiedział, że jeśli zmrużycie oczy i wysuniecie w przód dolną szczękę, będziecie wyglądać po męsku, mężnie, dostojnie i groźnie? Nabrał was ten ktoś. Wyglądacie na kogoś, kto od tygodnia nie miał szczęścia porządnie się wysrać!

– Brać ich! – wrzasnął do knechtów pierworodny syn Anzelma Aubry'ego, nosiciel tarczy z trzema sercami. Słup czarny z rodu Papebrocków dźgnął rumaka ostrogami.

– Brać ich! W łyka hultajów!

•

Szli za końmi, ciągnieni na powrozach łączących ich skrępowane nadgarstki z łękami siodeł. Szli, a niekiedy biegli, bo jeźdźcy nie żałowali ani wierzchowców, ani jeńców. Jaskier dwukrotnie wywalił się i kilka chwil jechał na brzuchu, wrzeszcząc, aż litość brała. Stawiano go na nogi, mało litościwie ponaglając drzewcem oszczepu. I gnano dalej.

Kurz łzawił i oślepiał oczy, dusił i wiercił w nosie. Pragnienie paliło gardła.

Jedno było pocieszające – droga, którą ich gnano, wiodła na południe. Geralt podróżował oto nareszcie we właściwym kierunku, i to wcale szybko. Nie cieszył się jednak. Bo zupełnie inaczej wyobrażał sobie taką podróż.

Na miejsce dotarli w momencie, gdy Jaskier ochrypł od bluźnierstw mieszanych z wołaniem o miłosierdzie, a ból w łokciu i kolanie Geralta stał się istną torturą, na tyle dotkliwą, by wiedźmin zaczął rozważać podjęcie radykalnych, choćby i rozpaczliwych akcji.

Dotarli do wojskowego obozu, rozmieszczonego dokoła zrujnowanej, na wpół spalonej warowni. Za pierścieniem straży, koniowiązów i dymiących biwakowych ogni ujrzeli ozdobione proporcami namioty rycerstwa, otaczające obszerny i ruchliwy majdan za porozwalaną i osmaloną palisadą. Majdan okazał się kresem ich wymuszonej wędrówki.

Ujrzawszy koryto do pojenia koni, Geralt i Jaskier napięli powrozy. Jeźdźcy nie byli początkowo skłonni dopuścić ich do wodopoju, ale syn Anzelma Aubry'ego przypomniał sobie widać o rzekomej znajomości Jaskra ze swym rodzicielem i zechciał być łaskawy. Wepchnęli się między konie, napili, obmyli twarze skrępowanymi rękoma. Szarpnięcie postronków wkrótce przywróciło ich rzeczywistości.

– Kogoście mi znowu przywiedli? – spytał wysoki i szczupły rycerz w szmelcowanej, bogato złoconej zbroicy, uderzając rytmicznie buzdyganem o ornamentowaną taszkę. – Nie mówcie mi aby, że to kolejni szpiedzy.

– Szpiedzy albo dezerterzy – potwierdził syn Anzelma Aubry'ego. – Pojmaliśmy ich w obozie nad Chotlą, gdyśmy znieśli nilfgaardzki podjazd. To niezawodnie podejrzany element!

Rycerz w pozłacanej zbroi parsknął, potem zaś uważnie przyjrzał się Jaskrowi, a młoda, lecz surowa twarz rozjaśniła mu się nagle.

– Bzdura. Rozwiązać ich.

– Nilfgaardzcy są to szpiegarze! – zaperzył się Słup Czarny z rodu Papebrocków. – Zwłaszcza ten, o, gałgan, wyszczekany jak wiejska sobaka. Poetą się być powiadał, łotrzyk!

– Tedy nie zełgał – uśmiechnął się rycerz w pozłacanym pancerzu. – To bard Jaskier. Znam go. Zdjąć z niego pęta. Z tego drugiego też.

– Pewni jesteście, panie hrabio?

– To był rozkaz, rycerzu Papebrock.

– Nie wiedziałeś, na co mogę ci się przydać, tak? – mruknął Jaskier do Geralta, rozcierając zdrętwiałe od więzów nadgarstki. – To teraz już wiesz. Moja sława mnie wyprzedza, wszędzie mnie znają i poważają.

Geralt nie skomentował, zajęty masowaniem własnych nadgarstków, obolałego łokcia i kolana.

– Raczcie wybaczyć gorliwość tych młodzików – powiedział rycerz tytułowany hrabią. – Wszędzie upatrują nilfgaardzkich szpiegów. Każdy wysłany podjazd przyprowadza kilku takich, którzy wydali się podejrzani. To znaczy takich, którzy czymkolwiek wyróżniali się wśród uchodzącego motłochu. A wy, mości Jaskier, wyróżniacie się wszakże. Skąd wzięliście się nad Chotlą, wśród zbiegów?

– Byłem w drodze z Dillingen do Mariboru – zełgał gładko poeta – gdy wpadliśmy w to piekło, ja i mój... kolega po piórze. Pewnie go znacie. Zwie się... Giraldus.

– Ależ znam, znam, czytałem – pochwalił się rycerz. – Honor dla mnie, panie Giraldus. Jestem Daniel Etcheverry, hrabia Garramone. Na honor, mistrzu Jaskier, wiele zmieniło się od czasów, gdy śpiewaliście na dworze króla Foltesta!

– Niewątpliwie wiele.

– Kto by pomyślał – spochmurniał hrabia – że do tego dojdzie. Verden zhołdowane Emhyrowi, Brugge praktycznie już podbite, Sodden w ogniu... A my cofamy się, bez przerwy cofamy... Przepraszam, chciałem rzec: dokonujemy taktycznego manewru. Nilfgaard dookoła pali i grabi, już prawie do Iny podchodzi, już mało brakuje, by zamknął oblężeniem twierdze Mayeny i Razwanu, a armia temerska wciąż dokonuje tego manewru...

– Gdy nad Chotlą zobaczyłem lilie na waszych tarczach – rzekł Jaskier – myślałem, że to już ofensywa.

– Kontruderzenie – poprawił Daniel Etcheverry. – I rozpoznanie walką. Przekroczyliśmy Inę, starliśmy kilka nilfgaardzkich podjazdów i kilka komand Scoia'tael szerzących pożary. Widzicie, co zostało z prezydium w Armerii, które udało się nam odbić. A forty w Carcano i Vidort spalone do gruntu... Całe południe we krwi, ogniu i dymie... Ach, nudzę waszmościów. Dobrze wiecie, co się dzieje w Brugge i Sodden, ze zbiegami stamtąd przyszło przecież wam się tułać. A moje chwaty za

szpiegów was wzięły! Jeszcze raz wybaczenia proszę. I zapraszam na obiad. Niektórzy z panów szlachty i oficerów radzi będą poznać was, panowie poeci.

– Zaszczyt to dla nas prawdziwy, panie hrabio – ukłonił się sztywno Geralt. – Ale czas nagli. Musimy ruszać w drogę.

– Ależ proszę się nie krępować – uśmiechnął się Daniel Etcheverry – Zwykły, skromny żołnierski posiłek. Sarnina, jarząbki, sterlety, trufle...

– Odmówić – Jaskier przełknął ślinę i zmierzył wiedźmina wymownym spojrzeniem – wielkim byłoby despektem. Chodźmy nie mieszkając, panie hrabio. Czy to wasz namiot, ten bogaty, w błękitno-złotych barwach?

– Nie. To namiot głównodowodzącego. Lazur i złoto to barwy jego ojczyzny.

– Jak to? – zdziwił się Jaskier. – Pewien byłem, że to armia Temerii. Że wy tu dowodzicie.

– To jest wydzielony oddział armii Temerii. Ja jestem oficerem łącznikowym króla Foltesta, służy tu też sporo temerskiej szlachty z pocztami, które dla porządku lilie noszą na tarczach. Ale trzon tego korpusu stanowią poddani innego królestwa. Widzicie sztandar przed namiotem?

– Lwy. – Geralt zatrzymał się. – Złote lwy na błękitnym polu. To... To godło...

– Cintry – potwierdził hrabia. – To są emigranci z królestwa Cintry, obecnie okupowanego przez Nilfgaard. Dowodzi nimi marszałek Vissegerd.

Geralt odwrócił się z zamiarem oświadczenia hrabiemu, że pilne sprawy zmuszają go jednak do rezygnacji z sarniny, sterletów i trufli. Nie zdążył. Zobaczył zbliżającą się ku nim grupę, na czele której szedł postawny, brzuchaty i siwy rycerz w błękitnym płaszczu i ze złotym łańcuchem na zbroi.

– Oto, panowie poeci, właśnie marszałek Vissegerd we własnej osobie – powiedział Daniel Etcheverry. – Pozwólcie, wasza wielmożność, że wam przedstawię...

– Nie trzeba – przerwał chrapliwie marszałek Vissegerd, wiercąc Geralta wzrokiem. – Byliśmy już sobie przedstawieni. W Cintrze, na dworze królowej Calanthe. W dniu zaręczyn królewny Pavetty. Było to

piętnaście lat temu, ale ja pamięć mam dobrą. A ty, łajdaku wiedźminie? Pamiętasz mnie?

– Pamiętam – kiwnął głową Geralt, posłusznie podając żołnierzom ręce do związania.

•

Daniel Etcheverry, hrabia Garramone, próbował ująć się za nimi już wówczas, gdy knechci usadzili skrępowanych Geralta i Jaskra na stojących w namiocie zydlach. Teraz, gdy na rozkaz marszałka Vissegerda knechci wyszli, hrabia wznowił wysiłki.

– To jest poeta i trubadur Jaskier, panie marszałku – powtórzył. – Ja go znam. Cały świat go zna. Nie uważam za stosowne, by tak go traktować. Ręczę słowem rycerskim, że nie jest nilfgaardzkim szpiegiem.

– Nie ręczcie pochopnie – warknął Vissegerd, nie spuszczając oka z jeńców. – Może to i poeta, ale jeśli pojmano go w kompanii tego oto szubrawca wiedźmina, to ja bym za niego nie ręczył. Wy, zda się, ciągle nie imaginujecie, co to za ptaszek wpadł nam w sidła.

– Wiedźmin?

– A jakże. Geralt, którego Wilkiem wołają. Ten sam hultaj, który rościł sobie prawa do Cirilli, córki Pavetty, wnuczki Calanthe, tej samej Ciri, o której teraz tyle się gada. Za młodzi jesteście, hrabio, by pamiętać czasy, kiedy ta afera głośna była na wielu dworach, ale ja, tak się składa, byłem naocznym świadkiem.

– A cóż jego może łączyć z księżniczką Cirillą?

– Tenże pies – Vissegerd wskazał Geralta palcem – przyczynił się do wydania Pavetty, córki królowej Calanthe, za Duny'ego, nikomu nie znanego przybłędę z południa. Z tego to sobaczego związku urodziła się później Cirilla, przedmiot ich niecnego spisku. Bo trzeba wam wiedzieć, że ów bastard Duny zawczasu przyrzekł dziewczynkę wiedźminowi w zapłacie za umożliwienie mariażu. Prawo Niespodzianki, rozumiecie?

– Nie całkiem. Ale mówcie dalej, imć panie marszałku.

– Wiedźmin – Vissegerd ponownie wycelował w Geralta palec – chciał po śmierci Pavetty zabrać dziewczynkę, ale Calanthe nie zezwoliła, przepędziła go sromotnie. Ale on doczekał sposobnej chwili. Gdy wybuchła wojna z Nilfgaardem i Cintra padła, porwał Ciri, korzystając z

wojennej zawieruchy. Trzymał dziewczynę w ukryciu, choć wiedział, że jej szukamy. A w końcu znudził się nią i sprzedał Emhyrowi!

– To kłamstwo i potwarz! – wrzasnął Jaskier. – W tym nie ma słowa prawdy!

– Milcz, grajku, bo każę cię zakneblować. Połączcie fakty, hrabio. Wiedźmin miał Cirillę, teraz ma ją Emhyr var Emreis. A wiedźmin zostaje przychwycony w awangardzie nilfgaardzkiego zagonu. Co to znamionuje?

Daniel Etcheverry wzruszył ramionami.

– Co to znamionuje? – powtórzył Vissegerd, pochylając się nad Geraltem. – Co, ty szelmo? Gadaj! Od jak dawna szpiegujesz dla Nilfgaardu, psie?

– Nie szpieguję dla nikogo.

– Każę pasy z ciebie drzeć!

– Każcie.

– Panie Jaskier – odezwał się nagle hrabia Garramone. – Korzystniej chyba będzie, jeśli przystąpicie do wyjaśnień. Im prędzej, tym lepiej.

– Dawno już bym to zrobił – wybuchnął poeta – ale jaśnie pan marszałek groził mi kneblem! Jesteśmy niewinni, to wszystko wymysły wierutne i ohydne potwarze. Cirilla została porwana z wyspy Thanedd, a Geralt został ciężko ranny w jej obronie. Każdy to może potwierdzić. Każdy czarodziej, który był na Thanedd. I sekretarz stanu Redanii, pan Sigismund Dijkstra...

Jaskier zamilkł nagle, przypominając sobie, że akurat Dijkstra zupełnie nie nadaje się w tej sprawie na świadka obrony, a powoływanie się na czarodziejów z Thanedd również niespecjalnie polepsza położenie.

– Jakżeż wielką bzdurą – podjął głośno i szybko – jest zarzucać Geraltowi, że porwał Ciri w Cintrze! Geralt odnalazł dziewczynkę, gdy po rzezi miasta tułała się na Zarzeczu, a ukrył ją nie przed wami, lecz przed tropiącymi ją agentami Nilfgaardu! Ja sam zostałem przez tych agentów pojmany i wzięty na męki, bym zdradził, gdzie Ciri się ukrywa! Ale słowa nie uroniłem, a owi agenci już ziemię gryzą. Nie wiedzieli, z kim zadzierają!

– Wasze męstwo – wtrącił hrabia – było jednak daremne. Emhyr w końcu ma Cirillę. Jak powszechnie wiadomo, zamierza się z nią ożenić i

uczynić z niej cesarzową Nilfgaardu. Na razie obwołał ją królową Cintry i okolic, sprawiając nam tym trochę kłopotów.

– Emhyr – oświadczył poeta – mógł posadzić na tronie Cintry, kogo by tylko chciał. Ciri, z której strony by nie patrzeć, ma do tego tronu prawa.

– Prawa? – wrzasnął Vissegerd, obryzgując Geralta śliną. – Gówno, nie prawa! Emhyr może się z nią ożenić, jego wola. Może i jej, i dzieciakowi, którego jej zrobi, dawać nadania i tytuły wedle fantazji i widzimisię. Królowa Cintry i Wysp Skellige? Czemu nie? Księżna Brugge? Hrabina palatynka Sodden? Proszę bardzo, kłaniamy się w pas! A dlaczego, zapytuję uniżenie, nie królowa Słońca i suzerenka Księżyca? Ta przeklęta, skalana krew nie ma żadnych praw do tronu! Przeklęta krew, cała babska linia tego rodu to przeklęte, podłe kreatury, od Riannon poczynając! Jak prababka Cirilli, Adalia, co się z własnym kuzynem skaziła, jak jej praprababka, Muriel Łotrzyca, co kaziła się z każdym! Kazirodne bękarcice i pokrzywniczki z tego rodu idą, jedna za drugą!

– Mówcie ciszej, panie marszałku – rzekł butnie Jaskier. – Przed waszym namiotem wisi sztandar ze złotymi lwami, a wy gotowiście za chwilę obwołać bękarcicą babkę Ciri, Calanthe, Lwicę z Cintry, za którą większość waszych żołnierzy przelewała krew w Marnadalu i pod Sodden. A wówczas nie byłbym pewien wierności waszego wojska.

Vissegerd dwoma krokami pokonał dzielącą go od Jaskra odległość, chwycił poetę za żabot i uniósł z krzesła. Twarz marszałka, przed chwilą jedynie upstrzona kraśnymi plamami, teraz przybrała barwę głębokiej czerwieni heraldycznej. Geralt zaczął mocno obawiać się o przyjaciela, szczęściem do namiotu wpadł nagle adiutant, podnieconym głosem zawiadamiając o pilnych i ważnych wieściach przyniesionych przez podjazd. Vissegerd silnym pchnięciem zwalił Jaskra na zydel i wyszedł.

– Uff... – stęknął poeta, kręcąc głową i szyją. – Mało brakowało, a byłby mnie zadławił... Czy możecie nieco rozluźnić mi więzy, panie hrabio?

– Nie, panie Jaskier. Nie mogę.

– Dajecie wiarę tym bzdurom? Że jesteśmy szpiegami?

– Moja wiara nie ma tu nic do rzeczy. Pozostaniecie jednak związani.

– Trudno – Jaskier odkaszlnął. – Co za diabeł wstąpił w waszego marszałka? Dlaczego nagle rzucił się na mnie, niczym kobuz na słonkę?

Daniel Etcheverry uśmiechnął się krzywo.

– Napomykając o wierności żołnierzy, niechcący zadrapaliście bolący wrzód, panie poeto.

– Jakże to? Jaki wrzód?

– Ci żołnierze serdecznie opłakali ową Cirillę, gdy doszły ich wieści o jej śmierci. A potem gruchnęła nowa wieść. Okazało się, że wnuczka Calanthe żyje. Że jest w Nilfgaardzie i cieszy się łaskami cesarza Emhyra. Wówczas doszło do masowych dezercji. Zważcie, że ci ludzie porzucili domy i rodziny, uciekli do Sodden i Brugge, do Temerii, bo chcieli się bić za Cintrę, za krew Calanthe. Chcieli walczyć o wyzwolenie kraju, chcieli wypędzić z Cintry najeźdźcę, sprawić, by potomkini Calanthe odzyskała tron. A co się okazało? Krew Calanthe wraca na tron Cintry w chwale i glorii...

– Jako marionetka w ręku Emhyra, który ją porwał.

– Emhyr żeni się z nią. Chce posadzić obok siebie na cesarskim stolcu, potwierdzić tytuły i lenna. Czy tak postępuje się z marionetkami? Cirillę widzieli na cesarskim dworze posłowie z Koviru. Twierdzą, że nie sprawiała wrażenia uprowadzonej przemocą. Cirilla, jedyna dziedziczka tronu Cintry, wraca na ten tron jako sojuszniczka Nilfgaardu. Takie wieści rozeszły się wśród żołnierzy.

– Rozpuszczone przez nilfgaardzkich agentów.

– Wiem o tym – kiwnął głową hrabia. – Ale żołnierze nie wiedzą. Gdy chwytamy dezerterów, karzemy ich stryczkiem, ale ja ich trochę rozumiem. To Cintryjczycy. Oni chcą się bić za własne, nie temerskie domy. Pod własną, nie temerską komendą. Pod własnym sztandarem. Oni widzą, że tu, w tej armii, ich złote lwy pochyla się przed temerskimi liliami. Vissegerd miał osiem tysięcy żołnierza, w tym pięć tysięcy rodowitych Cintryjczyków, resztę stanowiły temerskie oddziały posiłkowe i ochotnicze rycerstwo z Brugge i Sodden. W tej chwili korpus liczy sześć tysięcy. A zdezerterowali wyłącznie ci z Cintry. Wojsko Vissegerda zostało zdziesiątkowane bez bitwy. Rozumiecie, co to dla niego oznacza?

– Traci prestiż i pozycję.

– Oczywiście. Jeszcze kilka setek zdezerteruje, a król Foltest odbierze mu buławę. Już w tej chwili trudno ten korpus nazywać cintryjskim. Vissegerd miota się, chce powstrzymać ucieczki, dlatego rozpuszcza plotki o niepewnym, acz pewnie nieprawym pochodzeniu Cirilli i jej przodków.

– Czego wy – nie mógł powstrzymać się Geralt – słuchacie z wyraźnym niesmakiem, hrabio.

– Zauważyliście? – uśmiechnął się lekko Daniel Etcheverry. – Cóż, Vissegerd nie zna mego rodowodu... Krótko mówiąc, jestem z ową Cirillą spokrewniony. Muriel, hrabina Garramone, zwana Piękną Łotrzycą, praprababka Cirilli, była również moją praprababką. O jej podbojach miłosnych krążą w rodzie legendy, niemniej z niechęcią słucham, gdy Vissegerd imputuje mej antenatce skłonności kazirodcze i puszczanie się na prawo i lewo. Ale nie reaguję. Bo jestem żołnierzem. Czy dobrze mnie panowie rozumieją?

– Tak – powiedział Geralt.

– Nie – powiedział Jaskier.

– Vissegerd jest dowódcą tego korpusu wchodzącego w skład temerskiej armii. A Cirilla w ręku Emhyra jest zagrożeniem dla korpusu, a więc i dla armii, tym samym dla mego króla i mego kraju. Nie zamierzam przeczyć rozpuszczanym przez Vissegerda plotkom o Cirilli i podważać autorytetu dowódcy. Zamierzam nawet wspierać go w udowadnianiu, że Cirilla jest bękartem i nie ma praw do tronu. Nie tylko nie przeciwstawię się marszałkowi, nie tylko nie będę kwestionował jego decyzji i rozkazów, ale wręcz je poprę. I wykonam, gdy będzie trzeba.

Wiedźmin skrzywił usta w uśmiechu.

– Teraz chyba rozumiesz, Jaskier? Pan hrabia nawet przez moment nie miał nas za szpiegów, inaczej nie udzieliłby nam tak dogłębnych wyjaśnień. Pan hrabia wie, że jesteśmy niewinni. Ale palcem nie ruszy, gdy Vissegerd wyda na nas wyrok.

– Czy to znaczy... Czy to znaczy, że...

Hrabia odwrócił wzrok.

– Vissegerd – powiedział cicho – jest wściekły. Mieliście tęgiego pecha wpadając w jego ręce. Zwłaszcza wy, panie wiedźminie. Pana Jaskra postaram się...

Przerwało mu wejście Vissegerda, wciąż czerwonego i sapiącego jak buhaj. Marszałek podszedł do stołu, walnął buzdyganem w zalegające blat mapy, potem odwrócił się do Geralta i przewiercił go wzrokiem. Wiedźmin nie spuścił oczu.

– Ranny Nilfgaardczyk, którego schwytał podjazd – wycedził Vissegerd – zdołał w drodze zedrzeć opatrunek i wykrwawił się, nie

odzyskawszy przytomności. Wolał umrzeć, niż przyczynić się do klęski i śmierci swych pobratymców. Chcieliśmy go wykorzystać, a on uciekł nam w śmierć, przeciekł przez palce, nic na palcach nie zostało prócz jego krwi. Dobra szkoła. Szkoda, że wiedźmini nie wpajają takich rzeczy królewskim dzieciom, które zabierają na wychowanie.

Geralt milczał, ale wzroku nadal nie spuszczał.

– Co, dziwolągu? Wybryku natury? Piekielna kreaturo? Czego nauczyłeś porwaną Cirillę? Jak ją wychowałeś? Wszyscy widzą i wiedzą, jak! Ten wyrodek żyje, rozpiera się na nilfgaardzkim tronie jak gdyby nic! A gdy Emhyr weźmie ją do łoża, jak gdyby nic rozkraczy się pewnie ochotnie, gamratka jedna!

– Ponosi was złość – bąknął Jaskier. – Po rycersku to, panie marszałku, dziecko obarczać winą za wszystko? Dziecko, które Emhyr uprowadził przemocą?

– Na przemoc też są sposoby! Właśnie rycerskie, właśnie królewskie sposoby! Byłaby to prawdziwie królewska krew, znalazłaby je! Znalazłby się nóż! Nożyce, szkła zbitego ułamek, szydło wreszcie! Mogła sobie, suka, zębami poszarpać żyły na napięstkach! Na pończosze własnej się powiesić!

– Nie chcę was dłużej słuchać, panie Vissegerd – powiedział cicho Geralt. – Nie chcę was dłużej słuchać.

Marszałek słyszalnie zgrzytnął zębami, pochylił się.

– Nie chcesz – powiedział głosem dygocącym od złości. – To się dobrze składa, bo ja już nic więcej nie mam ci do powiedzenia. Tylko jedno. Wtedy, w Cintrze, piętnaście lat temu, dużo się gadało o przeznaczeniu. Myślałem wówczas, że to bzdury. A jednak to było twoje przeznaczenie, wiedźminie. Od tamtej nocy twój los był już przesądzony, czarnymi runami zapisany wśród gwiazd. Ciri, córka Pavetty, to twoje przeznaczenie. I twoja śmierć. Bo za Ciri, córkę Pavetty, będziesz wisiał.

Do operacji „Centaur” brygada przystąpiła jako oddział wydzielony IV Armii Konnej. Otrzymaliśmy wsparcie w postaci trzech rot lekkiej jazdy verdeńskiej, które przydzieliłem do Grupy Bojowej „Vreemde”. Z reszty brygady, wzorem kampanii w Aedirn, wydzieliłem Grupy Bojowe „Sievers” i „Morteisen”, każdą w składzie czterech szwadronów.

Z rejonu ześrodkowania pod Drieschot wyszliśmy nocą z czwartego na piątego sierpnia. Rozkaz dla Grup brzmiał: osiągnąć rubież Vidort-Carcano-Armeria, uchwycić przeprawy na Inie, niszcząc napotkanego nieprzyjaciela, ale omijając większe punkty oporu. Wzniecając pożary, zwłaszcza nocne, oświetlić drogę dywizjonom IV Armii, wytworzyć panikę wśród ludności cywilnej i doprowadzić do zakorkowania zbiegami wszystkich arterii komunikacyjnych na tyłach wroga. Pozorując okrążenie, spychać wycofujące się oddziały wroga w kierunku rzeczywistych kotłów. Dokonując eliminacji wybranych grup ludności cywilnej i jeńców, budzić przerażenie, pogłębiać panikę i łamać morale nieprzyjaciela.

Zadania powyższe brygada wykonała z wielkim żołnierskim poświęceniem.

Elan Trahe, *Za cesarza i ojczyznę. Chwalebny szlak bojowy VII Daerlańskiej Brygady Kawalerii*

Rozdział piąty

Milva nie zdążyła dobiec i ocalić koni. Była świadkiem ich kradzieży, ale świadkiem bezsilnym. Najpierw porwał ją oszalały, spanikowany tłum, potem drogę zagrodziły pędzące wozy, potem ugrzęzła w wełnianym i beczącym stadzie owiec, przez które musiała przedzierać się jak przez śnieżną zaspę. Potem, już nad Chotlą, wyłącznie skok w zarośnięte tatarakiem przybrzeżne bagienko uratował ją przed mieczami Nilfgaardczyków, rąbiących bez litości stłoczonych nad rzeką uciekinierów, nie dających pardonu ani kobietom, ani dzieciom. Milva

rzuciła się w wodę i przedostała na drugi brzeg, częściowo brodząc, częściowo płynąc na wznak wśród znoszonych prądem trupów.

I podjęła pościg. Zapamiętała, w jakim kierunku zemknęli chłopi, którzy ukradli Płotkę, Pegaza, cisawego ogiera i jej własnego karosza. A w łubie przy siodle karego był jej bezcenny łuk. Trudno, myślała, chlupocząc w biegu wyciskaną z butów wodą, pozostali muszą na razie radzić sobie sami. Mnie, psia mać, mus odzyskać łuk i wierzchowce!

Najpierw odbiła Pegaza. Wałach poety lekceważył szturchające jego boki słomiane łapcie, bimbał sobie na ponaglające krzyki niewprawnego jeźdźca i ani myślał cwałować, biegł przez brzezinę ospale, leniwie i wolno. Chłopina został znacznie z tyłu za resztą koniokradów. Gdy usłyszał i zobaczył za plecami Milvę, bez zastanowienia zeskoczył i dał drapaka w chaszcze, oburącz podtrzymując gacie. Milva nie ścigała go, przemogła wrącą w niej żądzę ciężkiego mordobicia. Wskoczyła na siodło, z biegu, ostro, aż zabrzęczały struny lutni przytroczonej do juków. Obeznana z końmi, zdołała zmusić wałacha do galopu. Czy też raczej do ociężałego chodu, który Pegaz uważał za galop.

Ale nawet ten pseudogalop wystarczył, albowiem ucieczkę koniokradów przyhamował kolejny nietypowy koń. Narowista Płotka wiedźmina, gniada klaczka, którą rozzłoszczony jej fochami Geralt nie jeden raz obiecywał wymienić na innego wierzchowca, choćby osła, muła lub nawet kozła. Milva dopędziła złodziei w momencie, gdy zdenerwowana niewprawnym pociągnięciem wodzy Płotka zwaliła jeźdźca na ziemię, a reszta chłopów, zeskoczywszy z siodeł, starała się poskromić rozbrykaną i wierzgającą kobyłkę. Byli tak zajęci, że dostrzegli Milvę dopiero wtedy, gdy wpadła na nich na Pegazie i kopnęła jednego w twarz, łamiąc mu nos. Gdy padał, wyjąc i wzywając pomocy boskiej, rozpoznała go. Był to Chodak. Chłop, który najwyraźniej nie miał szczęścia do ludzi. A zwłaszcza do Milvy.

Milvę, niestety, też opuściło szczęście. Dokładniej biorąc, nie szczęście było winne, lecz jej własna arogancja i lekko podbudowane praktyką przekonanie, że byle dwójce wieśniaków zdolna jest zawsze spuścić takie lanie, jakie uzna za stosowne. Ale gdy zeskoczyła z siodła, dostała nagle pięścią w oko i, nie wiedząc kiedy, znalazła się na ziemi. Dobyła noża, zdecydowana na prucie flaków, ale oberwała po głowie grubym kijem tak, że kij pękł, zasypując jej oczy korą i próchnem. Ogłuszona i

oślepiona, zdołała jednak uczepić się kolana nadal okładającego ją ułomkiem kija wieśniaka, a wieśniak niespodziewanie zawył i upadł. Drugi wrzasnął, zasłaniając głowę oburącz. Milva przetarła oczy i zobaczyła, że chroni się przed sypiącymi się na niego razami pletni, zadawanymi przez jeźdźca siedzącego na siwym koniu. Zerwała się, z rozmachem kopnęła obalonego chłopa w szyję. Koniokrad zacharczał, wierzgnął nogami i rozkraczył się, a Milva natychmiast to wykorzystała, wkładając w precyzyjnie mierzony kopniak całą złość. Chłop zwinął się w kłębek, zacisnął dłonie na kroczu i zawył tak, że aż listowie posypało się z brzóz.

Jeździec na siwku uporał się tymczasem z drugim chłopem i broczącym z nosa Chodakiem, przepędził obu w las razami bata. Zawrócił, by wysmagać wyjącego, ale wstrzymał konia. Bo Milva zdążyła już dopaść swego karosza, już miała w garści łuk i strzałę na cięciwie. Cięciwa była w połowie naciągu, ale grot strzały mierzył prosto w pierś jeźdźca.

Przez chwilę patrzyli na siebie, jeździec i dziewczyna. Potem jeździec wolnym ruchem wydobył zza pasa strzałę opierzoną długimi lotkami i rzucił ją pod nogi Milvy.

– Wiedziałem – rzekł spokojnie – że będę miał okazję zwrócić ci twój grot, elfko.

– Nie jestem elfką, Nilfgaardczyku.

– Nie jestem Nilfgaardczykiem. Opuść nareszcie ten łuk. Gdybym życzył ci źle, wystarczyłoby się przyglądać, jak cię poniewierają.

– Bies ciebie wie – powiedziała przez zęby – coś ty za jeden i czego mi życzysz. Ale dzięki za ratunek. I za mój szyp. I za tego hultaja, com go na porębie źle strzeliła.

Skopany, zwinięty w kłębek koniokrad dławił się szlochem, wtuliwszy twarz w ściółkę. Jeździec nie patrzył na niego. Patrzył na Milvę.

– Łap konie – powiedział. – Musimy co rychlej odskoczyć od rzeki, wojsko przeczesuje lasy na obu brzegach.

– Musimy? – wykrzywiła się, opuszczając łuk. – Razem? A od kiedy to my swojaki? Albo kompanija?

– Wyjaśnię ci – obrócił konia, chwycił wodze cisawego źrebca – jeśli dasz mi czas.

– Wżdy rzecz w tym, że ja czasu nie mam. Wiedźmin i reszta...

– Wiem. Ale nie uratujemy ich, sami pozwalając się zabić lub ująć. Łap konie i uciekajmy w knieję. Pospiesz się!

•

Nazywa się Cahir, przypomniała sobie Milva, rzucając okiem na dziwnego towarzysza, z którym przyszło jej siedzieć w wykrocie. Dziwny Nilfgaardczyk, który gada, że nie jest Nilfgaardczykiem. Cahir.

– Myśleliśmy, że cię ubili – mruknęła. – Cisek bez jeźdźca przybieżał...

– Miałem małą przygodę – odrzekł sucho. – Z trójką zbójów zarośniętych jak wilkołaki. Wyskoczyli na mnie z zasadzki. Koń uciekł. Zbóje nie zdołali, ale byli pieszo. Zanim udało mi się zdobyć nowego wierzchowca, daleko w tyle zostałem za wami. Dopiero dziś rano was dogoniłem. Pod samym obozem. Przejechałem rzekę w dole i czekałem na tym brzegu. Wiedziałem, że pojedziecie na wschód.

Któryś z ukrytych w olszynie koni zaparskał, tupnął. Zmierzchało. Komary natrętnie bzyczały koło uszu.

– Cicho w lesie – powiedział Cahir. – Wojska odeszły. Już po bitwie.

– Po rzezi, chciałeś rzec.

– Nasza kawaleria... – zająknął się, chrząknął. – Kawaleria cesarska uderzyła na obóz, a wtedy od południa zaatakowały wasze wojska. Chyba temerskie.

– Jeśli już po bitwie, trza by tam wrócić. Wiedźmina odszukać, Jaskra i resztę.

– Rozumniej doczekać zmroku.

– Strasznie tu jakoś – powiedziała cicho, ściskając łuk. – Ponure uroczysko, aż ciarki przejmują. Niby cicho, a stale szuści coś po krzach... Wiedźmin gadał, że ghule ciągną do pobojowisk... A chłopkowie o wąpierzu bajali...

– Nie jesteś sama – odrzekł półgłosem. – Samemu straszniej.

– Iście – pojęła, o czym mówi. – Blisko dwie niedziele przecie w ślad za nami jedziesz, sam jak palec. Za nami się wleczesz, a wszędzie dookoła twoi... Chociażeś, jak prawisz, nie Nilfgaardczyk, ale to przecie twoi. Niech mnie czart, jeśli rozumiem... Zamiast do swoich wrócić, za wiedźminem śledzisz. Dlaczego?

– To długa historia.

•

Gdy wysoki Scoia'tael pochylił się nad nim, związany w kij Struycken przymknął oczy ze strachu. Mówiono, że nie istnieją brzydkie elfy, że wszystkie są urodziwe jak jeden mąż, że takie się rodzą. Być może legendarny przywódca Wiewiórek też urodził się piękny. Ale teraz, gdy jego twarz przecinała skosem paskudna szrama, zniekształcająca czoło, brew, nos i policzek, z właściwej elfom urody nie zostało nic.

Pokiereszowany elf usiadł na leżącym obok pniu.

– Jestem Isengrim Faoiltiarna – powiedział, znowu pochylając się nad jeńcem. – Od czterech lat walczę z ludźmi, od trzech lat dowodzę komandem. Pochowałem poległego w boju brata, czterech kuzynów, ponad czterdziestu towarzyszy broni. W mojej walce waszego cesarza mam za sprzymierzeńca, co wielokrotnie udowadniałem, przekazując waszym służbom informacje wywiadowcze, pomagając waszym agentom i rezydentom, likwidując wskazane przez was osoby.

Faoiltiarna zamilkł, dał znak urękawiczoną dłonią. Stojący opodal Scoia'tael podniósł z ziemi niedużą łagiewkę wykonaną z brzozowej kory. Z łagiewki bił słodki zapach.

– Miałem i mam Nilfgaard za sprzymierzeńca – powtórzył elf z blizną. – Dlatego początkowo nie dawałem wiary, gdy mój informator ostrzegł mnie, że szykuje się na mnie zasadzkę. Że otrzymam polecenie spotkania się sam na sam z nilfgaardzkim emisariuszem, a gdy przybędę, zostanę ujęty. Nie wierzyłem własnym uszom, ale będąc z natury ostrożny, stawiłem się na spotkanie nieco wcześniej i nie sam. Jakżeż wielkie było moje zdziwienie i rozczarowanie, gdy okazało się, że w miejscu tajnego spotkania, zamiast emisariusza, czeka sześciu zbirów wyposażonych w rybacką sieć, powrozy, skórzaną haubę z kneblem i kaftan zapinany na pasy i klamry. Ekwipunek, powiedziałbym, standardowo używany przez wasz wywiad przy porwaniach. Wywiad nilfgaardzki zapragnął schwytać mnie, Faoiltiarnę, żywego, zawieźć dokądś, zakneblowanego, zapiętego po uszy w kaftan bezpieczeństwa. Sprawa zagadkowa, powiedziałbym. Wymagająca wyjaśnienia. Rad jestem, że choć jeden z zasadzonych na mnie zbirów, bez wątpienia ich dowódca, dał się ująć żywcem i będzie w stanie wyjaśnień mi udzielić.

Struycken zacisnął zęby i odwrócił głowę, by nie patrzeć na pokiereszowaną twarz elfa. Wolał patrzeć na łagiewkę z brzozowej kory, przy której brzęczały dwie osy.

– Teraz więc – podjął Faoiltiarna, wycierając chustką spoconą szyję – pogawędzimy sobie, panie porywaczu. Dla ułatwienia konwersacji wyjaśnię kilka detali. W tej oto łagiewce znajduje się klonowy syrop. Jeśli nasza rozmowa nie będzie przebiegała w duchu wzajemnego zrozumienia i daleko idącej szczerości, wspomnianym syropem wysmarujemy ci obficie głowę. Ze szczególnym uwzględnieniem oczu i uszu. Potem umieścimy cię na mrowisku, o, tym właśnie, po którym biegają sympatyczne i pracowite owady. Dodam, że metoda znakomicie sprawdziła się już w przypadku kilku Dh'oine i *an'givare*, którzy okazywali wobec mnie upór i brak szczerości.

– Jestem w cesarskiej służbie! – wrzasnął szpieg, blednąc. – Jestem oficerem cesarskich służb specjalnych, podwładnym pana Vattiera de Rideaux, wicehrabiego Eiddon! Nazywam się Jan Struycken! Protestuję...

– Fatalnym zbiegiem okoliczności – przerwał elf – tutejsze czerwone mrówki, łase na klonowy syrop, nigdy nie słyszały o panu de Rideaux. Zaczynajmy. O to, kto wydał rozkaz porwania mnie, nie będę pytał, bo to jasne. Moje pierwsze pytanie brzmi zatem: dokąd miałem być zawieziony?

Nilfgaardzki szpieg zatargał się w powrozach, potrząsnął głową, bo wydało mu się, że mrówki już łażą mu po policzkach. Milczał jednak.

– Trudno – przerwał milczenie Faoiltiarna, dając gestem znak elfowi z łagiewką. – Wysmarować go.

– Miałem was przetransportować do Verden, do zamku Nastrog! – zaryczał Struycken. – Na rozkaz pana de Rideaux!

– Dziękuję. Co czekało na mnie w Nastrogu?

– Śledztwo...

– O co miano pytać?

– O wydarzenia na Thanedd! Błagam, rozwiążcie mnie! Powiem wszystko!

– To oczywiste, że powiesz – westchnął elf, przeciągając się. – Zwłaszcza że początek już mamy za sobą, a początek jest w takich sprawach najtrudniejszy. Kontynuuj.

– Miałem rozkaz zmusić was do wyznania, gdzie ukrywają się Vilgefortz i Rience! I Cahir Mawr Dyffryn, syn Ceallacha!

– Zabawne. Zastawia się na mnie pułapkę, by pytać o Vilgefortza i Rience'a? A cóż ja mogę wiedzieć o nich? Co może mnie z nimi łączyć? A z Cahirem sprawa jest jeszcze zabawniejsza. Tego odesłałem wam

przecież, tak jak sobie życzyliście. W pętach. Czyżby przesyłka do was nie dotarła?

– Wymordowano oddział wysłany na ustalone miejsce spotkania... Cahira nie było wśród zabitych...

– Aha. A pan Vattier de Rideaux nabrał podejrzeń? Ale miast po prostu wysłać do komanda kolejnego emisariusza i poprosić o wyjaśnienia, od razu zastawia na mnie zasadzkę. Rozkazuje zawlec mnie do Nastroga i przesłuchiwać. W sprawie wydarzeń na Thanedd.

Szpieg milczał.

– Nie zrozumiałeś? – elf pochylił nad nim swą straszną twarz. – To było pytanie. Brzmiało: o co idzie?

– Nie wiem... Tego nie wiem, klnę się...

Faoiltiarna skinął ręką, wskazał. Struycken ryczał, ciskał się, zaklinał na Wielkie Słońce, zapewniał o swej niewiedzy, płakał, miotał głową i pluł syropem, którym grubo wymazano mu twarz. Dopiero niesiony przez czterech Scoia'tael w stronę mrowiska zdecydował się mówić. Choć konsekwencje mogły być straszniejsze niż mrówki.

– Panie... Jeśli ktoś się o tym dowie, to zginąłem... Ale wyznam wam... Widziałem sekretne rozkazy. Podsłuchałem... Powiem wszystko...

– To oczywiste – kiwnął głową elf. – Rekord w mrowisku, wynoszący godzinę i czterdzieści minut, należał do pewnego oficera z oddziałów specjalnych króla Demawenda. Ale i on w końcu mówił. No, zaczynaj. Szybko, składnie i konkretnie.

– Cesarz jest pewien, że na Thanedd zdradzono go. Zdrajcą jest Vilgefortz z Roggeveen, czarodziej. I jego pomocnik, zwący się Rience. A przede wszystkim Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach. Vattier... Pan Vattier nie jest pewien, czy i wyście nie maczali palców w tej zdradzie, choćby nieświadomie... Dlatego rozkazał was ująć i cichcem dostarczyć do Nastroga... Panie Faoiltiarna, ja dwadzieścia lat pracuję w wywiadzie... Vattier de Rideaux to mój trzeci szef...

– Składniej, proszę. I przestań się trząść. Jeśli będziesz ze mną szczery, masz szanse posłużyć jeszcze kilku szefom.

– Choć utrzymywano to w najgłębszej tajemnicy, ale ja wiedziałem... Wiedziałem, kogo Vilgefortz i Cahir mieli schwytać na wyspie. I wychodziło na to, że się im udało. Bo do Loc Grim przywieziono tę... Jak jej tam... No, królewnę z Cintry. Tom myślał, że sukces, że Cahir i Rience zostaną baronami, a ten czarodziej hrabią co najmniej... A zamiast tego

cesarz wezwał Puszczyka... Znaczy, pana Skellena, i pana Vattiera, rozkazał schwytać Cahira... I Rience'a, i Vilgefortza... Wszyscy, którzy mogli coś o Thanedd wiedzieć i o tej sprawie, mieli być kładzeni na tortury... I wy też... Nietrudno było się domyślić... No... Że była zdrada. Że do Loc Grim przywieziono fałszywą królewnę...

Szpieg zdyszał się, nerwowo łapał powietrze ustami zalepionymi klonowym syropem.

– Rozwiążcie go – skomenderował swym Wiewiórkom Faoiltiarna. – I niech sobie umyje twarz.

Rozkaz wykonano bezzwłocznie. Po chwili organizator nieudanej zasadzki stał już z opuszczoną głową przed legendarnym przywódcą Scoia'tael. Faoiltiarna przyglądał mu się obojętnie.

– Wytrząśnij skrupulatnie syrop z uszu – powiedział wreszcie. – Nadstaw ich i wytęż pamięć, jak przystoi szpiegowi z wieloletnią praktyką. Dam dowód mojej lojalności wobec cesarza, zdam pełną relację o interesujących was sprawach. Ty zaś wszystko, słowo w słowo, powtórzysz Vattierowi de Rideaux.

Agent skwapliwie pokiwał głową.

– W połowie Blathe, czyli według waszej rachuby na początku czerwca – zaczął elf – nawiązała ze mną kontakt Enid an Gleanna, czarodziejka, znana jako Francesca Findabair. Z jej polecenia przybył wkrótce do mojego komanda niejaki Rience, podobno totumfacki Vilgefortza z Roggeveen, też magika. W najgłębszej tajemnicy opracowany został plan akcji, mającej na celu wyeliminowanie pewnej liczby czarodziejów podczas zjazdu na wyspie Thanedd. Plan został mi przedstawiony jako akcja mająca pełne poparcie cesarza Emhyra, Vattiera de Rideaux i Stefana Skellena, inaczej nie zgodziłbym się współpracować z Dh'oine, czarodziejami czy nie, bo za wiele widziałem w życiu prowokacji. Zaangażowanie Cesarstwa w tę aferę potwierdziło przybycie na przylądek Bremervoord statku, który przywiózł Cahira, syna Ceallacha, zaopatrzonego w specjalne pełnomocnictwa i rozkazy. Zgodnie z tymi rozkazami wyłoniłem z komanda specjalną grupę, która miała podlegać wyłącznie Cahirowi. Wiedziałem, że grupa ma za zadanie schwytać i uprowadzić z wyspy... pewną osobę.

– Na Thanedd – podjął po chwili Faoiltiarna – popłynęliśmy statkiem, którym przybył Cahir. Rience miał amulety, za pomocą których okrył

statek czarodziejską mgłą. Wpłynęliśmy do pieczary pod wyspą. Stamtąd dostaliśmy się do podziemi pod Garstangiem.

– Już w podziemiach wiedzieliśmy, że coś jest nie tak, Rience odebrał jakieś sygnały telepatyczne od Vilgefortza. Wiedzieliśmy, że przyjdzie nam z marszu wejść do toczącej się walki. Byliśmy gotowi. I dobrze, bo od razu po wyjściu z lochów wpadliśmy w piekło.

Elf silnie skrzywił pokaleczoną twarz, zupełnie jakby wspomnienie sprawiło mu ból.

– Po początkowych sukcesach sprawy zaczęły się komplikować. Nie udało się nam wyeliminować wszystkich królewskich czarodziejów, mieliśmy duże straty. Śmierć poniosło również kilku magów, którzy byli w spisku, inni po kolei zaczęli ratować skórę i teleportować się. W pewnym momencie znikł Vilgefortz, potem znikł Rience, a wkrótce po nich Enid an Gleanna. To ostatnie zniknięcie uznałem za ostateczny sygnał do odwrotu. Nie wydawałem jednak rozkazu, czekałem na powrót Cahira i jego grupy, która zaraz na początku akcji ruszyła, by wykonać swoją misję. Ponieważ nie wracali, zaczęliśmy ich szukać.

– Z grupy – Faoiltiarna spojrzał w oczy nilfgaardzkiego szpiega – nie ocalał nikt, wszyscy zostali wysieczeni w bestialski sposób. Cahira znaleźliśmy na schodach prowadzących do Tor Lara, wieży, która w czasie walki eksplodowała i rozsypała się w gruzy. Był ranny i bez przytomności, oczywiste było, że zleconej mu misji nie wykonał. Obiektu owej misji w okolicy nie było ni śladu, a z dołu, od Aretuzy i Loxii, sypali się już królewscy. Wiedziałem, że Cahir żadną miarą nie może wpaść im w ręce, bo byłby dowodem na czynny udział Nilfgaardu w akcji. Zabraliśmy go i uciekliśmy do podziemi, do kawerny. Wsiedliśmy na statek i odpłynęliśmy. Z komanda zostało nas dwunastu, w większości rannych.

Wiatr nam sprzyjał. Wylądowaliśmy na zachód od Hirundum, ukryliśmy się w lasach. Cahir próbował drzeć na sobie bandaże, wykrzykiwał coś o szalonej pannie o zielonych oczach, o Lwiątku z Cintry, o wiedźminie, który wyrżnął jego grupę, o Wieży Mewy i o czarodzieju, który latał jak ptak. Domagał się konia, rozkazywał wracać na wyspę, powoływał na cesarskie rozkazy, co w danej sytuacji musiałem uznać za bredzenie szaleńca. W Aedirn, jak wiedzieliśmy, wrzała już wojna, za ważniejsze uznawałem szybkie odtworzenie zdziesiątkowanego komanda i wznowienie walki z Dh'oine.

Cahir wciąż był z nami, gdy w skrzynce kontaktowej znalazłem tamten wasz sekretny rozkaz. Byłem zdumiony. Choć Cahir ewidentnie nie wykonał misji, nic nie wskazywało, by był winny zdrady. Ale nie deliberowałem długo, uznałem, że to wasza sprawa i sami powinniście ją wyjaśniać. Cahir, gdy go wiązano, nie stawiał oporu, był spokojny i zrezygnowany. Rozkazałem wsadzić go do drewnianej trumny i przy pomocy znajomego hav'caare dostarczyć we wskazane w liście miejsce. Nie byłem, przyznaję to, skłonny do uszczuplenia komanda o eskortę. Nie wiem, kto wymordował waszych ludzi w miejscu spotkania. A o tym, gdzie to jest, wiedziałem wyłącznie ja. Jeśli więc nie odpowiada wam wersja całkiem przypadkowej zagłady waszego oddziału, to zdrajcy szukajcie u siebie, bo oprócz mnie tylko wy znaliście termin i miejsce.

Faoiltiarna wstał.

– To wszystko. Wszystkie powyższe informacje są prawdziwe. W lochach Nastroga nie dostarczyłbym wam ich więcej. Kłamstwa i konfabulacje, którymi, być może, próbowałbym zadowolić śledczego i oprawców, zaszkodziłyby wam raczej, niż pomogły. Niczego więcej nie wiem, w szczególności nie znam miejsca pobytu Vilgefortza i Rience'a, nie wiem też, czy słusznie podejrzewacie ich o zdradę. Oświadczam też dobitnie, że nic nie wiem o królewnie z Cintry, ani prawdziwej, ani fałszywej. Powiedziałem wszystko, co wiedziałem. Liczę, że pan de Rideaux, jak również Stefan Skellen nie zechcą już zastawiać na mnie zasadzek. Dh'oine od dawna próbują mnie schwytać lub zabić, nabrałem tedy zwyczaju bezwzględnego eksterminowania wszystkich zasadzkowiczów. W przyszłości również nie będę dociekał, czy któryś z zasadzkowiczów nie jest przypadkiem podwładnym Vattiera lub Skellena. Nie będę miał na takie dociekanie ani czasu, ani ochoty. Czy wyrażam się jasno?

Struycken kiwnął głową, przełknął ślinę.

– Bierz więc konia, szpiegu, i wynoś się z moich lasów.

•

– Znaczy, katu cię w tej trumnie wieźli – mruknęła Milva. – Nynie pojmuję, choć też nie ze wszystkim. Czemuż to miast utaić się gdzie, za wiedźminem jedziesz? On na ciebie zawzięty okrutnie... Dwa razy życie ci darował...

– Trzy razy.

– Dwa widziałam. Choć to nie ty wiedźminowi gnaty na Thanedd poprzetrącałeś, jakem zrazu myślała, nie wiem, zali ci bezpiecznie znowu pod miecz mu leźć. Ja tam wiele z waszych waśni nie rozumiem, ale mnie przecie zratowałeś i dobrze ci jakoś z oczu patrzy... Tedy rzeknę ci, Cahir, krótko: gdy wiedźmin wspomina tych, którzy jego Ciri do Nilfgaardu porwali, to zębami zgrzyta, aż iskry lecą. A gdybyś na niego napluł, ślina zasyczy.

– Ciri – powtórzył. – Ładnie ją nazywa.

– Nie wiedziałeś?

– Nie. Przy mnie zawsze mówiono na nią Cirilla albo Lwiątko z Cintry... A gdy była ze mną... Bo kiedyś była... Nie odezwała się do mnie ani słowem. Chociaż uratowałem jej życie.

– Czart jeden chyba zdoła pojąć to wszystko – pokręciła głową. – Powikłane te wasze losy, Cahir, posuplone a poplątane. Nie na moją głowę.

– A ty jak masz na imię? – spytał nagle.

– Milva... Maria Barring. Ale mów: Milva.

– Wiedźmin zmierza w złym kierunku, Milva – powiedział po chwili. – Ciri nie ma w Nilfgaardzie. Nie do Nilfgaardu ją porwano. Jeżeli w ogóle ją porwano.

– Jakże to?

– To długa historia.

•

– Na Wielkie Słońce – Fringilla, stając w progu, przechyliła głowę i ze zdziwieniem przyjrzała się przyjaciółce. – Coś ty zrobiła z włosami, Assire?

– Umyłam – odrzekła sucho Assire var Anahid. – I ufryzowałam. Wejdź, proszę, siadaj. Zejdź z fotela, Merlin. Psik!

Czarodziejka usiadła na niechętnie zwolnionym przez czarnego kota miejscu, nie przestając przyglądać się fryzurze przyjaciółki.

– Przestań się dziwować – Assire dotknęła dłonią puszystych i lśniących loków. – Postanowiłam odmienić się nieco. Zresztą wzięłam przykład z ciebie.

– Mnie – zachichotała Fringilla Vigo – zawsze uważano za dziwaczkę i buntowniczkę. Ale gdy ciebie zobaczą w akademii lub na dworze...

– Nie bywam na dworze – ucięła Assire. – A akademia będzie musiała się przyzwyczaić. Mamy trzynasty wiek. Najwyższa pora na zerwanie z przesądem, że dbanie o wygląd zewnętrzny dowodzi u magiczki płochości i miałkości umysłu.

– Paznokcie też. – Fringilla lekko zmrużyła zielone oczy, którym nigdy nic nie uchodziło. – Nie poznaję cię, moja droga.

– Proste zaklęcie – odrzekła chłodno czarodziejka – powinno ci wystarczyć do stwierdzenia, że to ja, a nie żaden doppelgänger. Rzuć taki czar, jeśli musisz. A potem przejdź do tego, o co cię prosiłam.

Fringilla Vigo pogłaskała kota, który ocierał się o jej łydkę, mrucząc i prężąc grzbiet, udając, że to gest sympatii, a nie zawoalowana sugestia, by czarnowłosa czarodziejka wyniosła się z fotela.

– Ciebie zaś – powiedziała, nie podnosząc głowy – prosił seneszal Ceallach aep Gruffyd, prawda?

– Prawda – potwierdziła ściszonym głosem Assire – Ceallach odwiedził mnie, zrozpaczony, prosił o pomoc, o wstawiennictwo, o ratunek dla syna, którego Emhyr rozkazał schwytać, poddać torturom i stracić. Do kogo miał się zwrócić, jeśli nie do powinowatej? Mawr, małżonka Ceallacha, matka Cahira, to moja siostrzenica, najmłodsza córka mojej rodzonej siostry. Pomimo tego niczego mu nie obiecałam. Bo nic nie mogę zrobić w tej sprawie. Niedawno miały miejsce okoliczności, które nie pozwalają mi ściągać na siebie uwagi. Wyjaśnię ci to. Ale po wysłuchaniu informacji, o których zebranie cię prosiłam.

Fringilla Vigo ukradkiem odetchnęła z ulgą. Bała się, że przyjaciółka zechce jednak angażować się w śmierdzącą szafotem sprawę Cahira, syna Ceallacha. I że ją poprosi o pomoc, której ona nie mogłaby odmówić.

– Około połowy lipca – zaczęła – cały zebrany w Loc Grim dwór miał okazję podziwiać piętnastoletnią dziewczynę, rzekomo księżniczkę Cintry, którą zresztą Emhyr w czasie audiencji uparcie tytułował królową i traktował tak łaskawie, że nawet rozeszły się plotki o rychłym małżeństwie.

– Słyszałam. – Assire pogłaskała kota, który zniechęcił się Fringillą i właśnie próbował dokonać aneksji jej własnego fotela. – Nadal mówi się o tym niewątpliwie politycznym mariażu.

– Ale ciszej i nie tak często. Bo Cintryjka została wywieziona do Darn Rowan. W Darn Rowan, jak wiesz, często trzyma się więźniów stanu.

Kandydatki na cesarzowe znacznie rzadziej.

Assire nie skomentowała. Czekała cierpliwie, przyglądając się swym niedawno wyrównanym i polakierowanym paznokciom.

– Niewątpliwie pamiętasz – podjęła Fringilla Vigo – jak trzy lata temu Emhyr wezwał nas wszystkich i rozkazał ustalić miejsce pobytu pewnej osoby. Na terenie północnych królestw. Niewątpliwie pamiętasz, jak wściekł się, gdy nam się nie udało. Albricha, który wyjaśnił, że na taką odległość nie da się sondować, nie wspominając już o przebijaniu ekranów, zwymyślał od ostatnich. A teraz słuchaj. Tydzień po słynnej audiencji w Loc Grim, gdy świętowano wiktorię odniesioną pod Aldersbergiem, Emhyr dostrzegł na sali zamkowej Albricha i mnie. I zaszczycił nas rozmową. Sens jego wypowiedzi, niewiele trywializując, był taki: „Jesteście darmozjady, indolenci i lenie. Wasze kuglarskie sztuczki kosztują mnie majątek, a pożytku z nich żadnego. Zadanie, któremu nie podołała cała wasza pożałowania godna akademia, zwykły astrolog wykonał w cztery dni."

Assire var Anahid parsknęła lekceważąco, nie przestając głaskać kota.

– Bez trudu dowiedziałam się – ciągnęła Fringilla Vigo – że owym astrologiem cudotwórcą był nie kto inny, a osławiony Xarthisius.

– Poszukiwaną była tedy owa Cintryjka, kandydatka na cesarzową. Xarthisius ją odnalazł. I co? Mianowano go sekretarzem stanu? Szefem Departamentu Spraw Niewykonalnych?

– Nie. Wtrącono go do lochu już po tygodniu.

– Obawiam się, że nie rozumiem, co to ma wspólnego z Cahirem, synem Ceallacha.

– Cierpliwości. Pozwól mi zachować kolejność. To konieczne.

– Wybacz. Słucham.

– Pamiętasz, co dał nam Emhyr, gdyśmy trzy lata temu zabierali się do poszukiwań?

– Kosmyk włosów.

– Zgadza się – Fringilla sięgnęła do kaletki. – Ten oto. Jaśniutkie włosy należące do sześcioletniej dziewczynki. Zachowałam resztkę. A warto, byś wiedziała, że opiekę nad izolowaną w Darn Rowan cintryjską księżniczką sprawuje Stella Congreve, hrabina Liddertal. Stelli zdarzyło się niegdyś zaciągnąć u mnie kilka długów wdzięczności, dlatego też bez problemów weszłam w posiadanie drugiego kosmyka włosów. O, tego oto. Nieco ciemniejsze, ale włosy ciemnieją z wiekiem. Tym

niemniej kosmyki należą do dwóch całkowicie różnych osób. Zbadałam, nie ma pod tym względem wątpliwości.

– Domyślałam się podobnej w typie rewelacji – przyznała Assire var Anahid – gdy tylko usłyszałam, że Cintryjkę odizolowano w Darn Rowan. Astrolog albo pokpił sprawę, albo dał się wciągnąć do spisku mającego na celu dostarczenie Emhyrowi fałszywej osoby. Spisku, który Cahira aep Ceallach będzie kosztował głowę. Dziękuję, Fringilla. Wszystko jasne.

– Nie wszystko – pokręciła czarną główką czarodziejka. – Po pierwsze, to nie Xarthisius odnalazł Cintryjkę, nie on sprowadził ją do Loc Grim. Astrolog rozpoczął horoskopy i astromancję już po tym, gdy Emhyr zorientował się, że dostarczono mu fałszywą księżniczkę, i rozpoczął intensywne poszukiwania prawdziwej. A do lochu, stary błazen, powędrował za zwykły błąd w sztuce lub szalbierstwo. Określił bowiem, jak udało mi się ustalić, miejsce pobytu poszukiwanej osoby z tolerancją radiusa rzędu stu mil. A terenem tym okazała się pustynia, dzikie pustkowie gdzieś aż za masywem Tir Tochair, za źródłami Veldy. Stefan Skellen, którego tam posłano, znalazł wyłącznie skorpiony i sępy.

– Nie spodziewałabym się więcej po tym Xarthisiusie. Ale na los Cahira nie będzie to miało wpływu. Emhyr jest zapalczywy, ale nikogo nie skazuje na tortury i śmierć ot, tak sobie, bezpodstawnie. Ktoś, jak sama powiedziałaś, sprawił, że do Loc Grim dotarła księżniczka fałszywa miast prawdziwej. Ktoś postarał się o sobowtóra. A więc spisek był, a Cahir dał się weń wmieszać. Nie wykluczam, że nieświadomie. Że posłużono się nim.

– Gdyby tak było, posłużono by się nim do końca. Osobiście przywiózłby sobowtóra Emhyrowi. A Cahir zniknął bez śladu. Dlaczego? Przecież jego zniknięcie musiało obudzić podejrzenia. Czy mógł się spodziewać, że Emhyr rozpozna oszustwo na pierwszy rzut oka? Bo przecież rozpoznał. Zawsze by rozpoznał, bo przecież miał...

– Kosmyk włosów – przerwała Assire. – Kosmyk włosów sześcioletniej dziewczynki. Fringilla, tej dziewczynki Emhyr nie szuka od trzech lat, ale o wiele dłużej. Wygląda na to, że Cahir dał się wciągnąć w coś bardzo paskudnego, w coś, co zaczęło się, gdy on jeszcze jeździł na udającym konia patyku. Hmm... Zostaw mi te kosmyki włosów. Chciałabym oba dokładnie zbadać.

Fringilla Vigo wolno pokiwała głową, zmrużyła zielone oczy.

– Zostawię. Ale bądź ostrożna, Assire. Nie wplątuj się w paskudne sprawy. Bo to może ściągnąć na ciebie uwagę. A na początku rozmowy napomknęłaś, że ci to nie na rękę. I przyrzekłaś wyjawić powody.

Assire var Anahid wstała, podeszła do okna, wpatrzyła się w połyskujące w zachodzącym słońcu dachy baszt i pinakli Nilfgaardu, stolicy Cesarstwa, zwanej Miastem Złotych Wież.

– Powiedziałaś kiedyś, a ja zapamiętałam – rzekła, nie odwracając się – że magii nie powinny dzielić żadne granice. Że dobro magii powinno być dobrem najwyższym, stojącym ponad wszelkiego typu podziałami. Że przydałoby się coś w rodzaju... sekretnej organizacji... Coś w rodzaju konwentu lub loży...

– Jestem gotowa – przerwała kilkusekundowe milczenie Fringilla Vigo, nilfgaardzka czarodziejka. – Jestem zdecydowana i gotowa przystąpić. Dziękuję za zaufanie i za wyróżnienie. Kiedy i gdzie odbędzie się zebranie owej loży, moja pełna zagadek i tajemnic przyjaciółko?

Assire var Anahid, nilfgaardzka czarodziejka, odwróciła się. Na jej ustach igrał cień uśmiechu.

– Wkrótce – powiedziała. – Zaraz wszystko ci wyjaśnię. Ale przedtem, bym nie zapomniała... Daj mi adres twojej krawcowej, Fringilla.

•

– Ni jednego ognia – szepnęła Milva wpatrzona w ciemny brzeg za lśniącą w świetle księżyca rzeką. – Ni żywego ducha tam nie ma, widzi mi się. W obozie było ze dwie setki zbiegów. Żaden głowy nie uniósł?

– Jeśli cesarscy przeważyli, popędzili wszystkich w niewolę – odszepnął Cahir. – Jeśli zwyciężyli wasi, zabrali ich, odchodząc.

Podeszli bliżej brzegu, do zarastających bagno trzcin. Milva nadepnęła na coś i odskoczyła, tłumiąc krzyk, na widok wyłaniającej się z błota zesztywniałej, pokrytej pijawkami ręki.

– To tylko trup – mruknął Cahir, chwytając ją za ramię. – Nasz. Daerlańczyk.

– Kto?

– Siódma daerlańska brygada kawalerii. Srebrny skorpion na rękawie...

– Bogowie – wzdrygnęła się gwałtownie dziewczyna, ściskając łuk w spoconej pięści. – Słyszałeś ten głos? Co to było?

– Wilk.

– Albo ghul... Albo inny potępieniec. Tam, w obozie, też moc trupów musi leżeć... Zaraza, nie pójdę w nocy na tamten brzeg!

– Zaczekamy do świtu... Milva? Co tu tak dziwnie...

– Regis... – łuczniczka stłumiła krzyk, węsząc zapach piołunu, szałwii, kolendry i anyżku. – Regis? To ty?

– Ja – cyrulik bezszelestnie wyłonił się z mroku. – Martwiłem się o ciebie. Nie jesteś sama, jak widzę.

– Ano, dobrze widzisz – Milva puściła ramię Cahira, który już dobywał miecza. – Jam nie sama i on już też nie sam. Ale to długa historia, jak niektórzy mówią. Regis, co z wiedźminem? Z Jaskrem? Z resztą? Wiesz, co się z nimi stało?

– Wiem. Macie konie?

– Mamy. W łozie ukryte...

– Ruszajmy więc na południe, z biegiem Chotli. Bez zwłoki. Przed północą musimy być pod Armerią.

– Co z wiedźminem i poetą? Żyją?

– Żyją. Ale mają kłopoty.

– Jakie?

– To długa historia.

•

Jaskier zastękał, usiłując obrócić się i przybrać choćby odrobinę tylko wygodniejszą pozycję. Było to jednak zadanie niewykonalne dla kogoś, kto leżał w stercie zapadających się wiórów i trocin i był skrępowany sznurami jak przygotowana do wędzenia szynka.

– Nie powiesili nas od razu – stęknął. – W tym nadzieja. W tym cała nasza nadzieja...

– Dałbyś spokój – wiedźmin leżał spokojnie, patrząc na księżyc widoczny przez dziurę w dachu drewutni. – Wiesz, dlaczego Vissegerd nie powiesił nas od razu? Bo mamy być straceni publicznie, o świcie, gdy cały korpus zbierze się do wymarszu. W celach propagandowych.

Jaskier zamilkł. Geralt słyszał, jak sapie z przejęciem.

– Ty jeszcze masz szanse się wymigać – powiedział, by go uspokoić. – Na mnie Vissegerd chce zwyczajnie wywrzeć prywatną zemstę, do ciebie nic nie ma. Twój znajomy hrabia wyciągnie cię z opresji, zobaczysz.

– Gówno – odrzekł bard, ku zdziwieniu wiedźmina spokojnie i całkiem rozsądnie. – Gówno, gówno, gówno. Nie traktuj mnie jak dziecka. Po pierwsze, do celów propagandowych lepsi są dwaj wisielcy niż jeden. Po drugie, nie zostawia się przy życiu świadka prywatnej zemsty. Nie, bracie, zadyndamy obydwaj.

– Przestań, Jaskier. Leż cicho i obmyślaj fortele.

– Jakie fortele, do cholery?

– Byle jakie.

Gadanina poety przeszkadzała wiedźminowi zebrać myśli, a myślał intensywnie. W każdej chwili oczekiwał, że do drewutni wpadną ludzie z temerskiego wywiadu wojskowego, którzy niewątpliwie byli w korpusie Vissegerda. Wywiad z pewnością miałby ochotę popytać go o różne szczegóły dotyczące wydarzeń w Garstangu na wyspie Thanedd. Geralt nie znał prawie żadnych szczegółów, wiedział jednak, że nim agenci w to uwierzą, będzie już bardzo, bardzo chory. Cała jego nadzieja kryła się w tym, że zaślepiony żądzą zemsty Vissegerd nie rozgłosił o jego ujęciu. Wywiad mógłby chcieć wyrwać jeńców ze szponów rozwścieczonego marszałka, by zabrać ich do kwatery głównej. Dokładniej, zabrać do kwatery głównej to, co z jeńców zostanie po pierwszych przesłuchaniach.

Tymczasem poeta wymyślił fortel.

– Geralt! Udajmy, że coś ważnego wiemy. Że naprawdę jesteśmy szpiegami albo coś w tym stylu. Wtedy...

– Zlituj się, Jaskier.

– Możemy też spróbować przekupić straże. Mam ukryte pieniądze. Dublony, wszyte w podszewkę buta. Na czarną godzinę... Zawołamy strażników...

– A oni odbiorą ci wszystko i jeszcze dokopią.

Poeta zaburczał niechętnie, ale zamilkł. Z majdanu dolatywały ich okrzyki, tupot koni i, co najgorsze, zapach żołnierskiej grochówki, za miskę której w tej chwili Geralt oddałby wszystkie sterlety i trufle świata. Stojący przed szopą wartownicy gadali leniwie, rechotali, od czasu do czasu przeciągle charcząc i spluwając. Wartownicy byli żołnierzami zawodowymi, dawało się to poznać po zadziwiającej umiejętności porozumiewania się za pomocą zdań złożonych wyłącznie z zaimków i obrzydliwych plugastw.

– Geralt?

– Czego?

– Ciekawe, co stało się z Milvą... Z Zoltanem, Percivalem, Regisem... Nie widziałeś ich?

– Nie. Wcale nie wykluczam, że w czasie potyczki zarąbali ich albo stratowali końmi. Tam, w obozie, trup na trupie leżał.

– Nie wierzę – oświadczył Jaskier twardo i z nadzieją w głosie. – Nie wierzę, by tacy spryciarze jak Zoltan i Percival... Albo Milva...

– Przestań się łudzić. Jeśli nawet przeżyli, nie pomogą nam.

– Dlaczego?

– Z trzech powodów. Po pierwsze, mają własne kłopoty. Po drugie, leżymy związani w szopie stojącej w centrum obozu kilkutysięcznego korpusu.

– A trzeci powód? Mówiłeś o trzech.

– Po trzecie – odrzekł zmęczonym głosem – limit cudów na ten miesiąc wyczerpało spotkanie baby z Kernow z jej zaginionym mężem.

•

– Tam – cyrulik wskazał pałające punkciki biwakowych ogni. – Tam jest fort Armeria, aktualnie obóz forpoczty wojsk temerskich skoncentrowanych pod Mayeną.

– Tam wiedźmina i Jaskra więżą? – Milva stanęła w strzemionach. – Ha, tedy kiepsko... Tam hurma zbrojnego luda musi być, a i straże dookoła. Nielekko będzie się tamój przekraść.

– Nie będziecie musieli – odrzekł Regis, zsiadając z Pegaza. Wałach parsknął przeciągle, odwrócił łeb, wyraźnie zdegustowany wiercącym w nosie, ziołowym zapachem cyrulika.

– Nie będziecie musieli się podkradać – powtórzył. – Ja sam to załatwię. Wy zaczekacie z końmi tam, gdzie błyszczy rzeka, widzicie? Poniżej najjaśniejszej gwiazdy Siedmiu Kóz. Tam Chotla wpada do Iny. Gdy wyciągnę wiedźmina z tarapatów, skieruję go w tamtą stronę. Tam się spotkacie.

– Wielce zadufany – mruknął Cahir do Milvy, gdy zsiadając znaleźli się blisko siebie. – Sam, bez niczyjej pomocy będzie z tarapatów wyciągał, słyszałaś? Kto to jest?

– Iście, nie wiem – odmruknęła Milva. – Względem zaś wyciągania, to ja mu wierzę. Wczoraj na mych oczach gołą dłonią wyciągnął rozpaloną podkowę z węgli...

– Czarodziej?

– Nie – zaprzeczył zza Pegaza Regis, dając dowód nieprzeciętnie czułego słuchu. – Czy to zresztą takie ważne, kto? Ciebie wszakże nie pytam o personalia.

– Jestem Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach.

– Dziękuję i pełen jestem podziwu – w głosie cyrulika zabrzmiała leciutka nutka szyderstwa. – Prawie nie znać nilfgaardzkiego akcentu w nilfgaardzkim nazwisku.

– Nie jestem...

– Dość! – ucięła Milva. – Nie czas spierać się i mitrężyć. Regis, wiedźmin czeka na ratunek.

– Nie przed północą – rzekł zimno cyrulik, patrząc na księżyc. – Mamy tedy chwilę czasu na rozmowę. Kim jest ten człowiek, Milvo?

– Ten człowiek – łuczniczka, rozgniewana nieco, ujęła się za Cahirem – wybawił mnie od złej przygody. Ten człowiek rzeknie wiedźminowi, gdy go spotka, że w złą stronę zmierza. Ciri nie ma w Nilfgaardzie.

– Faktycznie, rewelacja – głos cyrulika złagodniał. – A jakie jest jej źródło, szanowny Cahirze, synu Ceallacha?

– To długa historia.

•

Jaskier od dłuższego czasu nie odzywał się, gdy jeden z postawionych na warcie żołnierzy przerwał nagle przemowę w pół przekleństwa, drugi charknął, a może jęknął. Geralt wiedział, że było trzech, wytężył więc słuch, ale trzeci żołnierz nie wydał z siebie nawet najmniejszego odgłosu.

Czekał, wstrzymując oddech, ale tym, co dobiegło po chwili jego uszu, nie był skrzyp otwieranych przez wybawców drzwi szopy. Bynajmniej. Usłyszał równe, ciche, wielogłosowe chrapanie. Wartownicy zwyczajnie pospali się na służbie.

Odetchnął, zaklął bezgłośnie i już miał zamiar ponownie pogrążyć się w myślach o Yennefer, gdy wiedźmiński medalion na jego szyi zadrgał nagle silnie, a w nozdrza uderzył zapach piołunu, bazylii, kolendry, szałwii i anyżku. I diabli wiedzą czego jeszcze.

– Regis? – szepnął z niedowierzaniem, bezskutecznie usiłując unieść głowę z wiórów.

– Regis – odszepnął Jaskier, poruszając się i szeleszcząc. – Nikt inny tak nie śmierdzi... Gdzie jesteś? Nie widzę cię...

– Ciszej.

Medalion przestał drgać, Geralt usłyszał pełne ulgi westchnienie poety, a zaraz potem posykiwanie ostrza, tnącego powróz. Po chwili Jaskier stękał już z bólu spowodowanego powracającym krążeniem, tłumiąc stękanie wsadzoną między zęby pięścią.

– Geralt – niewyraźny, chwiejący się cień cyrulika pojawił się przy nim, bezzwłocznie zabierając się do cięcia więzów. – Przez warty obozowe musicie przedrzeć się sami. Kierujcie się na wschód, na najjaśniejszą gwiazdę Siedmiu Kóz. Prosto do Iny. Tam czeka na was Milva z końmi.

– Pomóż mi wstać...

Postał najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, gryząc pięść. Krążenie Jaskra już zdążyło wrócić do normy. Wiedźmin po chwili również był sprawny.

– Jak wyjdziemy? – spytał nagle poeta. – Wartownicy przy drzwiach chrapią, ale mogą...

– Nie mogą – przerwał szeptem Regis. – Ale wychodząc uważajcie. Księżyc w pełni, na majdanie jasno od ogni. Mimo nocnej pory w całym obozie ruch, ale to i lepiej. Rontom znudziło się już okrzykiwać. Wychodźcie. Powodzenia.

– A ty?

– O mnie się nie martwcie. Nie czekajcie na mnie i nie oglądajcie się.

– Ale...

– Jaskier – syknął wiedźmin. – Masz się o niego nie martwić, słyszałeś?

– Wychodźcie – powtórzył Regis. – Powodzenia. Do zobaczenia, Geralt.

Wiedźmin odwrócił się.

– Dziękuję ci za ratunek – powiedział. – Ale lepiej, gdybyśmy się już nigdy nie spotkali. Rozumiesz mnie?

– W pełni. Nie traćcie czasu.

Wartownicy spali w malowniczych pozach, pochrapując i pomlaskując. Żaden nawet nie drgnął, gdy Geralt i Jaskier wyślizgiwali się przez uchylone drzwi. Żaden nie zareagował, gdy wiedźmin bezceremonialnie ściągał z dwóch grube samodziałowe płaszcze.

– To nie jest zwykły sen – szepnął Jaskier.

– Pewnie, że nie – Geralt, ukryty w mroku pod ścianą szopy, rozglądał się po majdanie.

– Rozumiem – westchnął poeta. – Regis to czarodziej?

– Nie. To nie czarodziej.

– Wyciągnął z żaru podkowę. Uśpił strażników...

– Przestań gadać i skup się. Jeszcze nie jesteśmy na wolności. Owiń się płaszczem i ruszamy przez majdan. Gdyby nas ktoś zatrzymał, udajemy żołnierzy.

– Dobra. W razie czego powiem...

– Udajemy głupich żołnierzy. Idziemy.

Przecięli majdan, trzymając się z dala od żołdaków, skupionych przy płonących maźnicach i biwakowych ogniskach. Po majdanie tu i tam snuli się ludzie, dwóch więcej nie rzucało się tedy w oczy. Nie wzbudzili niczyich podejrzeń, nikt ich nie okrzyknął ani nie zatrzymał. Szybko i bez kłopotów wyszli za palisadę.

Wszystko szło tak gładko, że aż za gładko. Geralt zrobił się niespokojny, albowiem instynktownie wyczuwał zagrożenie, a uczucie to w miarę oddalania się od centrum obozu rosło, miast maleć. Powtarzał sobie, że nie ma w tym nic dziwnego – w środku ruchliwego nawet nocą zgrupowania nie zwracali uwagi, groził im wyłącznie alarm, gdyby ktoś zauważył uśpionych przy drzwiach drewutni wartowników. Teraz natomiast zbliżali się do perymetru, na którym posterunki siłą rzeczy musiały być czujne. To, że szli od strony obozu, nie mogło im pomóc. Wiedźmin pamiętał o szerzącej się w korpusie Vissegerda pladze dezercji i był pewien, że straże miały rozkaz pilnie baczyć na takich, którzy chcieliby obóz opuścić.

Księżyc dawał dość blasku, by Jaskier nie musiał iść po omacku. Wiedźmin w takim świetle widział równie dobrze jak w dzień, dzięki czemu udało im się ominąć dwie widety i przeczekać w krzakach przejazd konnego patrolu. Tuż przed sobą mieli ciemną olszynkę, zdającą się leżeć już poza pierścieniem posterunków. Wszystko szło gładko. Za gładko.

Zgubiła ich nieznajomość wojskowych zwyczajów.

Niska i mroczna kępa olszyn nęciła, bo dawała ukrycie. Ale jak świat światem, bywali wojacy, gdy przychodziło im pełnić służbę wartowniczą, zalegali w krzakach, skąd ci, którzy akurat nie spali, mogli

mieć baczenie zarówno na nieprzyjaciela, jak i na własnych upierdliwych oficerów, gdyby tym ostatnim zachciało się przyjść z niespodziewaną kontrolą.

Ledwie Geralt i Jaskier podeszli do olszynki, gdy wyrosły przed nimi sylwetki. I ostrza sulic.

– Hasło?

– Cintra! – wypalił bez wahania Jaskier.

Żołnierze zarechotali chórem.

– Oj, ludzie, ludzie – powiedział jeden. – Za grosz fantazyi. Żeby tak choć jeden co oryginalnego wymyślił, nie. Nic, ino „Cintra". Do domku się zatęskniło, he? Dobra. Stawka ta sama co i wczora.

Jaskier słyszalnie zazgrzytał zębami. Geralt oceniał sytuację i szanse. Ocena wypadała zdecydowanie kiepsko.

– Nuże – ponaglił żołnierz. – Chcecie przejść, zapłaćcie myto, a my przymkniemy oko. Skorzej, bo runtu tylko patrzeć.

– Zara – poeta zmienił sposób mówienia i akcent. – Siędę i but zzuję, bo w bucie mam...

Więcej powiedzieć nie zdołał. Czterech żołdaków obaliło go na ziemię, dwóch, biorąc każdą z jego nóg między swoje, ściągnęło buty. Ten, który pytał o hasło, wydarł z wewnętrznej strony cholewy podszewkę. Coś posypało się brzękliwie.

– Złoto! – ryknął dowódca. – Rozzujta tego drugiego! I wezwijta runt!

Nie było jednak komu rozzuwać ani wzywać, bo część składu warty rzuciła się na kolana w poszukiwaniu porozrzucanych wśród liści dublonów, reszta natomiast zaciekle biła się o drugi but Jaskra. Teraz albo nigdy, pomyślał Geralt, po czym walnął dowódcę w szczękę, a padającego kopnął jeszcze w bok głowy. Poszukiwacze złota nawet tego nie dostrzegli. Jaskier bez zachęty zerwał się i pomknął przez krzaki, powiewając onucami. Geralt biegł za nim.

– Rata! Rata! – zawył obalony dowódca warty, po chwili wsparty w krzyku przez towarzyszy. – Ruuuunt!

– Łobuzy! – wrzasnął w biegu Jaskier. – Oczajdusze! Wzięliście pieniądze!

– Oszczędzaj oddech, bałwanie! Widzisz las? Biegiem!

– Alarm! Alaaaaarm!

Biegli. Geralt zaklął wściekle, słysząc krzyki, świsty, tupot koni i rżenie. Za nimi. I przed nimi. Jego zdziwienie było krótkie, wystarczyło

jednego uważnego spojrzenia. To, co brał za zbawczy las, to była zbliżająca się ku nim ława konnicy, wzbierająca jak fala.

– Stój, Jaskier! – krzyknął, po czym odwrócił się w kierunku nadjeżdżającego galopem patrolu i przenikliwie zagwizdał na palcach.

– Nilfgaard! – ryknął co sił w płucach. – Nilfgaard nadciąga! Do obozu! Wracać do obozu, durnie! Grać larum! Nilfgaard!

Wysforowany jeździec ścigającego ich patrolu wrył konia, spojrzał we wskazanym kierunku, wrzasnął ze zgrozą i chciał zawrócić. Ale Geralt uznał, że już i tak dość uczynił dla cintryjskich lwów i temerskich lilii. Doskoczył do żołnierza i zręcznym targnięciem zwalił go z siodła.

– Wskakuj, Jaskier! I trzymaj się!

Poecie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Koń przysiadł lekko pod ciężarem dodatkowego jeźdźca, ale dźgnięty dwiema parami pięt poszedł w ostry galop. Nadciągające mrowie Nilfgaardczyków stanowiło teraz zagrożenie o wiele większe niż Vissegerd i jego korpus, cwałowali więc wzdłuż pierścienia obozowych posterunków, usiłując jak najszybciej zemknąć z linii mogącego rozgorzeć lada moment starcia obu wojsk. Nilfgaardczycy byli jednak blisko i dostrzegli ich. Jaskier wrzasnął, Geralt obejrzał się i też zobaczył, jak ciemna ściana nilfgaardzkiego zagonu zaczyna wysuwać w ich stronę czarne macki pościgu. Bez wahania skierował konia w stronę obozu, prześcigając w galopie uciekających wartowników. Jaskier wrzasnął ponownie, ale tym razem niepotrzebnie. Wiedźmin równie dobrze widział walącą na nich od strony obozu jazdę. Zaalarmowany korpus Vissegarda znalazł się w siodłach w podziwu godnym tempie. A Geralt i Jaskier znaleźli się w potrzasku.

Nie było wyjścia. Wiedźmin ponownie zmienił kierunek ucieczki i wycisnął z konia wszystkie możliwości galopu, starając się wyślizgnąć z niebezpiecznie zwężającej się szpary między młotem a kowadłem. Gdy zaświtała nadzieja, że jednak się uda, nocne powietrze rozśpiewało się nagle szumem lotek. Jaskier wrzasnął, tym razem naprawdę głośno, wpił palce w boki Geralta. Wiedźmin poczuł, jak coś ciepłego polało mu się na kark.

– Trzymaj się! – chwycił poetę za łokieć i z mocą przycisnął go do swych pleców. – Trzymaj się, Jaskier!

– Zabili mnie! – zawył poeta, jak na zabitego wcale głośno. – Krwawię! Umieram!

– Trzymaj się!

Grad strzał i bełtów, którym zasypały się obie armie, a który okazał się tak fatalny dla Jaskra, stał się jednocześnie wybawieniem. Ostrzelane wojska skotłowały się i utraciły impet, a już–już mająca się zewrzeć luka między frontami pozostała luką jeszcze dostatecznie długo, by chrapiący ciężko koń wyniósł obu jeźdźców z pułapki. Geralt bezlitośnie zmusił rumaka do dalszego galopu, bo choć przed nimi majaczył już zbawczy las, za nimi wciąż dudniły kopyta. Koń stęknął, potknął się, ale biegł i może udałoby im się uciec, ale Jaskier zajęczał nagle i gwałtownie obwisł z zadu, ściągając z siodła i wiedźmina. Geralt bezwiednie napiął wodze, koń stanął dęba, a oni obaj zlecieli na ziemię między niziutkie sosenki. Poeta runął bezwładnie i nie podnosił się, jęczał tylko rozdzierająco. Cały bok głowy i lewe ramię miał we krwi, czarno połyskującej w świetle księżyca.

Za nimi armie zderzyły się z hukiem, szczękiem i wrzaskiem. Ale mimo wrącej bitwy nilfgaardzki pościg nie zapomniał o nich. Galopowało na nich trzech jeźdźców.

Wiedźmin zerwał się, czując wzbierającą w nim falę zimnej wściekłości i nienawiści. Skoczył naprzeciw pościgowi, odciągając uwagę konnych od Jaskra. Ale nie, nie chciał poświęcać się dla przyjaciela. Chciał zabijać.

Pierwszy, wysforowany jeździec naleciał na niego ze wzniesionym toporem, ale nie mógł się spodziewać, że nalatuje na wiedźmina. Geralt bez wysiłku uskoczył przed ciosem, chwycił przechylonego w siodle Nilfgaardczyka za płaszcz, palce drugiej dłoni zaczepił za szeroki pas. Silnym szarpnięciem ściągnął konnego z kulbaki, zwalił się na niego, przygniótł. Teraz dopiero uświadomił sobie, że nie ma żadnej broni. Złapał obalonego za gardło, ale nie mógł go udusić, przeszkadzał żelazny ryngraf. Nilfgaardczyk targnął się, trzepnął go pancerną rękawicą, rozorał policzek. Wiedźmin przytłamsił go całym ciałem, namacał przy szerokim pasie mizerykordię, wyrwał ją z pochwy. Obalony poczuł to i zawył. Geralt odepchnął wciąż tłukącą go rękę ze srebrnym skorpionem na rękawie, wzniósł sztylet do ciosu.

Nilfgaardczyk zakrakał.

Wiedźmin wbił mu mizerykordię w otwarte usta. Po rękojeść.

Gdy się zerwał, zobaczył konie bez jeźdźców, trupy i oddalający się w stronę toczącej się bitwy oddziałek. Cintryjczycy z obozu znieśli

nilfgaardzki pościg, a poety i walczących na ziemi wcale nie zauważyli w mroku wśród niskich sosenek.

– Jaskier! Gdzie dostałeś? Gdzie strzała?

– W gło... głowie... Wbita w głowę...

– Nie wygaduj głupstw! Cholera, miałeś szczęście... Obtarło cię tylko...

– Krwawię...

Geralt ściągnął kubrak i udarł rękaw koszuli. Brzeszczot grotu zawadził Jaskra nad uchem, zostawiając paskudne, sięgające skroni rozcięcie. Poeta co chwila przyciskał do rany rozedrgane ręce, po czym przyglądał się krwi, obficie paprzącej mu dłonie i mankiety. Oczy miał błędne. Wiedźmin zrozumiał, że ma przed sobą człowieka, któremu po raz pierwszy w życiu zadano ból i ranę. Który po raz pierwszy w życiu widział własną krew w takiej ilości.

– Wstawaj – powiedział, szybko i byle jak okręcając głowę trubadura rękawem koszuli. – To nic, Jaskier, to tylko draśnięcie... Wstawaj, musimy stąd wiać...

Nocna bitwa na błoniu wrzała, łoskot żelaza, rżenie koni i wrzaski przybierały na sile. Geralt szybko schwytał dwa nilfgaardzkie wierzchowce, ale potrzebny okazał się tylko jeden. Jaskier zdołał wstać, ale natychmiast znowu siadł ciężko, zajęczał i rozdzierająco zaszlochał. Wiedźmin podniósł go, ocucił szarpaniem, wpakował na siodło. Sam siadł z tyłu i popędził konia. Na wschód, tam, gdzie powyżej widocznej już na niebie bladoniebieskiej smugi brzasku wisiała najjaśniejsza gwiazda gwiazdozbioru Siedmiu Kóz.

•

– Świtać wkrótce będzie – powiedziała Milva, patrząc nie na niebo, ale na błyszczącą powierzchnię rzeki. – Sumy ostro białoryb prześladują. A wiedźmina i Jaskra ani widu, ani słychu. Oj, czy nie pokpił aby sprawy Regis...

– Nie budź licha – mruknął Cahir, poprawiając popręg odzyskanego cisawego ogierka.

– Tfu, tfu... Ale bo to też tak jakoś jest... Kto się z tą waszą Ciri zetknie, jakby łeb pod topór wkładał... Nieszczęście ta dziewczyna przynosi... Nieszczęście i śmierć.

– Wypluj, Milva.

– Tfu, tfu, na urok, na Złe... Ależ chłód, aż mną trzęsie... I pić się chce, a w rzece przy brzegu znowu trupa gnijącego widziałam... Brrr... Mdli mnie... Wyrzygam się chyba...

– Masz – Cahir podał jej manierkę. – Napij się. I usiądź blisko mnie, ogrzeję cię.

Kolejny sum uderzył na płyciźnie w stado uklei, ławica rozprysnęła się po powierzchni srebrzystym gradem. W księżycowej smudze mignął gacek lub lelek.

– Kto to wiedzieć może – mruknęła w zamyśleniu Milva, przytulona do ramienia Cahira – co jutro będzie? Kto tę rzekę przejdzie, a kto ziemię obłapi?

– Będzie, co ma być. Odpędź te myśli.

– Nie boisz się?

– Boję. A ty?

– Mnie mdli.

Milczeli długo.

– Rzeknij mi, Cahir, kiedyś ty się z ową Ciri spotkał?

– Po raz pierwszy? Trzy lata temu. Podczas walk o Cintrę. Wywiozłem ją z miasta. Odnalazłem ją, otoczoną pożarem ze wszystkich stron. Jechałem przez ogień, przez płomień i dym, trzymając ją w ramionach, a ona też była jak płomień.

– I co?

– Nie da się utrzymać w rękach płomienia.

– Jeśli to nie Ciri jest w Nilfgaardzie – powiedziała po długim milczeniu – tedy kto?

– Nie wiem.

•

Drakenborg, redański fort zamieniony na obóz internowania elfów i innych wywrotowych elementów, miał swe ponure tradycje, wytworzone w ciągu trzech lat funkcjonowania. Jedną z takich tradycji było wieszanie o świcie. Drugą było wcześniejsze gromadzenie skazanych na śmierć w dużej, wspólnej celi, skąd o brzasku wyprowadzano pod szubienicę.

Skazańców grupowano w celi po kilkunastu, a co ranka wieszano dwóch, trzech, czasami czterech. Pozostali czekali na swoją kolejkę. Długo. Niekiedy tydzień. Oczekujących zwano w obozie Wesołkami. Bo

atmosfera w celi śmierci zawsze była wesoła. Po pierwsze, do posiłków podawano jeńcom kwaśne i mocno rozcieńczone wino, noszące w obozowym żargonie nazwę: „Wytrawny Dijkstra", nie było bowiem sekretem, że przedśmiertny trunek serwowany był skazanym na osobisty rozkaz szefa redańskich służb wywiadowczych. Po drugie, nikogo z celi śmierci nie wleczono już więcej na przesłuchania w złowrogiej podziemnej Pralni, a strażnikom nie wolno było znęcać się nad więźniami.

Tej nocy tradycji również działo się zadość. W celi zajmowanej przez sześciu elfów, jednego półelfa, jednego niziołka, dwóch ludzi i jednego Nilfgaardczyka było wesoło. „Wytrawnego Dijkstrę" solidarnie zlewano na blaszany talerz i chłeptano bez pomocy rąk, albowiem taki sposób dawał największe szanse lekkiego choćby oszołomienia się cienkuszem. Tylko jeden z elfów, Scoia'tael z rozbitego komanda Iorwetha, niedawno mocno skatowany w Pralni, zachowywał spokój i powagę, zajęty wyskrobywaniem na belce ściany napisu: „Wolność lub śmierć". Podobnych napisów widniało na belkach kilkaset. Pozostali skazańcy, też zgodnie z tradycją, śpiewali w kółko hymn Wesołków, anonimową, ułożoną w Drakenborgu pieśń, której słów każdy z więźniów uczył się w barakach, słuchając nocami dźwięków dobiegających z celi śmierci, wiedząc, że kiedyś i jemu przyjdzie wystąpić w chórze.

Tańczą na stryczkach wisielcy
W drgawkach się kurczą rytmicznie
Śpiewają swoją piosenkę
Melancholicznie i ślicznie
Wspaniale bawią się Wesołki
Chwilę wspomina każdy trup
Gdy wytrącono spod nóg stołki
I gdy stanęły oczy w słup!

Stuknęła zasuwa, zazgrzytał zamek. Wesołki przerwały pieśń. Wchodzący o świcie strażnicy mogli oznaczać tylko jedno – za moment chór zostanie uszczuplony o kilka głosów. Pytanie brzmiało – czyich.

Strażnicy weszli kupą. Nieśli powrozy, służące do krępowania rąk wiedzionym pod szubienicę. Jeden pociągnął nosem, wziął pałkę pod pachę, rozwinął pergamin, odkaszlnął.

– Echel Trogelton!

– Traighlethan – poprawił bez nacisku elf z komanda Iorwetha. Jeszcze raz popatrzył na wyskrobane hasło i wstał z trudem.

– Cosmo Baldenvegg!

Niziołek głośno przełknął ślinę. Nazarian wiedział, że więziono go pod zarzutem aktów dywersji, dokonywanych na zlecenie nilfgaardzkiego wywiadu. Baldenvegg nie przyznawał się jednak do winy i uparcie twierdził, że oba kawaleryjskie konie ukradł z własnej inicjatywy i dla zarobku, a Nilfgaard nic do tego nie ma. Ale najwyraźniej nie uwierzono mu.

– Nazarian!

Nazarian wstał posłusznie, podał strażnikom ręce do związania. Gdy wyprowadzano całą trójkę, reszta Wesołków podjęła śpiew.

Tańczą na stryczkach wisielcy
W drgawkach się kurczą wesoło
A wiatr piosenkę ich niesie
Dźwięcznym refrenem wokoło...

Świt gorzał purpurą i czerwienią. Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień.

Hymn Wesołków, stwierdził Nazarian, wprowadzał w błąd. Powieszeni nie mogli odtańczyć żwawego wisielczego tańca, albowiem wieszano nie na szubienicy z poprzeczką, lecz na zwyczajnych słupach, wkopanych w ziemię. Spod nóg nie wytrącano zaś stołków, lecz praktyczne, niziutkie, noszące ślady częstego używania brzozowe pieńki. Anonimowy, stracony przed rokiem twórca piosenki nie mógł wszakże o tym wiedzieć, gdy tworzył. Jak każdy powieszony, poznał detale na krótko przed śmiercią. W Drakenborgu egzekucji nigdy nie wykonywano publicznie. Sprawiedliwa kara, nie sadystyczna zemsta. Słowa te również przypisywano Dijkstrze.

Elf z komanda Iorwetha strząsnął z siebie ręce strażników, bez ociągania wszedł na pieniek i pozwolił nałożyć sobie pętlę.

– Niech ży...

Pieniek wykopnięto mu spod nóg.

Dla niziołka potrzebne były dwa pieńki, które ustawiono jeden na drugim. Rzekomy dywersant nie próbował wznosić żadnych patetycznych okrzyków. Wierzgnął energicznie krótkimi nogami i obwisł na słupie. Głowa bezwładnie opadła mu na bark.

Strażnicy chwycili Nazariana, a Nazarian nagle zdecydował się.

– Będę mówił! – wychrypiał. – Będę zeznawał! Mam ważne informacje dla Dijkstry!

– Trochę późno – rzekł z powątpiewaniem Vascoigne, asystujący przy egzekucji zastępca komendanta Drakenborgu do spraw politycznych. – W co drugim z was na widok stryczka budzi się fantazja!

– Nie zmyślam! – Nazarian szarpnął się w ramionach katów. – Mam informacje!

Po niecałej godzinie Nazarian siedział w karcerze i zachwycał się urodą życia, goniec stał w gotowości obok konia i z zapałem drapał się w krocze, a Vascoigne czytał i sprawdzał przeznaczony dla Dijkstry raport.

Uniżenie zawiadamiam JWP Hrabiego, że zbrodzień imieniem Nazarian, skazany za napaść na królewskiego urzędnika, zeznał, co następuje: działając na rozkaz niejakiego Ryensa, w dniu lipcowego nowiu tego roku, wraz ze dwoma wspólnikami swemi, elfim mieszańcem Schirrú i Jagłą, brał udział w morderstwie jurystów Codringhera i Fenna w mieście Dorian. Tam Jagła ubit był, zaś mieszaniec Schirrú obu jurystów zamordował i dom ich podżegł. Zbrodzień Nazarian wszystko na owego Schirrú strąca, zaprzecza i wypiera się, jakoby on sam mordował, ale to pewnie ze strachu przed stryczkiem. Co zasię JWP Hrabiego zainteresować może, jest: przed zbrodnią na jurystach popełnioną złoczyńcy owi, to jest Nazarian, półelf Schirrú i Jagła wiedźmina śledzili, niejakiego Geralda z Rivii, któren to z jurystą Codringherem potajemnie się znosił. W jakiej sprawie, tego złoczyńca Nazarian nie wie, bo się przed nim ani rzeczony wcześniej Ryens, ani półelf Schirrú z sekretu nie spuścili. Ale gdy Ryensowi raport o konszachtach tych zdany został, Ryens rozkazał jurystów zgładzić.

Dalej zeznał złoczyńca Nazarian: wspólnik jego Schirrú z domu jurystów dokumenta skradł, które Ryensowi dostarczone były do Carreras, do oberży „Pod Lisem Przecherą". O czym Ryens i Schirrú tam konwersowali, Nazarianowi nie jest wiadome, ale nazajutrz cała owa przestępcza trójca do Brugge się udała i tam czwartego dnia po nowiu dopuściła się porwania młodej panny z domu z cegły czerwonej, na drzwiach którego mosiężne nożyce przybite były. Pannę Ryens magicznym napojem oszołomił, a zbrodniarze Schirrú i Nazarian w wielkim pośpiechu kolaską ją powieźli do Verden, do twierdzy Nastrog. A

teraz rzecz następuje, którą wielkiej uwadze JWP Hrabiego polecam: złoczyńcy wydali porwaną pannę nilfgaardzkiemu komendantowi twierdzy, upewniając jego, że owa porwana zwie się Cyryla z Cintry. Komendant, jako zeznał zbrodzień Nazarian, wielce tą wiadomością był ekscytowany.

Powyższe ściśle tajnie kurierem JWP Hrabiemu ekspediuję. Dokładny protokoł przesłuchania takoż poślę, jeno go skryba na czysto przepisze. Uniżenie JWP Hrabiego o instrukcje upraszam, co ze złoczyńcą Nazarianem uczynić. Azali wsypać mu kazać bizunem, by więcej detali raczył przypomnieć sobie, azali obwiesić wedle obserwancji.

Kreślę się z szacunkiem etc., etc.

Vascoigne zamaszyście podpisał raport, odcisnął pieczęć i wezwał gońca.

Treść raportu znana była Dijkstrze wieczorem tego samego dnia. Filippie Eilhart znana była w południe dnia następnego.

•

Gdy niosący wiedźmina i Jaskra koń wyłonił się z nadbrzeżnych olszyn, Milva i Cahir byli mocno zdenerwowani. Wcześniej już słyszeli odgłosy bitwy, woda Iny niosła dźwięki na dużą odległość.

Pomagając ściągnąć poetę z siodła, Milva widziała, jak Geralt stężał na widok Nilfgaardczyka. Nie zdążyła powiedzieć słowa, wiedźmin zresztą też nie, bo Jaskier jęczał rozpaczliwie i leciał przez ręce. Położyli go na piasku, wkładając pod głowę zwinięty płaszcz. Milva zabierała się już do zmiany przemoczonego krwią prowizorycznego opatrunku, gdy poczuła na ramieniu rękę i zwęszyła znajomy zapach piołunu, anyżku i innych ziół. Regis, swoim zwyczajem, zjawił się nie wiadomo kiedy, nie wiadomo jak i nie wiadomo skąd.

– Pozwól – powiedział, wyciągając ze swej przepastnej torby medyczne utensylia i instrumenty. – Ja się tym zajmę.

Gdy cyrulik odrywał opatrunek od rany, Jaskier zajęczał boleśnie.

– Spokojnie – rzekł Regis, przemywając ranę. – To nic. Trochę krwi. Tylko trochę krwi... Ładnie pachnie twoja krew, poeto.

I właśnie wówczas wiedźmin zachował się w sposób, jakiego Milva nie mogła oczekiwać. Podszedł do konia i wyciągnął z przypiętej pod tybinką pochwy długi nilfgaardzki miecz.

– Odejdź od niego – warknął, stając nad cyrulikiem.

– Ładnie pachnie ta krew – powtórzył Regis, nie zwracając na wiedźmina najmniejszej uwagi. – Nie wyczuwam w niej zapachu zakażenia, które w ranie głowy mogłoby mieć fatalne skutki. Arteria i żyła nie naruszone... Teraz zaszczypie.

Jaskier zajęczał, gwałtownie wciągnął powietrze. Miecz w dłoni wiedźmina zadrgał, zalśnił światłem odbitym od rzeki.

– Założę kilka szwów – powiedział Regis, nadal nie zwracając uwagi ani na wiedźmina, ani na jego miecz. – Bądź mężny, Jaskier.

Jaskier był mężny.

– Już kończę – Regis zabrał się za bandażowanie. – Do wesela, trywialnie mówiąc, zagoi się. Rana w sam raz dla poety, Jaskier. Będziesz chodził jak wojenny bohater, z dumnym bandażem na czole, a serca patrzących na ciebie panien topić się będą jak wosk. Tak, iście poetyczna rana. Nie to, co postrzał w brzuch. Rozwalona wątroba, rozdarte nerki i jelita, wylana treść i kał, zapalenie otrzewnej... No, gotowe. Geralt, już jestem do twojej dyspozycji.

Wstał, a wówczas wiedźmin przystawił mu miecz do gardła. Ruchem tak szybkim, że aż umykającym oczom.

– Cofnij się – warknął do Milvy. Regis nie drgnął nawet, choć sztych miecza delikatnie opierał się o jego szyję. Łuczniczka wstrzymała oddech, widząc, jak oczy cyrulika rozpalają się w mroku dziwnym, kocim światłem.

– No, dalejże – powiedział spokojnie Regis. – Pchnij.

– Geralt – stęknął z ziemi Jaskier, całkiem przytomnie. – Czyś ty do reszty zwariował? On uratował nas spod szubienicy... Opatrzył mi łeb...

– Ocalił w obozie dziewczynę i nas – przypomniała cicho Milva.

– Milczcie. Nie wiecie, kim on jest.

Cyrulik nie poruszył się. A Milva nagle z przerażeniem dostrzegła to, co powinna była dostrzec już dawno.

Regis nie rzucał cienia.

– W samej rzeczy – powiedział wolno. – Nie wiecie, kim jestem. A pora, byście wiedzieli. Nazywam się Emiel Regis Rohellec Terzieff-Godefroy. Żyję na tym świecie czterysta dwadzieścia osiem lat. Jestem potomkiem rozbitków, nieszczęsnych istot uwięzionych wśród was po kataklizmie, który wy nazywacie Koniunkcją Sfer. Uchodzę, delikatnie mówiąc, za potwora. Za krwiożercze monstrum. A teraz trafiłem na

wiedźmina, który zawodowo para się eliminowaniem takich jak ja. To wszystko.

– I wystarczy – Geralt opuścił miecz. – Aż nadto. Znikaj stąd, Emielu Regisie Coś Tam Jakoś Tam. Wynoś się.

– To niebywałe – zadrwił Regis. – Pozwolisz mi odejść? Mnie, będącemu zagrożeniem dla ludzi? Wiedźmin powinien wykorzystywać każdą okazję do eliminowania takich zagrożeń.

– Zjeżdżaj. Oddal się, i to szybko.

– W jak dalekie strony mam się oddalić? – spytał wolno Regis. – W końcu jesteś wiedźminem. Wiesz o mnie. Gdy uporasz się już z twoim problemem, gdy załatwisz, co masz do załatwienia, zapewne wrócisz w te strony. Wiesz, gdzie mieszkam, gdzie bywam, czym się zajmuję. Będziesz mnie tropił?

– Nie wykluczam. Jeśli będzie nagroda. Jestem wiedźminem.

– Życzę powodzenia – Regis zapiął torbę, rozwinął płaszcz. – Bywaj. Ach, jeszcze jedno. Jak wysoka musiałaby by być nagroda za moją głowę, byś zechciał się fatygować? Jak mnie wyceniasz?

– Cholernie wysoko.

– Łechczesz moją próżność. A konkretnie?

– Spieprzaj, Regis.

– Już. Ale przedtem wyceń mnie. Proszę.

– Za zwykłego wampira brałem równowartość dobrego konia pod wierzch. A ty przecież zwykły nie jesteś.

– Ile?

– Wątpię – głos wiedźmina był zimny jak lód. – Wątpię, by kogokolwiek było stać.

– Rozumiem i dziękuję – wampir uśmiechnął się, tym razem odsłaniając zęby. Na ten widok Milva i Cahir cofnęli się, a Jaskier stłumił krzyk przestrachu.

– Bywajcie. Powodzenia.

– Bywaj, Regis. Nawzajem.

Emiel Regis Rohellec Terzieff-Godefroy strzepnął płaszczem, owinął się nim zamaszyście i znikł. Po prostu znikł.

•

– Teraz – Geralt odwrócił się, nadal z obnażonym mieczem w dłoni – czas na ciebie, Nilfgaardczyku...

– Nie – przerwała gniewnie Milva. – Wyżej uszu mam już tego. Na konie, wynośmy się stąd! Rzeką krzyki się niosą, ani się obejrzym, gdy ktoś nam tu na kark wsiądzie!

– Nie pojadę w jego towarzystwie.

– To jedź sam! – wrzasnęła rozwścieczona nie na żarty. – W inną stronę! Wyżej uszu mam już twoich humorów, wiedźminie! Regisa przepędziłeś, choć życie ci zratował, ale to twoja sprawa. Ale Cahir zratował mnie, tedy mi druhem! Jeśli zaś tobie jest wrogiem, to wracaj do Armerii, wolna droga! Tam twoi przyjaciele już ze strykiem czekają!

– Nie krzycz.

– To nie stój niby kół. Pomóż mi wsadzić Jaskra na wałacha.

– Ocaliłaś nasze konie? Płotkę też?

– On ocalił – ruchem głowy wskazała na Cahira. – Jazda, w drogę.

•

Przeprawili się przez Inę. Jechali prawym brzegiem, wzdłuż rzeki, przez płytkie łachy, przez łozy i starorzecza, przez łęgi i mokradła rozbrzmiewające rechotem żab, kwakaniem niewidocznych kaczek i cyranek. Dzień eksplodował czerwonym słońcem, oślepiająco zalśnił na porośniętych grążelem taflach jeziorek, a oni skręcili ku miejscu, gdzie jedna z licznych odnóg Iny wpadała do Jarugi. Teraz jechali przez mroczne, ponure lasy, w których drzewa wyrastały wprost z zielonych od rzęsy bagien.

Milva jechała na czele, obok wiedźmina, cały czas zdając mu półgłosem relację z opowieści Cahira. Geralt milczał jak głaz, ani razu nie obejrzał się, nie spojrzał na Nilfgaardczyka, który jechał z tyłu i pomagał poecie. Jaskier trochę pojękiwał, klął i narzekał na ból głowy, ale trzymał się dzielnie, nie hamował pochodu. Odzyskanie Pegaza i przytroczonej do siodła lutni znacznie poprawiło jego samopoczucie.

Około południa wyjechali znowu na nasłonecznione łęgi, za którymi rozciągała się szeroka płań Wielkiej Jarugi. Przedarli się przez starorzecza, przebrodzili mielizny i łachy. I trafili na wyspę, suche miejsce wśród bagien i kęp pomiędzy licznymi odnogami rzeki. Wyspa była zakrzaczona i zarośnięta wikliną, rosło na niej kilka drzew, gołych, uschłych, białych od kormoranich odchodów.

Milva pierwsza dostrzegła w trzcinach łódź, którą musiał zagnać tu prąd. Pierwsza wypatrzyła też wśród wiklin polankę, świetnie nadającą

się na popas.

Zatrzymali się, a wiedźmin uznał, że czas na rozmowę z Nilfgaardczykiem. W cztery oczy.

•

– Darowałem ci życie na Thanedd. Żal mi się ciebie zrobiło, chłystku. Największy błąd, jaki popełniłem w życiu. Nad ranem wypuściłem spod ostrza wyższego wampira, który z pewnością ma na sumieniu niejedno ludzkie życie. Powinienem był go zabić. Ale nie myślałem o nim, bo myśl zaprząta mi jedno: dobrać się do skóry tym, którzy skrzywdzili Ciri. Przysiągłem sobie, że ci, którzy ją skrzywdzili, zapłacą za to krwią.

Cahir milczał.

– Twoje rewelacje, o których opowiedziała mi Milva, niczego nie zmieniają. Wynika z nich tylko jedno: na Thanedd nie udało ci się porwać Ciri, choć bardzo się starałeś. Teraz więc wleczesz się za mną, bym cię znowu do niej doprowadził. Byś mógł znowu położyć na niej łapy, bo może wówczas twój cesarz daruje ci życie, nie pośle na szafot.

Cahir milczał. Geralt czuł się źle. Bardzo źle.

– Ona przez ciebie krzyczała po nocach – warknął. – W jej dziecięcych oczach urosłeś do koszmaru. A przecież byłeś i jesteś tylko narzędziem, tylko marnym sługusem twego cesarza. Nie wiem, coś ty jej uczynił, by stać się dla niej koszmarem. A najgorsze jest, że nie rozumiem, dlaczego mimo tego wszystkiego nie mogę cię zabić. Nie rozumiem, co mnie powstrzymuje.

– Może to – powiedział cicho Cahir – że wbrew wszystkim przesłankom i pozorom mamy ze sobą coś wspólnego, ty i ja?

– Ciekawe, co.

– Podobnie jak ty, ja chcę uratować Ciri. Podobnie jak ty, nie przejmuję się, gdy kogoś to dziwi i zaskakuje. Podobnie jak ty, nie mam zamiaru nikomu tłumaczyć się z pobudek.

– To wszystko?

– Nie.

– Słucham więc.

– Ciri – zaczął wolno Nilfgaardczyk – jedzie konno przez zakurzoną wieś. Z szóstką młodych ludzi. Wśród tych ludzi jest krótko ostrzyżona dziewczyna. Ciri tańczy w szopie na stole i jest szczęśliwa...

– Milva opowiedziała ci moje sny.

– Nie. Nie opowiedziała mi niczego. Nie wierzysz mi?

– Nie.

Cahir spuścił głowę, powiercił obcasem w piasku.

– Zapomniałem – powiedział – że nie możesz mi wierzyć, nie możesz mieć do mnie zaufania. Rozumiem to. Ale śniłeś przecież, tak jak i ja, jeszcze jeden sen. Sen, którego nikomu nie opowiedziałeś. Bo wątpię, byś chciał go komukolwiek opowiadać.

•

Można powiedzieć, że Servadio miał po prostu szczęście. Do Loredo przybył bez zamiaru szpiegowania kogoś konkretnego. Ale wieś nie bez kozery zwana była Zbójecką Posadą. Loredo leżało przy Bandyckim Szlaku, bryganci i złodzieje ze wszystkich położonych nad Górną Veldą okolic zaglądali tu, spotykali się, by sprzedawać lub wymieniać łupy, zaopatrywać się, odpoczywać i bawić się w doborowym bandyckim towarzystwie. Wieś była kilkakrotnie palona, ale nieliczni stali i liczni napływowi mieszkańcy wciąż ją odbudowywali. Żyli z bandytów, żyli wcale dostatnio. A szpicle i donosiciele, tacy jak Servadio, zawsze mieli szanse zdobyć w Loredo jakąś informację, która dla prefekta warta była kilku florenów.

Teraz Servadio liczył na więcej niż kilka. Bo do wsi wjeżdżały Szczury.

Prowadził Giselher, flankowany przez Iskrę i Kayleigha. Za nimi jechały Mistle i ta nowa, szarowłosa, nazywana Falką. Asse i Reef zamykali pochód, ciągnąc luzaki, niechybnie zrabowane i przyprowadzone na sprzedaż. Byli zmęczeni i pokryci kurzem, ale trzymali się w siodłach dziarsko, ochoczo odpowiadali na pozdrowienia goszczących w Loredo kamratów i znajomych. Zeskoczywszy z koni i poczęstowani piwem, natychmiast przystąpili do hałaśliwych negocjacji z handlarzami i paserami. Wszyscy oprócz Mistle i tej nowej, szarowłosej, noszącej miecz przerzucony przez plecy. Te poszły między stragany, jak zwykle zapełniające majdan. Loredo miało swoje dni targowe, wtedy obliczona na przyjezdnych bandytów oferta towarów była szczególnie bogata i różnorodna. Dzisiaj właśnie był taki dzień.

Servadio ostrożnie podążył za dziewczynami. Aby zarobić, musiał donieść, aby donieść, musiał podsłuchać.

Dziewczyny oglądały kolorowe chustki, koraliki, haftowane bluzki, czapraki, ozdobne naczółki dla koni. Przebierały w towarze, ale nie

kupowały. Mistle prawie cały czas trzymała rękę na ramieniu szarowłosej.

Szpicel ostrożnie przysunął się bliżej, udał, że ogląda rzemienie i pasy na straganie rymarza. Dziewczyny rozmawiały, ale cicho, nie mógł wyrozumieć, bliżej zaś lękał się podchodzić. Mogły zauważyć, nabrać podejrzeń.

Na jednym z kramów sprzedawano cukrową watę. Dziewczyny podeszły, Mistle kupiła dwa omotane śnieżną słodkością patyczki, jeden wręczyła szarowłosej. Ta delikatnie skubnęła. Biały kłaczek przykleił się jej do wargi. Mistle starła go ostrożnym, pieszczotliwym ruchem. Szarowłosa szeroko otworzyła szmaragdowe oczy, wolniutko oblizała usta, uśmiechnęła się, figlarnie przekrzywiając głowę. Servadio poczuł dreszcz, strużką zimna spływający z karku pomiędzy łopatki. Przypomniał sobie plotki, krążące o obu bandytkach.

Zamierzał wycofać się chyłkiem, było jasne, że niczego nie podsłucha ani nie wyszpieguje. Dziewczyny nie rozmawiały o niczym ważnym, natomiast nieopodal, tam, gdzie zgromadziła się starszyzna rozbójniczych szajek, Giselher, Kayleigh i pozostali hałaśliwie kłócili się, targowali, wrzeszczeli, co i rusz podstawiali kubki pod szpunt antałka. Od nich Servadio miał szanse dowiedzieć się więcej. Któryś ze Szczurów mógł uronić słowo, a choćby pół słowa, zdradzającego najbliższe plany bandy, ich trasę lub cel. Gdyby udało mu się podsłuchać i w porę dostarczyć wiadomość żołnierzom prefekta lub żywo interesującym się Szczurami agentom z Nilfgaardu, nagroda była już praktycznie w kieszeni. Gdyby zaś na bazie jego informacji prefekt zdołał zastawić udaną zasadzkę, Servadio mógł liczyć na naprawdę znaczny przypływ gotówki. Kupię babie kożuch, myślał gorączkowo. Dzieciom butki nareszcie i zabawki jakieś... A sobie...

Dziewczyny spacerowały wzdłuż straganów, oblizując i skubiąc z patyczków cukrową watę. Servadio nagle zorientował się, że są obserwowane. I wskazywane palcami. Znał tych, którzy wskazywali, złodziei i koniokradów z szajki Pinty, zwanego Wydrzychwostem.

Złodzieje wymienili kilka wyzywająco głośnych uwag, rozrechotali się. Mistle zmrużyła oczy, położyła szarowłosej rękę na ramieniu.

– Synogarliczki! – parsknął jeden ze złodziei Wydrzychwosta, dryblas z wąsami wyglądającymi jak wiechcie pakuł. – Patrzajta, iście zaraz dzióbków sobie dadzą!

Servadio widział, jak szarowłosa drgnęła, widział, jak Mistle zaciska palce na jej barku. Złodzieje zarechotali chórem. Mistle odwróciła się wolno, kilku natychmiast przestało się śmiać. Ale ten z pakułowymi wąsami był albo zbyt pijany, albo zupełnie pozbawiony wyobraźni.

– Może chłopa którejś z was trza? – podszedł bliżej, wykonując obrzydliwe i niedwuznaczne gesty. – Wierę, takie jak wy ino przechędożyć zdrowo, a w mig się z perwersyi uleczą! Hola! Do ciebie mówię, ty...

Nie zdążył jej dotknąć. Szarowłosa zwinęła się jak atakująca żmija, miecz błysnął i uderzył, zanim jeszcze upuszczona cukrowa wata upadła na ziemię. Wąsacz zatoczył się, zagulgotał jak indor, krew z przeciętej szyi siknęła długim strumieniem. Dziewczyna zwinęła się ponownie, dopadła w dwóch tanecznych krokach, cięła jeszcze raz, fala posoki bryzgnęła na stragany, trup runął, piasek wokół niego momentalnie zrudział. Ktoś wrzasnął. Drugi złodziej schylił się, wydobył nóż z cholewy, ale w tym samym momencie padł zdzielony przez Giselhera okutym trzonkiem nahajki.

– Dość będzie jednego trupa! – wrzasnął herszt Szczurów. – Ten tu sam sobie winien, nie wiedział, z kim zadziera! Cofnij się, Falka!

Szarowłosa dopiero teraz opuściła miecz. Giselher uniósł sakiewkę i potrząsnął nią.

– Wedle praw naszego bractwa, płacę za tego ubitego. Uczciwie, wedle wagi, talar za każdy funt parszywego zewłoka! I na tym koniec waśni! Dobrze mówię, kamraci? Hej, Pinto, co rzekniesz?

Iskra, Kayleigh, Reef i Asse stanęli za hersztem. Twarze mieli jak z kamienia, dłonie na rękojeściach mieczy.

– Uczciwie – odezwał się z grupy bandytów Wydrzychwost, niski krzywonogi mężczyzna w skórzanym kabacie. – Prawyś, Giselher. Koniec waśni.

Servadio przełknął ślinę, usiłując wtopić się w otaczający już zajście tłum. Nagle poczuł, że nie ma za grosz ochoty kręcić się koło Szczurów i koło popielatowłosej dziewczyny, którą nazywano Falką. Nagle uznał, że obiecana przez prefekta nagroda wcale nie jest tak wysoka, jak myślał.

Falka spokojnie schowała miecz do pochwy, rozejrzała się. Servadio osłupiał, widząc, jak jej drobna twarz zmienia się nagle i kurczy.

– Moja wata – jęknęła żałościwie dziewczyna, patrząc na walający się na brudnym piasku smakołyk. – Moja wata mi upadła...

Mistle objęła ją.

– Kupię ci drugą.

•

Wiedźmin siedział na piasku wśród wiklin, ponury, zły i zamyślony. Patrzył na kormorany siedzące na obsranym drzewie.

Cahir po rozmowie znikł w krzakach i nie pokazywał się. Milva i Jaskier szukali czegoś do zjedzenia. W przygnanej prądem łodzi udało im się odkryć pod sieciami miedziany kociołek i kobiałkę warzyw. Zastawili w przybrzeżnej rynnie znalezioną w czółnie wiklinową wierszę, sami brodzili przy brzegu i tłukli kijami w wodorosty, by napędzić do pułapki ryb. Poeta czuł się już dobrze, chodził z bohatersko zabandażowaną głową dumny jak paw.

Geralt był zamyślony i zły.

Milva z Jaskrem wyciągnęli wierszę i zaczęli kląć, albowiem zamiast spodziewanych sumów i karpi, wewnątrz srebrzyła się i trzepotała drobnica.

Wiedźmin wstał.

– Chodźcie no tu, oboje! Zostawcie ten więcierz i chodźcie tu. Mam wam coś do powiedzenia.

– Wracacie do domu – zaczął bez ogródek, gdy podeszli, mokrzy i śmierdzący rybą. – Na północ, w kierunku Mahakamu. Ja jadę dalej sam.

– Co?

– Rozchodzą się nasze drogi, Jaskier. Dość tej zabawy. Wracasz do domu pisać wiersze. Milva przeprowadzi cię przez lasy... O co chodzi?

– O nic – Milva gwałtownym ruchem odrzuciła włosy z ramienia. – O nic. Mów, wiedźminie. Ciekawam tego, co powiesz.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Jadę na południe, na tamten brzeg Jarugi. Przez terytoria nilfgaardzkie. To niebezpieczna i daleka droga. A ja nie mogę już zwlekać. Dlatego jadę sam.

– Pozbywszy się niewygodnego bagażu – pokiwał głową Jaskier. – Kuli u nogi opóźniającej marsz i sprawiającej kłopoty. Innymi słowy, mnie.

– I mnie – dodała Milva, patrząc w bok.

– Posłuchajcie – rzekł Geralt, już znacznie spokojniej. – To jest moja własna, osobista sprawa. To wszystko was nie dotyczy. Nie chcę, byście nadstawiali karku za coś, co dotyczy wyłącznie mnie.

– To dotyczy wyłącznie ciebie – powtórzył wolno Jaskier. – Nikt nie jest ci potrzebny. Towarzystwo ci przeszkadza i opóźnia marsz. Nie oczekujesz od nikogo pomocy i sam nie masz zamiaru na nikogo się oglądać. Ponadto kochasz samotność. Czy czegoś zapomniałem wymienić?

– Owszem – odrzekł gniewnie Geralt. – Zapomniałeś wymienić twój pusty łeb na taki, który zawiera mózg. Gdyby tamta strzała poszła cal w prawo, idioto, w tej chwili gawrony wydziobywałyby ci oczy. Jesteś poetą, masz wyobraźnię, spróbuj wyobrazić sobie taki obrazek. Powtarzam: wy wracacie na północ, ja zmierzam w kierunku przeciwnym. Sam.

– A jedź – Milva wstała sprężyście. – Myślisz może, że będę cię prosić? Do biesa z tobą, wiedźminie. Chodź, Jaskier, przyrządzimy jakiego jadła. Głód mnie morzy, a gdy jego słucham, to mnie mdli.

Geralt odwrócił głowę. Obserwował zielonookie kormorany suszące skrzydła na konarach obsranego drzewa. Nagle poczuł ostry zapach ziół i zaklął wściekle.

– Nadużywasz mojej cierpliwości, Regis.

Wampir, który zjawił się nie wiadomo skąd i kiedy, nie przejął się, usiadł obok.

– Muszę zmienić poecie opatrunek – powiedział spokojnie.

– To idź do niego. Ode mnie trzymaj się zaś z daleka.

Regis westchnął, wcale nie mając zamiaru odchodzić.

– Przysłuchiwałem się przed chwilą twojej rozmowie z Jaskrem i łuczniczką – powiedział nie bez drwiny w głosie. – Trzeba przyznać, masz prawdziwy talent do pozyskiwania sobie ludzi. Choć cały świat zdaje się na ciebie dybać, ty lekce sobie ważysz pragnących ci pomóc towarzyszy i sprzymierzeńców.

– Świat stanął na głowie. Wampir będzie mnie uczył, jak mam postępować z ludźmi. Co ty wiesz o ludziach, Regis? Jedyna rzecz, którą znasz, to smak ich krwi. Cholera jasna, zacząłem z tobą rozmawiać?

– Świat stanął na głowie – przyznał wampir, całkiem poważnie. – Zacząłeś. Może więc zechcesz również wysłuchać rady?

– Nie. Nie zechcę. Jest mi zbędna.

– Prawda, byłbym zapomniał. Rady są ci zbędne, sprzymierzeńcy są ci zbędni, bez towarzyszy podróży również się obejdziesz. Cel twojej wyprawy to wszak cel osobisty i prywatny, więcej, charakter celu

wymaga, byś zrealizował go sam, osobiście. Ryzyko, zagrożenie, trud, walka ze zwątpieniem muszą obciążyć tylko i wyłącznie ciebie. Bo są wszak elementami pokuty, odkupienia winy, które chcesz uzyskać. Taki, powiedziałbym, chrzest ognia. Przejdziesz przez ogień, który pali, ale i oczyszcza. Sam, samotnie. Bo gdyby ktoś cię w tym wsparł, pomógł, wziął na siebie choćby cząstkę tego chrztu ognia, tego bólu, tej pokuty, zubożyłby cię tym samym. Pozbawił należnej mu za współudział części ekspiacji, która wszak jest wyłącznie twoją ekspiacją. To wyłącznie ty masz dług do spłacenia, nie chcesz spłacać go, zadłużając się jednocześnie u innych wierzycieli. Czy rozumuję logicznie?

– Aż dziwnie, że na trzeźwo. Twoja obecność drażni mnie, wampirze. Zostaw mnie sam na sam z moją ekspiacją, proszę. I z moim długiem.

– Bezzwłocznie – Regis wstał. – Posiedź, pomyśl. A rady jednak ci udzielę. Potrzeba ekspiacji, oczyszczającego chrztu ognia, poczucie winy, to nie są rzeczy, do których rościć sobie możesz wyłączne prawo. Życie tym różni się od bankowości, że zna długi, które spłaca się zadłużeniem u innych.

– Odejdź, proszę.

– Bezzwłocznie.

Wampir odszedł, dołączył do Jaskra i Milvy. Podczas zmiany opatrunku cała trójka debatowała, co by tu zjeść. Milva wytrząsnęła z wierszy drobnicę i przyjrzała się jej nad wyraz krytycznie.

– Nie ma co medytować – powiedziała. – Trza nadziać te małe karaluchy na witki i upiec je nad żarem.

– Nie – pokręcił świeżo obandażowaną głową Jaskier. – To nie jest dobry pomysł. Rybek jest za mało, nie najemy się nimi. Proponuję, by ugotować z nich zupę.

– Zupa z ryb?

– Jasne. Mamy kupę tego drobiazgu, mamy sól – Jaskier ilustrował wyliczanie odginaniem kolejnych palców. – Zdobyliśmy cebulę, marchew, pietruszkę, seler z nacią. I kocioł. Po zsumowaniu otrzymujemy zupę.

– Zdałoby się trochę przypraw.

– Och – uśmiechnął się Regis, sięgając do torby. – Z tym problemu nie będzie. Bazylia, piment, pieprz, liść laurowy, szałwia...

– Dość, dość – powstrzymał go Jaskier. – Wystarczy, mandragory w zupie nam nie potrzeba. Dobra, do roboty. Oczyść rybki, Milva.

– Sam je czyść! Patrzajta ich! Myślą, że jak mają niewiastę w kompanii, to im będzie przy kuchni harować! Przyniosę wody i ogień rozniecę. A z tymi piskorzami sami się paprzcie.

– To nie są piskorze – powiedział Regis. – To są klenie, płotki, jazgarze i podleszczyki.

– Ha – nie wytrzymał Jaskier. – Znasz się na rybach, jak widzę.

– Na wielu rzeczach się znam – przyznał wampir beznamiętnie, bez dumy w głosie. – Uczyłem się tego i owego.

– Jeśliś taki uczony – Milva jeszcze raz dmuchnęła w ogień, po czym wstała – to uczenie wypatrosz te rybięta. Ja po wodę pójdę.

– Dasz radę przynieść pełny kocioł? Geralt, pomóż jej!

– Dam radę – parsknęła Milva. – A jego pomocy nie trza mi. On ma własne, osobiste sprawy, nie lza mu przeszkadzać!

Geralt odwrócił głowę, udając, że nie słyszy. Jaskier i wampir sprawnie czyścili rybi drobiazg.

– Chuda będzie ta zupa – stwierdził Jaskier, wieszając kocioł nad ogniem. – Zdałaby się, cholera, jakaś większa rybka.

– Ta może być? – z wikliny nagle wyłonił się Cahir, niosąc za kark trzyfuntowego szczupaka, wciąż jeszcze prężącego ogon i poruszającego skrzelami.

– Oho! Ależ krasawiec! Skąd go wytrzasnąłeś, Nilfgaardczyku?

– Nie jestem Nilfgaardczykiem. Pochodzę z Vicovaro, a nazywam się Cahir...

– Dobrze, dobrze, już słyszeliśmy. Skąd masz szczukę, pytałem?

– Zmajstrowałem żerlicę. Jako przynęty użyłem żaby. Zarzuciłem w jamę pod brzegiem. Szczupak wziął z miejsca.

– Sami specjaliści – pokręcił obandażowaną głową Jaskier. – Szkoda, że nie zaproponowałem befsztyków, pewnie zaraz przynieśliby krowę. No, ale bierzmy się za to, co mamy. Regis, wszystkie małe rybki wal w kocioł, z głowami i ogonami. Szczukę zaś trzeba ładnie sprawić. Umiesz, Nilf... Cahir?

– Umiem.

– Do dzieła zatem. Geralt, do jasnej cholery, długo masz zamiar tam siedzieć z obrażoną miną? Warzywa obierz!

Wiedźmin wstał posłusznie, dosiadł się, ale demonstracyjnie daleko od Cahira. Zanim jeszcze zdążył poskarżyć się, że nie ma noża,

Nilfgaardczyk – czy też Vicovarczyk – podał mu swój, dobywając drugi z cholewy. Przyjął, wyburczawszy podziękowanie.

Wspólna praca szła składnie. Pełen rybiej drobnicy i warzyw kocioł wkrótce zabulgotał i zapienił się. Wampir zręcznie zebrał pianę wystruganą przez Milvę łyżką. Gdy Cahir sprawił i podzielił szczupaka, Jaskier wrzucił do kotła ogon, płetwy, kręgosłup i zębaty łeb drapieżnika, zamieszał.

– Mniam, mniam, ależ pachnie. Gdy się to wszystko wygotuje, odcedzimy śmieci.

– Przez onucę chyba – wykrzywiła się Milva, strugając kolejną łyżkę. – Jakże cedzić, gdy przetaka nie mamy?

– Ależ, droga Milvo – uśmiechnął się Regis. – Tak nie można! To, czego nie mamy, z łatwością zastąpimy tym, co mamy. To wyłącznie kwestia inicjatywy i myślenia pozytywnego.

– Idź do biesa z twym uczonym gadaniem, wampirze.

– Przecedzimy przez moją kolczugę – powiedział Cahir. – Co tam, potem się ją wypłucze.

– Przedtem też się ją wypłucze – oświadczyła Milva. – Inaczej ja tej zupy jeść nie będę.

Cedzenie poszło sprawnie.

– Teraz wrzucaj do wywaru szczukę, Cahir – zarządził Jaskier. – Ależ zapach, mniam, mniam. Nie podrzucajcie już drewna, niech tylko mruga. Geralt, dokąd się pchasz z tą łyżką! Teraz się już nie miesza!

– Nie wrzeszcz. Nie wiedziałem.

– Niewiedza – uśmiechnął sie Regis – nie stanowi usprawiedliwienia dla nieprzemyślanych działań. Gdy się nie wie, gdy ma się wątpliwości, dobrze jest zasięgnąć porady...

– Zamknij się, wampirze! – Geralt wstał i odwrócił się plecami. Jaskier parsknął.

– Obraził się, patrzcie go.

– On już taki jest – stwierdziła Milva, wydymając wargi. – Gadacz. Jeśli nie wie, co czynić, gada jeno i obraża się. Jeszczeście tego nie wymiarkowali?

– Dawno – rzekł cicho Cahir.

– Dodać pieprzu – Jaskier oblizał łyżkę, zamlaskał. – Dodać jeszcze soli. Ach, teraz jest w sam raz. Zestawmy kocioł z ognia. Psiakrew, ale gorący! Nie mam rękawic...

– Ja mam – rzekł Cahir.

– A ja – Regis chwycił kocioł z drugiej strony – nie potrzebuję.

– Dobra – poeta wytarł łyżkę o spodnie. – No, kompania, dosiadać się. Smacznego! Geralt, czekasz na specjalne zaproszenie? Na herolda i fanfary?

Wszyscy ciasno obsiedli ustawiony na piasku kociołek i przez długi czas słychać było jedynie dystyngowane siorbanie, przerywane dmuchaniem w łyżki. Po zjedzeniu połowy wywaru rozpoczęło się ostrożne łowienie kawałków szczupaka, wreszcie łyżki drapnęły po dnie kociołka.

– Ale się nażarłam – stęknęła Milva. – To niegłupi był pomysł z tą polewką, Jaskier.

– W rzeczy samej – przyznał Regis. – Co powiesz, Geralt?

– Powiem: dziękuję – wiedźmin wstał z trudem, pomasował kolano, które znowu zaczął kąsać ból. – Wystarczy? Czy potrzebne są fanfary?

– Z nim tak zawsze – machnął ręką poeta. – Nie przejmujcie się nim. I tak macie szczęście, mnie przyszło być z nim wówczas, gdy kłócił się z tą jego Yennefer, bladą pięknością o hebanowych włosach.

– Dyskretniej – upomniał go wampir. – I nie zapominaj, on ma problemy.

– Problemy – Cahir stłumił beknięcie – należy rozwiązywać.

– Ba – rzekł Jaskier. – Ale jak?

Milva parsknęła, wygodniej układając się na gorącym piasku.

– Wampir jest uczony. Ani chybi wie.

– Rzecz polega nie na wiedzy, lecz na umiejętnym zważeniu koniunktur – rzekł spokojnie Regis. – A gdy się koniunktury zważy, dochodzi się do wniosku, że mamy do czynienia z problemem nierozwiązywalnym. Całe to przedsięwzięcie jest pozbawione szans na sukces. Prawdopodobieństwo odnalezienia Ciri równa się zeru.

– Ależ tak nie można – zakpiła Milva. – Trza dumać pozytywnie i jencytjatywnie. To tak, jako z tym sitem. Jeśli nie mamy, zastąpmy czym innym. Tak sobie myślę.

– Do niedawna – ciągnął wampir – sądziliśmy, że Ciri jest w Nilfgaardzie. Dotarcie tam i wyzwolenie, czy też wykradzenie jej, wydawało się przedsięwzięciem ponad siły. Teraz, po rewelacjach Cahira, w ogóle nie wiemy, gdzie Ciri jest. Trudno mówić o inicjatywie, gdy nie ma się pojęcia, w którą stronę ją skierować.

– Cóż tedy mamy czynić? – żachnęła się Milva. – Wiedźmin upiera się, by na południe ruszyć...

– Dla niego – uśmiechnął się Regis – strony świata nie mają specjalnego znaczenia. Wszystko mu jedno, w którą ruszyć, byleby nie siedzieć bezczynnie. Iście wiedźmińskie principium. Świat pełen jest Zła, wystarczy tedy iść, gdzie oczy poniosą, a napotykane po drodze Zło unicestwiać, tym sposobem przysłużyć się sprawie Dobra. Reszta przyjdzie sama. Inaczej mówiąc: ruch jest wszystkim, cel niczym.

– Osielstwo – skomentowała Milva. – Wżdy jego cel to Ciri. Jakże to: ona niczym?

– Żartowałem sobie – przyznał wampir, łypiąc na wciąż odwróconego plecami Geralta. – I to niezbyt taktownie. Przepraszam. Masz rację, droga Milvo. Nasz cel to Ciri. A ponieważ nie wiemy, gdzie ona jest, sensownie jest dowiedzieć się tego i odpowiednio ukierunkować działania. Sprawa Dziecka Niespodzianki, jak zauważam, aż tętni od magii, przeznaczenia i innych nadprzyrodzonych elementów. A ja znam kogoś, kto w takich sprawach świetnie się orientuje i zapewne nam pomoże.

– Ha – ucieszył się Jaskier. – Kto to taki? Gdzie? Daleko?

– Bliżej niż stolica Nilfgaardu. Dokładnie rzecz biorąc, całkiem blisko. W Angrenie. Na tym brzegu Jarugi. Mówię o druidzkim kręgu, mającym swą siedzibę w borach na Caed Dhu.

– Ruszamy bez zwłoki!

– Czy nikt z was – zdenerwował się wreszcie Geralt – nie uważa za stosowne zapytać mnie o zdanie?

– Ciebie? – Jaskier odwrócił się. – Ty wszak pojęcia nie masz, co czynić. Nawet zupę, którą chłeptałeś, zawdzięczasz nam. Gdyby nie my, byłbyś głodny. I my też, gdybyśmy czekali na twoją aktywność. Ten kociołek zupy to dzieło kooperacji. Efekt wspólnego działania grupy, drużyny zjednoczonej przez wspólny cel. Pojmujesz to, przyjacielu?

– Jakże jemu to pojąć? – wykrzywiła się Milva. – On cięgiem tylko ja i ja, sam, samotnie. Wilk samotnik! Widać, że żaden łowca z niego, że z lasem nie obyty. Nie polują wilcy samotnie! Nigdy! Wilk samotnik, ha, łeż to, głupie mieszczuchów bajanie. Ale on tego nie pojmuje!

– Ależ pojmuje, pojmuje – uśmiechnął się Regis, swoim zwyczajem z zaciśniętymi wargami.

– On tylko tak głupio wygląda – potwierdził Jaskier. – Ale cały czas liczę na to, że wreszcie zechce mu się wytężyć mózgownicę. Może wyciągnie słuszne wnioski? Może zrozumie, że jedyną czynnością, która dobrze wychodzi samotnym, jest samogwałt?

Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach taktownie milczał.

– Niech was wszystkich cholera – powiedział wreszcie wiedźmin, chowając łyżkę do cholewy. – Niech was cholera, wy kooperująca grupo idiotów, zjednoczona przez wspólny cel, którego żadne z was nie rozumie. I mnie też niech cholera.

Tym razem pozostali, wzorem Cahira, również milczeli taktownie. Jaskier, Maria Barring, zwana Milvą, i Emiel Regis Rohellec Terzieff-Godefroy.

– Kompania mi się trafiła – podjął Geralt, kręcąc głową. – Towarzysze broni! Drużyna bohaterów! Nic, tylko ręce załamać. Wierszokleta z lutnią. Dzikie i pyskate pół driady, pół baby. Wampir, któremu idzie na pięćdziesiąty krzyżyk. I cholerny Nilfgaardczyk, który upiera się, że nie jest Nilfgaardczykiem.

– A na czele drużyny wiedźmin, chory na wyrzuty sumienia, bezsiłę i niemożność podjęcia decyzji – dokończył spokojnie Regis. – Zaiste, proponuję podróżować incognito, by nie wzbudzać sensacji.

– I śmiechu – dodała Milva.

Królowa odrzekła: „Nie mnie o łaskę proś, ale tych, których czarami twymi ukrzywdziłaś. Miałaś odwagę złe czyny popełniać, miejże odwagę i teraz, gdy pogoń i sprawiedliwość blisko. Nie w mojej mocy grzechy ci wybaczać.” Natenczas zaparskała wiedźma niby kot, zabłysły jej złe oczy. „Moja zguba blisko, zakrzyknęła, ale i twoja niedaleko, królowo. Wspomnisz jeszcze w godzinie strasznej śmierci Larę Dorren i jej klątwę. A i to wiedz, że przekleństwo moje doścignie i potomków twoich, do dziesiątego pokolenia.” Zmiarkowawszy jednak, że w piersi królowej nieulękłe bije serce, zła elfia czarownica przestała lżyć i grozić, klątwą straszyć, zaczęła jak suka skamleć o pomoc i zmiłowanie...

Baśń o Larze Dorren, wersja ludzka

...ale błagania nie zmiękczyły kamiennych serc Dh'oine, bezlitosnych, okrutnych ludzi. A gdy Lara, prosząc o litość już nie dla niej, ale dla jej dziecka, uczepiła się drzwi karety, na królewski rozkaz zbir-kat uderzył kordem i odrąbał jej palce. A gdy w nocy mróz luty ścisnął, Lara wydała ostatnie tchnienie na wzgórzu wśród lasów, rodząc córeczkę, którą chroniła resztką tlącego się w niej jeszcze ciepła. I choć wokół była noc, zima i śnieżyca, na wzgórzu stała się nagle wiosna i zakwitły kwiaty feainnewedd. Do dziś takie kwiaty kwitną tylko w dwóch miejscach: w Dol Blathanna i na wzgórzu, na którym skonała Lara Dorren aep Shiadhal.

Baśń o Larze Dorren, wersja elfia

Rozdział szósty

– Prosiłam cię – warknęła gniewnie leżąca na wznak Ciri. – Prosiłam cię, byś mnie nie dotykała.

Mistle cofnęła rękę i trawkę, którą łaskotała Ciri w szyję, wyciągnęła się obok, zapatrzyła w niebo, podłożywszy obie dłonie pod ostrzyżony

kark.

– Dziwnie się ostatnio zachowujesz, Sokoliczko.

– Nie chcę, byś mnie dotykała i tyle!

– To tylko zabawa.

– Wiem – Ciri zacisnęła usta. – Tylko zabawa. To wszystko była tylko zabawa. Ale mnie przestało to bawić, wiesz? Całkiem przestało!

Mistle położyła się znowu na wznak, milczała długo, zapatrzona w błękit pocięty poszarpanymi smugami chmur. Wysoko nad lasem kołował jastrząb.

– Twoje sny – powiedziała wreszcie. – To przez te twoje sny, tak? Prawie co noc zrywasz się z krzykiem. To, co niegdyś przeszłaś, wraca w snach. Znam to.

Ciri nie odpowiedziała.

– Nigdy mi o sobie nie mówiłaś – Mistle znowu przerwała ciszę. – O tym, co przeszłaś. Ani o tym, skąd jesteś. Ani czy masz bliskich...

Ciri gwałtownie poruszyła ręką koło szyi, ale tym razem to była tylko biedronka.

– Miałam bliskich – powiedziała głucho, nie patrząc na towarzyszkę. – To znaczy, myślałam, że miałam... Takich, którzy odnaleźliby mnie, nawet tu, na końcu świata, gdyby tylko chcieli... Lub gdyby żyli. Och, o co ci chodzi, Mistle? Mam ci o sobie opowiadać?

– Nie musisz.

– To dobrze. Bo to pewnie tylko zabawa. Jak wszystko między nami.

– Nie rozumiem – Mistle odwróciła głowę – dlaczego nie odejdziesz, jeśli ci tak ze mną źle.

– Nie chcę być sama.

– Tylko tyle?

– To dużo.

Mistle zagryzła wargi. Nim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszały gwizd. Zerwały się obie, otrzepały z igliwia, dopadły koni.

– Zaczyna się zabawa – rzekła Mistle, wskakując na siodło i dobywając miecza – jaką od pewnego czasu lubisz ponad wszystkie inne, Falka. Nie myśl, że nie zauważyłam.

Ciri ze złością uderzyła konia piętami. Pognały zboczem wąwozu, na łeb na szyję, słysząc już dzikie hałłakowanie pozostałych Szczurów, wypadających z zagajnika po drugiej stronie gościńca. Kleszcze zasadzki zamykały się.

•

Prywatna audiencja była skończona. Vattier de Rideaux, wicehrabia Eiddon, szef wywiadu wojskowego cesarza Emhyra var Emreisa, opuścił bibliotekę, kłaniając się królowej Doliny Kwiatów w sposób nawet uprzejmiejszy, niż tego wymagał protokoł dworski. Ukłon był jednocześnie bardzo ostrożny, a ruchy Vattiera wypracowane i powściągliwe – szpieg cesarski nie spuszczał wzroku z dwóch ocelotów, wyciągniętych u stóp władczyni elfów. Złotookie koty wyglądały na rozleniwione i senne, ale Vattier wiedział, że to nie maskotki, lecz czujni strażnicy, gotowi w mgnieniu oka zamienić w krwawą miazgę każdego, kto usiłowałby zbliżyć się do królowej na odległość mniejszą od określonej protokołem.

Francesca Findabair, nazywana Enid an Gleanna, Stokrotką z Dolin, odczekała, aż za Vattierem zamkną się drzwi, pogłaskała oceloty.

– Już, Ida – powiedziała.

Ida Emean aep Sivney, elfia czarodziejka, wolna Aen Seidhe z Gór Sinych, podczas audiencji skryta pod czarem niewidzialności, zmaterializowała się w kącie biblioteki, poprawiła suknię i cynobroworude włosy. Oceloty zareagowały jedynie nieco szerszym otwarciem oczu. Jak wszystkie koty, widziały niewidzialne, nie można było ich oszukać tak prostym zaklęciem.

– Drażnić mnie już zaczyna ten festiwal szpiegów – powiedziała z przekąsem Francesca, przybierając wygodniejszą pozycję na hebanowym krześle. – Henselt z Kaedwen niedawno przysłał mi „konsula", Dijkstra skierował do Dol Blathanna „misję handlową". A teraz sam arcyszpicel Vattier de Rideaux! Ach, a wcześniej kręcił się tu Stefan Skellen, Wielki Cesarski Nikt. Ale nie udzieliłam mu posłuchania. Ja jestem królową, a Skellen jest nikim. Choć z urzędu, ale nikim.

– Stefan Skellen – powiedziała wolno Ida Emean – był również u nas, gdzie miał więcej szczęścia. Rozmawiał z Filavandrelem i Vanadainem.

– I podobnie jak Vattier mnie, wypytywał ich o Vilgefortza, Yennefer, Rience'a i Cahira Mawr Dyffryna aep Ceallacha?

– Między innymi. Zdziwisz się, ale bardziej interesowała go oryginalna wersja proroctwa Ithlinne Aegli aep Aevenien, zwłaszcza fragmenty mówiące o Aen Hen Ichaer, Starszej Krwi. Interesowała go również Tor Lara, Wieża Mewy, i legendarny portal, niegdyś łączący Wieżę Mewy z Tor Zireael, Wieżą Jaskółki. Jakżeż to typowe dla ludzi, Enid. Liczyć na

to, że od razu, na skinienie, wyświetlimy im zagadki i tajemnice, które sami staramy się rozwikłać od setek lat.

Francesca uniosła rękę i przyjrzała się pierścieniom.

– Ciekawe – powiedziała – czy Filippa wie o dziwnych zainteresowaniach Skellena i Vattiera? I Emhyra var Emreisa, któremu oni obaj służą?

– Ryzykownie byłoby zakładać, że nie wie – Ida Emean spojrzała bystro na królową – i zataić na naradzie w Montecalvo to, co wiemy my, tak przed Filippą, jak i przed całą lożą. Niezbyt ładne światło rzuciłoby to na nas... A chcemy wszakże, by ta loża zaistniała. Chcemy, by nam, elfim magiczkom, ufano, nie posądzano o podwójną grę.

– Rzecz w tym, że my prowadzimy podwójną grę, Ida. I troszkę igramy z ogniem. Z Białym Płomieniem Nilfgaardu...

– Ogień pali – Ida Emean podniosła na królową przedłużone ostrym makijażem oczy – ale i oczyszcza. Trzeba przezeń przejść. Trzeba podjąć ryzyko, Enid. Ta loża powinna zaistnieć, powinna zacząć działać. W pełnym składzie. Dwanaście czarodziejek, wśród nich zaś ta jedna, o której mówi proroctwo. Nawet jeśli to gra, postawmy na zaufanie.

– A jeśli to prowokacja?

– Ty lepiej znasz zaangażowane w sprawę osoby.

Enid an Gleanna zastanowiła się.

– Sheala de Tancarville – powiedziała wreszcie – to skryta samotnica, nie ma żadnych powiązań. Triss Merigold i Keira Metz miały, ale teraz obie są emigrantkami, król Foltest wypędził z Temerii wszystkich czarodziejów. Margaritę Laux-Antille interesuje tylko jej szkoła, nic poza tym. Oczywiście, w tej chwili trzy ostatnie są pod silnym wpływem Filippy, a Filippa jest zagadką. Sabrina Glevissig nie zrezygnuje z wpływów politycznych, które ma w Kaedwen, ale nie zdradzi loży. Zbyt pociąga ją władza, którą loża daje.

– A owa Assire var Anahid? I ta druga Nilfgaardka, którą poznamy w Montecalvo?

– Mało o nich wiem – uśmiechnęła się lekko Francesca. – Ale gdy tylko je zobaczę, będę wiedziała więcej. Gdy tylko zobaczę, w co i jak są ubrane.

Ida Emean zmrużyła wymalowane powieki, ale powstrzymała się z zadaniem pytania.

– Zostaje nefrytowa statuetka – powiedziała po chwili. – Wciąż niepewna i enigmatyczna figurynka z nefrytu, wzmianek o której też można doszukać się w Ithlinnespeath. Chyba już czas, by dać się jej wypowiedzieć. I oznajmić, co ją czeka. Pomóc ci w dekompresji?

– Nie, zrobię to sama. Wiesz, jak reaguje się na rozpakowanie. Im mniej będzie świadków, tym mniej dotkliwy będzie to cios dla jej dumy.

•

Francesca Findabair jeszcze raz sprawdziła, czy cały dziedziniec szczelnie odizolowany jest od reszty pałacu polem ochronnym, przesłaniającym widok i tłumiącym dźwięki. Zapaliła trzy czarne świece osadzone w lichtarzach zaopatrzonych we wklęsłe lustrzane reflektory. Lichtarze stały w miejscach wyznaczonych kolistą mozaiką pawimentu, przedstawiającą osiem znaków Vicca, elfiego Zodiaku, na symbolach oznaczających Belleteyn, Lammas i Yule. Wewnątrz zodiakalnego koła mozaika tworzyła drugie, mniejsze, usiane magicznymi symbolami i otaczające pentagram. Na trzech symbolach mniejszego koła Francesca ustawiła niewielkie żelazne trójnogi, na nich zaś ostrożnie i pieczołowicie zamontowała trzy kryształy. Szlif spodów kryształów odpowiadał formie zakończeń trójnogów, przez co ułożenie siłą rzeczy musiało być precyzyjne, ale Francesca sprawdziła wszystko kilkakrotnie. Wolała nie ryzykować błędu.

Nieopodal szumiała fontanna, woda tryskała z marmurowego dzbana trzymanego przez marmurową najadę, czterema strumieniami spadała do sadzawki, wprawiając w ruch liście nenufarów, między którymi śmigały złote rybki.

Francesca otworzyła szkatułkę, wyjęła z niej malutką, wykonaną z nefrytu, mydlaną w dotyku figurynkę, ustawiła ją dokładnie pośrodku pentagramu. Cofnęła się, jeszcze raz zajrzała do leżącego na stoliku grimoire'a, wzięła głęboki wdech, uniosła ręce i wyskandowała zaklęcie.

Świece momentalnie zapłonęły jaśniej, fasety kryształów rozbłysły i trysnęły smugami światła. Smugi zestrzeliły się na figurynce, która natychmiast zmieniła kolor – z zielonej stała się złota, a po chwili transparentna. Powietrze zadrgało od magicznej energii, bijącej o ochronne ekrany. Jedna ze świec prysnęła iskrami, po posadzce zatańczyły cienie, mozaika zaczęła żyć, zmieniać kształty. Francesca nie opuszczała rąk, nie przerywała inkantacji.

Figurka rosła błyskawicznie, pulsując i tętniąc, zmieniała strukturę i kształt niczym pełzający po posadzce obłok dymu. Światło bijące z kryształów przeszywało dym, w smugach blasku pojawiły się ruch i twardniejąca materia. Jeszcze moment, a w centrum magicznych kół pokazała się nagle postać ludzka. Postać czarnowłosej kobiety, bezwładnie leżącej na posadzce.

Świece zakwitły wstążkami dymu, kryształy zgasły. Francesca opuściła ręce, rozprężyła palce i otarła pot z czoła.

Czarnowłosa kobieta na posadzce zwinęła się w kłębek i zaczęła krzyczeć.

– Jak się nazywasz? – spytała dźwięcznie Francesca. Kobieta wyprężyła się, zawyła, przyciskając obie ręce do podbrzusza.

– Jak się nazywasz?

– Ye... Yennef... Yennefeeeer!!! Aaaaaaa...

Elfka odetchnęła z ulgą. Kobieta nadal zwijała się, wyła, jęczała, tłukła pięściami o posadzkę, próbowała wymiotować. Francesca czekała cierpliwie. I spokojnie. Będąca jeszcze przed chwilą nefrytową figurynką kobieta cierpiała, było to widoczne. I normalne. Ale mózg miała nie uszkodzony.

– No, Yennefer – powiedziała po dłuższej chwili, przerywając jęki. – Może już dosyć, co?

Yennefer z wyraźnym wysiłkiem uniosła się na czworaki, otarła nos przedramieniem, rozejrzała się błędnie. Jej wzrok przemknął po Francesce, jak gdyby elfki w ogóle nie było na dziedzińcu, zatrzymał się i ożył dopiero na widok tryskającej wodą fontanny. Podpełzłszy z ogromnym trudem, Yennefer przegramoliła się przez cembrowinę i z pluskiem wwaliła do sadzawki. Zakrztusiła się, zaczęła parskać, kaszleć i pluć, wreszcie, rozgarniając lilie wodne, dobrnęła na czworakach do marmurowej najady i usiadła, opierając się plecami o cokół posągu. Woda sięgała jej do piersi.

– Francesca... – wybełkotała, dotykając obsydianowej gwiazdy na szyi i patrząc na elfkę nieco przytomniejszym wzrokiem. – Ty...

– Ja. Co pamiętasz?

– Spakowałaś mnie... Cholera, spakowałaś mnie?

– Spakowałam i rozpakowałam. Co pamiętasz?

– Garstang... Elfy. Ciri. Ty. I pięćset cetnarów, które nagle zwaliły mi się na głowę... Teraz już wiem, co to było. Kompresja artefaktowa...

– Pamięć funkcjonuje. To dobrze.

Yennefer opuściła głowę, spojrzała między swoje uda, nad którymi przemykały złote rybki.

– Każ potem zmienić wodę w sadzawce, Enid – zamamrotała. – Właśnie wysikałam się do niej.

– Drobiazg – uśmiechnęła się Francesca. – Zwróć jednak uwagę, czy w wodzie nie widać krwi. Zdarza się, że kompresja niszczy nerki.

– Tylko nerki? – Yennefer wzięła ostrożny wdech. – We mnie nie ma chyba jednego zdrowego organu... Przynajmniej tak się czuję. Do diabła, Enid, nie wiem, czym zasłużyłam sobie na taki traktament...

– Wyjdź z sadzawki.

– Nie. Dobrze mi tu.

– Wiem. Dehydracja.

– Degradacja. Degrengolada! Dlaczego mi to zrobiłaś?

– Wyjdź, Yennefer.

Czarodziejka wstała z trudem, oburącz przytrzymując się marmurowej najady. Strząsnęła z siebie nenufary, silnym szarpnięciem rozdarła i zwlekła ociekającą wodą suknię, naga stanęła przed fontanną, pod tryskającymi strumieniami. Opłukawszy się i napiwszy, wyszła z sadzawki, usiadła na brzegu basenu, wyżęła włosy, rozejrzała się.

– Gdzie ja jestem?

– W Dol Blathanna.

Yennefer wytarła nos.

– Draka na Thanedd jeszcze trwa?

– Nie. Skończyła się. Półtora miesiąca temu.

– Musiałam cię bardzo skrzywdzić – powiedziała po chwili Yennefer. – Musiałam zdrowo zaleźć ci za skórę, Enid. Ale możesz uznać nasze rachunki za wyrównane. Zemściłaś się godnie, choć może trochę zbyt sadystycznie. Nie mogłaś ograniczyć się do poderżnięcia mi gardła?

– Nie mów głupstw – elfka skrzywiła usta. – Spakowałam cię i wyniosłam z Garstangu, by ocalić ci życie. Wrócimy do tego, ale później nieco. Proszę, oto ręcznik. Oto prześcieradło. Nową suknię dostaniesz po kąpieli. W stosownym miejscu, w wannie z ciepłą wodą. Już wystarczająco zaszkodziłaś złotym rybkom.

•

Ida Emean i Francesca piły wino. Yennefer piła glukozę i sok z marchwi. W ogromnych ilościach.

– Podsumujmy – powiedziała, wysłuchawszy relacji Franceski. – Nilfgaard podbił Lyrię, do spółki z Kaedwen rozebrał Aedirn, spalił Vengerberg, zhołdował Verden, właśnie podbija Brugge i Sodden. Vilgefortz znikł bez śladu. Tissaia de Vries popełniła samobójstwo. A ty zostałaś królową Doliny Kwiatów, cesarz Emhyr koroną i berłem odwdzięczył ci się za moją Ciri, której tak długo poszukiwał, a którą teraz ma i wykorzysta wedle woli i zachcianki. Mnie spakowałaś i przez półtora miesiąca trzymałaś w pudełku jako statuetkę z nefrytu. I zapewne spodziewasz się, że ci za to podziękuję.

– Wypadałoby – odrzekła chłodno Francesca Findabair. – Na Thanedd był niejaki Rience, który za punkt honoru postawił sobie zadanie ci powolnej i okrutnej śmierci, a Vilgefortz obiecał mu to umożliwić. Rience uganiał się za tobą po całym Garstangu. Ale nie znalazł, bo już byłaś nefrytową figurynką za moim dekoltem.

– I byłam tą figurynką czterdzieści siedem dni.

– Tak. Ja zaś, pytana, mogłam spokojnie odpowiadać, że Yennefer z Vengerbergu nie ma w Dol Blathanna. Pytano wszak o Yennefer, nie o statuetkę.

– Co się zmieniło, że wreszcie zdecydowałaś się rozpakować mnie?

– Wiele. Zaraz ci to wyjaśnię.

– Przedtem wyjaśnisz mi coś innego. Na Thanedd był Geralt. Wiedźmin. Pamiętasz, przedstawiłam ci go w Aretuzie. Co z nim?

– Uspokój się. Żyje.

– Jestem spokojna. Mów, Enid.

– Twój wiedźmin – powiedziała Francesca – w ciągu jednej tylko godziny zrobił więcej niż niejeden przez całe życie. Nie rozwodząc się: złamał nogę Dijkstrze, uciął głowę Artaudowi Terranovie i bestialsko zarąbał około dziesięciu Scoia'tael. Ach, byłabym zapomniała: obudził jeszcze niezdrowe podniecenie Keiry Metz.

– Straszne – Yennefer wykrzywiła się przesadnie. – Ale Keira doszła już chyba do siebie? Nie żywi chyba do niego urazy? To, że podnieciwszy ją, nie wychędożył, wynikało z całą pewnością z braku czasu, nie z braku szacunku. Zapewnij ją o tym w moim imieniu.

– Sama będziesz miała okazję to uczynić – powiedziała chłodno Stokrotka z Dolin. – I to wkrótce. Wróćmy jednak do spraw, względem

których nieudolnie udajesz obojętność. Twój wiedźmin tak zapalił się do obrony Ciri, że postąpił bardzo nierozsądnie. Rzucił się na Vilgefortza. A Vilgefortz zmasakrował go. To, że nie zabił, wynikało z pewnością z braku czasu, nie z braku starań. I co? Nadal będziesz udawać, że nic cię to nie wzrusza?

– Nie – grymas na ustach Yennefer przestał wyrażać szyderstwo. – Nie, Enid. Wzrusza mnie to. Wkrótce niektóre osoby bliżej zapoznają się z moim wzruszeniem. Masz na to moje słowo.

Tak, jak wcześniej drwiną, tak teraz Francesca nie przejęła się groźbą.

– Triss Merigold teleportowała skatowanego wiedźmina do Brokilonu – powiedziała. – Z tego, co wiem, driady leczą go tam nadal. Ma się już podobno dobrze, ale lepiej, by nie wychylał stamtąd nosa. Tropią go agenci Dijkstry i wywiady wszystkich królów. Ciebie zresztą też.

– Czymże zasłużyłam sobie na takie wyróżnienie? Ja przecież niczego Dijkstrze nie złamałam... Ach, nie mów, sama zgadnę. Znikłam z Thanedd bez śladu. Nikt nie domyśla się, że wylądowałam w twojej kieszeni, zredukowana i spakowana. Wszyscy są przekonani, że uciekłam do Nilfgaardu wraz z moimi wspólnikami spiskowcami. Wszyscy oprócz faktycznych spiskowców, ma się rozumieć, ale ci nikogo nie wyprowadzą z błędu. Wszakże trwa wojna, dezinformacja to oręż, ostrze którego zawsze musi być dobrze wywecowane. A teraz, po czterdziestu siedmiu dniach, przyszedł czas, by oręża użyć. Mój dom w Vengerbergu spalony, jestem poszukiwana. Nic, tylko przystać do komanda Scoia'tael. Lub w inny sposób włączyć się do walki o wolność elfów.

Yennefer łyknęła soku z marchwi, wpiła wzrok w oczy wciąż zachowującej spokój i ciszę Idy Emean aep Sivney.

– Co, pani Ido? Pani wolna Aen Seidhe z Gór Sinych? Trafnie odgaduję pisany mi los? Czemu to milczy pani niby głaz?

– Ja, pani Yennefer – odrzekła rudowłosa elfka – milczę, gdy nie mam nic sensownego do powiedzenia. Zawsze to lepiej, niż snuć nieuzasadnione przypuszczenia i maskować niepokój gadulstwem. Przejdź do rzeczy, Enid. Wyjaśnij pani Yennefer, o co chodzi.

– Zamieniam się w słuch – Yennefer dotknęła palcami obsydianowej gwiazdy na aksamitce. – Mów, Francesca.

Stokrotka z Dolin oparła podbródek na złączonych dłoniach.

– Dziś – oznajmiła – jest druga noc, od kiedy księżyc jest w pełni. Za małą chwilę teleportujemy się do zamku Montecalvo, siedziby Filippy

Eilhart. Weźmiemy udział w posiedzeniu organizacji, która powinna cię zainteresować. Zawsze wszak byłaś zdania, że magia stanowi wartość najwyższą, stojącą powyżej wszelkich podziałów, sporów, wyborów politycznych, osobistych interesów, ansów, resentymentów i animozji. Ucieszy cię zapewne wieść, że niedawno powstał zrąb instytucji, coś w rodzaju tajnej loży, powołanej wyłącznie do obrony interesów magii, mającej dopilnować, by magia zajmowała w hierarchii spraw różnych należne jej miejsce. Korzystając z przywileju rekomendowania nowych członków wspomnianej loży, pozwoliłam sobie wziąć pod uwagę dwie kandydatury: Idy Emean aep Sivney i twoją.

– Cóż za nieoczekiwany zaszczyt i awans – zadrwiła Yennefer. – Z magicznego niebytu wprost do tajnej, elitarnej i wszechmocnej loży. Stojącej ponad osobistymi ansami i resentymentami. Tylko czy ja aby się nadaję? Czy znajdę w sobie dość siły charakteru, by wyzbyć się ansów względem osób, które odebrały mi Ciri, skatowały nieobojętnego mi mężczyznę, a mnie samą...

– Jestem pewna – przerwała elfka – że znajdziesz w sobie dość siły charakteru, Yennefer. Znam cię i wiem, że nie brakuje ci takiej siły. Nie brakuje ci też ambicji, która winna rozwiewać wątpliwości co do spotykającego cię zaszczytu i awansu. Jeśli jednak tego chcesz, powiem wprost: rekomenduję cię do loży, bo uważam za osobę, która na to zasługuje i może wydatnie przysłużyć się sprawie.

– Dziękuję – szyderczy uśmieszek ani myślał znikać z ust czarodziejki. – Dziękuję, Enid. Zaiste, czuję, jak rozpierają mnie ambicja, pycha i samouwielbienie. Gotowam pęknąć lada moment. I to zanim jeszcze zacznę się zastanawiać, dlaczego miast mnie nie rekomendujesz do owej loży jeszcze jednego elfa z Dol Blathanna lub elfki z Gór Sinych.

– W Montecalvo – odrzekła zimno Francesca – dowiesz się, dlaczego.

– Wolałabym zaraz.

– Powiedz jej – mruknęła Ida Emean.

– Chodzi o Ciri – powiedziała po chwili zastanowienia Francesca, unosząc na Yennefer swe nieprzeniknione oczy. – Loża interesuje się nią, a nikt nie zna tej dziewczyny tak dobrze, jak ty. Reszty dowiesz się na miejscu.

– Zgoda – Yennefer energicznie podrapała się w łopatkę. Wysuszona kompresją skóra wciąż swędziała ją nieznośnie. – Powiedz mi tylko, kto jeszcze wchodzi w skład owej loży? Oprócz was i Filippy?

– Margarita Laux-Antille, Triss Merigold i Keira Metz. Sheala de Tancarville z Koviru. Sabrina Glevissig. I dwie czarodziejki z Nilfgaardu.

– Internacjonalna rzeczpospolita babska?

– Można to tak nazwać.

– One zapewne wciąż uważają mnie za wspólniczkę Vilgefortza. Zaakceptują mnie?

– Zaakceptowały mnie. O resztę postarasz się sama. Będziesz poproszona o zrelacjonowanie twych związków z Ciri. Od samego początku, który za sprawą twego wiedźmina miał miejsce przed piętnastoma laty w Cintrze, aż do wydarzeń sprzed półtora miesiąca. Szczerość i prawdomówność będą absolutnie konieczne. I potwierdzą lojalność wobec konwentu.

– Kto powiedział, że jest co potwierdzać? Nie za wcześnie mówić o lojalności? Nie znam nawet statutu i programu tej damskiej międzynarodówki...

– Yennefer – elfka lekko zmarszczyła regularne brwi. – Rekomenduję cię do loży. Ale nie mam zamiaru zmuszać do czegokolwiek. A zwłaszcza do lojalności. Masz wybór.

– Domyślam się, jaki.

– Dobrze się domyślasz. Ale wciąż jest to wybór wolny. Ze swej strony gorąco jednak namawiam, byś wybrała lożę. Wierz mi, w ten sposób pomożesz twojej Ciri o wiele skuteczniej, niż rzucając się na oślep w wir wydarzeń, na co, jak mniemam, masz wielką ochotę. Ciri grozi śmierć. Uratować może ją tylko nasze solidarne działanie. Gdy wysłuchasz tego, co będzie powiedziane w Montecalvo, przekonasz się, że mówiłam prawdę... Yennefer, nie podobają mi się błyski, które widzę w twoich oczach. Daj mi słowo, że nie będziesz próbować ucieczki.

– Nie – pokręciła głową Yennefer, przykrywając dłonią gwiazdę na aksamitce. – Nie dam, Francesca.

– Chciałabym lojalnie cię uprzedzić, moja droga. Wszystkie stacjonarne portale Montecalvo mają blokadę paczącą. Każdy, kto bez przyzwolenia Filippy chciałby tam wejść albo stamtąd wyjść, ląduje w loszku o ścianach wyłożonych dwimerytem. Własnego teleportu nie otworzysz, nie dysponując komponentami. Twojej gwiazdy nie chcę ci odbierać, bo musisz być w pełni władz umysłowych. Ale jeżeli spróbujesz figli... Yennefer, ja nie mogę pozwolić... Loża nie może pozwolić, byś szaleńczo i samotnie pognała ratować Ciri i szukać

zemsty. Ja wciąż mam twoją matrycę, mam algorytm zaklęcia. Zredukuję cię i spakuję znowu w nefrytową statuetkę. Jeśli będzie trzeba, na kilka miesięcy. Albo lat.

– Dzięki za ostrzeżenie. Ale słowa nie dam ci i tak.

•

Fringilla Vigo nadrabiała miną, ale była zdenerwowana i spięta. Sama niejednokrotnie ganiła młodych nilfgaardzkich magików za bezkrytyczne uleganie stereotypowym opiniom i wyobrażeniom, sama regularnie wyśmiewała trywialny, namalowany przez plotkę i propagandę wizerunek typowej czarodziejki z Północy – sztucznie pięknej, aroganckiej, próżnej i zepsutej do granic perwersji, a często i poza te granice. Teraz jednak, im bardziej kolejne przesiadki w teleportach przybliżały ją do zamku Montecalvo, tym silniej szarpała nią niepewność, co też zastanie na miejscu zjazdu tajemniczej loży. I co ją tam czeka. Rozbrykana imaginacja podsuwała obrazy zabójczo urodziwych kobiet z diamentowymi koliami na obnażonych piersiach z ukarminowanymi sutkami, kobiet o wilgotnych ustach i oczach błyszczących od alkoholu i narkotyków. Oczyma wyobraźni Fringilla widziała już, jak obrady sekretnego konwentu zamieniają się w dziką i rozpasaną orgię z użyciem frenetycznej muzyki, afrodyzjaków, niewolników płci obojga i wyszukanych akcesoriów.

Ostatni teleport zostawił ją między dwiema kolumnami z czarnego marmuru, z suchością w ustach, łzawiącym wiatrem magii w oczach i ręką kurczowo zaciśniętą na szmaragdowym naszyjniku, wypełniającym karo dekoltu. Obok zmaterializowała się Assire var Anahid, także zauważalnie zdenerwowana. Fringilla miała jednak podstawy przypuszczać, że przyjaciółkę peszy nowy i nietypowy dla niej strój: niewymyślna, ale bardzo elegancka suknia w kolorze hiacyntu, uzupełniona malutką i skromną kolią z aleksandrytów.

Zdenerwowanie prysło momentalnie. W wielkiej, jasnej od magicznych lampionów sali było chłodno i cicho. Nigdzie nie dało się zauważyć nagiego Murzyna, walącego w bęben, ani pląsających na stole dziewcząt z cekinami na wzgórkach łonowych, nie wyczuwało się zapachu haszyszu i kantarydy. Nilfgaardzkie czarodziejki zostały natychmiast powitane przez Filippę Eilhart, panią zamku, strojną, poważną, uprzejmą i rzeczową. Inne obecne czarodziejki zbliżyły się i

przedstawiły, a Fringilla odetchnęła z ulgą. Magiczki z Północy były piękne, kolorowe i skrzyły się od biżuterii, ale w podkreślonych stonowanym makijażem oczach nie było śladu ani środków odurzających, ani nimfomanii. Żadna też nie miała odkrytych piersi. Wręcz przeciwnie, dwie były niezwykle skromnie zapięte pod szyję – surowa, odziana w czerń Sheala de Tancarville i młodziutka Triss Merigold o błękitnych oczach i przepięknych kasztanowych włosach. Ciemna Sabrina Glevissig oraz blondynki Margarita Laux-Antille i Keira Metz nosiły dekolty, ale niewiele głębsze od dekoltu Fringilli.

Oczekiwanie na inne uczestniczki konwentu wypełniła grzeczna konwersacja, podczas której wszystkie miały okazję powiedzieć coś o sobie, a taktowne stwierdzenia i uwagi Filippy Eilhart szybko i zręcznie łamały lody, choć jedynym lodem w okolicy był ten na bufecie, na którym piętrzyła się góra ostryg. Innych lodów nie wyczuwało się. Sheala de Tancarville, badaczka, natychmiast znalazła mnóstwo wspólnych tematów z badaczką Assire var Anahid, Fringilla zaś szybko nabrała sympatii do wesołej Triss Merigold. Konwersacji towarzyszyło łakome pochłanianie ostryg. Nie jadła jedynie Sabrina Glevissig, nieodrodna córa kaedweńskich puszcz, która pozwoliła sobie wyrazić pogardliwą opinię o „oślizgłych paskudztwach" i ochotę na kawałek zimnej sarniny ze śliwkami. Filippa Eilhart, miast zareagować na obrazę wyniosłym chłodem, pociągnęła za sznur dzwonka, a po chwili mało rzucająca się w oczy i bezszelestna służba dostarczyła mięsiwo. Zdumienie Fringilli było ogromne. Cóż, pomyślała, co kraj, to obyczaj.

Teleport między kolumnami rozbłysnął i słyszalnie zawibrował. Na twarzy Sabriny Glevissig odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. Keira Metz upuściła na lód ostrygę i nóż. Triss stłumiła westchnienie.

Z portalu wyłoniły się trzy czarodziejki. Trzy elfki. Jedna o włosach w kolorze ciemnego złota, jedna cynobroworuda i jedna kruczoczarna.

– Witaj, Francesca – powiedziała Filippa. W jej głosie nie słychać było emocji, którą wyrażały oczy, szybko jednak zmrużone. – Witaj, Yennefer.

– Otrzymałam przywilej obsadzenia dwóch foteli loży – powiedziała melodyjnie nazwana Franceską ciemnozłota elfka, niewątpliwie zauważając zdumienie Filippy. – Oto moje kandydatki. Znana wszystkim Yennefer z Vengerbergu. I pani Ida Emean aep Sivney, Aen Saevherne z Gór Sinych.

Ida Emean skłoniła lekko rudą głowę, zaszeleściła powiewną żonkilową suknią.

– Tuszę – rozejrzała się Francesca – że już jesteśmy w komplecie?

– Brakuje tylko Vilgefortza – syknęła cicho, lecz z wyraźną złością Sabrina Glevissig, patrząc koso na Yennefer.

– I ukrytych w podziemiach Scoia'tael – mruknęła Keira Metz. Triss zmroziła ją wzrokiem.

Filippa dokonała prezentacji. Fringilla z ciekawością przyjrzała się Francesce Findabair, Enid an Gleanna, Stokrotce z Dolin, słynnej królowej Dol Blathanna, władczyni elfów, które niedawno odzyskały swój kraj. Pogłoski o urodzie Franceski, stwierdziła Fringilla, nie były przesadzone.

Rudowłosa i wielkooka Ida Emean wzbudziła wyraźne zainteresowanie wszystkich, nie wyłączając obu magiczek z Nilfgaardu. Wolne elfy z Gór Sinych nie utrzymywały żadnych stosunków nie tylko z ludźmi, ale nawet z żyjącymi bliżej ludzi pobratymcami. A nieliczni wśród wolnych elfów Aen Saevherne, Wiedzący, byli bliską legendzie enigmą. Mało kto, nawet wśród elfów, mógł pochwalić się bliższym kontaktem z Aen Saevherne. Ida wyróżniała się w grupie nie tylko kolorem włosów. W jej biżuterii nie było ani uncji kruszcu, ani karata kamienia – nosiła wyłącznie perły, korale i bursztyny.

Źródłem największych emocji była jednak w sposób oczywisty trzecia przybyła czarodziejka, Yennefer, kruczowłosa, odziana w czerń i biel, wbrew pierwszemu wrażeniu nie będąca elfką. Jej pojawienie się w Montecalvo musiało być potężnym i nie dla wszystkich miłym zaskoczeniem. Fringilla czuła bijącą od niektórych magiczek aurę antypatii i wrogości.

Gdy przedstawiano jej nilfgaardzkie czarodziejki, Yennefer zatrzymała na Fringilli fiołkowe oczy. Oczy były zmęczone i podkrążone, nawet makijaż nie był w stanie tego ukryć.

– My się znamy – stwierdziła, dotykając przypiętej do aksamitki gwiazdy z obsydianu.

W sali zapadła nagle ciężka, pełna wyczekiwania cisza.

– Widziałyśmy się już – powtórzyła Yennefer.

– Nie przypominam sobie – Fringilla wytrzymała spojrzenie.

– Nie dziwię się. Ja jednak mam dobrą pamięć do twarzy i sylwetek. Widziałam cię ze wzgórza Sodden.

– A zatem nie może być mowy o pomyłce – Fringilla Vigo dumnie uniosła głowę, powiodła oczami po wszystkich. – Byłam pod wzgórzem Sodden.

Filippa Eilhart uprzedziła odpowiedź.

– Ja też tam byłam – powiedziała. – Też niejedno pamiętam. Nie wydaje mi się jednak, by nadmierne wysilanie pamięci i niepotrzebne grzebanie w niej mogło przynieść nam jakąkolwiek korzyść tutaj, w tej sali. Temu, co zamierzamy tu przedsięwziąć, bardziej posłużą zapomnienie, wybaczenie i pojednanie. Zgadzasz się ze mną, Yennefer?

Czarnowłosa czarodziejka odrzuciła z czoła kręte loki.

– Gdy dowiem się wreszcie, co zamierzacie tu przedsiębrać – odrzekła – powiem ci, Filippa, z czym się zgadzam. A z czym nie.

– W takim razie najlepiej będzie, jeśli rozpoczniemy bez zwłoki. Proszę panie o zajęcie miejsc.

Miejsca przy okrągłym stole – oprócz jednego – były oznaczone. Fringilla siedziała obok Assire var Anahid, mając po prawej właśnie owo wolne krzesło, oddzielające ją od Sheali de Tancarville, za którą zajęły miejsca Sabrina Glevissig i Keira Metz. Na lewo od Assire siedziały Ida Emean, Francesca Findabair i Yennefer. Dokładnie naprzeciw Assire usadowiła się Filippa Eilhart, mająca po prawej Margaritę Laux-Antille, a po lewej Triss Merigold.

Wszystkie krzesła miały poręcze rzeźbione w kształt sfinksów.

Filippa rozpoczęła. Powtórzyła powitanie i natychmiast przeszła do rzeczy. Fringilla, której Assire zdała szczegółową relację o poprzednim zebraniu loży, nie dowiedziała się ze wstępu niczego nowego. Nie zaskoczyły jej również ani złożone przez wszystkie czarodziejki deklaracje o przystąpieniu do konwentu, ani pierwsze głosy w dyskusji. Była jednak lekko speszona, albowiem te pierwsze głosy dotyczyły wojny, jaką Cesarstwo prowadziło z Nordlingami, a zwłaszcza całkiem niedawno rozpoczętej operacji w Sodden i Brugge, w trakcie której wojska cesarskie starły się zbrojnie z armią Temerii. Mimo zakładanej apolityczności konwentu czarodziejki nie były w stanie ukryć swych poglądów. Niektóre ewidentnie niepokoiła obecność Nilfgaardu u bram. Fringilla doznawała mieszanych uczuć. Zakładała, że osoby tak wykształcone powinny rozumieć, że Cesarstwo niesie na Północ kulturę, dobrobyt, porządek i stabilność polityczną. Z drugiej zaś strony

nie wiedziała, jak sama reagowałaby, gdyby to do jej domu zbliżały się obce wojska.

Filippa Eilhart najwyraźniej miała jednak dość dyskusji o sprawach militarnych.

– Wyniku wojny nikt nie jest w stanie przewidzieć – powiedziała. – Co więcej, przewidywanie takie pozbawione jest sensu. Spójrzmy wreszcie na tę rzecz chłodnym okiem. Po pierwsze, wojna nie jest aż tak wielkim złem. Bardziej obawiałabym się skutków przeludnienia, które na tym etapie rozwoju rolnictwa i przemysłu oznaczałoby totalną klęskę głodu. Po drugie, wojna to kontynuacja polityki władców. Ilu z obecnie rządzących będzie żyło za lat sto? Żaden, to oczywiste. Ile dynastii przetrwa? Nie sposób przewidzieć. Dzisiejsze spory terytorialne, dynastyczne, dzisiejsze ambicje i dzisiejsze nadzieje będą za sto lat prochem i pyłem na kronikach. Ale jeśli my się nie zabezpieczymy, jeśli damy się wciągnąć w wojnę, z nas też zostanie proch i pył. Jeżeli natomiast spojrzymy nieco ponad sztandary, jeśli zamkniemy uszy na bojowe i patriotyczne okrzyki, przetrwamy. A musimy przetrwać. Musimy, bo ponosimy odpowiedzialność. Nie wobec królów i ich partykularnych, zawężonych do jednego królestwa interesów. My odpowiadamy za świat. Za postęp. Za zmiany, które ten postęp niesie. Odpowiadamy za przyszłość.

– Tissaia de Vries ujęłaby to inaczej – powiedziała Francesca Findabair. – Jej zawsze chodziło o odpowiedzialność wobec zwykłych, prostych ludzi. Nie w przyszłości, ale tu i teraz.

– Tissaia de Vries nie żyje. Gdyby żyła, byłaby wśród nas.

– Zapewne – uśmiechnęła się Stokrotka z Dolin. – Ale nie myślę, by zgodziła się z teorią o wojnie jako remedium na klęskę głodu i przeludnienia. Zwróćcie uwagę na to ostatnie słowo, szanowne konfraterki. Obradujemy używając języka wspólnego, mającego ułatwić porozumienie. Ale dla mnie jest to język obcy. Coraz bardziej obcy. W języku mojej matki nie ma słowa: „przeludnienie", a słowo: „przeelfienie" byłoby neologizmem. Nieodżałowanej pamięci Tissaia de Vries przejmowała się losem zwykłych ludzi. Jeżeli chodzi o mnie, to nie mniej ważny jest los zwykłych elfów. Chętnie przyklasnęłabym idei wybiegania myślą w przyszłość i traktowania dnia dzisiejszego jako efemerydy. Ale z przykrością stwierdzam, że dzień dzisiejszy warunkuje jutrzejszy, a bez jutra nie będzie przyszłości. Dla was, ludzi, śmieszny

jest może płacz nad krzakiem bzu, który spłonął w czasie wojennej zawieruchy, wszakże bzu nie zabraknie, nie będzie tego, będzie inny, a nie będzie bzu, cóż, będzie akacja. Wybaczcie botaniczne metafory. Ale przyjmijcie łaskawie do wiadomości, że to, co dla was, ludzi, jest kwestią polityki, dla nas, elfów, jest kwestią fizycznego przetrwania.

– Polityka mnie nie interesuje – oświadczyła głośno Margarita Laux-Antille, rektorka akademii magicznej. – Ja po prostu nie życzę sobie, by dziewczęta, których edukacji się poświęciłam, wykorzystywano jako kondotierki, mydląc im oczy sloganami o miłości ojczyzny. Ojczyzną tych dziewcząt jest magia, tego ich uczę. Jeżeli moje dziewczęta ktoś zaangażuje w wojnę, postawi na nowym wzgórzu Sodden, to one będą przegrane niezależnie od wyniku na polu bitwy. Rozumiem twoje zastrzeżenia, Enid, ale mamy się zajmować przyszłością magii, nie problemami rasowymi.

– Mamy zajmować się przyszłością magii – powtórzyła Sabrina Glevissig. – Ale przyszłość magii warunkuje status czarodziejów. Nasz status. Nasze znaczenie. Rola, jaką spełniamy w społeczeństwie. Zaufanie, szacunek i wiarygodność, powszechna wiara w naszą przydatność, w to, że magia jest niezbędna. Stojąca przed nami alternatywa zdaje się prosta: albo utrata statusu i izolacja w wieżach z kości słoniowej, albo służba. Służba nawet na wzgórzu Sodden, nawet jako kondotierki...

– Albo jako służące i dziewki na posyłki? – Triss Merigold odrzuciła z ramienia swe piękne włosy. – Ze zgiętymi karkami, gotowe do posług na każde kiwnięcie cesarskiego palca? Bo wszakże taką rolę przydzieli nam Pax Nilfgaardiana, jeśli powszechnie zapanuje.

– Jeśli zapanuje – powiedziała z naciskiem Filippa. – My nie mamy alternatywy. My musimy służyć. Ale magii. Nie królom i cesarzom, nie ich dzisiejszej polityce. Nie sprawom rasowej integracji, bo ta również poddana jest dzisiejszym celom politycznym. Nasz konwent, drogie panie, nie po to został powołany, byśmy dopasowywały się do dzisiejszej polityki i codziennych zmian na linii frontu. Nie po to, byśmy gorączkowo szukały rozwiązań adekwatnych do danej sytuacji, zmieniając kolor skóry kameleonim sposobem. Rola naszej loży winna być aktywna. I całkiem odwrotna. Realizowana wszystkimi dostępnymi nam sposobami.

– Jeśli dobrze pojmuję – uniosła głowę Sheala de Tancarville – namawiasz nas do aktywnego wpływania na bieg wydarzeń. Wszystkimi sposobami. Również bezprawnymi?

– O jakim prawie mówisz? O tym dla maluczkich? O tym zapisanym w kodeksach, które same opracowałyśmy i podyktowałyśmy królewskim jurystom? Nas obliguje tylko jedno prawo. Nasze!

– Rozumiem – uśmiechnęła się czarodziejka z Koviru. – Wpłyniemy zatem aktywnie na bieg wydarzeń. Jeśli polityka władców będzie nam nie po myśli, zwyczajnie ją zmienimy. Tak, Filippo? A może lepiej od razu obalić tych koronowanych durniów, zdetronizować ich i przepędzić? Może od razu przejąć władzę?

– Sadzałyśmy już na tronach wygodnych nam władców. Błąd nasz polegał na tym, że nie sadzałyśmy na tronie magii. Nigdy nie dawałyśmy magii władzy absolutnej. Czas naprawić ten błąd.

– Masz oczywiście na myśli siebie? – Sabrina Glevissig przechyliła się przez stół. – Oczywiście na tronie Redanii? Jej wysokość Filippa Pierwsza? Z Dijkstrą jako księciem małżonkiem?

– Nie mam na myśli siebie. Nie mam na myśli królestwa Redanii. Mam na myśli wielkie Królestwo Północy, w które rozwinie się dzisiejsze królestwo Koviru. Imperium, którego siła równa będzie sile Nilfgaardu, dzięki czemu kołyszące się w tej chwili szale wagi świata staną wreszcie w równowadze. Imperium, rządzone przez magię, którą my wyniesiemy na tron, żeniąc następcę kovirskiego tronu z czarodziejką. Tak, dobrze słyszycie, drogie konfraterki, spoglądacie we właściwym kierunku. Tak, tu, za tym stołem, na tym właśnie pustym miejscu posadzimy dwunastą czarodziejkę loży. A potem posadzimy ją na tronie.

Milczenie, które zapadło, przerwała Sheala de Tancarville.

– Projekt w rzeczy samej ambitny – powiedziała z nutką szyderstwa w głosie. – W rzeczy samej godny nas wszystkich, jak tu siedzimy. Całkowicie uzasadnia powołanie do życia takiego konwentu. Wszakże uwłaczałyby nam zadania mniej szczytne, choćby chwiejące się na granicy realności i wykonalności. Byłoby to tak, jakby wbijać gwoździe astrolabią. Nie, nie, lepiej od razu stawiać sobie zadania całkowicie niewykonalne.

– Dlaczego niewykonalne?

– Zlituj się, Filippa – powiedziała Sabrina Glevissig. – Żaden z królów nigdy nie poślubi czarodziejki, żadne społeczeństwo nie zaakceptuje

czarodziejki na tronie. Na przeszkodzie stoi odwieczny zwyczaj. Może ten zwyczaj jest niemądry, ale jest.

– Istnieją też – dodała Margarita Laux-Antille – przeszkody natury, powiedziałabym, technicznej. Osoba, którą można by skojarzyć z domem kovirskim, musiałaby spełniać szereg warunków, tak z naszego punktu widzenia, jak i z punktu widzenia domu kovirskiego właśnie. Warunki te wykluczają się wzajemnie, przeczą sobie w oczywisty sposób. Nie zauważasz tego, Filippo? Dla nas powinna to być osoba magicznie wyszkolona, całkowicie oddana sprawie magii, rozumiejąca swoją rolę i zdolna grać ją zręcznie, niezauważalnie, bez podejrzeń. Bez dyrygentów i suflerów, bez jakichś stojących w cieniu szarych eminencji, przeciw którym zawsze, przy pierwszym przewrocie, zwraca się gniew rokoszan. Musi to być zarazem osoba, którą Kovir sam, bez widocznego nacisku z naszej strony, wybierze na żonę następcy tronu.

– To oczywiste.

– A jak myślisz, kogo wybierze nie naciskany Kovir? Dziewczynę z królewskiego rodu, mającą w żyłach królewską krew od pokoleń. Dziewczynę młodziutką, odpowiednią dla młodego księcia. Dziewczynę, która może rodzić, bo tu chodzi o dynastię. Tak ustawiona poprzeczka wyklucza ciebie, Filippo, wyklucza mnie, wyklucza nawet Keirę i Triss, najmłodsze wśród nas. Wyklucza też wszystkie adeptki z mojej szkoły, które zresztą i dla nas są mało ciekawe, bo to pączki o niewiadomym wciąż jeszcze kolorze płatków, nie do pomyślenia jest, by którakolwiek mogła zasiąść na dwunastym, pustym miejscu za tym stołem. Innymi słowy, nawet gdyby cały Kovir oszalał i był skłonny zaakceptować małżeństwo królewicza z czarodziejką, nie znajdziemy takiej czarodziejki. Kto więc ma być ową Królową Północy?

– Dziewczyna z królewskiego rodu – odrzekła spokojnie Filippa. – W żyłach której płynie krew królewska, krew kilku wielkich dynastii. Młodziutka i zdolna rodzić. Dziewczyna o niebywałych zdolnościach magicznych i wieszczych, nosicielka zwiastowanej przepowiedniami Starszej Krwi. Dziewczyna, która śpiewająco grała będzie swoją rolę bez dyrygentów, suflerów, popleczników i szarych eminencji, bo tego chce jej przeznaczenie. Dziewczyna, której faktyczne zdolności znane są i będą znane tylko nam. Cirilla, córka Pavetty z Cintry, wnuczka Lwicy Calanthe. Starsza Krew, Lodowy Płomień Północy, Niszczycielka i Odnowicielka, nadejście której wyprorokowano już przed setkami lat.

Ciri z Cintry, Królowa Północy. I jej krew, z której narodzi się Królowa Świata.

•

Na widok wypadających z zasadzki Szczurów dwóch eskortujących karetę jeźdźców natychmiast zawróciło i rzuciło się do ucieczki. Nie mieli szans. Giselher z Reefem i Iskrą odcięli im odwrót i po krótkiej walce zarąbali bez ceregieli. Na dwóch pozostałych, gotowych desperacko bronić zaprzężonej w czwórkę tarantów karety, wpadli Kayleigh, Asse i Mistle. Ciri poczuła rozczarowanie i przemożną złość. Nie zostawiono jej nikogo. Zanosiło się na to, że nie będzie miała kogo zabić.

Ale był jeszcze jeden jeździec, jadący przed karetą jako laufer, lekkozbrojny, na szybkim koniu. Mógł uciec, ale nie uciekł. Zawrócił, zamłynkował mieczem i pomknął wprost na Ciri.

Pozwoliła, by dojechał, wstrzymała nawet lekko konia. Gdy uderzył, unosząc się w strzemionach, zwisła z siodła, zręcznie unikając ostrza, natychmiast wynurkowała, ostro odpychając się od strzemienia. Jeździec był szybki i zręczny, zdołał uderzyć jeszcze raz. Tym razem sparowała ukośnie, gdy miecz się ześlizgnął, cięła jeźdźca z dołu, krótko, w kiść ręki, zawinęła mieczem w fincie na twarz, gdy odruchowo zasłonił głowę lewą ręką, zwinnie odwróciła miecz w dłoni i chlasnęła go pod pachę, ciosem, który godzinami ćwiczyła w Kaer Morhen. Nilfgaardczyk zsunął się z siodła, upadł, podniósł na kolana, zawył dziko, gwałtownymi ruchami próbując tamować buchającą z pociętych arterii krew. Ciri przez chwilę przyglądała mu się, jak zwykle zafascynowana widokiem człowieka zajadle i ze wszystkich sił walczącego ze śmiercią. Odczekała, aż się wykrwawi. Potem odjechała, nie oglądając się.

Było po zasadzce. Eskorta wybita do nogi. Asse i Reef zatrzymali karetę, uczepiwszy się uzd pary lejcowych. Zepchnięty z prawego lejcowego foryś, młodziutki chłopak w kolorowej liberii, klęczał na ziemi, płakał i wołał litości. Stangret rzucił lejce i też błagał zmiłowania, składając ręce jak do modlitwy. Giselher, Iskra i Mistle podgalopowali do karety, Kayleigh zeskoczył z konia i szarpnął drzwiczki. Ciri podjechała bliżej, zsiadła, wciąż trzymając w dłoni pokryty krwią miecz.

W karecie siedziała gruba matrona w robronie i czepcu, obejmująca młodą i przeraźliwie bladą dziewczynę w czarnej, zapiętej pod szyją

sukience z gipiurowym kołnierzykiem. Do sukienki, jak zauważyła Ciri, przypięta była gemma. Bardzo ładna.

– Ale taranciki! – krzyknęła Iskra, oglądając zaprzęg. – Nakrapiatki śliczne, jak z obrazka! Dostaniemy za tę czwórkę kilka florenów!

– A karetkę – Kayleigh wyszczerzył się do kobiety i dziewczyny – pociągną do miasteczka stangret i foryś, nałożywszy sobie szorki. A gdy będzie pod górkę, to obie paniusie pomogą!

– Panowie zbójcy! – zajęczała matrona w robronie, którą obleśny uśmiech Kayleigha najwyraźniej przerażał bardziej niż okrwawione żelazo w ręku Ciri. – Apeluję do waszego honoru! Nie pohańbicie wszak tej młodej dziewicy!

– Hej, Mistle – zawołał Kayleigh, uśmiechając się kpiarsko. – Tu się, jak słyszę, apeluje do twojego honoru!

– Zamknij gębę – skrzywił się Giselher, wciąż w siodle. – Nikogo nie śmieszą twoje facecje. A ty uspokój się, kobieto. My jesteśmy Szczury. Nie wojujemy z niewiastami i nie krzywdzimy ich. Reef, Iskra, wyprzęgajcie kłusaki! Mistle, złap wierzchowe! I wiejemy!

– My, Szczury, nie wojujemy z niewiastami – wyszczerzył znowu zęby Kayleigh, wpatrując się w pobladłą twarz dziewczyny w czarnej sukience. – Czasem tylko zabawiamy się z nimi, jeśli mają chęć. A ty masz, panienko? Nie świerzbi cię wypadkiem między nóżkami? No, nie ma się czego wstydzić. Wystarczy kiwnąć główką.

– Więcej szacunku! – krzyknęła łamiącym się głosem dama w robronie. – Jak śmiesz tak mówić do jaśnie wielmożnej baronówny, panie zbóju!

Kayleigh zarechotał, po czym ukłonił się przesadnie.

– Wybaczenia upraszam. Nie chciałem ubliżyć. Co, nawet spytać nie wolno?

– Kayleigh! – zawołała Iskra. – Chodź tu! Czego tam mitrężysz? Pomóż nam taranty wyprząc! Falka! Rusz się!

Ciri nie odrywała oczu od herbu na drzwiach karety, srebrnego jednorożca w czarnym polu. Jednorożec, myślała. Widziałam kiedyś takiego jednorożca... Kiedy? W innym życiu? A może to był tylko sen?

– Falka! Co z tobą?

Jestem Falką. Ale nie zawsze nią byłam. Nie zawsze.

Otrząsnęła się, zacięła wargi. Byłam niemiła dla Mistle, pomyślała. Uraziłam ją. Muszę ją jakoś przeprosić.

Postawiła nogę na stopniach karety, wpatrzona w gemmę na sukience bladej dziewczyny.

– Dawaj to – powiedziała krótko.

– Jak śmiesz? – zachłysnęła się matrona. – Czy wiesz, do kogo mówisz? To jaśnie urodzona baronówna Casadei!

Ciri rozejrzała się, upewniła, czy nikt nie słyszy.

– Baronówna? – syknęła. – Niski tytuł. A nawet gdyby szczeniara była kontessą, to powinna przede mną dygać, tak by tyłeczek był przy ziemi, a główka nisko. Dawaj broszkę! Na co czekasz? Mam ją z ciebie zedrzeć razem z gorsetem?

•

Ciszę, która po oświadczeniu Filippy zapadła przy stole, szybko zastąpiła wrzawa. Magiczki na wyprzódki wyrażały zdziwienie i niedowierzanie, żądały wyjaśnień. Niektóre bez wątpienia wiedziały wiele o owej przewidzianej na Władczynię Północy Cirilli czy Ciri, innym imię było nieobce, ale wiedziały mniej. Fringilla Vigo nie wiedziała nic, ale miała podejrzenia i gubiła się w domysłach, krążących głównie wokół pewnego kosmyka włosów. Zagadnięta półgłosem Assire milczała jednak i jej również nakazała milczenie. Głos zabierała bowiem ponownie Filippa Eilhart.

– Większość z nas widziała Ciri na Thanedd, gdzie swym wygłoszonym w transie jasnowidzeniem narobiła sporo zamieszania. Niektóre z nas miały z nią bliski, a nawet bardzo bliski kontakt. Myślę głównie o tobie, Yennefer. Czas, byś przemówiła.

•

Gdy Yennefer opowiadała zgromadzonym o Ciri, Triss Merigold z uwagą przyglądała się przyjaciółce. Yennefer mówiła spokojnie i bez emocji, ale Triss znała ją zbyt długo i zbyt dobrze. Widywała ją już w różnych sytuacjach, również w takich, które wywoływały stres, męczyły i wiodły na granicę choroby, czasem w chorobę. Teraz właśnie bez wątpienia Yennefer była w takiej sytuacji. Wyglądała na przybitą, zmęczoną i chorą.

Czarodziejka opowiadała, a Triss, która znała zarówno opowieść, jak i osobę, której opowieść dotyczyła, dyskretnie przyglądała się wszystkim słuchającym. Zwłaszcza dwóm czarodziejkom z Nilfgaardu. Niezwykle odmienionej Assire var Anahid, wypielęgnowanej, ale wciąż niepewnie

czującej się w makijażu i modnej sukni. I Fringilli Vigo, tej młodszej, sympatycznej, naturalnie wdzięcznej i skromnie eleganckiej, o zielonych oczach i włosach czarnych jak włosy Yennefer, ale mniej bujnych, krócej ostrzyżonych i gładko zaczesanych.

Obie Nilfgaardki nie sprawiały wrażenia zagubionych wśród zawiłości historii Ciri, choć opowieść Yennefer była długa i dość zagmatwana, zaczynała się od osławionej afery miłosnej Pavetty z Cintry i młodzieńca zaklętego w Jeża, mówiła o roli Geralta i o Prawie Niespodzianki, o wiążącym wiedźmina i Ciri przeznaczeniu. Yennefer opowiedziała o spotkaniu Ciri i Geralta w Brokilonie, o wojnie, o zaginięciu i odnalezieniu, o Kaer Morhen. O Riensie i tropiących dziewczynę nilfgaardzkich agentach. O nauce w świątyni Melitele, o zagadkowych zdolnościach Ciri.

Słuchają z kamiennymi twarzami, pomyślała Triss, patrząc na Assire i Fringillę. Jak sfinksy. Ale w oczywisty sposób coś maskują. Ciekawe, co. Zdziwienie, nie wiedziały bowiem, kogo to Emhyr uprowadził do Nilfgaardu? Czy to, że wiedzą o wszystkim od dawna, może nawet lepiej niż my? Yennefer za chwilę mówić będzie o przybyciu Ciri na Thanedd, o wygłoszonym w transie jasnowidzeniu, które narobiło tyle zamieszania. O krwawej walce w Garstangu, w wyniku której Geralt został zmasakrowany, a Ciri uprowadzona. Skończy się wówczas czas udawania, pomyślała Triss, spadną maski. Wszyscy wiedzą, że za aferą na Thanedd stał Nilfgaard. A gdy wszystkie oczy skierują się na was, Nilfgaardki, nie będzie wyjścia, trzeba będzie mówić. A wówczas wyjaśni się kilka spraw, wówczas może i ja dowiem się więcej. Jakim sposobem Yennefer zniknęła z Thanedd, dlaczego pojawiła się nagle tu, w Montecalvo, w towarzystwie Franceski. Kim jest i jaką rolę gra Ida Emean, elfka, Aen Saevherne z Gór Sinych. Dlaczego mam wrażenie, że Filippa Eilhart wciąż mówi mniej, niż wie, choć deklaruje oddanie i wierność magii, a nie Dijkstrze, z którym nieustannie wymienia korespondencję.

I może dowiem się nareszcie, kim naprawdę jest Ciri. Ciri, dla nich Królowa Północy, a dla mnie popielatowłosa wiedźminka z Kaer Morhen, o której wciąż myślę jak o młodszej siostrzyczce.

•

Fringilla Vigo słyszała co nieco o wiedźminach, osobnikach zawodowo parających się zabijaniem potworów i bestii. Uważnie przysłuchiwała się opowieści Yennefer, wsłuchiwała w brzmienie jej głosu, obserwowała twarz. Nie dała się zwieść. Silny związek emocjonalny między Yennefer a ową tak interesującą wszystkich Ciri był oczywisty. Co ciekawe, związek między czarodziejką a wspomnianym przez nią wiedźminem był równie oczywisty. I równie silny. Fringilla zaczęła się zastanawiać się, ale przeszkodziły jej podniesione głosy.

Domyśliła się już, że niektóre z zebranych znalazły się podczas rebelii na Thanedd we wrogich obozach, wcale nie zdziwiły ją zatem antypatie, odżywające za stołem w postaci kąśliwych uwag, jakie padły nagle pod adresem relacjonującej Yennefer. Zanosiło się na kłótnię, której jednak zapobiegła Filippa Eilhart, bezceremonialnie waląc otwartą dłonią w blat, aż zadzwoniły puchary i kielichy.

– Dość! – krzyknęła. – Przymknij się, Sabrina! Nie daj się prowokować, Francesca! Dość już o Thanedd i Garstangu. To już historia!

Historia, pomyślała z zaskakującym uczuciem przykrości Fringilla. Ale taka, na którą one, choć w różnych obozach, wywierały wpływ. Liczyły się. Wiedziały, co czynią i dlaczego. A my, cesarskie czarodziejki, nie wiemy nic. Faktycznie jesteśmy jak dziewki na posyłki, pomyślała, które wiedzą, po co są posyłane, ale nie wiedzą, dlaczego. Dobrze, pomyślała, że powstaje ta loża. Diabli wiedzą, czym to się skończy, ale dobrze, że się zaczyna.

– Kontynuuj, Yennefer – wezwała Filippa.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – zacisnęła wargi czarnowłosa czarodziejka. – Powtarzam, to Tissaia de Vries rozkazała mi przyprowadzić Ciri do Garstangu.

– Najłatwiej zwalać wszystko na nieżyjących – warknęła Sabrina Glevissig, ale Filippa uciszyła ją gwałtownym gestem.

– Nie chciałam mieszać się do tego, co stało się nocą w Aretuzie – podjęła Yennefer, pobladła i wyraźnie zdenerwowana. – Chciałam zabrać Ciri i uciec z Thanedd. Ale Tissaia przekonała mnie, że pojawienie się dziewczyny w Garstangu będzie dla wielu szokiem, a jej wygłoszone w transie prorocze jasnowidzenie zażegna konflikt. Nie zrzucam na nią winy, bo ja myślałam podobnie. Obie popełniłyśmy błąd. Mój był jednak większy. Gdybym zostawiła Ciri pod opieką Rity...

– Co się stało, to się nie odstanie – przerwała Filippa. – Błąd zdarzyć się może każdemu. Nawet Tissai de Vries. Kiedy Tissaia po raz pierwszy zobaczyła Ciri?

– Trzy dni przed rozpoczęciem zjazdu – powiedziała Margarita Laux-Antille. – W Gors Velen. Ja też wtedy ją poznałam. I gdy tylko ją zobaczyłam, od razu wiedziałam, że to niezwykła osóbka!

– Niezwykle niezwykła – odezwała się milcząca do tej pory Ida Emean aep Sivney. – Skoncentrowało się w niej bowiem dziedzictwo niezwykłej krwi. Hen Ichaer, Starsza Krew. Materiał genetyczny przesądzający o niezwykłych zdolnościach nosicielki. Przesądzający o wielkiej roli, jaką odegra. Jaką musi odegrać.

– Bo tego chcą elfie legendy, mity i proroctwa? – spytała z przekąsem Sabrina Glevissig. – Cała sprawa od początku trąciła mi bajką i fantazją! Teraz już wątpliwości nie mam. Szanowne panie, proponuję zająć się dla odmiany czymś poważnym, racjonalnym i realnym.

– Chylę czoła przed trzeźwą racjonalnością, będącą siłą i źródłem wielkich przewag waszej rasy – uśmiechnęła się lekko Ida Emean. – Jednak tu, w gronie osób zdolnych robić użytek z mocy, która nie zawsze poddaje się racjonalnej analizie i wytłumaczeniu, nieco niestosownym wydaje mi się lekceważenie proroctw elfów. Nasza rasa nie jest tak racjonalna i nie z racjonalności czerpie siłę. Mimo to istnieje od kilkudziesięciu tysięcy lat.

– Materiał genetyczny, zwany Starszą Krwią, o którym mówimy, okazał się jednak nieco mniej odporny – zauważyła Sheala de Tancarville. – Nawet elfie legendy i proroctwa, których wcale nie lekceważę, uznają Starszą Krew za całkowicie zniszczoną, wymarłą. Nieprawdaż, pani Ido? Nie ma już na świecie Starszej Krwi. Ostatnią, która miała ją w żyłach, była Lara Dorren aep Shiadhal. Wszyscy znamy legendę o Larze Dorren i Cregennanie z Lod.

– Nie wszyscy – rzekła Assire var Anahid, po raz pierwszy zabierając głos. – Waszą mitologię studiowałam pobieżnie i nie znam tej legendy.

– To nie legenda – powiedziała Filippa Eilhart. – To prawdziwa historia. Jest też wśród nas ktoś, kto doskonale zna nie tylko historię Lary i Cregennana, ale i jej następstwa, te zaś z pewnością bardzo wszystkich zainteresują. Prosimy cię o zabranie głosu, Francesca.

– Z tego, co mówisz – uśmiechnęła się królowa elfów – wynika, że znasz sprawy nie gorzej niż ja.

– Nie wykluczam. Ale jednak to ciebie proszę o wypowiedź.

– Aby przetestować moją szczerość i lojalność wobec loży – kiwnęła głową Enid an Gleanna. – Dobrze. Proszę panie o przybranie wygodnych pozycji, bo opowieść nie będzie krótka.

•

– Historia Lary i Cregennana to historia prawdziwa, obecnie jednak tak obrośnięta bajkowymi ornamentami, że mało rozpoznawalna. Istnieją też olbrzymie rozbieżności między ludzką a elfią wersją legendy, w obu pobrzmiewają szowinizm i nienawiść rasowa. Dlatego też odrzucę ozdobniki, ograniczę się do suchych faktów. I tak, Cregennan z Lod był czarodziejem, Lara Dorren aep Shiadhal elfią magiczką, Aen Saevherne, Wiedzącą, jedną z zagadkowych nawet dla nas, elfów, nosicieli Hen Ichaer, Starszej Krwi. Przyjaźń, a potem związek miłosny obojga był początkowo z radością powitany przez obie rasy, wkrótce jednak pojawili się wrogowie, zdecydowani przeciwnicy koncepcji połączenia ludzkiej i elfiej magii. Tak wśród elfów, jak i wśród ludzi znaleźli się tacy, którzy uważali to za zdradę. Były też jakieś niejasne już dziś zatargi o charakterze osobistym, zazdrość i zawiść. Krótko: w wyniku uknutej intrygi Cregennan został zgładzony. Lara Dorren, zaszczuta i ścigana, zmarła z wycieńczenia na jakimś pustkowiu, rodząc córkę. Dziecko uratowano cudem. Przygarnęła je Cerro, królowa Redanii.

– Przerażona klątwą, którą rzuciła na nią Lara, gdy Cerro odmówiła jej pomocy i wypędziła na mróz – wtrąciła Keira Metz. – Gdyby nie przygarnęła dziecka, miały na nią i na cały jej ród spaść straszliwe klęski...

– To właśnie są bajeczne ornamenty, z których zrezygnowała Francesca – przerwała Filippa Eilhart. – Trzymajmy się faktów.

– Prorocze zdolności Wiedzących ze Starszej Krwi są faktami – powiedziała Ida Emean, unosząc oczy na Filippę. – A powtarzający się we wszystkich wersjach legendy sugestywny motyw proroctwa daje do myślenia.

– Daje do dziś i dawał niegdyś – potwierdziła Francesca. – Pogłoski o klątwie Lary nie cichły, przypomniano sobie o nich nawet po siedemnastu latach, gdy przygarnięta przez Cerro dziewczynka, nazwana Riannon, wyrosła na pannę o urodzie zaćmiewającej nawet

legendarną urodę matki. Przysposobiona Riannon nosiła oficjalny tytuł redańskiej królewny, a interesowało się nią wiele domów panujących. Gdy spośród wielu konkurentów Riannon wybrała wreszcie Goidemara, młodego króla Temerii, niewiele brakowało, by plotki o klątwie zniweczyły mariaż. Z prawdziwie jednak zwielokrotnioną siłą pogłoski poszły w lud trzy lata po ślubie Goidemara i Riannon. Podczas rebelii Falki.

Fringilla, która nigdy nie słyszała ani o Falce, ani o jej rebelii, uniosła brwi. Francesca zauważyła to.

– Dla królestw północnych – wyjaśniła – były to wydarzenia tragiczne i krwawe, do dziś żywe w pamięci, choć minęło ponad sto lat. W Nilfgaardzie, z którym podówczas Północ nie miała prawie żadnych kontaktów, sprawa zapewne znana nie jest, dlatego pozwolę sobie skrótowo przypomnieć pewne fakty. Falka była córką Vridanka, króla Redanii. Z małżeństwa, które rozwiązał, gdy w oko wpadła mu piękna Cerro, ta sama, która później przygarnęła dziecko Lary. Zachował się dokument, rozwlekle i zawile podający przyczyny rozwodu, ale zachował się również więcej mówiący portrecik pierwszej żony Vridanka, szlachcianki kovirskiej, niewątpliwie półelfki, ale o zdecydowanej przewadze cech ludzkich. Oczy szalonej eremitki, włosy topielicy i usta jaszczurki. Krótko: brzydulę odesłano do Koviru razem z roczną córką, Falką. I wkrótce zapomniano o jednej i drugiej.

– Falka – podjęła po chwili Enid an Gleanna – przypomniała o sobie po dwudziestu pięciu latach, wzniecając powstanie i własną jakoby ręką mordując ojca, Cerro i dwóch braci przyrodnich. Zbrojna rebelia wybuchła początkowo jako popierana przez część temerskiej i kovirskiej szlachty walka legalnej pierworodnej o należny jej tron, ale wkrótce przeistoczyła się w wojnę chłopską o ogromnym zasięgu. Obie strony dopuszczały się makabrycznych okrucieństw. Falka przeszła do legend jako krwawy demon, w istocie prawdopodobniejsze jest, że po prostu przestała panować nad sytuacją i nad wciąż nowymi hasłami, które wypisywano na powstańczych sztandarach. Śmierć królom, śmierć czarodziejom, śmierć kapłanom, szlachcie, bogaczom i panom, wkrótce śmierć wszystkiemu, co żyje, bo pijanej krwią czerni nie sposób było już okiełznać. Rebelia zaczęła się rozszerzać na inne kraje...

– Nilfgaardzcy historycy pisali o tym – przerwała z wyraźnym przekąsem Sabrina Glevissig. – A pani Assire i pani Vigo niewątpliwie

czytały. Skracaj, Francesca. Przejdź do Riannon i trojaczków z Houtborga.

– Proszę uprzejmie. Riannon, przygarnięta przez Cerro córka Lary Dorren, teraz już żona Goidemara, króla Temerii, została przypadkowo pojmana przez rebeliantów Falki i uwięziona w zamku Houtborg. W chwili pojmania była ciężarna. Zamek bronił się jeszcze długo po stłumieniu buntu i po straceniu Falki, ale Goidemar wziął go wreszcie szturmem i oswobodził żonę. Z trójką dzieci, dwiema dziewczynkami, które już chodziły, i chłopcem, który próbował. Riannon była obłąkana. Rozwścieczony Goidemar rozciągnął na torturach wszystkich jeńców i ze strzępków przerywanych wyciem zeznań ułożył się czytelny obraz.

– Falka, która urodę przejęła raczej po elfiej babce niż po matce, hojnie obdarzała wdziękami wszystkich swych „hetmanów", od szlachty po zwykłych watażków i rezunów, zapewniając tym sobie ich wierność i lojalność. Zaszła wreszcie w ciążę i urodziła dziecko, dokładnie w tym samym czasie, gdy uwięziona w Houtborgu Riannon powiła bliźnięta. Falka rozkazała dołożyć swego niemowlaka do dzieci Riannon. Jak się podobno miała wyrazić, godne zaszczytu bycia mamkami jej bękartów są tylko królowe, taki los czeka wszystkie koronowane samiczki w nowym porządku, które ona, Falka, zbuduje po zwycięstwie.

– Problem polegał na tym, że nikt, włączając w to Riannon, nie wiedział, które z trójki jest dzieckiem Falki. Domniemywano z dużą dozą prawdopodobieństwa, że jest to jedna z dziewczynek, bo Riannon urodziła podobno dziewczynkę i chłopca. Powtarzam, podobno, albowiem pomimo chełpliwych deklaracji Falki dzieci karmiły zwyczajne, chłopskie mamki. Riannon, gdy wyleczono ją wreszcie z obłędu, prawie niczego nie pamiętała. Owszem, rodziła. Owszem, przynoszono jej czasami do łóżka i pokazywano trojaczki. Nic więcej.

– Wówczas wezwano czarodziejów, by zbadali trójkę i ustalili, kto jest kim. Goidemar był tak zawzięty, że po wykryciu bękarta Falki miał zamiar stracić dziecko, i to publicznie. Do tego dopuścić nie mogliśmy. Po stłumieniu powstania na pojmanych rebeliantach dopuszczano się niewypowiedzianych bestialstw, należało nareszcie położyć temu kres. Egzekucja mniej niż dwuletniego dziecka, wyobrażacie sobie? Dopiero powstałyby legendy! A już i tak zaczynała krążyć plotka, że sama Falka urodziła się potworem skutkiem klątwy Lary Dorren, co było oczywistą bzdurą, Falka urodziła się, zanim jeszcze Lara poznała Cregennana. Ale

jakoś mało komu chciało się liczyć lata. Pamflety i bzdurne dokumenty pisano i publikowano cichcem nawet w Akademii Oxenfurckiej. Wracam jednak do badań, które zlecił nam Goidemar...

– Nam? – uniosła głowę Yennefer. – To znaczy komu?

– Tissai de Vries, Auguście Wagner, Leticii Charbonneau i Henowi Gedymdeithowi – powiedziała spokojnie Francesca. – Do tego zespołu dołączono później mnie. Byłam młodą czarodziejką, ale czystej krwi elfką. A mój ojciec... Biologiczny, albowiem wyrzekł się mnie... Był Wiedzącym. Wiedziałam, co to jest gen Starszej Krwi.

– A taki gen odnaleziono u Riannon, gdy badaliście ją i króla przed zbadaniem dzieci – stwierdziła Sheala de Tancarville. – I u dwójki dzieci, co pozwoliło ujawnić pozbawionego genu bękarta Falki. Jak ocaliliście dziecko przed gniewem króla?

– Bardzo prostym sposobem – uśmiechnęła się elfka. – Udawaliśmy niewiedzę. Tłumaczyliśmy królowi, że sprawa jest niełatwa, że wciąż badamy, ale takie badania wymagają czasu... Dużo czasu. Goidemar, człowiek w gruncie rzeczy dobry i szlachetny, ochłonął szybko i wcale nie ponaglał nas, a trojaczki rosły i biegały po pałacu, wzbudzając radość królewskiej pary i całego dworu. Amavet, Fiona i Adela. Cała trójka podobna, jak trzy wróble. Przyglądano im się uważnie, rzecz jasna, co i rusz powstawały podejrzenia, zwłaszcza gdy któreś z dzieci narozrabiało. Fiona wylała kiedyś z okna zawartość nocnika wprost na wielkiego konetabla, ten głośno nazwał ją diabelskim bękartem i pożegnał się z urzędem. Jakiś czas później Amavet wysmarował schody łojem, a pewna dama dworu, gdy wkładano jej rękę w łupki, wyjęczała coś o przeklętej krwi i pożegnała się z dworem. Niżej urodzeni pyskacze witali się natomiast z pręgierzem i kańczugiem, wszyscy zatem prędko nauczyli się trzymać język za zębami. Nawet pewien baron z bardzo starego rodu, którego Adela postrzeliła w tyłek z łuku, ograniczył się do...

– Nie rozwodźmy się nad psotami milusińskich – ucięła Filippa Eilhart. – Kiedy wreszcie powiedziano Goidemarowi prawdę?

– Nigdy mu jej nie powiedziano. Nie pytał o nią, a nam to konweniowało.

– Ale które z dzieci było bękartem Falki, wiedzieliście?

– Oczywiście. Adela.

– Nie Fiona?

– Nie. Adela. Zmarła na dżumę. Diabelski bękart, przeklęta krew, córka demonicznej Falki, podczas epidemii wbrew protestom króla pomagała kapłanom w szpitalu na podgrodziu, ratowała chore dzieci, sama zaraziła się i umarła. Miała siedemnaście lat. W rok później jej pseudobrat Amavet wdał się w romans z hrabiną Anną Kameny i został zamordowany przez siepaczy najętych przez hrabiego. Tego samego roku umarła Riannon, przybita i załamana śmiercią dzieci, które uwielbiała. Wówczas to Goidemar wezwał nas znowu. Ostatnią bowiem ze słynnych trojaczków, królewną Fioną, interesował się król Cintry, Coram. Chciał jej na żonę dla swego syna, też Corama, ale znał krążące plotki i nie chciał żenić syna z możliwym bękartem Falki. Zapewniliśmy go całym naszym autorytetem, że Fiona jest dzieckiem legalnym. Nie wiem, czy uwierzył, ale młodzi przypadli sobie do gustu i tym sposobem córka Riannon, prapraprababka waszej Ciri, została wkrótce królową Cintry.

– Wnosząc do dynastii Coramów słynny gen, który wy tropiliście nadal.

– Fiona – powiedziała spokojnie Enid an Gleanna – nie była nosicielką genu Starszej Krwi. Który my już wówczas nazywaliśmy genem Lary.

– Jak to?

– Nosicielem genu Lary był Amavet, a nasz eksperyment trwał. Bo Anna Kameny, przez którą stracili życie kochanek i mąż, będąc jeszcze w żałobie po obydwu powiła bliźnięta. Chłopca i dziewczynkę. Ojcem był niewątpliwie Amavet, bo dziewczynka była nosicielką genu. Otrzymała imię Muriel.

– Muriel Piękna Łotrzyca? – zdziwiła się Sheala de Tancarville.

– Dużo później – uśmiechęła się Francesca. – Z początku Muriel Milusia. Faktycznie, było to milutkie, słodkie dziecko. Gdy skończyła czternaście lat, mówiono już na nią Muriel Aksamitnooka. Niejeden w tych oczach utonął. Wydano ją wreszcie za Roberta hrabiego Garramone.

– A chłopiec?

– Crispin. Nie nosił genu, więc nie interesował nas. Zdaje się, że poległ na jakiejś wojnie, bo tylko wojaczka mu była w głowie.

– Zaraz – Sabrina gwałtownym ruchem rozburzyła włosy. – Muriel Piękna Łotrzyca była przecież matką Adalii zwanej Wróżką...

– Zgadza się – potwierdziła Francesca. – Ciekawa osoba, Adalia. Silne Źródło, doskonały materiał na czarodziejkę. Niestety, nie chciała być czarodziejką. Wolała być królową.

– A gen? – spytała Assire var Anahid. – Nosiła go?

– Ciekawe, ale nie.

– Tak myślałam – kiwnęła głową Assire. – Gen Lary może być przekazywany w sposób ciągły tylko po linii żeńskiej. Jeśli nosicielem jest mężczyzna, gen zatraca się w drugim, najdalej w trzecim pokoleniu.

– Ale po tym jednak się uaktywnia – rzekła Filippa Eilhart. – Pozbawiona genu Adalia była wszak matką Calanthe, a Calanthe, babka Ciri, była przecież nosicielką genu Lary.

– Pierwszą po Riannon – odezwała się nagle Sheala de Tancarville. – Popełniliście błąd, Francesca. Były dwa geny. Jeden, ten właściwy, był utajony, latentny, przegapiliście go u Fiony, zmyleni silnym i wyraźnym genem Amaveta. Ale to, co miał Amavet, nie było genem, lecz aktywizatorem. Pani Assire ma rację. Idący z męskiej linii aktywizator był już u Adalii tak mało wyraźny, że nie wykryliście go. Adalia była pierwszym dzieckiem Łotrzycy, następne z pewnością nie miały nawet śladu aktywizatora. Latentny gen Fiony też zapewne zanikłby u jej męskich potomków najdalej w trzecim pokoleniu. Ale nie zanikł, i ja wiem, dlaczego.

– Jasna cholera – syknęła przez zęby Yennefer.

– Zgubiłam się – oznajmiła Sabrina Glevissig. – W gąszczu tej genetyki i genealogii.

Francesca przysunęła do siebie paterę z owocami, wyciągnęła rękę, wymruczała zaklęcie.

– Przepraszam za iście jarmarczną psychokinezę – uśmiechnęła się, każąc czerwonemu jabłku unieść się wysoko nad stół. – Ale za pomocą lewitujących owoców będzie mi łatwiej wszystko objaśnić, w tym i błąd, jaki popełniliśmy. To czerwone jabłuszko to gen Lary, Starsza Krew. Zielone jabłko wyobraża gen latentny. Granat to pseudogen, aktywizator. Zaczynamy. Oto Riannon, czerwone jabłuszko. Jej syn, Amavet, granat. Córka Amaveta, Muriel Piękna Łotrzyca, i jego wnuczka Adalia, wciąż granaty, przy czym ostatni w zaniku. A oto druga linia: Fiona, córka Riannon, zielone jabłuszko. Jej syn Corbett, król Cintry, zielony. Syn Corbetta i Elen Kaedweńskiej, Dagorad, zielony. Jak zauważyłyście, w dwóch kolejnych pokoleniach wyłącznie męscy

potomkowie, gen zanika, jest już bardzo słabiutki. Na samym dole mamy oto teraz jednak granat i jabłuszko zielone. Adalia, księżna Mariboru i Dagorad, król Cintry. I córka tych dwojga, Calanthe. Czerwone jabłuszko. Odrodzony, silny gen Lary.

– Gen Fiony – kiwnęła głową Margarita Laux-Antille – spotkał się z aktywizatorem Amaveta poprzez małżeński incest. Nikt nie zwrócił uwagi na pokrewieństwo? Żaden z królewskich heraldyków i kronikarzy nie zauważył jawnego kazirodztwa?

– Nie było to takie jawne. Anna Kameny wszakże nie rozgłaszała, że jej bliźnięta były bękartami, bo rodzina męża wnet wyzuła by ją i dzieci z herbu, tytułów i majątku. Plotki, i owszem, pojawiły się i uporczywie krążyły, i to nie tylko wśród plebsu. Męża dla skażonej incestem Calanthe trzeba było szukać aż w dalekim Ebbing, dokąd plotki nie dotarły.

– Dodaj do twej piramidki dwa następne czerwone jabłka, Enid – powiedziała Margarita. – Teraz, zgodnie ze słuszną uwagą pani Assire, odrodzony gen Lary idzie gładko po linii żeńskiej.

– Tak. Oto Pavetta, córka Calanthe. I córka Pavetty, Cirilla. Jedyna w tej chwili spadkobierczyni Starszej Krwi, nosicielka genu Lary.

– Jedyna? – spytała ostro Sheala de Tancarville. – Jesteś bardzo pewna siebie, Enid.

– Co masz na myśli?

Sheala uniosła się nagle, strzeliła upierścienionymi palcami w stronę patery i zmusiła do lewitacji resztę owoców, burząc i zamieniając w różnokolorowy bałagan cały schemat Franceski.

– To mam na myśli – powiedziała zimno, wskazując na owocowy chaos. – Bo to są możliwe genetyczne kombinacje. I tyle wiemy, ile tu widzimy. Czyli nic. Wasz błąd zemścił się, Francesko, spowodował lawinę błędów. Gen objawił się przypadkiem, po stu latach, w czasie których mogły mieć miejsce wydarzenia, o których nie mamy pojęcia. Wydarzenia sekretne, ukrywane, tuszowane. Dzieci przedmałżeńskie, pozamałżeńskie, tajnie przysposobiane, nawet podmieniane. Incesty. Krzyżowanie ras, krew zapomnianych przodków odzywająca się w późnych pokoleniach. Konkludując: sto lat temu mieliście gen w zasięgu ręki, w rękach nawet. I wymknął wam się. Błąd, Enid, błąd, błąd! Za dużo żywiołowości, za dużo przypadków. Za mało kontroli, za mało ingerencji w przypadkowość.

– Nie mieliśmy – zacisnęła wargi Enid an Gleanna – do czynienia z królikami, które można zamykać do klatek, dobierając w parki.

Fringilla, idąc śladem wzroku Triss Merigold, dostrzegła, jak dłonie Yennefer zacisnęły się nagle na rzeźbionych poręczach krzesła.

•

Oto, co łączy w tej chwili Yennefer i Franceskę, myślała gorączkowo Triss, wciąż unikając wzroku przyjaciółki. Wyrachowanie. Bo wszakże nie obyło się bez kojarzenia w parki i hodowli. Tak, ich plany względem Ciri i królewicza z Koviru, choć z pozoru nieprawdopodobne, są przecież całkiem realne. One już to robiły. Sadzały na tronach, kogo chciały, tworzyły związki i dynastie, jakich zapragnęły, jakie były dla nich wygodne. W ruch szły uroki, afrodyzjaki, eliksiry. Królowe i królewny zawierały nagle dziwaczne, często morganatyczne małżeństwa, często wbrew wszystkim planom, zamiarom i umowom. A później tym, które chciały rodzić, a nie powinny, podawano tajemnie środki zapobiegające ciąży. Te, które rodzić nie chciały, a trzeba było, by rodziły, zamiast obiecanych środków otrzymywały placebo, wodę z lukrecją. Stąd te wszystkie nieprawdopodobne koligacje. Calanthe, Pavetta... I Ciri. Yennefer była w to zaangażowana. A teraz żałuje. I ma słuszność. Do licha, jeśli Geralt się o tym dowie...

•

Sfinksy, myślała Fringilla Vigo. Sfinksy, rzeźbione na poręczach foteli. Tak, to powinno zostać znakiem i godłem loży. Wiedza, tajemnica, milczenie. One są sfinksami. One bez trudu osiągną to, czego chcą. To dla nich fraszka, pożenić Kovir z tą ich Ciri. Mają moc. Mają wiedzę. I mają środki. Brylantowa kolia na szyi Sabriny Glevissig warta jest chyba bez mała tyle, ile cały bilans płatniczy lesistego i skalistego Kaedwen. Bez trudu osiągnęłyby to, co planują. Ale jest jeden szkopuł...

•

Aha, pomyślała Triss Merigold, nareszcie zaczyna mówić się o tym, od czego należało zacząć. Od trzeźwiącego i chłodzącego zapał faktu, że Ciri jest w Nilfgaardzie, we władzy Emhyra. Bardzo daleko od czynionych tu planów...

– Nie ulega kwestii – mówiła Filippa – że Emhyr polował na Cirillę od dawna. Wszyscy sądzili, że chodziło o polityczny mariaż z Cintrą i

zawładnięcie lennem, będącym prawnym dziedzictwem dziewczyny. Nie można jednak wykluczyć, że tu chodzi nie o politykę, ale o gen Starszej Krwi, który Emhyr chce wprowadzić do cesarskiej linii. Jeśli Emhyr wie to, co my, może chcieć, by proroctwo ziściło się w jego rodzie, a przyszła Królowa Świata urodziła się w Nilfgaardzie.

– Poprawka – wtrąciła Sabrina Glevissig. – To nie Emhyr tego chce, lecz nilfgaardzcy czarodzieje. Tylko oni mogli wytropić gen i uświadomić Emhyrowi jego znaczenie. Obecne tu nilfgaardzkie panie zechcą zapewne to potwierdzić i wyjaśnić swą rolę w intrydze.

– Dziwi mnie – nie wytrzymała Fringilla – tendencja pań do tropienia nici intryg w dalekim Nilfgaardzie, podczas gdy przesłanki każą szukać spiskowców i zdrajców znacznie bliżej was samych.

– Uwaga równie bezpośrednia, co celna – Sheala de Tancarville ostrym spojrzeniem uciszyła gotowiącą się do riposty Sabrinę. – Informacja o Starszej Krwi przeciekła do Nilfgaardu od nas, wszystkie przesłanki na to wskazują. Czyżby zapomniały panie o Vilgefortzu?

– Ja nie – w czarnych oczach Sabriny zapłonął na sekundę ogień nienawiści. – Ja nie zapomniałam!

– Przyjdzie na niego czas – złowrogo błysnęła zębami Keira Metz. – Ale na razie nie o niego chodzi, lecz o to, że Ciri, tę tak ważną dla nas Starszą Krew, ma w ręku Emhyr var Emreis, cesarz Nilfgaardu.

– Cesarz – oświadczyła spokojnie Assire, rzucając okiem na Fringillę – niczego nie ma w ręku. Przetrzymywana w Darn Rowan dziewczyna nie jest nosicielką żadnego ekstraordynaryjnego genu. Jest zwykła do pospolitości. Ponad wszelką wątpliwość nie jest to Ciri z Cintry. Nie jest to dziewczyna, której cesarz poszukiwał. A poszukiwał tej, która nosiła gen. Dysponował nawet jej włosami. Włosy te zbadałam i znalazłam coś, czego nie rozumiałam. Ale teraz już rozumiem.

– Ciri nie ma więc w Nilfgaardzie – powiedziała cicho Yennefer. – Nie ma jej tam.

– Nie ma jej tam – potwierdziła poważnie Filippa Eilhart. – Emhyra oszukano, podsunięto mu sobowtóra. Sama wiem o tym od wczoraj. Cieszy mnie jednak szczere wyznanie pani Assire. Potwierdza ono, że nasza loża już funkcjonuje.

•

Yennefer miała wielkie trudności z opanowaniem drżenia rąk i warg. Tylko spokojnie, powtarzała sobie, tylko spokojnie, nie demaskować się, czekać na sposobność. I słuchać, słuchać, zbierać informacje. Sfinks. Być sfinksem.

– A zatem to Vilgefortz – Sabrina wyrżnęła pięścią w stół. – Nie Emhyr, ale Vilgefortz, ten czaruś, ten przystojny łajdak! Wykiwał i Emhyra, i nas!

Yennefer uspokajała się głębokimi wdechami. Assire var Anahid, w sposób oczywisty nieswojo czująca się w obcisłej sukni czarodziejka z Nilfgaardu, opowiadała o jakimś młodym nilfgaardzkim szlachcicu. Yennefer wiedziała, o kogo chodzi, i bezwiednie zaciskała pięści. Czarny rycerz ze skrzydłami na hełmie, koszmar z majaczeń Ciri... Czuła na sobie wzrok Franceski i Filippy. Triss, której spojrzenie starała się natomiast przyciągnąć, unikała jej oczu. Cholera, myślała Yennefer, z trudem przywołując na twarz obojętny wyraz, ale się wrobiłam. W jakąż cholerną matnię wplątałam tę dziewczynę. Cholera, jak ja spojrzę wiedźminowi w oczy...

– Będzie zatem świetna okazja – zawołała podnieconym głosem Keira Metz – by odzyskać Ciri i zarazem dobrać się do skóry Vilgefortzowi. Zapalmy łobuzowi grunt pod dupą!

– Zapalanie gruntu musi poprzedzić odnalezienie kryjówki Vilgefortza – zadrwiła Sheala de Tancarville, czarodziejka z Koviru, której Yennefer nigdy nie darzyła specjalną sympatią. – A dotychczas nikomu się to nie udało. Nawet niektórym siedzącym za tym stołem paniom, które wszakże nie skąpiły na poszukiwania ani czasu, ani swych nieprzeciętnych talentów.

– Odnaleziono już dwie z licznych kryjówek Vilgefortza – odrzekła chłodno Filippa Eilhart. – Dijkstra intensywnie szuka pozostałych, a nie lekceważyłabym go. Niekiedy tam, gdzie zawodzi magia, sprawdzają się szpiedzy i konfidenci.

•

Jeden z towarzyszących Dijkstrze agentów zajrzał do lochu, cofnął się gwałtownie, oparł o mur i zbladł jak płótno, wyglądał, jakby za moment miał zemdleć. Dijkstra zanotował w pamięci, by przenieść delikacika do pracy papierkowej. Ale gdy sam zajrzał do celi, natychmiast zmienił zdanie. Żołądek podjechał mu do gardła. Nie mógł jednak skompromitować się przed podwładnymi. Nie spiesząc się, wyjął z

kieszeni perfumowaną chustkę, przyłożywszy ją do nosa i ust, pochylił się nad nagimi zwłokami leżącymi na kamiennej posadzce.

– Brzuch i macica rozcięte – zdiagnozował, siląc się na spokój i zimny ton. – Bardzo wprawnie, ręką chirurga. Z dziewczynki wyjęto płód. Gdy to robiono, żyła. Ale nie robiono tego tutaj. Wszystkie są w takim stanie? Lennep, mówię do ciebie.

– Nie... – agent drgnął, oderwał wzrok od trupa. – Innym połamano karki zakręcaną garotą. Nie były ciężarne... Ale zrobimy sekcję...

– Łącznie ile znaleziono?

– Oprócz tej tutaj, cztery. Żadnej nie udało się zidentyfikować.

– Nieprawda – zaprzeczył zza chustki Dijkstra. – Ja już zdążyłem zidentyfikować tę tutaj. To Jolie, najmłodsza córka grafa Laniera. Ta, która rok temu przepadła bez wieści. Rzucę okiem na pozostałe.

– Niektóre ogień nadtrawił – powiedział Lennep. – Ciężko będzie poznać... Ale, panie, prócz tego... Znaleźliśmy...

– Gadaj, przestań się jąkać.

– W tamtej studni – agent wskazał ziejącą w podłodze dziurę – są kości. Dużo kości. Nie zdążyliśmy wydobyć i zbadać, ale głowę stawię, że wszystko to będą kości młodych dziewek. Gdyby tak poprosić magików, może dałoby się rozpoznać... I powiadomić tych rodziców, którzy wciąż poszukują zaginionych córek...

– Pod żadnym pozorem – Dijkstra odwrócił się gwałtownie. – Ani słowa o tym, co tu znaleziono. Nikomu. A zwłaszcza magikom. Po tym, co tu widziałem, tracę do nich zaufanie. Lennep, czy górne poziomy zostały dokładnie zbadane? Nie odnaleziono niczego, co mogłoby nam pomóc w poszukiwaniach?

– Niczego, panie – Lennep opuścił głowę. – Gdy tylko dotarło do nas doniesienie, pędziliśmy do zamku co koń wyskoczy. Ale przybyliśmy za późno. Wszystko spłonęło. Ogień o straszliwej mocy. Magiczny, ani chybi. Jeno tutaj, w lochach, czar nie ze wszystkim podziałał. Nie wiem, dlaczego...

– A ja wiem. Zapłonu nie odpalał Vilgefortz, lecz Rience albo inny totumfacki czarownika. Vilgefortz nie popełniłby błędu, nie zostawiłby nam nic prócz czarnego nalotu na murach. Tak, on wie, że ogień oczyszcza... I zaciera ślady.

– Ano, zaciera – mruknął Lennep. – Nie ma nawet dowodu, że ów Vilgefortz w ogóle tu był...

– Sfabrykujcie zatem takie dowody. – Dijkstra odjął chustkę od twarzy. – Mam was uczyć, jak się to robi? Ja wiem, że Vilgefortz tu był. W podziemiu, oprócz trupów, nic nie ocalało? Co jest tam, za tymi żelaznymi drzwiami?

– Pozwólcie, panie – agent wziął z rąk pomocnika pochodnię. – Pokażę wam.

Nie było wątpliwości, że magiczny zapłon, mający spopielić wszystko, co znajdowało się w podziemiu, ulokowany był właśnie tutaj, w przestronnym pomieszczeniu za żelaznymi drzwiami. Błąd w zaklęciu w znacznej mierze zniweczył ten plan, ale pożar i tak był silny i gwałtowny. Ogień zwęglił regały zajmujące jedną ze ścian, porozsadzał i stopił szklane naczynia, zamienił wszystko w śmierdzącą masę. Tym, co w pomieszczeniu pozostało nienaruszone, był stół z blaszanym blatem i dwa wmurowane w podłogę krzesła o dziwacznych kształtach. Dziwacznych, ale nie pozostawiających wątpliwości co do przeznaczenia.

– To jest tak skonstruowane – przełknął ślinę Lennep, wskazując krzesła i zamocowane na nich uchwyty – by trzymać... nogi... w rozwarciu. Szerokim rozwarciu.

– Skurwysyn – warknął przez zaciśnięte zęby Dijkstra. – Cholerny skurwysyn...

– W ścieku pod drewnianym fotelem – kontynuował cicho agent – znaleźliśmy ślady krwi, kału i uryny. Stalowy fotel jest nowiutki, chyba nigdy nie używany. Nie wiem, co o tym sądzić...

– A ja wiem – powiedział Dijkstra. – Ten stalowy szykowany był dla kogoś specjalnego. Kogoś, kogo Vilgefortz podejrzewał o specjalne zdolności.

•

– Wcale nie lekceważę Dijkstry i jego wywiadu – powiedziała Sheala de Tanvcarville. – Wiem, że odnalezienie Vilgefortza to kwestia czasu. Pomijając jednak motyw osobistej zemsty, zdający się pasjonować niektóre z pań, pozwolę sobie zauważyć, że wcale nie jest pewne, że to Vilgefortz ma Ciri.

– Jeżeli nie Vilgefortz, to kto ją ma? Była na wyspie. Żadna z nas, jak rozumiem, nie teleportowała jej stamtąd. Nie ma jej Dijkstra ani żaden z królów, wiemy to. A w gruzach Wieży Mewy nie odnaleziono jej ciała.

– Tor Lara – powiedziała wolno Ida Emean – kryła niegdyś bardzo silny portal. Czy wykluczacie, że dziewczyna uciekła z Thanedd tym portalem?

Yennefer zakryła oczy rzęsami, wpiła paznokcie w głowy sfinksów na poręczach fotela. Tylko spokojnie, pomyślała. Tylko spokojnie. Poczuła na sobie wzrok Margarity, ale nie podnosiła głowy.

– Jeżeli Ciri weszła w teleport z Tor Lara – powiedziała zmienionym nieco głosem rektorka Aretuzy – to obawiam się, że o naszych planach i projektach możemy zapomnieć. Obawiam się, że możemy już Ciri nigdy więcej nie zobaczyć. Nie istniejący już portal Wieży Mewy był uszkodzony, wypaczony. Zabójczy.

– O czym my tu mówimy? – wybuchnęła Sabrina. – Żeby w ogóle wykryć teleport w wieży, żeby w ogóle móc go zobaczyć, trzeba było użyć magii czwartego stopnia! A do uruchomienia portalu potrzeba było zdolności arcymistrzowskich! Nie wiem, czy Vilgefortz zdołałby tego dokonać, a co dopiero jakaś piętnastoletnia podfruwajka! Jak wy w ogóle możecie zakładać coś takiego? Kim, według was, ta dziewczyna jest? Co w niej takiego jest?

•

– Czy to ważne – przeciągnął się Stefan Skellen, zwany Puszczykiem, koroner cesarza Emhyra var Emreisa – co w niej takiego jest, panie Bonhart? I czy w ogóle coś w niej jest? Mnie interesuje, by jej w ogóle nie było. Płacę wam za to sto florenów. Jeśli wola wasza, sprawdźcie, co w niej jest, po zabiciu lub przed, jak wolicie. Cena nie wzrośnie wszelakoż, nawet jeśli coś znajdziecie, uprzedzam solennie i lojalnie.

– A jeśli dostarczę żywą?

– Też nie.

Olbrzymiego wzrostu, ale kościsty jak szkielet mężczyzna nazwany Bonhartem podkręcił siwego wąsa. Drugą dłoń opierał na mieczu, cały czas, jak gdyby chciał ukryć przed wzrokiem Skellena rzeźbę rękojeści.

– Mam przywieźć głowę?

– Nie – skrzywił się Puszczyk. – Na co mi jej głowa? Mam ją zakonserwować w miodzie?

– Dowód.

– Uwierzę waszemu słowu. Jesteście sławni, Bonhart. Także z solidności.

– Dzięki za uznanie – łowca nagród uśmiechnął się, a Skellen, choć przed oberżą miał dwudziestu uzbrojonych ludzi, poczuł na widok tego uśmiechu ciarki na plecach. – Niby powinno, a rzadko spotyka. Panom baronom i panom Varnhagenom muszę głowy wszystkich Szczurów pokazać, inaczej nie zapłacą. Jeśli wam głowa Falki zbędna, nie będziecie mieli, tuszę, nic przeciw, gdy ją do kompletu dołączę?

– By skasować drugą nagrodę? A etyka zawodowa?

– Ja, wielmożny panie Skellen – zmrużył oczy Bonhart – nie każę sobie płacić za zabijanie, ale za usługę, którą zabijaniem wyświadczam. A przecie wyświadczę i wam, i Varnhagenom.

– Logiczne – zgodził się Puszczyk. – Róbcie, jak uważacie. Kiedy mogę się was spodziewać po odbiór zapłaty?

– Rychło.

– To znaczy?

– Szczury jadą na Bandycki Szlak, myślą zimować w górach. Przetnę im drogę. Dwadzieścia dni, nie dłużej.

– Macie pewność co do ich trasy?

– Byli pod Fen Aspra, ograbili tam konwój i dwóch kupców. Grasowali pod Tyffi. Potem wpadli nocą do Druigh, by potańcować na chłopskim festynie. Wreszcie zawitali do Loredo. Tam, w Loredo, owa Falka zarąbała człeka. Takim sposobem, że do dziś tam o tym gadają, zębami dzwoniąc. Dlatego i pytałem, co w tej Falce takiego siedzi.

– Może coś takiego, co i w was – zadrwił Stefan Skellen. – Chociaż nie, wybaczcie. Wy wszak nie bierzecie pieniędzy za zabijanie, lecz za świadczone usługi. Prawdziwy z was rzemieślnik, Bonhart, solidny kawał profesjonała. Fach jak każdy inny? Robota do odwalenia? Płacą za to, a żyć trzeba? Hę?

Łowca nagród patrzył na niego długo. Tak długo, aż z warg Puszczyka znikł wreszcie uśmieszek.

– Iście – powiedział. – Żyć trzeba. Jeden zarabia na to życie tym, co umie. Drugi robi to, co musi. Wżdy mnie poszczęściło się w życiu jak mało któremu rzemieślnikowi, chyba że niektórej kurwie. Płacą mi za rzemiosło, które szczerze i prawdziwie lubię.

•

Przerwę na przekąskę i zwilżenie wysuszonych przemowami gardeł, którą zaproponowała Filippa, Yennefer powitała z ulgą, radością i

nadzieją. Rychło jednak okazało się, że nadzieje były płonne. Margaritę, wyraźnie pragnącą z nią porozmawiać, Filippa szybko odciągnęła w drugi koniec sali. Triss Merigold, która zbliżyła się do niej, towarzyszyła Francesca. Elfka bez żenady kontrolowała rozmowę. Yennefer widziała jednak niepokój w chabrowych oczach Triss i była pewna, że nawet w rozmowie bez świadków daremne byłyby prośby o pomoc. Triss bez wątpienia była już całą duszą oddana loży. I bez wątpienia wyczuwała, że lojalność Yennefer wciąż jest chwiejna.

Triss próbowała ją pocieszyć, zapewniła, że Geralt jest w Brokilonie bezpieczny i staraniem driad wraca do zdrowia. Jak zwykle, gdy mówiła o Geralcie, rumieniła się. Musiał jej wtedy dogodzić, pomyślała nie bez złośliwości Yennefer. Nie znała wcześniej takich jak on. Prędko o nim nie zapomni. I bardzo dobrze.

Zbyła rewelacje pozornie obojętnym wzruszeniem ramion. Nie przejmowała się tym, że ani Triss, ani Francesca nie uwierzyły w jej obojętność. Chciała być sama, chciała dać im to do zrozumienia.

Zrozumiały.

Stanęła w dalekim końcu bufetu, poświęciła się ostrygom. Jadła ostrożnie, wciąż czuła bóle, skutki kompresji. Wina bała się pić, nie wiedziała, jak zareaguje.

– Yennefer?

Odwróciła się. Fringilla Vigo uśmiechnęła się lekko, patrząc na krótki nóż, trzymany przez nią w zaciśniętej dłoni.

– Widzę i czuję – powiedziała – że wolałabyś otworzyć mnie, miast ostrygi. Wciąż nieprzyjaźń?

– Loża – odrzekła chłodno Yennefer – wymaga wzajemnej lojalności. Przyjaźń nie jest obowiązkowa.

– Nie jest i nie powinna być – nilfgaardzka czarodziejka rozejrzała się po sali. – Przyjaźń albo powstaje w wyniku długotrwałego procesu, albo jest spontaniczna.

– Podobnie jest z nieprzyjaźnią – Yennefer otworzyła ostrygę i połknęła zawartość razem z morską wodą. – Czasem widzisz kogoś przez ułamek sekundy, tuż przed tym, zanim cię oślepią, i już nie lubisz.

– Och, sprawa z nieprzyjaźnią jest znacznie bardziej skomplikowana – zmrużyła oczy Fringilla. – Dajmy na to, ktoś, kogo w ogóle nie rozpoznajesz na szczycie wzgórza, rozwala na strzępy twego

przyjaciela, na twoich oczach. W ogóle nie widzisz i nie znasz, a nie lubisz.

– Bywa tak – wzruszyła ramionami Yennefer. – Los płata różne figle.

– Los – powiedziała cicho Fringilla – jest faktycznie nieobliczalny, jak psotne dziecko. Przyjaciele niekiedy odwracają się plecami, a z nieprzyjaciół jest pożytek. Można, dla przykładu, porozmawiać z nimi w cztery oczy. Nikt nie próbuje przeszkodzić, nie przerywa, nie podsłuchuje. Wszyscy myślą, o czym mogą rozmawiać te dwie nieprzyjaciółki? O niczym istotnym. Ot, prawią sobie różne banały, wbijając od czasu do czasu szpile.

– Niewątpliwie – kiwnęła głową Yennefer – tak wszyscy myślą. I mają absolutną rację.

– Tym wygodniej – Fringilla nie speszyła się – będzie nam w takich warunkach poruszyć pewną kwestię, ważną i niebanalną.

– Jakąż to kwestię masz na myśli?

– Kwestię ucieczki, którą planujesz.

Yennefer, właśnie otwierająca drugą ostrygę, o mało nie zacięła się w palec. Rozejrzała się ukradkiem, potem spojrzała na Nilfgaardkę spod rzęs. Fringilla Vigo uśmiechnęła się leciutko.

– Bądź łaskawa użyczyć mi noża. Do ostrygi. Wasze ostrygi są wyśmienite. U nas, na południu, niełatwo takie dostać. Zwłaszcza teraz, w warunkach blokady wojennej... Blokada to rzecz bardzo niedobra. Prawda?

Yennefer chrząknęła cicho.

– Zauważyłam – Fringilla połknęła ostrygę, sięgnęła po drugą. – Tak, Filippa patrzy na nas. Assire też. Assire lęka się pewnie o moją lojalność wobec loży. Zagrożoną lojalność. Ona gotowa pomyśleć, że ulegnę współczuciu. Hmmm.... Kochany mężczyzna zmasakrowany. Dziewczyna, traktowana jak córka, zniknęła, może jest uwięziona... Może grozi jej śmierć? A może tylko to, że będzie wykorzystana jako karta w szulerskiej grze? Słowo daję, ja nie wytrzymałabym. Uciekłabym stąd natychmiast. Proszę, weź nóż. Dość już tych ostryg, muszę dbać o linię.

– Blokada, jak dopiero co raczyłaś zauważyć – szepnęła Yennefer, patrząc w zielone oczy nilfgaardzkiej czarodziejki – to rzecz bardzo niedobra. Wręcz wredna. Nie pozwala na zrobienie tego, na co ma się ochotę. Blokadę można pokonać, jeśli się ma... środki. Ja ich nie mam.

– Liczysz na to, że ci je dam? – Nilfgaardka przyjrzała się kostropatej skorupce ostrygi, którą wciąż trzymała w dłoni. – O, to nie wchodzi w grę. Jestem lojalna wobec loży, a loża, to oczywiste, nie życzy sobie, byś spieszyła na ratunek kochanym osobom. Ponadto jestem twoją nieprzyjaciółką, jak mogłaś o tym zapomnieć, Yennefer?

– W samej rzeczy. Jak mogłam?

– Przyjaciółkę – powiedziała cicho Fringilla – ostrzegłabym, że nawet mając komponenty do zaklęć teleportacyjnych, nie zdoła niepostrzeżenie złamać blokady. Taka operacja wymaga czasu i zbyt rzuca się w oczy. Lepszy nieco jest jakiś niepozorny, żywiołowy przyciągacz. Powtarzam: nieco. Teleportacja na zaimprowizowany przyciągacz, jak bez wątpienia wiesz, jest bardzo ryzykowna. Przyjaciółce, gdyby decydowała się na takie ryzyko, odradzałabym. Ale ty nią nie jesteś.

Fringilla przechyliła trzymaną w dłoni skorupkę i wylała na blat stołu odrobinę morskiej wody.

– I na tym skończmy tę banalną rozmowę – powiedziała. – Loża wymaga od nas tylko wzajemnej lojalności. Przyjaźń, na szczęście, nie jest obowiązkowa.

•

– Teleportowała się – stwierdziła chłodno i bez emocji Francesca Findabair, gdy tylko uspokoiło się wywołane zniknięciem Yennefer zamieszanie. – Nie ma się co gorączkować, moje panie. Teraz już nic na to nie poradzimy. Jest za daleko. To mój błąd. Podejrzewałam, że jej obsydianowa gwiazda maskuje echo zaklęć...

– Jak ona to zrobiła, cholera jasna? – wrzasnęła Filippa. – Echo mogła stłumić, to nie jest trudne. Ale jakim cudem otworzyła sobie portal? Montecalvo ma blokadę!

– Nigdy jej nie lubiłam – wzruszyła ramionami Sheala de Tancarville. – Nigdy nie pochwalałam jej stylu życia. Ale nigdy nie kwestionowałam jej zdolności.

– Ona wyszczeka wszystko! – rozdarła się Sabrina Glevissig. – Wszystko o loży! Poleci wprost...

– Bzdura – przerwała żywo Triss Merigold, patrząc na Franceskę i Idę Emean. – Yennefer nie zdradzi nas. Nie dlatego stąd uciekła, by nas zdradzić.

– Triss ma rację – poparła ją Margarita Laux-Antille. – Ja wiem, dlaczego ona uciekła, kogo chce ratować. Ja widziałam je obie, ją i Ciri, razem. I wszystko rozumiem.

– A ja nic nie rozumiem! – wrzasnęła Sabrina i znowu zrobiło się głośno.

Assire var Anahid nachyliła się ku przyjaciółce.

– Nie pytam, dlaczego to zrobiłaś – szepnęła. – Nie pytam, jak to zrobiłaś. Pytam: dokąd?

Fringilla Vigo uśmiechnęła się nieznacznie, głaszcząc palcami rzeźbioną głowę sfinksa na poręczy fotela.

– A skąd ja mogę wiedzieć – odszepnęła – z którego wybrzeża pochodzą te ostrygi?

***Itlina**, właściwie Ithlinne Aegli córka Aevenien, legendarna elfia uzdrowicielka, astrolożka i wróżbitka, słynąca z wieszczb, wróżb i proroctw, z których najsłynniejszą jest Aen Ithlinnespeath, Przepowiednia Itliny. Wielokrotnie spisywana i w mnogich formach wydawana, Przepowiednia w różnych okresach wielką się cieszyła popularnością, a komentarze, klucze i wyjaśnienia do niej dołączane dostosowywały tekst do bieżących wydarzeń, co umacniało przekonanie o wielkim **I.** jasnowidztwie. W szczególności mniema się, że przepowiedziała **I.** Wojny Północne (1239–1268), Wielkie Zarazy (1268, 1272 i 1294), krwawą Wojnę Dwóch Jednorożców (1309–1318) i najazd Haaków (1350). Jasnowidzieć miała też **I.** obserwowane od końca XIII w. zmiany klimatyczne („Białe Zimno"), które zabobon zawsze za początek końca świata uważał i łączył z wieszczonym nadejściem Niszczycielki (ob.). Tenże passus z Przepowiedni **I.** dał asumpt do niesławnych polowań na czarownice (1272–76) i przyczynił się do śmierci wielu niewiast i dziewcząt nieszczęsnych, za inkarnację Niszczycielki uważanych. Dziś **I.** uważana jest przez licznych badaczy za postać legendową, a „proroctwa" za całkiem współcześnie sfabrykowany apokryf i przebiegłe literackie szalbierstwo.*

Effenberg i Talbot,
Encyclopaedia Maxima Mundi, tom X

Rozdział siódmy

Dzieci otaczające wianuszkiem wędrownego bajarza Pogwizda wyraziły protest, podnosząc nieopisany i chaotyczny harmider. Wreszcie Connor, kowalów syn, najstarszy, najsilniejszy i najodważniejszy, a nadto będący tym, który dostarczył bajarzowi dwojak pełen kapuśniaku i okraszonych skwarkami ziemniaków, wystąpił jako rzecznik i wyraziciel opinii ogółu.

– Jakże to tak? – wrzasnął. – Jakże to tak, dziadu? Jakże to: koniec na dziś? Godzi się to, w takim miejscu baśń skończyć? W gorącości nas

ostawić? Chcemy wiedzieć, co dalej było! Nie będziem czekać, aż znowu do wsi zawitacie, bo to za pół roku lubo za rok może być! Bajajcie dalej!

– Słonko zaszło – odrzekł staruszek. – Do łóżek wam pora, niedolatki. Gdy z jutra przy robocie ziewać będziecie a stękać, co rodziciele wasi rzekną? Wiem ja, co rzekną. Bajał im stary Pogwizd znowu do północka, głowy dzieciskom bylinami moroczył, wyspać się nie dał. Tegdy gdy znów do wsi zawita, nie dać jemu nic, ani kaszy, ani klusek, ani sperki, jeno napędzić jego, dziada, bo z jego bajek jeno szkoda a utrapienie...

– Wżdy nie rzekną tak! – zakrzyknęły chórem dzieci. – Bajajcie jeszcze, dziadu! Prosim was!

– Hmmmmm – zamamlał starzec, patrząc na słońce znikające za wierzchołkami drzew na drugim brzegu Jarugi. – Niechaj będzie. Ale umowa taka stanie: jeden niech kopnie się do chałupy i mleka zsiadłego przyniesie, bym miał czym gardło zwilżać. Reszta zasię niech zastanowi się, o czyich losach mam bajać, bo przecie o wszystkich opowiedzieć wam dziś nie zdolę, choćbym do jutrzni plótł. Trza będzie tedy wybrać: o kim tera, a o kim inszym razem.

Dzieciaki znowu podniosły wrzask, przekrzykując się nawzajem.

– Cicho! – krzyknął Pogwizd, machnąwszy kosturem. – Powiedziałżem, wybrać, a nie jako sójki: ret-ret, re-re-ret! Jakoże więc? O czyich losach opowiedzieć?

– O Yennefer – zapiszczała Nimue, najmłodsza wśród słuchaczy, z racji wzrostu zwana Łokietkiem, głaszcząca śpiącego na podołku kotka. – Opowiedzcież dalsze losy czarodziejki, dziadu. Jak to z owego kowe... kowenu na Łysej Górze zbieżała magicznym sposobem, by Ciri ratować. Tego rada bym posłuchać. Bo ja, gdy urosnę, czarodziejką zostanę.

– Akurat! – krzyknął Bronik, syn młynarza. – Smarki z nosa utrzyj, Łokietku, bo do czarodziejskiego terminu usmarkanych nie bierą! A wy, dziadu, bajajcie nie o Yennefer, ale o Ciri i o Szczurach, jak to na rozbój chodzili a prali...

– Cichajcie – rzekł Connor, zasępiony i zamyślony. – Głupiście są, i tyle. Jeśli co jeszcze dziś mamy usłyszeć, to niech to za porządkiem jakimś będzie. Opowiedzcie nam, dziadku, o wiedźminie i drużynie jego, jak znad Jarugi wyruszyli...

– Ja chcę o Yennefer – pisnęła Nimue.

– Ja też – odezwała się Orla, jej starsza siostra. – O jej i wiedźmina kochaniu chcę. Jak się miłowali. Ale niech to się dobrze skończy,

dziadku! Nie chcę, by o umieraniu było, nie!

– Cichaj, głupia, kogo miłowanie obchodzi! O wojnie chcemy, o bojowaniu!

– O wiedźmińskim mieczu!

– O Ciri i o Szczurach!

– Zawrzyjcie jadaczki – Connor rozejrzał się groźnie. – Bo chycę kija a spierę was, gnojki! Rzekłem: za porządkiem. Niechaj dziad dalej o wiedźminie prawi, o tym, jak wędrował z Jaskrem, Milvą...

– Tak! – pisnęła znowu Nimue. – O Milvie chcę posłuchać, o Milvie! Bo ja, gdy mię czarodziejki nie zechcą, to łuczniczką zostanę!

– Tedy wybraliśmy – rzekł Connor. – I w sam czas, bo dziad, baczcie, zadrzemie wraz, już łbem siwym kiwa, nosem niby derkacz kłuje... Hejże, dziadu! Nie śpijcie! Bajajcie nam o wiedźminie Geralcie. Od tego miejsca, gdy nad Jarugą drużyna powstała.

– Wżdy pierwej – wtrącił Bronik – by nas tak ciekawość nie spierała, to rzeknijcie nam, dziadku, choć trocha o innych. Co z nimi było. Lekcej będzie czekać, aż wrócicie do wsi, by baśń ciągnąć. Choć króciutko powiedzcie. O Yennefer i o Ciri. Prosim was.

– Yennefer – zachichotał dziad Pogwizd – z czarodziejskiego zamku, co się zwał Góra Łysa, na zaklęciu uleciała. I prosto-prościutko w morze chlupła. W oceanu wzburzone fale, między skały ostre. Ale nie strachajcie się, dla magiczki fraszka to, nie utopiła się. Na Wyspy Skellige trafiła, tam sprzymierzeńców naszła. Bo widzicie, wielka w niej złoba rosła na czarodzieja Vilgefortza. Przekonana, że to on Ciri porwał, umyśliła go wytropić, zemstę srogą wywrzeć, a Ciri uwolnić. I tyle. Kiedy indziej opowiem, jak to było.

– A Ciri?

– Ciri cięgiem ze Szczurami grasowała, pod imieniem Falki się kryjąc. Lubiło się jej zbójeckie życie, bo choć nikt wonczas o tym nie wiedział, były w tej dziewczynie złość a okrucieństwo, wszystko, co najgorsze, co w każdym człeku ukryte, wyłaziło z niej i górę nad dobrym pomału brało. Oj, wielki błąd popełnili wiedźmini z Kaer Morhen, że ją zabijać wyuczyli! Sama zaś Ciri ani podejrzewała, śmierć zadając, że jej samej kostucha po piętach depcze. Bo już straszny Bonhart za nią śledził, na tropie był. Pisane im było, że się spotkają, Bonhart a Ciri. Ale o tym kiedy indziej opowiem. Teraz zasię o wiedźminie posłuchajcie.

Dzieci uciszyły się, obsiadły starca ciasnym kołem. Słuchały. Zapadał zmrok. Przyjazne w dzień konopie, maliniak i rosnące opodal chałupy malwy zamieniły się nagle w niesamowity, ciemny bór. Co w nim szuści? Czy to mysz, czy straszny, płomiennooki elf? A może strzyga albo Baba Jaga, na dzieci zawzięta? Czy to wół w oborze tupie, czy to tętent bojowych koni okrutnych najeźdźców, znowu, jak przed stu laty, przekraczających Jarugę? Czy to lelek nad strzechą śmignął, czy może wampir, spragniony krwi? Czy może piękna czarodziejka, na magicznym zaklęciu lecąca ku dalekiemu morzu?

– Wiedźmin Geralt – zaczął bajarz – razem ze swą nową kompanią ruszył na Angren, gdzie bagna i bory. Wonczas były tam bory, ho, ho, nie to, co nynie, nynie nie masz już takich borów, w Brokilonie chyba... Drużyna powędrowała na wschód, w górę Jarugi, w stronę uroczysk Czarnego Lasu. Zrazu dobrze się im wiodło, ale później, ho, ho... Co było, opowiem...

Płynęła, snuła się baśń o dawno minionych, zapomnianych czasach. Dzieci słuchały.

•

Wiedźmin siedział na pieńku, na szczycie urwiska, z którego roztaczał się widok na łęgi i trzcinowiska na brzegu Jarugi. Słońce zachodziło. Żurawie wzbiły się z mokradeł, zatrąbiły, lecąc klinem.

Wszystko się popieprzyło, pomyślał wiedźmin, oglądając się na ruinę drwalskiego szałasu i maleńki dymek, unoszący się z ogniska Milvy. Wszystko wzięło w łeb. A tak już dobrze szło. Dziwna ta moja kompania była, ale była. Mieliśmy przed sobą cel, bliski, realny, konkretny. Przez Angren na wschód, ku Caed Dhu. Całkiem dobrze nam szło. Ale musiało się popieprzyć. Pech czy fatum?

Żurawie trąbiły hejnał.

•

Emiel Regis Rohellec Terzieff-Godefroy prowadził, jadąc na gniadym nilfgaardzkim ogierze, zdobytym przez wiedźmina pod Armerią. Ogier, choć z początku boczył się nieco na wampira i jego ziołowy zapach, przyzwyczaił się szybko i nie sprawiał więcej kłopotów niż idąca obok niego Płotka, która ukąszona przez gza potrafiła tęgo bryknąć. Za Regisem i Geraltem podążał na Pegazie Jaskier z obandażowaną głową i wojowniczą miną. W drodze poeta układał rytmiczną pieśń bohaterską,

w której bojowej melodii i rymach pobrzmiewały reminiscencje niedawnych przygód. Forma utworu sugerowała wyraźnie, że w czasie tych przygód właśnie autor i wykonawca okazał się najmężniejszym z mężnych. Pochód zamykali Milva i Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach. Cahir jechał na odzyskanym cisku, ciągnąc za sobą siwka, objuczonego częścią ich skromnego ekwipunku.

Wyjechali wreszcie z nadrzecznych mokradeł na wyżej położony i suchy teren, na wzgórza, z których na południu mogli obserwować połyskliwą wstęgę Wielkiej Jarugi, na północy zaś wysokie i skaliste przedpole dalekiego masywu Mahakam. Pogoda była piękna, słonko przygrzewało, moskity przestały kłuć i brzęczeć koło uszu. Buty i nogawki wyschły. Na nasłonecznionych zboczach krzaki jeżyn czarne były od owoców, konie znajdywały trawę, spływające ze wzgórz strumyki niosły kryształowo czystą wodę i pełne były pstrągów. Gdy zapadła noc, można było rozpalić ognisko i nawet położyć się obok. Słowem, było wspaniale, a nastroje winny ulec natychmiastowej poprawie. Nie uległy. Dlaczego tak było, okazało się na jednym z pierwszych biwaków.

•

– Zaczekaj chwilę, Geralt – zaczął poeta, rozglądając się i pochrząkując. – Nie spiesz się tak do obozu. Chcemy tu, na osobności, porozmawiać z tobą, ja i Milva. Chodzi o... No, o Regisa.

– Aha – wiedźmin położył na ziemi naręcze chrustu. – Zaczęliście się bać? Rychło w czas.

– Przestań – skrzywił się Jaskier. – Zaakceptowaliśmy go jako towarzysza, zadeklarował nam pomoc w poszukiwaniach Ciri. Moją własną szyję wyciągnął z pętli, tego mu nie zapomnę. Ale, cholera, odczuwamy coś w rodzaju lęku. Dziwisz się? Całe życie tropiłeś i zabijałeś takich jak on.

– Jego nie zabiłem. I nie zamierzam. Wystarczy ci ta deklaracja? Jeśli nie, to choć żal przepełnia mi serce, nie jestem w stanie uleczyć cię ze stanów lękowych. To paradoksalne, ale wśród nas jedynym znającym się na leczeniu jest właśnie on, Regis.

– Powiedziałem, przestań – zdenerwował się trubadur. – Nie rozmawiasz z Yennefer, daruj sobie i nam pokrętną elokwencję. Odpowiedz prosto na proste pytanie.

– Zadaj je. Bez pokrętnej elokwencji.

– Regis to wampir. Nie jest tajemnicą, czym żywią się wampiry. Co będzie, gdy on porządnie zgłodnieje? Tak, tak, widzieliśmy, jadł rybną polewkę, od tamtej pory jada i pija z nami, zupełnie normalnie, jak każde z nas. Ale czy... czy będzie w stanie zapanować nad żądzą... Geralt, czy ja cię muszę ciągnąć za język?

– Zapanował nad żądzą krwi, choć był blisko, gdy twoja lała ci się ze łba. Gdy cię opatrzył, nawet palców nie oblizał. A wtedy, podczas pełni, gdyśmy popili się mandragorowym bimbrem i pospali w jego szałasie, miał świetną okazję, by się do nas dobrać. Sprawdziłeś, czy masz ślady na twej łabędziej szyi?

– Nie szydź, wiedźminie – burknęła Milva. – Ty przecie więcej wiesz o wąpierzach niźli my. Z Jaskra podkpiwasz, tedy mnie odpowiedz. Ja w puszczy wyrosłam, do szkół nie chodziłam, ciemna jestem. Wżdy nie moja to wina, nie godzi się drwić. Ja, wstyd powiedzieć, też trochę bojam się tego... Regisa.

– Niebezpodstawnie – kiwnął głową. – To tak zwany wyższy wampir. Niezwykle niebezpieczny. Gdyby był naszym wrogiem, ja bałbym się go również. Ale, do diabła, on z nieznanych mi przyczyn jest naszym towarzyszem. Właśnie prowadzi nas na Caed Dhu, do druidów, którzy mogą pomóc mi w zdobyciu informacji o Ciri. Jestem zdesperowany, chcę tedy spróbować tej szansy, nie zrezygnuję z niej. Dlatego zgadzam się na jego wampirze towarzystwo.

– Tylko dlatego?

– Nie – odrzekł z lekkim ociąganiem, ale wreszcie zdecydował się na szczerość. – Nie tylko. On... On zachowuje się w sposób prawy. W obozie nad Chotlą, podczas sądu nad dziewczyną, nie zawahał się działać. Choć wiedział, że go to zdemaskuje.

– Wyciągnął rozżarzoną podkowę z ognia – przypomniał sobie Jaskier. – Ba, przez kilka bitych chwil trzymał ją w dłoni i nawet się nie skrzywił. Żadne z nas nie zdołałoby powtórzyć tej sztuki nawet z pieczonym kartoflem.

– Jest niewrażliwy na ogień.

– Co jeszcze potrafi?

– Może, gdy zechce, stać się niewidzialny. Może spojrzeniem zauroczyć, wprawić w głęboki sen, zrobił to z wartownikami w obozie Vissegerda. Przybierać postać nietoperza i latać jak nietoperz. Myślę, że

może tych rzeczy dokonywać tylko nocą i tylko w czasie pełni. Ale mogę się mylić. Już ładnych kilka razy mnie zaskoczył, może jeszcze coś mieć w zanadrzu. Podejrzewam, że on jest niezwykły nawet wśród wampirów. Doskonale upodabnia się do człowieka, i to od lat. Konie i psy, mogące wyczuć jego prawdziwą naturę, myli zapachem ziół, które stale ma przy sobie. Ale mój medalion też na niego nie reaguje, a powinien. Powtarzam, jego nie można mierzyć zwykłą miarką. O resztę zapytajcie go sami. To nasz towarzysz. Nie powinno być między nami niedomówień, a tym bardziej wzajemnych nieufności i obaw. Wracamy do obozu. Pomóżcie mi z tym chrustem.

– Geralt?

– Słucham, Jaskier.

– Gdyby... No, pytam czysto teoretycznie... Gdyby...

– Nie wiem – odpowiedział uczciwie i szczerze. – Nie wiem, czy zdołałbym go zabić. Doprawdy wolałbym nie próbować.

•

Jaskier wziął sobie do serca radę wiedźmina, postanowił wyjaśnić niejasności i rozwiać wątpliwości. Uczynił to, gdy tylko wyruszyli w dalszą drogę. Uczynił to z właściwym sobie taktem.

– Milva! – zawołał nagle w czasie jazdy, zezując na wampira. – Mogłabyś ruszyć przodem z twoim łukiem, kropnąć strzałą jakiegoś jelonka albo kabana. Dosyć mam, cholera, jeżyn i grzybów, ryb i szczeżui. Zjadłbym dla odmiany kawałek prawdziwego mięsa. Co ty na to, Regis?

– Słucham? – wampir podniósł głowę znad szyi konia.

– Mięso! – powtórzył dobitnie poeta. – Namawiam Milvę na polowanie. Zjadłbyś świeżego mięsa?

– Zjadłbym.

– A krwi, świeżej krwi popiłbyś?

– Krwi? – Regis przełknął ślinę. – Nie. Jeśli chodzi o krew, dziękuję. Ale wy, jeśli macie ochotę, nie krępujcie się.

Geralt, Milva i Cahir zachowywali ciężkie, grobowe milczenie.

– Wiem, w czym rzecz, Jaskier – powiedział wolno Regis. – I niech mi będzie wolno uspokoić cię. Jestem wampirem, owszem. Ale nie piję krwi.

Milczenie stało się ciężkie jak ołów. Ale Jaskier nie byłby Jaskrem, gdyby również milczał.

– Chyba źle mnie zrozumiałeś – rzekł pozornie niefrasobliwie. – Nie chodzi mi o...

– Ja nie piję krwi – przerwał Regis. – Od dawna. Odzwyczaiłem się.

– Jak to, odzwyczaiłeś?

– Zwyczajnie.

– Doprawdy, nie pojmuję...

– Wybacz. To sprawa osobista.

– Ale...

– Jaskier – wiedźmin nie wytrzymał, odwrócił się w siodle. – Regis przed chwilą powiedział ci, byś się odpieprzył. Ujął to tylko grzeczniej. Bądź tedy uprzejmy zamknąć wreszcie gębę.

•

Posiane ziarno niepokoju i niepewności zakiełkowało jednak i wzeszło. Gdy zatrzymali się na nocleg, atmosfera wciąż była ciężka i napięta, nie rozładowała jej nawet strzelona przez Milvę nad rzeczką tłusta, ośmiofuntowa chyba gęś bernikla, którą oblepili gliną, upiekli i zjedli, ogryzając do czysta najmniejszą nawet kosteczkę. Zabili głód, ale niepokój pozostał. Rozmowa nie kleiła się pomimo tytanicznych wysiłków Jaskra. Gadanie poety stało się monologiem, tak wyraźnie oczywistym, że wreszcie on sam też to zauważył i zamknął się. Panującą przy ognisku grobową ciszę zakłócał jedynie chrzęst żutego przez konie siana.

Mimo późnej pory nikt jednak nie sposobił się jakoś do snu. Milva grzała wodę w zawieszonym nad ogniem kociołku i rozprostowywała nad parą zmięte lotki strzał. Cahir reperował zerwaną klamrę buta. Geralt strugał patyk. A Regis wodził oczami po wszystkich po kolei.

– No, dobrze – powiedział wreszcie. – Widzę, że to nieuniknione. Zdaje się, że już dawno powinienem był wam wyjaśnić pewne sprawy...

– Nikt od ciebie tego nie wymaga. – Geralt wrzucił do ogniska długo i namiętnie strugany kołek i podniósł głowę. – Ja nie potrzebuję twoich wyjaśnień. Jestem typem staromodnym, gdy wyciągam do kogoś rękę i akceptuję jako kompana, to dla mnie znaczy więcej, niż kontrakt zawarty w przytomności notariusza.

– Też jestem staromodny – odezwał się Cahir, wciąż schylony nad butem.

– Nie znam inszych mód – rzekła sucho Milva, wsuwając kolejną strzałę w unoszącą się z kociołka parę.

– Gadaniem Jaskra się nie przejmuj – dodał wiedźmin. – On już taki jest. A nam zwierzać się ani tłumaczyć nie musisz. Myśmy też ci się nie zwierzali.

– Mniemam jednak – uśmiechnął się lekko wampir – że zechcecie wysłuchać tego, co chcę powiedzieć, wcale nie musząc? Odczuwam potrzebę szczerości wobec osób, do których wyciągam rękę i akceptuję jako kompanów.

Tym razem nikt się nie odezwał.

– Zacząć należy od tego – powiedział po chwili Regis – że bezzasadne są wszelkie obawy, mogące się wiązać z moją wampirzą naturą. Nie rzucę się na nikogo, nie podkradnę nocą, by zatopić zęby w szyi śpiącego. I nie chodzi tylko o mych towarzyszy, do których mam stosunek nie mniej staromodny niż inni obecni tu staromodni. Ja nie tykam krwi. W ogóle i nigdy. Odzwyczaiłem się od niej, gdy stała się dla mnie problemem. Groźnym problemem, który niełatwo było mi rozwiązać.

– Problem – podjął po chwili – w gruncie rzeczy pojawił się i nabrał złych cech iście podręcznikowo. Już w młodych latach lubiłem... hmmm... zabawić się w dobrej kompanii, nie różniłem się zresztą pod tym względem od większości moich rówieśników. Wiecie, jak to jest, też byliście młodzi. Wśród was jednak istnieje system zakazów i ograniczeń: władza rodzicielska, opiekunowie, przełożeni i starszyzna, obyczaj wreszcie. Wśród nas tego nie ma. Młodzież ma pełną swobodę i korzysta z niej. I tworzy własne wzorce zachowań, głupie, ma się rozumieć, iście młodzieńczą głupotą. Nie napijesz się? To co z ciebie za wampir? Nie pije? To nie zapraszać go, psuje zabawę! Nie chciałem psuć zabawy, a możliwość utraty akceptacji towarzyskiej przerażała mnie. No i była zabawa. Hulanka i swawola, biba i popijawa, w każdą pełnię księżyca latało się do wsi i piło, z kogo popadło. Najpaskudniejszą, najgorszego gatunku... hmm... ciecz. Nie czyniło nam różnicy, z kogo, byle... hmmm... hemoglobina... Bez krwi nie ma wszak zabawy! Do wampirek też jakoś śmiałości się nie miało, nim się nie łyknęło.

Regis zamilkł, zadumał się. Nikt nie komentował. Geralt czuł, że ma straszną ochotę się napić.

– Robiło się coraz huczniej – podjął wampir. – I w miarę upływu czasu coraz gorzej. Niekiedy, jak się poszło w cug, to trzy, cztery noce nie wracałem do krypty. Śmieszna dawniej ilość... płynu pozbawiała mnie kontroli, co nie przeszkadzało w kontynuowaniu imprezy. Koledzy, jak to koledzy. Jedni przyjaźnie mitygowali, więc się na nich obraziłem. Inni namawiali, wyciągali z krypty na hulanki, ba, podsuwali... hmm... obiekty. I bawili się moim kosztem.

Milva, wciąż zajęta odnawianiem zgniecionych lotek strzał, zamruczała gniewnie. Cahir skończył reperować but i sprawiał wrażenie, że śpi.

– Poźniej – ciągnął Regis – wystąpiły alarmujące objawy. Zabawa i towarzystwo zaczęły pełnić rolę absolutnie drugorzędną. Zauważyłem, że mogę się bez nich obyć. Wystarczająca i naprawdę ważna stała się krew, nawet pita...

– Do lustra? – wtrącił Jaskier.

– Gorzej – odrzekł spokojnie Regis. – Ja nie odbijam się w lustrach.

Milczał czas jakiś.

– Poznałem pewną... wampirkę. Mogło to być, i chyba było, coś poważnego. Przestałem szaleć. Ale nie na długo. Odeszła ode mnie. A ja zacząłem pić w dwójnasób. Rozpacz, żal, jak wiecie, to doskonałe usprawiedliwienia. Wszystkim się wydaje, że rozumieją. Nawet mnie wydawało się, że rozumiem. A wyłącznie dopasowywałem teorię do praktyki. Nudzę was? Już kończę. Zacząłem wreszcie robić rzeczy niedopuszczalne, absolutnie nieakceptowalne, takie, jakich nie robi żaden wampir. Zacząłem latać po pijanemu. Którejś nocy chłopaki posłali mnie do wsi po krew, a ja chybiłem dziewczyny idącej ku studni, z rozpędu wyrżnąłem w cembrowinę... Chłopi mało mnie nie zatłukli, na szczęście nie wiedzieli, jak się do tego zabrać... Podziurawili mnie kołkami, odrąbali głowę, oblali wodą święconą i zakopali. Przedstawiacie sobie, jak czułem się po przebudzeniu?

– Przedstawiamy – powiedziała Milva, oglądając strzałę. Wszyscy popatrzyli na nią dziwnie. Łuczniczka chrząknęła i odwróciła głowę. Regis uśmiechnął się nieznacznie.

– Już kończę – powiedział. – W grobie miałem dość czasu na zastanowienie się nad sobą...

– Dość? – spytał Geralt. – Jak wiele?

Regis spojrzał na niego.

– Ciekawość profesjonalna? Około pięćdziesięciu lat. Gdy zregenerowałem się, postanowiłem wziąć się w garść. Łatwo nie było, ale poradziłem sobie. Od tamtego czasu nie piję.

– W ogóle? – Jaskier zająknął się, ale ciekawość przemogła. – W ogóle? Nigdy? Przecież...

– Jaskier – Geralt uniósł lekko brwi. – Opanuj się. I zastanów. W milczeniu.

– Przepraszam – burknął poeta.

– Nie przepraszaj – rzekł pojednawczo wampir. – A ty, Geralt, nie strofuj go. Rozumiem jego ciekawość. Ja, a dokładniej biorąc ja i mój mit, uosabiamy wszystkie jego ludzkie lęki. Trudno wymagać od człowieka, by wyzbył się lęków. Lęki pełnią w psychice człowieka rolę nie mniej ważną od wszystkich pozostałych stanów emocjonalnych. Psychika pozbawiona lęków byłaby psychiką kaleką.

– Wystaw sobie – powiedział Jaskier, odzyskując kontenans – że nie budzisz we mnie zgrozy. Byłbym więc kaleką?

Geralt przez chwilę sądził, że Regis zademonstruje zęby i uleczy Jaskra z mniemanego kalectwa, ale mylił się. Wampir nie miał inklinacji do teatralnych gestów.

– Mówiłem o lękach zakorzenionych w świadomości i podświadomości – wyjaśnił spokojnie. – Niech cię nie dotknie metafora, ale wrona nie boi się zawieszonych na kiju kapelusza i kapoty, gdy już przełamie lęk i usiądzie. Ale gdy wiatr szarpnie strachem, ptak zareaguje ucieczką.

– Zachowanie wrony tłumaczy walka o byt – zauważył z ciemności Cahir.

– Tłumaczy-sraczy – parsknęła Milva. – Nie stracha wrona się boi, ino człeka, bo człek kamień ma i strzały na nią.

– Walka o byt – przytaknął Geralt. – Tyle, że w ludzkim, nie wronim wydaniu. Dziękujemy ci za wyjaśnienia, Regis, akceptujemy je w pełni. Ale nie kop w otchłaniach ludzkiej podświadomości. Milva ma rację. Powody, dla których ludzie paniczną zgrozą reagują na widok spragnionego wampira, nie są irracjonalne, lecz wynikają z chęci przetrwania.

– Słyszymy głos specjalisty – wampir ukłonił się lekko w jego stronę. – Zawodowca, któremu duma zawodowa nie pozwoliłaby wszakże brać pieniędzy za walkę z lękami urojonymi. Szanujący się wiedźmin najmuje się wszak wyłącznie do walki ze złem rzeczywistym i bezpośrednio zagrażającym. Zawodowiec zechce więc zapewne nam wyjaśnić, dlaczego wampir jest większym złem niż smok czy wilk. Wszakże dwaj ostatni też mają kły.

– Może dlatego, że dwaj ostatni używają kłów z głodu lub w obronie własnej, nigdy zaś gwoli zabawy ani przełamywania lodów towarzyskich i nieśmiałości wobec płci przeciwnej?

– Ludzie nie wiedzą o tym – odparował z miejsca Regis. – Ty o tym wiesz od dawna, reszta kompanii od chwili zaledwie. Pozostała większość jest głęboko przekonana, że wampiry nie bawią się, lecz żywią krwią, wyłącznie krwią i wyłącznie krwią ludzką. A krew to płyn życiodajny, jego utrata wiąże się z osłabieniem organizmu, siły witalnej. Rozumujecie tak: stwór, który rozlewa naszą krew, jest naszym śmiertelnym wrogiem. A stwór, który na naszą krew czyha, bo się nią żywi, jest stworem w dwójnasób złym: wzmaga własną siłę witalną kosztem naszej, żeby jego gatunek kwitł, nasz musi gasnąć. Wreszcie, taki stwór jest obrzydliwy, bo choć znamy życiodajną wartość krwi, jest ona nam wstrętna. Czy któreś z was napiłoby się krwi? Wątpię. A są ludzie, którzy na sam widok krwi słabną lub mdleją. W niektórych społecznościach kobiety przez kilka dni w miesiącu uważa się za nieczyste i izoluje...

– Chyba wśród dzikich – przerwał Cahir. – A mdleje się na widok krwi chyba tylko u was, Nordlingów.

– Błądzimy po manowcach – uniósł głowę wiedźmin – zbaczając z prostej ścieżki w gąszcz wątpliwej filozofii. Sądzisz, Regis, że ludziom zrobiłoby różnicę, gdyby wiedzieli, że traktujecie ich nie jako żer, lecz jako wyszynk? Gdzie tu widzisz irracjonalność lęków? Wampiry wysysają z ludzi krew, tego akurat faktu podważyć się nie da. Człowiek potraktowany przez wampira jak gąsiorek wódki traci siły, to również oczywiste. Człowiek, że się tak wyrażę, osuszony, traci witalność definitywnie. Zwyczajnie umiera. Wybacz, ale lęku przed śmiercią nie można pakować do tego samego wora, co odrazy wobec krwi. Miesięcznej lub innej.

– Gadacie tak mądrze, że aż łeb kręgiem wiruje – parsknęła Milva. – A przecie i tak wszystkie te mądrości koło tego się kręcą, co u baby pod kiecką. Filozofy zasrane.

– Zostawmy na chwilę symbolikę krwi – powiedział Regis. – Bo tu rzeczywiście mity mają pewne uzasadnienie w faktach. Skupmy się na mitach, uzasadnienia w faktach nie mających, a przecież rozpowszechnionych. Wszakże każdy wie, że ukąszony przez wampira, jeśli przeżyje, sam musi zostać wampirem. Prawda?

– Prawda – rzekł Jaskier. – Była taka ballada...

– Znasz podstawy arytmetyki?

– Studiowałem wszystkie siedem sztuk wyzwolonych. A dyplom uzyskałem *summa cum laude.*

– W waszym świecie po Koniunkcji Sfer zostało około tysiąca dwustu wyższych wampirów. Całkowitych abstynentów, bo oprócz mnie jest takich niemało, równoważy liczba pijących ponad miarę, jak ja swego czasu. Uśredniając, statystyczny wampir pije w każdą pełnię księżyca, bo pełnia jest dla nas świętem, które zwykliśmy... hmmm... oblewać. Sprowadzając rzecz do ludzkiego kalendarza i przyjmując dwanaście pełni w roku, otrzymujemy teoretyczną liczbę czternastu tysięcy czterystu ukąszonych ludzi rocznie. Od Koniunkcji, ponownie licząc według waszej rachuby czasu, minęło około tysiąca pięciuset lat. Z rezultatu prostego mnożenia wynika, że w chwili obecnej na świecie winno teoretycznie egzystować dwadzieścia jeden milionów sześćset tysięcy wampirów. Jeśli zaś rachunek uzupełnić o przyrost geometryczny...

– Dość – westchnął Jaskier. – Nie mam abakusa, ale liczbę wyobrażam sobie. A raczej nie wyobrażam. Znaczy, zarażanie wampiryzmem to bzdura i wymysł.

– Dziękuję – Regis ukłonił się. – Przejdźmy do następnego mitu, który głosi: wampir to człowiek, który umarł, ale nie całkiem. W grobie nie gnije i nie obraca się w proch. Leży sobie w mogile świeżutki i rumiany, gotów do wyjścia i kąsania. Skąd bierze się taki mit, jeśli nie z waszej podświadomej a irracjonalnej odrazy wobec czcigodnych zmarłych? Otaczacie zmarłych czcią i pamięcią, marzycie o nieśmiertelności, w waszych mitach i legendach co i rusz ktoś zmartwychwstaje, zwycięża śmierć. Ale gdyby wasz czcigodny nieboszczyk pradziadek faktycznie wylazł nagle z grobu i zażądał piwa, powstałaby panika. I nie dziwię się.

Materia organiczna, w której ustają procesy życiowe, ulega nieprzyjemnie objawiającej się degradacji. Śmierdzi, rozpływa się w maź. Nieśmiertelny duch, nieodzowny element waszych mitów, ze wstrętem porzuca śmierdzącą padlinę i ulatuje. Jest czysty, można spokojnie go czcić. Wymyśliliście jednak taki odrażający rodzaj ducha, który nie odlatuje, nie opuszcza zewłoka, ba, nie chce nawet śmierdzieć. To wstrętne i nienaturalne! Żywy umarły to dla was najobrzydliwsza z obrzydliwych anomalii. Jakiś kretyn ukuł nawet termin „martwiak", którym tak chętnie nas obdarzacie.

– Ludzie – uśmiechnął się lekko Geralt – są rasą prymitywną i zabobonną. Trudno im w pełni zrozumieć i właściwie nazwać istotę, która zmartwychwstaje, choć podziurawiono ją kołkami, pozbawiono głowy i zakopano na pięćdziesiąt lat w ziemi.

– Ano, trudno, w samej rzeczy – wampir nie przejął się szyderstwem. – Wasza zmutowana rasa regeneruje paznokcie, włosy i naskórek, niezdolna jest wszakże zaakceptować faktu, że istnieją rasy pod tym względem doskonalsze. Niezdolność ta nie wynika jednak z prymitywizmu. Wręcz przeciwnie: z egocentryzmu i przekonania o własnej doskonałości. Coś, co jest od was doskonalsze, musi być obrzydliwą aberracją. A obrzydliwe aberracje wpisuje się do mitów. W celach socjologicznych.

– Gówno z tego wszystkiego rozumiem – oznajmiła spokojnie Milva, odgarniając włosy z czoła brzechwą strzały. – Wżdy pojmuję, że o bajkach gadacie, a bajki przecie i ja znam, chociażem głupia dziewka z lasu. Wielce mnie dziwuje, że ty się wcale słońca nie lękasz, Regis. W bajkach słońce wampira na popiół pali. Mam li i to między bajki włożyć?

– Jak najbardziej – potwierdził Regis. – Wierzycie, że wampir jest groźny tylko w nocy, pierwszy promień słońca obraca go w proch. U podstaw mitu, ukutego przy pierwotnych ogniskach, leży wasza solarność, to znaczy ciepłolubność i rytm dobowy, zakładający aktywność dzienną. Noc jest dla was zimna, ciemna, zła, groźna, pełna niebezpieczeństw, wschód słońca oznacza zaś kolejne zwycięstwo w walce o przetrwanie, nowy dzień, kontynuację egzystencji. Światło słoneczne niesie jasność i ciepło, ożywcze dla was promienie słońca niosą zagładę wrogim wam monstrom. Wampir rozpada się w popiół, troll ulega petryfikacji, wilkołak odwilkołacza się, goblin umyka, zasłaniając oczy. Nocne drapieżniki wracają na swe leże, przestają

zagrażać. Aż do zachodu słońca świat należy do was. Powtarzam i podkreślam: mit powstał przy pradawnych obozowych ogniskach. Obecnie jest tylko mitem, bo oświetlacie i ogrzewacie już swoje siedziby; choć wciąż rządzi wami rytm solarny, zdołaliście zaanektować noc. My, wyższe wampiry, też odeszliśmy nieco od naszych pierwotnych krypt. Zaanektowaliśmy dzień. Analogia jest pełna. Czy wyjaśnienie zadowala cię, droga Milvo?

– Nijak – łuczniczka odrzuciła strzałę. – Ale chyba pojęłam. Uczę się. Umna będę. Socjolocja, aktywocja, srutututucja, wilkołacja. W szkołach, powiadają, rózgą biją. Z wami uczyć się przyjemniej. Głowa boli krzynkę, ale rzyć cała.

– Jedna rzecz kwestii nie ulega i łatwo ją zauważyć – rzekł Jaskier. – Promienie słońca nie obracają cię w popiół, Regis, ciepło słoneczne ma na ciebie wpływ równie mały, co tamta rozpalona podkowa, którą gracko wyciągnąłeś z ognia gołą ręką. Powracając jednak do twoich analogii, dla nas, ludzi, dzień zawsze pozostanie naturalną porą aktywności, a noc naturalną porą odpoczynku. Taka jest nasza konstrukcja fizyczna, za dnia, dla przykładu, widzimy lepiej niż nocą. Wyjątkiem jest Geralt, który zawsze widzi równie dobrze, ale on jest mutantem. Czy u wampirów to też była sprawa mutacji?

– Można to i tak nazwać – zgodził się Regis. – Choć uważam, że mutacja rozłożona na odpowiednio długi czas przestaje być mutacją, staje się ewolucją. Ale to, co mówiłeś o konstrukcji fizycznej, jest trafne. Zaadaptowanie się do światła słonecznego było dla nas przykrą koniecznością. Aby przetrwać, musieliśmy upodobnić się pod tym względem do ludzi. Mimikra, rzekłbym. Mająca zresztą konsekwencje. Używając metafory: położyliśmy się do łóżka chorego.

– Słucham?

– Są podstawy, by mniemać, że światło słoneczne jest na długą metę zabójcze. Jest teoria, że za jakieś pięć tysięcy lat, skromnie licząc, ten świat będą zamieszkiwać tylko stworzenia lunarne, aktywne nocą.

– Dobrze, że nie dożyję – westchnął Cahir, po czym ziewnął mocno. – Nie wiem, jak wam, ale mnie wzmożona aktywność dzienna właśnie przypomina o konieczności nocnego snu.

– Mnie też – przeciągnął się wiedźmin. – A do wschodu morderczego słońca zostało już tylko kilka godzinek. Zanim nas jednak sen zmorzy...

Regis, w ramach nauki i poszerzania wiedzy, rozwiej jeszcze jakiś mit o wampiryzmie. Bo założę się, że jeszcze jakiś ci został.

– Owszem – kiwnął głową wampir. – Jeszcze jeden. Ostatni, ale zgoła nie najmniej ważny. Jest to mit, który podyktowały wam wasze fobie seksualne.

Cahir parsknął z cicha.

– Mit zostawiłem na koniec – Regis zmierzył go wzrokiem – i sam taktownie nie napomykałbym o nim, ale Geralt wyzwał mnie, nie oszczędzę go wam zatem. Ludźmi najsilniej powodują lęki o podłożu seksualnym. Dziewica, omdlewająca w uścisku ssącego ją wampira, młodzieniaszek, wydany na pastwę wstrętnych praktyk wampirki, błądzącej ustami po jego ciele. Tak to sobie wyobrażacie. Gwałt oralny. Wampir paraliżuje ofiarę strachem i zmusza ją do seksu oralnego. Czy raczej obrzydliwej parodii seksu oralnego. A taki seks, wykluczający wszakże prokreację, jest czymś wstrętnym.

– Mów za siebie – mruknął wiedźmin.

– Akt, ukoronowany nie prokreacją, ale rozkoszą i śmiercią – kontynuował Regis. – Uczyniliście z tego złowrogi mit. Sami podświadomie marzycie o czymś takim, ale wzdragacie się, by coś takiego dać partnerowi lub partnerce. Robi to więc za was ów mitologiczny wampir, urastając przez to do fascynującego symbolu zła.

– A nie mówiłam? – wrzasnęła Milva, gdy tylko Jaskier skończył jej objaśniać, o co szło Regisowi. – Nic, jeno o tym! Mądrze zaczynają, a zawżdy na dupie kończą!

•

Trąbienie żurawi powoli cichło w oddali.

Nazajutrz, przypomniał sobie wiedźmin, w znacznie poprawionych nastrojach wyruszyliśmy na szlak. I wtedy, całkiem niespodzianie, znowu doścignęła nas wojna.

•

Podróżowali przez porośnięty dzikim borem, praktycznie bezludny i strategicznie mało ważny kraj, nie mogący nęcić najezdników. Chociaż do Nilfgaardu było blisko, a od ziem cesarskich oddzielała ich tylko płań Wielkiej Jarugi, była to rubież niełatwa do pokonania. Tym większe było ich zaskoczenie.

Wojna objawiła się w sposób mniej spektakularny, niż w Brugge i Sodden, gdzie nocami horyzont jaśniał od łun, a za dnia słupy czarnego dymu przekreślały błękit. Tu, w Angrenie, nie było tak widowiskowo. Było gorzej. Nagle zobaczyli stado wron, z dzikim krakaniem krążące nad lasem, a wkrótce potem natknęli się na trupy. Choć obdarte z odzieży i niemożliwe do zidentyfikowania, zwłoki nosiły nieomylne i wyraźne ślady bardzo gwałtownej śmierci. Ludzie ci zostali zabici w boju. I nie tylko. Większość trupów leżała w zaroślach, ale niektóre, makabrycznie okaleczone, wisiały za ręce lub za nogi na gałęziach drzew, wyciągały zwęglone kończyny z wygaśniętych stosów, sterczały na palach. I śmierdziały. Cały Angren zaczął nagle śmierdzieć potwornym, wstrętnym odorem barbarzyństwa.

Nie trwało długo, a musieli już taić się w jarach i chaszczach, bo z prawa i lewa, z przodu i z tyłu ziemia rozhuczała się od kopyt kawaleryjskich koni, a coraz to inne oddziały mijały ich kryjówkę, wzbijając kurz.

•

– Znowu – kręcił głową Jaskier. – Znowu nie wiemy, kto bije kogo i dlaczego. Znowu nie wiemy, kto jest za nami, a kto przed nami, kto w jakim kierunku zmierza. Kto jest w natarciu, a kto w odwrocie. Zaraza niech to porwie! Nie pamiętam, czy mówiłem wam to już, ale stwierdzam, że wojna zawsze przypomina burdel ogarnięty pożarem...

– Mówiłeś – przerwał Geralt. – Dobrą setkę razy.

– O co tutaj się biją? – poeta splunął soczyście. – O jałowce i piachy? Niczym więcej wszakże nie dysponuje ta przepiękna kraina!

– Wśród tych, co leżeli w krzakach – powiedziała Milva – były elfy. Komanda Scoia'tael chodzą tędy, zawsze chodziły. Tędy droga im wypada, gdy ochotniki z Dol Blathanna i Gór Sinych ciągną do Temerii. Ktoś im tę drogę zagrodzić chce. Tak sobie myślę.

– Nie jest wykluczone – przyznał Regis – że temerskie wojsko robi tu obławy na Wiewiórki. Ale za dużo coś tego wojska w okolicy. Podejrzewam, że Nilfgaardczycy przeszli jednak Jarugę.

– Też tak podejrzewam – skrzywił się lekko wiedźmin, patrząc na zachowującego kamienne oblicze Cahira. – Trupy, które widzieliśmy rano, nosiły ślady nilfgaardzkiego sposobu wojowania.

– Jedni od drugich nie lepsi – warknęła Milva, niespodzianie biorąc młodego Nilfgaardczyka w obronę. – A na Cahira oczu nie koś, boście teraz obaj jednaką a przedziwną dolą złączeni. Jemu śmierć, gdy Czarnym w łapy wpadnie, a tyś niedawno Temerczykom ze stryczka się urwał. Próżno tedy dociekać, jakie wojsko za nami, jakie przed nami, którzy swoi, którzy cudzy, którzy dobrzy, a którzy źli. Nynie wszyscy nasi to wspólni niedrugowie, zajedno, jakie barwy noszą.

– Masz rację.

•

– Ciekawe – rzekł Jaskier, gdy następnego dnia znowu utaili się w jarze, przeczekując kolejną kawalkadę. – Wojsko cwałuje po wzgórzach, aż ziemia dudni, a z dołu, od Jarugi, słychać siekiery. Drwale rąbią las, jak gdyby nigdy nic. Słyszycie?

– Może to nie drwale – zastanowił się Cahir. – Może to też wojsko? Jakieś saperskie roboty?

– Nie, to drwale – stwierdził Regis. – Najwyraźniej nic nie jest w stanie przerwać eksploatacji angreńskiego złota.

– Jakiego złota?

– Przyjrzyjcie się tym drzewom – wampir po raz kolejny przybrał pełen wyższości ton wszystkowiedzącego mędrca pouczającego maluczkich i nierozgarniętych. Ton taki zdarzało mu się przybierać dość często, co trochę Geralta złościło.

– Te drzewa – powtórzył Regis – to cedry, jawory i sosny angreńskie. Bardzo cenny materiał. Wszędzie są tu bindugi, z których spławia się pnie w dół rzeki. Wszędzie są wyręby, a topory stukają dzień i noc. Wojna, którą obserwujemy i słyszymy, nabiera sensu. Nilfgaard, jak wiecie, opanował ujście Jarugi, Cintrę i Verden, także Górne Sodden. W tej chwili również prawdopodobnie Brugge i część Dolnego Sodden. To oznacza, że spławiane z Angrenu drewno zaopatruje już cesarskie tartaki i stocznie. Północne królestwa próbują więc wstrzymać spław, Nilfgaardczycy przeciwnie, chcą, by rąbano i spławiano jak najwięcej.

– A my, jak zwykle, mamy pecha – pokiwał głową Jaskier. – Bo nam trzeba na Caed Dhu, akuratnie przez sam środek Angrenu i tej drewnianej wojny. Nie ma, cholera, innej drogi?

•

To samo pytanie, przypomniał sobie wiedźmin, wpatrzony w zachodzące nad Jarugą słońce, zadałem Regisowi, gdy tylko łomot kopyt ścichł w oddali, uspokoiło się i mogliśmy wreszcie wyruszyć w dalszą drogę.

•

– Inna droga do Caed Dhu? – zamyślił się wampir. – Żeby ominąć wzgórza, zejść z drogi wojskom? Owszem, jest taka droga. Niezbyt wygodna i niezbyt bezpieczna. Dłuższa. Ale wojsk, gwarantuję, nie napotkamy tam.

– Mów.

– Możemy skręcić na południe i spróbować przedostać się przez depresję w meandrze Jarugi. Przez Ysgith. Znasz Ysgith, wiedźminie?

– Znam.

– Przejeżdżałeś kiedyś przez grądy?

– Owszem.

– Spokój w twoim głosie – wampir odchrząknął – zdaje się świadczyć, że akceptujesz pomysł. Cóż, jest nas piątka, w tym wiedźmin, wojownik i łuczniczka. Doświadczenie, dwa miecze i łuk. Za mało, by stawić czoła nilfgaardzkiemu zagonowi, ale na Ysgith powinno wystarczyć.

Ysgith, pomyślał wiedźmin. Trzydzieści kilka mil kwadratowych bagien i błot, upstrzonych oczkami jeziorek. I rozdzielające trzęsawiska mroczne grądy, na których rosną dziwaczne drzewa. Jedne mają pnie pokryte łuską, u nasady bulwiaste jak cebule, smuklejące ku górze, ku płaskim i gęstym koronom. Inne są niskie i koślawe, siedzą na kupach pokręconych jak ośmiornice korzeni, a na ich gołych konarach wiszą brody mchów i wyschłych bagiennych porostów. Brody te stale poruszają się, ale to nie wiatr, lecz trujący błotny gaz. Ysgith, czyli Błotniak. Nazwa „Śmierdziuch” byłaby trafniejsza.

A w błotach, trzęsawiskach, w zarośniętych rzęsą i moczarką stawkach i jeziorkach tętni życie. Bytują tam nie tylko bobry, żaby, żółwie i ptactwo wodne. Ysgith roi się od stworzeń znacznie niebezpieczniejszych, wyposażonych w kleszcze, macki i chwytne odnóża, za pomocą których zwykły łapać, kaleczyć, topić i rozszarpywać. Stworzeń tych jest tyle, że nikt nigdy nie zdołał wszystkich poznać i sklasyfikować. Nawet wiedźmini. On sam też rzadko polował w Ysgith i w ogóle w Dolnym Angrenie. Kraina była mało

zaludniona, nieliczni mieszkający na obrzeżu bagien ludzie przyzwyczaili się traktować potwory jako element krajobrazu. Mieli przed nimi respekt, ale rzadko przychodziło im do głowy, by wynajmować wiedźmina, by je tępił. Rzadko, ale nie nigdy. Geralt znał więc Ysgith i jego grozę. Dwa miecze i łuk, pomyślał. I doświadczenie, moja wiedźmińska praktyka. W grupie powinno się udać. Zwłaszcza gdy ja pojadę w awangardzie i będę miał baczenie na wszystko. Na przegniłe pnie, kupy wodorostów, krzaki, kępy traw, rośliny, nawet orchidee. Bo na Ysgith nawet orchidea czasami tylko wygląda na kwiat, w rzeczywistości jest jadowitym krabopająkiem. Trzeba będzie trzymać Jaskra krótko, pilnować, by czegoś nie dotknął. Tym bardziej, że nie brakuje tam roślin, lubiących uzupełniać chlorofilową dietę kawałkiem mięsa. Takich, których pędy w kontakcie ze skórą działają równie skutecznie jak jad krabopająka. No i gaz, oczywiście. Trujący opar. Trzeba pomyśleć o zasłonach na usta i nos...

– Jakże więc? – Regis wyrwał go z zamyślenia. – Akceptujesz plan?

– Akceptuję. Ruszajmy.

•

Coś mnie wówczas tknęło, przypomniał sobie wiedźmin, by nie mówić reszcie kompanii o projekcie przeprawy przez Ysgith. Żeby poprosić Regisa, by też się tym nie chwalił. Sam nie wiem, dlaczego się ociągałem. Dzisiaj, gdy wszystko równo i totalnie się popieprzyło, mógłbym sobie wmawiać, że zwróciłem uwagę na zachowanie Milvy. Na problemy, które miewała. Na ewidentne objawy. Ale to nie byłaby prawda. Niczego nie zauważyłem, a to, co zauważyłem, zlekceważyłem. Jak bałwan. I jechaliśmy nadal na wschód, ociągając się ze skręceniem ku bagnom.

Z drugiej strony dobrze, że się ociągaliśmy, pomyślał, dobywając miecza i dotykając kciukiem ostrej jak brzytwa klingi. Gdybyśmy wówczas od razu pojechali ku Ysgith, nie miałbym dziś tej broni.

•

Od świtu nie widzieli ani nie słyszeli żadnych wojsk. Milva jechała przodem, daleko przed resztą kompanii. Regis, Jaskier i Cahir gadali.

– Oby tylko ci druidzi zechcieli się wysilić, by nam pomóc w sprawie Ciri – martwił się poeta. – Zdarzało mi się spotykać druidów i wierzcie

mi, były to mruki nieużyte, zdziwaczałe odludki. Może zdarzyć się tak, że w ogóle nie zechcą z nami gadać, a co dopiero używać magii.

– Regis – przypomniał wiedźmin – zna kogoś wśród tych z Caed Dhu.

– A nie datuje się aby ta znajomość sprzed trzystu lub czterystu lat?

– Jest znacznie młodsza – zapewnił z zagadkowym uśmiechem wampir. – Zresztą druidzi są długowieczni. Stale przebywają na powietrzu, wśród pierwotnej i nieskażonej przyrody, a to znakomicie wpływa na zdrowie. Oddychaj pełną piersią, Jaskier, wypełniaj płuca leśnym powietrzem, też będziesz zdrowy.

– Od tego leśnego powietrza – rzekł z przekąsem Jaskier – niedługo sierścią porosnę, cholera. Po nocach śnią mi się karczma, piwo i łaźnia. A pierwotną przyrodę niech pierwotna zaraza porwie, powątpiewam zresztą w jej zbawienny wpływ na zdrowie, zwłaszcza psychiczne. Rzeczeni druidzi są tu najlepszym przykładem, albowiem są to zdziwaczali pomyleńcy. Mają absolutnego chyzia na punkcie tej ich przyrody i jej ochrony. Mało to razy byłem świadkiem, jak zanosili petycje do władz? Nie polować, drzew nie wycinać, gnojówek do rzek nie spuszczać i temu podobne bzdury. A szczytem głupoty było zjawienie się całej ich przybranej w jemiołowe wieńce delegacji u króla Ethaina w Cidaris. Byłem tam akurat...

– Czego chcieli? – zaciekawił się Geralt.

– Cidaris, jak wiecie, to jedno z królestw, w którym większość ludności utrzymuje się z rybołówstwa. Druidzi zażądali, by król nakazał używać sieci o określonej wielkości ok i surowo karał tych, którzy będą stosować sieci o okach mniejszych, niż nakazane. Ethainowi szczęka opadła, a jemiolarze wyjaśnili, że te oka to jedyny sposób, by uchronić zasoby rybne przed wyczerpaniem. Król wyprowadził ich na taras, pokazał morze i opowiedział, jak to najśmielszy z jego żeglarzy płynął kiedyś na zachód dwa miesiące i zawrócił, bo słodka woda kończyła się na korabiu, a lądu na horyzoncie i śladu nie było. Czy oni, druidzi, wyobrażają sobie, zapytał, że można wyczerpać zasoby rybne z takiego morza? Jak najbardziej, potwierdzili jemiolarze, choć niezawodnie rybołówstwo morskie najdłużej przetrwa jako sposób pozyskiwania żywności wprost z natury, to nastanie czas, gdy ryb zabraknie i głód zajrzy w oczy. Trzeba tedy bezwzględnie łowić sieciami o większych okach, chwytać wyrośnięte ryby, chroniąc narybek. Ethain spytał, kiedy to, zdaniem druidów, nastąpi ten straszny, głodowy czas, a oni na to, że

za dwa tysiące lat, według ich prognoz. Król pożegnał ich grzecznie i poprosił, by wpadli znowu za jakieś tysiąc lat, wtedy się pomyśli. Jemiolarze żartu nie zrozumieli i zaczęli się stawiać, więc wyrzucono ich za bramę.

– Oni już tacy są, ci druidzi – potwierdził Cahir. – U nas, w Nilfgaardzie...

– Tuś mi! – krzyknął triumfalnie Jaskier. – U nas, w Nilfgaardzie! Jeszcze wczoraj, gdy nazwałem cię Nilfgaardczykiem, toś podskakiwał, jakby cię szerszeń użądlił! Ty może zdecyduj się wreszcie, Cahir, kim jesteś.

– Dla was – wzruszył ramionami Cahir – muszę być Nilfgaardczykiem, nic was, jak widzę, nie przekona. Gwoli ścisłości wiedzcie jednak, że takie miano w Cesarstwie przysługuje tylko rdzennym mieszkańcom stolicy i jej najbliższych okolic, położonych nad dolną Albą. Mój ród wywodzi się z Vicovaro, a zatem...

– Zamknąć gęby! – skomenderowała raptownie i mało grzecznie jadąca w awangardzie Milva. Wszyscy zamilkli natychmiast i wstrzymali konie, nauczeni już, że jest to znak, że dziewczyna widzi, słyszy lub wyczuwa instynktem coś, co można będzie zjeść, gdy da się to podejść i trafić strzałą. Milva w samej rzeczy przysposobiła łuk, ale nie zeskoczyła z siodła. Nie chodziło zatem o polowanie. Geralt zbliżył się ostrożnie.

– Dym – powiedziała krótko.

– Nie widzę.

– Nosem pociągnij.

Węch nie mylił łuczniczki, choć zapach dymu był nikły. Nie mógł to też być dym pożaru ani pogorzeliska. Ten dym, skonstatował Geralt, pachniał miło. Pochodził z ogniska, na którym coś pieczono.

– Ominiemy? – spytała półgłosem Milva.

– Ale rzuciwszy okiem – odpowiedział, zsiadając z klaczy i podając wodze Jaskrowi. – Dobrze będzie wiedzieć, co ominęliśmy. I kogo mamy za plecami. Chodź ze mną. Reszta niech zostanie w siodłach. Bądźcie czujni.

Z zarośli na skraju lasu roztaczał się widok na rozległy wyrąb, na ustawione w równe sągi pnie. Cieniutkie pasemko dymu unosiło się właśnie spomiędzy sągów. Geralt uspokoił się nieco – w zasięgu wzroku nic się nie poruszało, a między sągami za mało było miejsca, by mogła się tam kryć jakaś większa grupa. Milva też to spostrzegła.

– Nie ma koni – szepnęła. – To nie wojsko. Drwale, widzi mi się.

– Mnie też. Ale pójdę sprawdzić. Osłaniaj mnie.

Gdy zbliżył się, ostrożnie klucząc między zwałami pni, usłyszał głosy. Podszedł bliżej. I bardzo się zdumiał. Ale słuch nie zwodził go.

– Pół placka w kule!

– Mała kupa w dzwonki!

– Gwint!

– Akces. Wist! Wyłóżcie wychodek. O żeż...

– Ha-ha-ha! Jeno niżnik z małym! W miętkie trafione! Pierwej prawdziwie usrasz się, nim małą kupę uskładasz!

– Uwidzim jeszcze. Niżnika kładę. Co, wziął? Ech, Yazon, pograłeś jak rzyć kacza!

– Czemuś panny nie położył, zasrańcze? Ech, wziąłbym pałę...

Wiedźmin, być może, byłby nadal ostrożny – ostatecznie w gwinta grywać mogło wielu różnorakich osobników, a imię Yazon też nosić mogło wielu. W podniecone głosy karciarzy wdarł się jednak nagle znany mu dobrze chrapliwy skrzek.

– Rrrr... wa mać!

– Witajcie, chłopaki. – Geralt wyszedł zza sągu. – Rad jestem was widzieć. Zwłaszcza znowu w pełnym składzie, nawet z papugą.

– Jasna cholera! – Zoltan Chivay z wrażenia upuścił karty, po czym szybko zerwał się z ziemi, tak gwałtownie, że siedzący na jego ramieniu Feldmarszałek Duda zatrzepotał skrzydłami i wrzasnął przestraszony. – Wiedźmin, jak pragnę dobrobytu! Czy też to fatamorgana? Percival, widzisz to samo, co ja?

Percival Schuttenbach, Munro Bruys, Yazon Varda i Figgis Merluzzo oblegli Geralta i mocno nadwerężyli mu prawicę uściskami. A gdy zza zwałów pni wyłoniła się reszta drużyny, hałaśliwa radość wzmogła się odpowiednio.

– Milva! Regis! – wykrzykiwał Zoltan, ściskając wszystkich. – Jaskier, żywy, choć z bandażem na łbie! I co powiesz, grajku zatracony, na kolejny melodramatyczny banał? Życie, wychodzi, to nie poezja! A wiesz, dlaczego? Bo nie poddaje się krytyce!

– A gdzie – rozejrzał się Jaskier – Caleb Stratton?

Zoltan i reszta zamilkli nagle i spoważnieli.

– Caleb – powiedział wreszcie krasnolud, pociągnąwszy nosem – w ziemi pod brzezinką śpi, daleko od jego ukochanych wierchów i góry

Carbon. Jak nas Czarni nad Iną dopadli, zbyt wolno nogami przebierał, lasu nie dobiegł... Wziął po łbie mieczem, gdy upadł, skłuli go rohatynami. No, rozchmurzcie się, my już jego opłakali, dość będzie. Cieszyć się nam raczej. Wyście wszak w komplecie z tumultu w obozie wyszli. Ba, nawet powiększyła się drużyna, jak widzę.

Cahir skłonił lekko głowę pod uważnym spojrzeniem krasnoluda, nic nie powiedział.

– No, siadajcie – zaprosił Zoltan. – My tu owieczkę pieczemy. Napotkaliśmy parę dni temu, samotną i smutną, nie daliśmy złą śmiercią zginąć, z głodu albo w wilczej paszczy, litościwie zarżnęliśmy i na strawę przerabiamy. Siadajcie. Ciebie zaś, Regis, na stronę na chwilkę poproszę. Geralt, ty pozwól również.

Za sągiem siedziały dwie kobiety. Jedna karmiła piersią niemowlę, na widok podchodzących odwróciła się skromnie. Opodal młoda dziewczyna z owiniętą niezbyt czystymi szmatami ręką bawiła się na piasku z dwójką dzieci. Tę wiedźmin poznał natychmiast, gdy tylko podniosła na niego zamglone, obojętne oczy.

– Odwiązaliśmy ją od wozu, który już się palił – wyjaśnił krasnolud. – Mało brakowało, by jednak skończyła tak, jak chciał ów zawzięty na nią kapłan. Chrzest ogniowy wszelakoż przeszła. Liznął ją płomień, przypiekł do żywego mięsa. Opatrzyliśmy, jak umieliśmy, pomazawszy sadłem, ale to się paprze krzynkę. Cyruliku, jeśli mógłbyś...

– Bezzwłocznie.

Gdy Regis chciał odwinąć opatrunek, dziewczyna zakwiliła, cofając się i zasłaniając twarz zdrową ręką. Geralt zbliżył się, by ją przytrzymać, ale wampir pohamował go gestem. Spojrzał głęboko w błędne oczy dziewczyny, a ta natychmiast uspokoiła się, zmiękła. Głowa lekko opadła jej na pierś. Nawet nie drgnęła, gdy Regis ostrożnie odkleił brudną szmatę i posmarował przypieczone ramię ostro i dziwnie pachnącą maścią.

Geralt odwrócił głowę, popatrzył na obie kobiety, na dwójkę dzieci, potem na krasnoluda. Zoltan chrząknął.

– Na baby – wyjaśnił półgłosem – i tę parkę małolatów natrafiliśmy już tu, w Angrenie. Zagubiło się toto w ucieczce, samo było, zestrachane i głodne, no to przygarnęliśmy, opiekujemy się. Jakoś tak wyszło.

– Jakoś tak wyszło – powtórzył Geralt, uśmiechając się leciutko. – Jesteś niepoprawnym altruistą, Zoltanie Chivay.

– Każdy ma jakieś wady. Ty przecie nadal dziewczynie twojej na ratunek spieszysz.

– Nadal. Choć sprawy się pokomplikowały.

– Przez tego Nilfgaardczyka, co dawniej za tobą śledził, a teraz do kompanii doszlusował?

– Częściowo. Zoltan, skąd są ci uciekinierzy? Przed kim uciekali? Przed Nilfgaardem czy Wiewiórkami?

– Ciężko wymiarkować. Dzieciaki gówno wiedzą, baby jakoś mało rozmowne i boczą się nie wiedzieć czemu. Zaklniesz przy nich, względnie pierdniesz, jak te buraki czerwienieją... Nieważne. Ale spotkaliśmy innych zbiegów, drwali, od nich wiemy, że grasuje tu Nilfgaard. Starzy nasi znajomi chyba, zagon, który od zachodu nadciągnął, zza Iny. Ale są tu też podobno oddziały, które przyszły od południa. Zza Jarugi.

– A z kim walczą?

– To jest zagadka. Drwale mówili o armii, której jakaś Biała Królowa przewodzi. Owa królowa Czarnych bije. Podobno nawet na tamten brzeg Jarugi się zapuszcza ze swym wojskiem, na cesarskie ziemie nosi ogień i miecz.

– O jakie wojska może chodzić?

– Nie mam przedstawienia – Zoltan podrapał się w ucho. – Widzisz, co dnia jacyś zbrojni kopytami tu dukty orzą, ale nie pytamy, kto oni. W krzaki się chowamy...

Rozmowę przerwał Regis, który uporał się z poparzonym ramieniem dziewczyny.

– Opatrunek trzeba codziennie zmieniać – powiedział do krasnoluda. – Zostawiam wam maść i tiul, który nie lepi się do oparzeliny.

– Dzięki, cyruliku.

– Ręka się jej zagoi – powiedział cicho wampir, patrząc na wiedźmina. – Z czasem nawet blizna zniknie z młodej skóry. Gorzej z tym, co dzieje się w głowie tej nieszczęsnej. Tego moje maści nie wykurują.

Geralt milczał. Regis wytarł ręce szmatką.

– Fatum albo przekleństwo – powiedział półgłosem. – Móc wyczuwać we krwi chorobę, całą istotę choroby, a nie potrafić wyleczyć...

– Ano – westchnął Zoltan – skórę łatać to jedno, ale gdy rozum popsowany, nie poradzi się nic. Jeno dbać a opiekować się... Dzięki ci za

pomoc, cyruliku. Ty, jak widzę, też do wiedźminowej kompanii się przyłączyłeś?

– Jakoś tak wyszło.

– Hmm – Zoltan pogładził brodę. – I kędyż to zamiarujecie Ciri szukać?

– Idziemy na wschód, na Caed Dhu, do druidzkiego kręgu. Liczymy na pomoc druidów...

– Znikąd pomocy – odezwała się dźwięcznym, metalicznym głosem siedząca pod sągiem dziewczyna z zabandażowanym ramieniem. – Znikąd pomocy. Tylko krew. I ogniowy chrzest. Ogień oczyszcza. Ale i zabija.

Regis mocno chwycił za ramię osłupiałego Zoltana, gestem nakazał mu milczenie. Geralt, który wiedział, co to jest hipnotyczny trans, milczał i nie poruszał się.

– Kto krew rozlewał i kto krew pił – mówiła dziewczyna, nie podnosząc głowy – ten krwią zapłaci. Trzy dni nie miną, jedno umrze w drugim, a wtedy coś umrze w każdym. Po trochu będą umierać, po troszeczku... A gdy w końcu zetrą się chodaki żelazne i wyschną łzy, wtedy umrze ta reszteczka, która zostanie. Umrze nawet to, co nigdy nie umiera.

– Mów – powiedział cicho i łagodnie Regis. – Mów, co widzisz.

– Mgłę. Wieżę we mgle. To jest Wieża Jaskółki... Na jeziorze, które skuwa lód.

– Co jeszcze widzisz?

– Mgłę.

– Co czujesz?

– Ból...

Regis nie zdążył zadać następnego pytania. Dziewczyna szarpnęła głową, zakrzyczała dziko, zakwiliła. Gdy podniosła oczy, faktycznie była w nich już tylko mgła.

•

Zoltan, przypomniał sobie Geralt, wciąż wodząc palcami po pokrytym runami brzeszczocie, po tym wydarzeniu nabrał do Regisa respektu, porzucił familiarny ton, którym zwykł był zwracać się do cyrulika. Zgodnie z prośbą Regisa, nie powiedzieli pozostałym ani słowa o dziwnym wydarzeniu. Wiedźmin niezbyt się tym wszystkim przejął.

Widywał już podobne transy i skłaniał się ku poglądowi, że gadanina zahipnotyzowanych nie była wieszczeniem, lecz powtarzaniem przechwyconych myśli i podświadomych sugestii hipnotyzera. Co prawda, w tym przypadku nie była to hipnoza, lecz wampirzy urok, i Geralt trochę zastanawiał się, co też jeszcze zauroczona dziewczyna wychwyciłaby z myśli Regisa, gdyby trans trwał dłużej.

Przez pół dnia wędrowali razem z krasnoludami i ich podopiecznymi. Potem Zoltan Chivay zatrzymał pochód i wziął wiedźmina na stronę.

•

– Trzeba się rozstać – oświadczył krótko. – Myśmy, Geralt, podjęli decyzję. Na północy niebieszczy się już Mahakam, ta zaś dolina wprost w góry wiedzie. Dość przygód. Wracamy do swoich. Pod górę Carbon.

– Rozumiem.

– Miło, że chcesz rozumieć. Życzę ci szczęścia, tobie i twojej kompanii. Dziwnej kompanii, ośmielę się zauważyć.

– Chcą mi pomóc – rzekł cicho wiedźmin. – To dla mnie coś nowego. Dlatego postanowiłem nie dociekać pobudek.

– Mądrze – Zoltan ściągnął z pleców swój krasnoludzki sihill w pochwie z laki, omotanej kocimi skórkami. – Masz, bierz. Nim się nasze drogi rozejdą.

– Zoltan...

– Nie gadaj, tylko bierz. My w górach tę wojnę przesiedzimy, na nic nam żelazo. Ale przyjemnie będzie nieraz przy piwie wspomnieć, że kuty w Mahakamie sihill w dobrym ręku i w dobrej sprawie świszcze. Że nie zhańbi się. A i ty, gdy tą klingą krzywdzicieli twojej Ciri będziesz płatał, płatnij choć jednego za Caleba Strattona. I wspomnij Zoltana Chivaya i krasnoludzkie kuźnie.

– Możesz być pewien – Geralt przyjął miecz, przewiesił go przez plecy. – Możesz być pewien, że będę wspominał. Na tym parszywym świecie, Zoltanie Chivay, dobro, uczciwość i prawość mocno zapadają w pamięć.

– A i owszem – krasnolud zmrużył oczy. – Dlatego ja nie zapomnę ani ciebie i maruderów na leśnej porębie, ani Regisa i podkowy w żarze. Jeśli zaś chodzi o wzajemność pod tym względem...

Zawiesił głos, chrząknął, charknął i splunął.

– Myśmy, Geralt, obrobili kupca pod Dillingen. Bogacza, co się na havekarskim handlu upasł. Gdy załadował złoto i klejnoty na wóz i z

miasta uciekał, zasadziliśmy się na niego. Jako lew majątku bronił, pomocy wzywał, więc razy kilka obuszkiem w czerep wziął i potem już spokojny był i cichutki. Pamiętasz kuferki, któreśmy taszczyli, na wozie wieźli, a na koniec nad rzeczką O w ziemi zaryli? Tam właśnie było zrabowane havekarskie dobro. Złodziejski łup, na którym naszą przyszłość zamiarujemy pobudować.

– Dlaczego mi to mówisz, Zoltan?

– Bo ciebie, jak mniemam, oszukańcze pozory zwiodły nie tak dawno. To, co za dobro i prawość miałeś, okazało się podłym i niegodziwym pod ładną maską. Ciebie łatwo oszukać, wiedźminie, bo ty nie dociekasz pobudek. Ale ja nie chcę cię oszukiwać. Tedy nie patrz na te baby i dzieci, nie miej krasnoluda, który przed tobą stoi, za prawego i szlachetnego. Stoi przed tobą złodziej, rabuś, a może i morderca. Bo nie wykluczam, że obity havekar skapiał w rowie przy dillingeńskim gościńcu.

Milczeli długo, patrząc na dalekie, tonące w chmurach góry na północy.

– Bywaj, Zoltan – rzekł wreszcie Geralt. – Być może siły, w istnienie których powoli przestaję wątpić, pozwolą nam się jeszcze kiedyś spotkać. Chciałbym, by tak było. Chciałbym móc przedstawić ci Ciri, chciałbym, by mogła cię poznać. Ale nawet jeśli się nie uda, wiedz, że nie zapomnę cię. Bywaj, krasnoludzie.

– Podasz mi rękę? Złodziejowi i bandycie?

– Bez wahania. Bo mnie już nie tak łatwo oszukać jak niegdyś. Choć nie dociekam pobudek, pomału uczę się sztuki zaglądania pod maszkary.

•

Geralt machnął sihillem i przeciął w połowie przelatującą obok ćmę.

Po rozstaniu z Zoltanem i jego grupą, przypomniał sobie, nadybaliśmy w lasach grupę wędrujących chłopów. Część na nasz widok pierzchła, ale kilku Milva powstrzymała, grożąc im łukiem. Chłopi, jak się okazało, byli do niedawna jeńcami Nilfgaardczyków. Zapędzono ich do wyrębu cedrów, ale przed kilkoma dniami strażników zaatakował i rozbił jakiś oddział i wyzwolił ich. Teraz wracali do domów. Jaskier uparł się, by wyjaśnić, kim byli owi wyzwoliciele, indagował ostro i dociekliwie.

•

– Owi wojacy – powtórzył chłop – Białej Królowej służą. Gromią Czarnych, że hej! Powiadali, że są jako goryle na tyłach wrażych.

– Jako kto?

– Przecie mówię. Jako goryle.

– Goryle, psiakrew – Jaskier skrzywił się i machnął ręką. – Oj, ludzie, ludzie... Jakie znaki, pytałem, owo wojsko nosiło?

– Rozmaite, panie. Osobliwie konni. Piechota zasię takie krasne coś.

Chłop wziął patyk i wyskrobał na piasku kształt rombu.

– Raut – zdziwił się oblatany w heraldyce Jaskier. – Nie temerska lilia, ale raut. Godło Rivii. Ciekawe. Do Rivii stąd dobre dwieście mil. Nie wspominam już o fakcie, że armia Lyrii i Rivii została całkowicie unicestwiona podczas walk o Dol Angra i pod Aldersbergiem, a kraj okupuje Nilfgaard... Nic z tego nie rozumiem!

– To normalne – uciął wiedźmin. – Dość gadania. W drogę.

•

– Ha! – krzyknął poeta, który cały czas rozmyślał i analizował wydobyte od chłopów informacje. – Połapałem się! Nie goryle, ale gerylasi! Partyzantka! Na tyłach wroga, uważacie?

– Uważamy – kiwnął głową Cahir. – Jednym słowem, na tych terenach działa partyzantka Nordlingów. Jakieś oddziały, zapewne sformowane z resztek wojsk Lyrii i Rivii, rozbitych w połowie lipca pod Aldersbergiem. Słyszałem o tej bitwie, gdy byłem u Wiewiórek.

– Wieść uważam za pocieszającą – oświadczył Jaskier, dumny, że to jemu udało się rozszyfrować zagadkę o gorylach. – Nawet jeśli chłopom pomyliły się heraldyczne godła, to raczej nie mamy do czynienia z armią Temerii. A nie sądzę, by do rivskich gerylasów dotarła już wieść o dwóch szpiegach, którzy niedawno tajemniczo zbiegli spod szubienicy marszałka Vissegerda. Gdybyśmy napatoczyli się na tych partyzantów, mamy szanse się wyłgać.

– Można na to liczyć – powiedział Geralt, uspokajając brykającą Płotkę. – Ale, szczerze mówiąc, wolałbym się nie napatoczyć.

– To wszakże twoi rodacy, wiedźminie – rzekł Regis. – Przecież nazywają cię Geraltem z Rivii.

– Poprawka – odrzekł zimno. – To ja sam się tak nazywam, żeby było ładniej. Imię z takim dodatkiem budzi u moich klientów większe zaufanie.

– Pojmuję – uśmiechnął się wampir. – Dlaczego jednak wybrałeś właśnie Rivię?

– Ciągnąłem patyki, oznaczone różnymi dźwięcznymi nazwami. Zasugerował mi tę metodę mój wiedźmiński preceptor. Nie od razu. Dopiero wówczas, gdy uparłem się przybrać nazwisko Geralt Roger Eryk du Haute-Bellegarde. Vesemir uznał to za śmieszne, pretensjonalne i kretyńskie. Zdaje się, że miał rację.

Jaskier parsknął głośno, wymownie patrząc na wampira i Nilfgaardczyka.

– Moje wieloczłonowe nazwisko – rzekł nieco urażony spojrzeniem Regis – jest nazwiskiem prawdziwym. I zgodnym z wampirzą tradycją.

– Moje również – pospieszył z wyjaśnieniem Cahir. – Mawr to imię mojej matki, a Dyffryn pradziadka. I nie ma w tym nic śmiesznego, poeto. A ty sam, ciekawość, jak się nazywasz? Przecież Jaskier to oczywisty pseudonim.

– Nie mogę używać i zdradzać prawdziwego nazwiska – odrzekł tajemniczo bard, zadzierając dumnie nos. – Jest zbyt słynne.

– A mię – włączyła się nagle do rozmowy Milva, od dłuższego czasu ponura i milcząca – srodze źliło, gdy mię spieszczali na Maja, Mania albo Marilka. Gdy ktoś takie imię słyszy, zara duma, że wolno po tyłku klepać.

•

Ciemniało. Żurawie odleciały, ich trąbienie ucichło w oddali. Uciszył się wiaterek, wiejący od wzgórz. Wiedźmin schował sihill do pochwy.

To było dziś rano. Dziś rano. A po południu zaczęła się afera.

Mogliśmy zacząć podejrzewać wcześniej, pomyślał. Ale kto z nas, oprócz Regisa, znał się na takich sprawach? Owszem, wszyscy zauważyli, że Milva często wymiotuje o świcie. Ale jedliśmy nieraz takie rzeczy, że wszystkim flaki się przewracały. Jaskier też rzygał raz czy dwa razy, a Cahir kiedyś dostał takiej sraczki, że przeraził się, iż złapał czerwonkę. To zaś, że dziewczyna co i rusz złazi z siodła i chodzi w krzaki, brałem za przeziębienie pęcherza...

Bałwan byłem.

Regis, wydaje się, domyślał się prawdy. Ale milczał. Milczał do chwili, gdy nie mógł już dłużej milczeć. Gdy zatrzymaliśmy się na biwak w opuszczonym drwalskim szałasie, Milva odciągnęła go w las, rozmawiała z nim dość długo i momentami dość głośno. Wampir wrócił

z lasu sam. Warzył i mieszał jakieś zioła, potem nagle wezwał nas wszystkich do szałasu. Zaczął ogródkowo, swym denerwującym mentorskim tonem.

•

– Zwracam się do wszystkich – powtórzył Regis. – Stanowimy wszakże drużynę i ponosimy wzajemną odpowiedzialność. Niczego nie zmienia tu fakt, że najprawdopodobniej nie ma wśród nas tego, który ponosi odpowiedzialność najwyższą. Bezpośrednią, że się tak wyrażę.

– Wyrażaj się jaśniej, do cholery – zdenerwował się Jaskier. – Drużyna, odpowiedzialność... Co jest Milvie? Na co jest chora?

– To nie jest choroba – powiedział cicho Cahir.

– Przynajmniej nie w ścisłym znaczeniu tego słowa – potwierdził Regis. – Dziewczyna jest w ciąży.

Cahir kiwnął głową na znak, że się domyślał. Jaskier natomiast osłupiał. Geralt zagryzł wargi.

– Który miesiąc?

– Odmówiła mi, i to w dość niegrzecznej formie, podania jakiejkolwiek daty, w tym i daty ostatniej miesiączki. Ale ja się na tym znam. To będzie dziesiąty tydzień.

– Poniechaj więc patetycznych odwołań do odpowiedzialności bezpośredniej – powiedział posępnie Geralt. – To żaden z nas. Jeśli miałeś pod tym względem jakiekolwiek wątpliwości, niniejszym je rozwiewam. Miałeś jednak bezwzględną rację, mówiąc o odpowiedzialności zbiorowej. Ona jest teraz z nami. Nagle wszyscy awansowaliśmy do roli mężów i ojców. Słuchamy w napięciu, co powie medyk.

– Porządne, regularne odżywianie się – zaczął wyliczanie Regis. – Żadnych stresów. Zdrowy sen. A niedługo koniec z jazdą konną.

Wszyscy milczeli długo.

– Zrozumieliśmy – rzekł wreszcie Jaskier. – Mamy problem, panowie mężowie i ojcowie.

– Większy, niż myślicie – powiedział wampir. – Lub mniejszy. Wszystko zależy od punktu widzenia.

– Nie rozumiem.

– A powinieneś – mruknął Cahir.

– Zażądała – podjął po małej chwili Regis – bym przyrządził i dał jej pewien silnie i radykalnie działający... medykament. Uważa to za remedium na kłopot. Jest zdecydowana.

– Dałeś?

Regis uśmiechnął się.

– Bez porozumienia z innymi ojcami?

– Lek, o który ona prosi – odezwał się cicho Cahir – nie jest cudownym panaceum. Mam trzy siostry, wiem, co mówię. Ona, zdaje się, myśli, że z wieczora wypije odwar, a nazajutrz ruszy z nami w dalszą drogę. Nic z tego. Przez jakieś dziesięć dni nie ma co nawet marzyć o tym, by zdołała usiedzieć na koniu. Zanim podasz jej ten lek, Regis, musisz jej o tym powiedzieć. A podać medykament możesz jej dopiero wtedy, gdy znajdziemy dla niej łóżko. Czyste łóżko.

– Zrozumiałem – kiwnął głową Regis. – Jeden głos za. A ty, Geralt?

– Co, ja?

– Moi panowie – wampir powiódł po nich swymi ciemnymi oczami. – Nie udawajcie, że nie rozumiecie.

– W Nilfgaardzie – powiedział Cahir, czerwieniejąc i opuszczając głowę – o takich sprawach decyduje wyłącznie kobieta. Nikt nie ma prawa wpływać na jej decyzję. Regis powiedział, że Milva jest zdecydowana na... medykament. Tylko dlatego, wyłącznie dlatego zacząłem niechcący myśleć o tym jako o fakcie dokonanym. I o skutkach tego faktu. Ale ja jestem cudzoziemcem, nie znającym... Nie powinienem się w ogóle odzywać. Przepraszam was.

– Za co? – zdziwił się trubadur. – Czy ty nas masz za dzikusów, Nilfgaardczyku? Za prymitywne plemiona, stosujące się do jakichś szamańskich tabu? To oczywiste, że tylko kobieta może podjąć taką decyzję, to jej niezbywalne prawo. Jeśli Milva decyduje się na...

– Zamknij się, Jaskier – warknął wiedźmin. – Zamknij się, bardzo cię proszę.

– Uważasz inaczej? – uniósł się poeta. – Chciałbyś jej zakazać albo...

– Zamknij się, do cholery, bo nie ręczę za siebie! Regis, ty, jak mi się zdaje, przeprowadzasz wśród nas coś w rodzaju plebiscytu. Po co? To ty jesteś medykiem. Środek, o który ona prosi... Tak, środek, słowo medykament jakoś mi nie leży... Tylko ty możesz jej ten środek przyrządzić i dać. I zrobisz to, gdy poprosi ponownie. Nie odmówisz.

– Środek już przyrządziłem – Regis pokazał wszystkim maleńką buteleczkę z ciemnego szkła. – Jeśli poprosi ponownie, nie odmówię. Jeśli poprosi ponownie.

– O co więc chodzi? O naszą jednomyślność? O powszechną akceptację? Tego oczekujesz?

– Dobrze wiesz, o co chodzi – rzekł wampir. – Doskonale czujesz, co należy zrobić. Ale ponieważ pytasz, odpowiem. Tak, Geralt, o to właśnie chodzi. Tak, to właśnie należy zrobić. Nie, to nie ja tego oczekuję.

– Czy możesz mówić jaśniej?

– Nie, Jaskier – odrzekł wampir. – Jaśniej już nie mogę. Tym bardziej, że nie ma potrzeby. Prawda, Geralt?

– Prawda – wiedźmin oparł czoło na złączonych dłoniach. – Tak, psiakrew, prawda. Ale dlaczego patrzysz na mnie? Ja mam to zrobić? Ja tego nie umiem. Nie potrafię. Kompletnie nie nadaję się do tej roli... Kompletnie, rozumiecie?

– Nie – zaprzeczył Jaskier. – Kompletnie nie rozumiemy. Cahir? Czy ty rozumiesz?

Nilfgaardczyk spojrzał na Regisa, potem na Geralta.

– Chyba tak – powiedział wolno. – Tak sądzę.

– Aha – kiwnął głową trubadur. – Aha. Geralt zrozumiał w lot, Cahir sądzi, że rozumie. Ja w oczywisty sposób wymagam oświecenia, ale najpierw rozkazuje mi się milczeć, potem słyszę, że nie ma potrzeby, bym rozumiał. Dziękuję. Dwadzieścia lat w służbie poezji, dostatecznie długo, by wiedzieć, że są rzeczy, które albo rozumie się w lot, nawet bez słów, albo nigdy się ich nie zrozumie.

Wampir uśmiechnął się.

– Nie znam nikogo – powiedział – kto potrafiłby piękniej to ująć.

•

Ściemniało zupełnie. Wiedźmin wstał.

Raz kozie śmierć, pomyślał. Nie ucieknę przed tym. Nie ma co dłużej zwlekać. Trzeba to zrobić. Trzeba i koniec.

•

Milva siedziała samotnie obok maleńkiego ogniska, które rozpaliła w lesie, w wykrocie, z dala od drwalskiego szałasu, w którym nocowała reszta kompanii. Nie drgnęła, słysząc jego kroki. Zupełnie jakby się go

spodziewała. Posunęła się tylko, robiąc mu miejsce na zwalonym pniaku.

– No i co? – rzekła ostro, nie czekając, aż on powie cokolwiek. – Narobiło się, hę?

Nie odpowiedział.

– Aniś przypuszczał, gdyśmy wyruszali, co? Gdyś mię do kompanii brał? Dumałeś sobie, co z tego, że chamka, że głupia wsiowa dziewucha? Pozwoliłeś jechać. Pogadać, dumałeś, w drodze z nią o mądrościach nie pogadasz, ale może się przydać. Ona zdrowa, krzepka rzepa, z łuku szyje, rzyci w siodle nie odparzy, a niebezpiecznie się zrobi, nie zesmrodzi się w gacie, będzie z niej pożytek. A pokazało się, że nie pożytek, jeno zawada. Kłoda u nogi. Rozebrało głupią dziewkę iście na dziewczyńską modłę!

– Dlaczego pojechałaś ze mną? – spytał cicho. – Dlaczego nie zostałaś w Brokilonie? Przecież wiedziałaś...

– Wiedziałam – przerwała szybko. – Przecie wśród driad byłam, a one w mig poznają, co dziewce jest, nie zataisz przed nimi. Prędzej się poznały, niźli ja sama... Alem nie spodziewała się, że mnie tak rychło słabość dopadnie. Dumałam, będzie okazja, wypiję sporyszu albo innego odwaru, ani się spostrzeżesz, ani wymiarkujesz...

– To nie takie proste.

– Wiem. Wampir mi to rzekł. Za długo zwłóczyłam, medytowałam, wahałam się. Teraz gładko nie pójdzie...

– Nie to miałem na myśli.

– Zaraza – powiedziała po chwili. – Podumaj tylko, Jaskra w odwodzie miałam! Bom baczyła, że on miną nadrabia, ale przecie miętki, słaby, do trudu nie nawykły, tylko patrzeć, jak dalej iść nie zdoła i mus go będzie ostawić. Dumałam, będzie źle, wrócę z Jaskrem... A tu masz: Jaskier chwat, a ja...

Głos załamał jej się nagle. Geralt objął ją. I z miejsca wiedział, że był to gest, na który czekała, którego ogromnie potrzebowała. Szorstkość i twardość brokilońskiej łuczniczki znikły momentalnie, została drżąca, delikatna miękkość przerażonej dziewczyny. Ale jednak to ona przerwała przedłużające się milczenie.

– Takeś mi i wtedy rzekł... W Brokilonie. Że potrzebowała będę... ramienia. Że w noc będę krzyczeć, w ciemność... Jesteś tu, czuję twoje

ramię podle mego... A krzyczeć wciąż się chce... Jejku, jej... Czemu drżysz?

– Nic. Wspomnienie.

– Co ze mną będzie?

Nie odpowiedział. Pytanie nie było skierowane do niego.

– Tatko mi raz pokazał... U nas nad rzeką taka czarna osa żyje, co w żywą gąsienicę jaja składa. Z jaj osięta się lęgną, gąsienicę za żywo zjadają... Od środka... Teraz we mnie takie coś siedzi. We mnie, wewnątrz, w moim własnym brzuchu. Rośnie, wciąż rośnie i za żywo mnie zeżre...

– Milva...

– Maria. Jestem Maria, nie Milva. Jaka ze mnie Kania? Kwoka z jajem jestem, nie Kania... Milva z driadami śmiała się na pobojowisku, wyrywała strzały z okrwawionych trupów, dobrej brzechwie nie przepadać przecie, żal dobrego grotu! A jeśli który dychał jeszcze, piersiami robił, to nożem po gardle! Na taki los zdradą wodziła tamtych ludzi Milva i śmiała się... Ich krew woła teraz. Tamta krew, jak osi jad, żre teraz Marię od środka. Maria płaci za Milvę.

Milczał. Głównie dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć. Dziewczyna silniej oparła się o jego ramię.

– Wiodłam do Brokilonu komando – powiedziała cicho. – Na Wypalankach to było, w czerwcu, z niedzielę przed Sobótką. Zgonili nas, była bitka, uszliśmy w siedem koni: pięciu elfów, jedna elfka i ja. Do Wstążki z pół mili, ale konni za nami, konni przed nami, dookoła ćma, młaka, bagno... Nocą skryliśmy się w łozinie, odetchnąć trza było dać koniom i sobie. Wtedy to elfka rozdziała się bez słowa, pokładła... a pierwszy elf do niej... Mnie zmroziło, ani wiem, co czynić... Odejść, zali udawać, że nie widzę? Krew mi w skroniach wali, a ona mówi nagle: „Kto wie, co jutro będzie? Kto Wstążkę przejdzie, a kto ziemię obłapi? *En'ca minne*." Tak rzekła: maleńko miłości. Tylko tak, rzecze, można zwyciężyć śmierć. I strach. Oni się bali, ona się bała, i ja się bałam... I rozdziałam się takoż i pokładłam opodal, derkę sobie pod plecy podścieliłam... Gdy mnie pierwszy objął, zęby zwarłam, bom niegotowa była, przerażona i sucha... Ale on mądry był, przecie elf, z pozoru jeno młodzik... Mądry... Czuły... Mchem pachniał, trawami i rosą... Ku drugiemu sama ramiona wyciągnęłam... Z chęcią... Maleńko miłości? Bies jeden wie, ile w tym było miłości, a ile strachu, ale strachu było

więcej, tegom pewna... Bo miłość udawana była, choć dobrze, ale udawana przecie, jako w jarmarcznej igrze, jako w jasełce, bo tam, jeśli aktorowie zdolni, to wnet zapominasz, co udawaniem, a co prawdą. A strach był. Prawdziwie był.

Milczał.

– A śmierci takoż nie udało się nam pokonać. O świcie dwóch ubili, zanimeśmy brzegu Wstążki doszli. Z tych trzech, co przeżyli, żadnegom więcej na oczy nie widziała. Matula moja powiadała, że dziewka zawsze wie, czyj owoc w żywocie nosi... Ale ja nie wiem. Ja nawet i imion tamtych elfów nie znałam, jak mi wiedzieć? Powiedz, jak?

Milczał. Pozwalał ramieniu, by mówiło za niego.

– A zresztą po co mi to wiedzieć. Wampir wnet sporyszu nagotowi... Przyjdzie wam ostawić mnie gdzie w jakiej wsi... Nie, nie gadaj nic, milcz. Ja wiem, jakiś ty. Ty nawet twej narowistej kobyły nie porzucisz, nie ostawisz, na inną nie wymienisz, choć odgrażasz się cięgiem. Tyś nie z takich, co ostawiają. Ale teraz mus. Po sporyszu na kulbace nie usiedzę. Ale i to wiedz, że gdy ozdrowieję, ruszę za wami w ślad. Bo chciałabym, byś twoją Ciri odnalazł, wiedźminie. Byś ją z moją pomocą odnalazł i odzyskał.

– To dlatego pojechałaś ze mną – powiedział, trąc czoło. – Dlatego.

Opuściła głowę.

– Dlatego właśnie powędrowałaś ze mną – powtórzył. – Wyruszyłaś, by pomóc w ratowaniu cudzego dziecka. Chciałaś płacić. Spłacić dług, który już wówczas, wyruszając, zamierzałaś zaciągnąć... Cudze dziecko za własne. A ja obiecałem ci pomoc w potrzebie. Milva, ja nie potrafię ci pomóc. Wierz mi, nie potrafię.

Tym razem ona milczała. On nie mógł. Czuł, że nie wolno.

– Wtedy, w Brokilonie, ja zaciągnąłem wobec ciebie dług i przyrzekłem, że go spłacę. Nierozsądnie. Głupio. Okazałaś mi pomoc w chwili, gdy bardzo pomocy potrzebowałem. Nie sposób spłacić takiego długu. Nie można zapłacić za coś, co nie ma ceny. Niektórzy twierdzą, że każda, absolutnie każda rzecz na świecie ma swoją cenę. To nieprawda. Są rzeczy, które ceny nie mają, są bezcenne. Najłatwiej poznać takie rzeczy po tym, że raz utracone, są utracone na zawsze. Sam straciłem wiele takich rzeczy. Dlatego dziś nie potrafię ci pomóc.

– Właśnie pomogłeś – odrzekła, bardzo spokojnie. – Nawet nie wiesz, jak mi pomogłeś. Teraz odejdź, proszę. Zostaw mnie samą. Odejdź,

wiedźminie. Odejdź, zanim do końca rozwalisz mój świat.

•

Gdy o brzasku ruszyli w dalszą drogę, Milva pojechała przodem, spokojna i uśmiechnięta. A kiedy jadący za nią Jaskier zaczął brzdąkać na lutni, pogwizdywała w takt melodii.

Geralt i Regis zamykali pochód. W pewnym momencie wampir spojrzał na wiedźmina, uśmiechnął się, pokiwał głową z uznaniem i podziwem. Bez słowa. Potem wyciągnął ze swej medycznej torby maleńką buteleczkę z ciemnego szkła, pokazał ją Geraltowi. Uśmiechnął się znowu i cisnął buteleczkę w krzaki.

Wiedźmin milczał.

•

Gdy zatrzymali się, by napoić konie, Geralt odciągnął Regisa w ustronne miejsce.

– Zmiana planów – zakomunikował sucho. – Nie jedziemy przez Ysgith.

Wampir milczał przez chwilę, wiercąc go czarnymi oczami.

– Gdybym nie wiedział – rzekł wreszcie – że jako wiedźmin lękasz się jedynie zagrożeń rzeczywistych, pomyślałbym, że przejąłeś się niedorzecznym gadaniem nienormalnej.

– Ale wiesz. Więc pomyślisz logiczniej.

– Owszem. Chciałbym jednak zwrócić twą uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze, stan, w jakim znajduje się Milva, to nie choroba ani upośledzenie. Dziewczyna musi oczywiście o siebie dbać, ale jest całkowicie zdrowa i w pełni sprawna. Powiedziałbym, nawet sprawniejsza. Hormony...

– Porzuć mentorski i zabarwiony wyższością ton – przerwał Geralt. – Bo zaczyna on działać mi na nerwy.

– To była pierwsza sprawa – przypomniał Regis – z dwóch, które zamierzałem poruszyć. Oto druga: gdy Milva dostrzeże twoją nadopiekuńczość, gdy zorientuje się, że cackasz się i trzęsiesz nad nią jak nad jajkiem, po prostu się wścieknie. A potem pogrąży się w stresie, który jest dla niej absolutnie niewskazany. Geralt, ja nie chcę być mentorem. Chcę być racjonalny.

Nie odpowiedział.

– Jest też trzecia sprawa – dodał Regis, wciąż wiercąc go oczami. – Przez Ysgith nie pchają nas entuzjazm i żądza przygód, lecz konieczność. Po wzgórzach hulają wojska, a my musimy dostać się do druidów w Caed Dhu. Wydawało mi się, że to pilne. Że zależy ci, by jak najszybciej zdobyć informacje i ruszyć twojej Ciri na ratunek.

– Zależy mi – odwrócił wzrok. – Bardzo mi zależy. Chcę uratować i odzyskać Ciri. Do niedawna myślałem, że za każdą cenę. Ale nie. Za tę jedną nie. Tej ceny nie zapłacę, tego ryzyka nie zgadzam się podjąć. Nie pójdziemy przez Ysgith.

– Alternatywa?

– Tamten brzeg Jarugi. Pojedziemy w górę rzeki, daleko za trzęsawiska. Przeprawimy się przez Jarugę ponownie na wysokości Caed Dhu. Jeśli to będzie trudne, przeprawimy się do druidów tylko we dwu. Ja przepłynę, ty przelecisz pod postacią nietoperza. Czemu mi się tak przyglądasz? Przecież to, że rzeka jest dla wampira przeszkodą, to kolejny mit i zabobon. A może się mylę?

– Nie, nie mylisz się. Ale latać mogę tylko w czasie pełni.

– To tylko dwa tygodnie. Gdy dotrzemy we właściwe miejsce, będzie już prawie pełnia.

– Geralt – rzekł wampir, nadal nie spuszczając z wiedźmina wzroku. – Dziwny z ciebie człowiek. Dla wyjaśnienia, to nie było określenie pejoratywne. Dobrze więc. Rezygnujemy z Ysgith, niebezpiecznego dla kobiet w odmiennym stanie. Przeprawiamy się na tamten brzeg Jarugi, w twoim mniemaniu bezpieczniejszy.

– Umiem oceniać stopnie ryzyka.

– Nie wątpię.

– Milvie i pozostałym ani słowa. Gdyby pytali, to jest część naszego planu.

– Oczywiście. Rozpoczynamy poszukiwania łodzi.

Nie szukali długo, a rezultat poszukiwań przeszedł oczekiwania. Znaleźli nie łódź, lecz prom. Ukryty wśród wierzb, sprytnie zamaskowany gałęziami i pękami sitowia prom zdradziła lina łącząca go z lewym brzegiem. Znalazł się też przewoźnik. Gdy nadjeżdżali, szybko ukrył się w krzakach, ale Milva wyśledziła go i wywlekła z chaszczy za kołnierz, wypłaszając również pomocnika, potężnie zbudowanego chłopaka o barach waligóry i twarzy patentowanego idioty. Przewoźnik

trząsł się ze strachu, a oczy latały mu jak para myszy po pustym spichrzu.

– Na tamten brzeg? – jęknął, gdy dowiedział się, czego od niego chcą. – Za nic! Tam nilfgaardzka ziemia, a tera wojenny czas! Pochwycą, na pal posadzą! Nie popłynę! Ubijcie, nie popłynę!

– Ubić możem – zgrzytnęła zębami Milva. – Obić przedtem też możem. Rozewrzyj no jeszcze raz gębę, a obaczysz, że możem.

– Wojenny czas – wampir przewiercił przewoźnika wzrokiem – z pewnością nie przeszkadza w przemycie, co, dobry człowieku? Temu wszakże służy twój prom, chytrze zainstalowany z dala od królewskich i nilfgaardzkich fordonów, nie mylę się? Dalejże więc, spychaj go na wodę.

– Tak będzie rozsądniej – dodał Cahir, głaszcząc rękojeść miecza. – Będziesz się ociągał, to przeprawimy się sami, bez ciebie, a wówczas twój prom zostanie na tamtym brzegu, by go odzyskać, będziesz musiał pływać żabką. A tak przeprawisz nas i wrócisz. Godzinka strachu, potem zapomnisz.

– A będziesz się stawiał, kpie jeden – zawarczała znowu Milva – to tak ci przyłożę, że do zimy nas nie zapomnisz!

W obliczu twardych, nie podlegających dyskusji argumentów przewoźnik ustąpił i wkrótce cała kompania znalazła się na promie. Niektóre wierzchowce, zwłaszcza Płotka, opierały się i nie chciały się zaokrętować, ale przewoźnik i jego głupawy pomocnik nałożyli im dudki z patyków i sznurków. Wprawa, z jaką to uczynili, dowodziła, że nie po raz pierwszy przemycają przez Jarugę kradzione konie. Głupek waligóra wziął się za kręcenie napędzającym prom kołem i rozpoczęła się przeprawa.

Gdy wypłynęli na płań i owiał ich wiatr, nastroje poprawiły się. Przeprawa przez Jarugę była czymś nowym, wyraźnym etapem, wskazującym na postęp w podróży. Przed nimi był nilfgaardzki brzeg, rubież, granica. Wszyscy ożywili się nagle. Udzieliło się to nawet głupawemu pomocnikowi przewoźnika, który zaczął nagle pogwizdywać i nucić jakąś kretyńską melodyjkę. Geralt też czuł dziwną euforię, jak gdyby lada moment z olszyn na lewym brzegu miała wyłonić się Ciri i krzyknąć radośnie na jego widok.

Zamiast tego krzyknął przewoźnik. I bynajmniej nie radośnie.

– Bogowie! Przepadli my!

Geralt spojrzał we wskazanym kierunku i zaklął. Wśród olszyn na wysokim brzegu błysnęły zbroje, zadudniły kopyta. Za moment lewobrzeżna przystań promowa zaroiła się od konnych.

– Czarni! – wrzasnął przewoźnik, blednąc i puszczając koło. – Nilfgaardczyki! Śmierć! Ratujcie, bogowie!

– Trzymaj konie, Jaskier! – rozdarła się Milva, próbując jedną ręką wydobyć łuk z łubu. – Trzymaj konie!

– To nie cesarscy – powiedział Cahir. – Nie wydaje mi się...

Jego głos zagłuszyły okrzyki konnych z przystani. I wrzask przewoźnika. Ponaglony wrzaskiem głupkowaty pomocnik porwał za topór, zamachnął się i z impetem spuścił ostrze na linę. Przewoźnik pomógł mu z drugim toporem. Jeźdźcy na przystani dostrzegli to, też zaczęli wrzeszczeć. Kilku wjechało do wody, chwyciło powróz. Niektórzy rzucili się wpław w stronę promu.

– Zostawcie tę linę! – krzyknął Jaskier. – To nie Nilfgaard! Nie przecinajcie...

Było jednak za późno. Przerąbana lina ciężko pogrążyła się w wodzie, prom obrócił się lekko i zaczął spływać w dół rzeki. Konni na brzegu podnieśli straszliwy ryk.

– Jaskier ma rację – rzekł ponuro Cahir. – To nie cesarscy... Są na nilfgaardzkim brzegu, ale to nie Nilfgaard.

– Pewnie, że nie! – zawołał Jaskier. – Przecież poznaję znaki! Orły i rauty! To godła Lyrii! To lyrijscy gerylasi! Hej, ludzie...

– Kryj się za burtą, głupku!

Poeta, jak zwykle, zamiast usłuchać ostrzeżenia, chciał dowiedzieć się, w czym rzecz. I wówczas w powietrzu zawyły strzały. Część z nich ze stukiem wbiła się w burtę promu, część przeleciała wyżej i chlupnęła w wodę. Dwie leciały wprost na Jaskra, ale wiedźmin już miał w ręku miecz, skoczył, szybkimi uderzeniami odbił obie.

– Na Wielkie Słońce – stęknął Cahir. – Odbił... Odbił dwie strzały! Niebywałe! Nigdy czegoś takiego nie widziałem...

– I nie zobaczysz! Po raz pierwszy w życiu udało mi się odbić dwie! Kryć się za burty!

Wojacy z przystani zaprzestali jednak ostrzału, widząc, że prąd pcha uwolniony prom wprost na ich brzeg. Woda spieniła się u boków wpędzanych w rzekę koni. Przystań promowa wypełniała się dalszymi konnymi. Było ich przynajmniej ze dwie setki.

– Pomóżta! – zaryczał przewoźnik. – Bierta się za tyki, jaśnie pany! Do brzega nas niesie!

Pojęli w lot, a tyk było na szczęście dość. Regis i Jaskier trzymali konie, Milva, Cahir i wiedźmin wspomogli wysiłki przewoźnika i jego głupawego akolity. Odepchnięty pięcioma tykami prom obrócił się i zaczął spływać szybciej, wyraźnie sunąc w stronę środka nurtu. Wojacy na brzegu znowu podnieśli wrzask, znowu sięgnęli po łuki, kilka strzał znowu zaświszczało, jeden z koni zarżał dziko. Porwany silniejszym prądem prom spływał szczęściem szybko i coraz bardziej oddalał się od brzegu, poza zasięg skutecznego strzału.

Płynęli już środkiem rzeki, płanią. Prom kręcił się jak gówno w przerębli. Konie tupały i rżały, targając uczepionymi wodzy Jaskrem i wampirem. Konni na brzegu darli się i wygrażali im pięściami. Geralt dostrzegł nagle wśród nich jeźdźca na białym wierzchowcu, wymachującego mieczem i wydającego rozkazy. W chwilę potem kawalkada cofnęła się w las i pocwałowała skrajem wysokiego brzegu. Zbroje błyskały wśród nadbrzeżnych chaszczy.

– Nie poniechają nas – zajęczał przewoźnik. – Wiedzą, że za zakrętem bystrzyna znowu do brzega nas przypchnie... Dzierżcie tyki na gotowiu, wielmożni! Gdy nas ku prawemu brzegowi obróci, trza krypie pomóc, przemóc prąd i wylądować... Inaczej gorze nam...

Płynęli, obracając się, dryfując lekko ku prawemu brzegowi, ku wysokiej, stromej, najeżonej krzywymi sosnami skarpie. Lewy brzeg, ten, od którego się oddalali, zrobił się płaski, wnikał w rzekę półokrągłym, piaszczystym cyplem. Na cypel galopem wypadli jeźdźcy, z rozpędu wjeżdżając w wodę. Przy cyplu była najwyraźniej płycizna, przykosa, nim woda sięgnęła koniom do brzuchów, konni wjechali w rzekę dość daleko.

– Dotrą na strzał – oceniła ponuro Milva. – Kryjcie się.

Strzały znowu zaświszczały, niektóre łomotnęły w deski. Ale odbijający od przykosy nurt szybko poniósł jednostkę w stronę ostrego zakrętu na prawym brzegu.

– Tera do tyk! – wezwał trzęsący się przewoźnik. – Żywo, lądujmy, nim nas bystrzyna porwie!

Nie było to takie łatwe. Prąd był wartki, woda głęboka, a prom wielki, ciężki i niezgrabny. Z początku w ogóle nie reagował na ich wysiłki, ale

wreszcie tyki chwyciły mocniej dno. Wyglądało, że się uda, gdy Milva puściła nagle żerdź i bez słowa wskazała na prawy brzeg.

– Tym razem... – Cahir otarł pot czoła. – Tym razem to jednak z pewnością Nilfgaard.

Geralt też to widział. Jeźdźcy, którzy pojawili się nagle na prawym brzegu, nosili czarne i zielone płaszcze, konie miały charakterystyczne okularowe uzdy. Była ich co najmniej setka.

– Przepadli my tera z kretesem... – zajęczał przewoźnik. – Mateńko moja, to Czarni!

– Do tyk! – ryknął wiedźmin. – Do tyk, na nurt! Dalej od brzegu!

Ponownie okazało się to zadaniem niełatwym. Prąd pod prawym brzegiem był silny, pchał prom prosto na wysoką burtę, pod skarpę, z której słyszeli już okrzyki Nilfgaardczyków. Gdy po chwili wsparty na tyce Geralt spojrzał w górę, zobaczył nad głową gałęzie sosen. Puszczona ze szczytu skarpy strzała wbiła się w pokład promu prawie pionowo, dwie stopy od niego. Drugą, lecącą na Cahira, odbił uderzeniem miecza.

Milva, Cahir, przewoźnik i jego pomocnik odpychali się już nie od dna, ale od brzegu, od skarpy. Geralt rzucił miecz, chwycił tykę i pomógł im, a prom zaczął znowu dryfować w stronę płani. Ale wciąż byli niebezpiecznie blisko prawego brzegu, a brzegiem cwałował pościg. Nim zdołali się oddalić, skarpa skończyła się, a na płaski zatrzciniony brzeg wpadli Nilfgaardczycy. W powietrzu zawyły lotki strzał.

– Kryć się!

Pomocnik przewoźnika zakasłał nagle dziwnie, upuszczając żerdź w wodę. Geralt zobaczył okrwawiony grot i cztery cale brzechwy, sterczącej mu z pleców. Cisek Cahira stanął dęba, zarżał boleśnie, miotając przestrzeloną szyją, obalił Jaskra i wyskoczył za burtę. Pozostałe wierzchowce też rżały i ciskały się, prom dygotał od uderzeń kopyt.

– Trzymajcie konie! – krzyknął wampir. – Trzy...

Urwał nagle, upadł plecami na burtę, usiadł, pochylił głowę. Z piersi sterczała mu czarnopióra strzała.

Milva też to zobaczyła. Wrzasnęła wściekle, sięgnęła po łuk, wysypała pod nogi brzechwy z kołczana. I zaczęła szyć. Szybko. Strzałą po strzale. Ani jedna nie chybiła celu.

Na brzegu zakotłowało się, Nilfgaardczycy cofnęli się w las, zostawiając w trzcinach zabitych i wyjących rannych. Ukryci w gąszczu, strzelali nadal, ale groty już ledwo donosiły, wartki prąd niósł prom w stronę środka rzeki. Odległość była za duża na celny strzał dla nilfgaardzkich łuków. Ale nie dla łuku Milvy.

Wśród Nilfgaardczyków pojawił się nagle oficer w czarnym płaszczu, w hełmie, na którym chwiały się krucze skrzydła. Krzyczał, wymachiwał buzdyganem, wskazywał w dół rzeki. Milva szerzej rozstawiła nogi, dociągnęła cięciwę do ust, mierzyła krótko. Strzała zaszumiała w powietrzu, oficer wygiął się w tył na kulbace, obwisł w ramionach podtrzymujących go żołnierzy. Milva ponownie napięła łuk, wypuściła cięciwę z palców. Jeden z podtrzymujących oficera Nilfgaardczyków krzyknął rozdzierająco i zleciał z konia. Pozostali znikli w lesie.

– Mistrzowskie strzały – powiedział spokojnie Regis zza pleców wiedźmina. – Ale lepiej chwyćcie za żerdzie. Wciąż jesteśmy zbyt blisko brzegu, a niesie nas na mieliznę.

Łuczniczka i Geralt odwrócili się.

– Żyjesz? – spytali jednym głosem.

– Sądziliście – wampir pokazał im czarnopiórą brzechwę – że można wyrządzić mi krzywdę byle kawałkiem patyka?

Nie było czasu na dziwienie się. Prom znowu kręcił się w nurcie i spływał płanią. Ale na zakręcie rzeki ponownie pojawiła się plaża, piaszczysta łacha i płytka przykosa, a na brzegu zaczerniało od Nilfgaardczyków. Niektórzy wjeżdżali w rzekę i sposobili łuki. Wszyscy, nie wyłączając Jaskra, rzucili się do tyk. Wkrótce drągi przestały łapać dno, prąd wyniósł prom na ploso.

– Dobra – sapnęła Milva, rzucając żerdź. – Teraz nas już nie dostaną...

– Jeden dotarł do łachy! – wskazał Jaskier. – Szykuje łuk do strzału! Kryjmy się!

– Nie trafi – oceniła zimno Milva.

Strzała plusnęła w wodę dwa sążnie od dziobu promu.

– Znowu napina! – wrzasnął trubadur, zerkając zza burty. – Uwaga!

– Nie trafi – powtórzyła Milva, poprawiając ochraniacz na lewym przedramieniu. – Łuk ma dobry, ale łucznik z niego jak z koziej rzyci waltornia. Gorączkuje się. Po strzale dryga i trzęsie się jak baba, której ślimak wpełzł między półdupki. Dzierżcie konie, by mnie który nie trącił.

Tym razem Nilfgaardczyk zgórował, strzała świsnęła nad promem. Milva uniosła łuk, stanęła w rozkroku, szybko naciągnęła cięciwę do policzka i spuściła ją delikatnie, nawet na ułamek cala nie zmieniając pozycji. Nilfgaardczyk runął w wodę jakby rażony piorunem, zaczął spływać z prądem. Jego czarny płaszcz wydął się jak balon.

– Tak się to robi – Milva opuściła łuk. – Ale jemu późno już na naukę.

– Pozostali cwałują za nami – Cahir wskazał na prawy brzeg. – I zaręczam, że nie ustaną w pościgu. Nie po tym, jak Milva postrzeliła oficera. Rzeka wije się, na kolejnym zakręcie prąd przyniesie nas znowu pod ich brzeg. Oni wiedzą o tym i będą czekali...

– Na razie inszy mamy frasunek – zajęczał przewoźnik, podnosząc się z kolan, porzucając zabitego pomocnika. – Pcha nas tera rychtyk ku lewemu brzegowi... Bogowie, we dwa ognie nas wzięli... A to wszystko przez was, wielmożni! Na wasze głowy krew ta spadnie...

– Zamknij gębę i chwyć za tykę!

Na lewym, płaskim, teraz już bliższym brzegu kłębili się konni, zidentyfikowani przez Jaskra jako lyrijscy partyzanci. Wrzeszczeli, wymachiwali rękami. Geralt dostrzegł wśród nich jeźdźca na białym koniu. Nie był pewien, ale wydało mu się, że jeździec jest kobietą. Jasnowłosą kobietą w zbroi, ale bez hełmu.

– Co oni krzyczą? – nadstawił ucha Jaskier. – Coś o królowej, czy jak?

Wrzaski na lewym brzegu wzmogły się. Wyraźnie usłyszeli szczęk żelaza.

– To bitwa – ocenił krótko Cahir. – Spójrzcie. Z lasu wypadają cesarscy. Nordlingowie uciekali przed nimi. A teraz są w pułapce.

– Wyjściem z tej pułapki – Geralt splunął do wody – był prom. Chcieli, zdaje mi się, ocalić chociaż swą królową i starszyznę, przewożąc ich promem na drugi brzeg. A myśmy ten prom porwali. Oj, nie lubią nas oni teraz, nie lubią...

– A powinni – rzekł Jaskier. – Prom nie ocaliłby nikogo, lecz zaniósł prosto w łapy Nilfgaardczykom na prawym brzegu. My też unikajmy prawego brzegu. Z Lyrijczykami podejmuję się paktować, ale Czarni zatłuką nas bez litości...

– Niesie nas coraz szybciej – oceniła Milva, też spluwając do wody i przyglądając się oddalającej plwocinie. – I środkiem plosa. Mogą nas w rzyć pocałować, jedni i drudzy. Zakręty łagodne, brzegi równe i całe w wiklinie. Płyniem w dół Jarugi, nie doścignią nas. Rychło im się znudzi.

– Łajno – jęknął przewoźnik. – Przed nami Czerwona Binduga... Tamój most! I mielizna! Prom utknie... Jeśli nas wyprzedzą, będą tam czekali...

– Nordlingowie nas nie wyprzedzą – Regis wskazał z rufy lewy brzeg. – Mają własne zmartwienia.

Faktycznie, na prawym brzegu wrzała zaciekła walka. Jej centrum było ukryte w lesie i dawało o sobie znać jedynie bitewnym wrzaskiem, ale w wielu miejscach czarni i kolorowi jeźdźcy prali się mieczami w przybrzeżnej wodzie, trupy z pluskiem padały w nurt Jarugi. Zgiełk i szczęk żelaza cichły, prom majestatycznie, ale dość szybko spływał w dół rzeki.

Płynęli środkiem nurtu, a na zarośniętych brzegach nie widać było zbrojnych, nie słychać było odgłosów pościgu. Geralt już zaczynał mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy, gdy zobaczyli przed sobą drewniany most, spinający oba brzegi. Rzeka pod mostem opływała łachy i wyspy, na największej z takich wysp opierał się jeden z mostowych filarów. Na prawym brzegu była binduga – widzieli zwały pni, sągi, sterty drewna.

– Tam wszędzie miałko – wydyszał przewoźnik. – Jeno środkiem da się przepłynąć, prawo od wyspy. Nurt tam właśnie nas niesie, ale chwyćcie tyk, mogą się przygodzić, gdybyśmy utknęli...

– Na tym moście – Cahir przysłonił oczy dłonią – jest wojsko. Na moście i na bindudze...

Wszyscy już widzieli owo wojsko. I wszyscy zobaczyli, jak na owo wojsko wypada nagle z lasu za bindugą wataha konnych w czarnych i zielonych płaszczach. Byli już na tyle blisko, by móc usłyszeć bitewny wrzask.

– Nilfgaard – stwierdził sucho Cahir. – Ci, którzy nas ścigali. W takim razie ci na bindudze to Nordlingowie...

– Za tyki! – krzyknął przewoźnik. – Póki się biją, może przemkniem się!

Nie przemknęli się. Byli już bardzo blisko mostu, gdy ten załomotał nagle od stóp biegnących żołdaków. Żołdacy nosili na kolczugach białe jaki, ozdobione znakiem czerwonego rauta. Większość miała kusze, które teraz oparli na balustradzie i wycelowali w zbliżający się do mostu prom.

– Nie strzelać, wiara! – wrzasnął co sił w gardle Jaskier. – Nie strzelać! My swoi!

Żołdacy nie dosłyszeli. Lub nie chcieli słuchać.

Salwa z kusz okazała się tragiczna w skutkach. Z ludzi trafiony został tylko przewoźnik, wciąż usiłujący sterować tyką. Bełt przeszył go na wylot. Cahir, Milva i Regis skryli się w porę za burtami. Geralt porwał za miecz i odbił jeden bełt, ale bełtów było dużo. Jaskier, który wciąż wrzeszczał i machał rękoma, nie został trafiony niewytłumaczalnym cudem. Prawdziwą masakrę grad pocisków wyrządził jednak wśród koni. Ugodzony trzema grotami siwy luzak runął na kolana. Padł, wierzgając, karosz Milvy, padł gniady ogier Regisa. Postrzelona w kłąb Płotka stanęła dęba i wyskoczyła za burtę.

– Nie strzelaaaać! – darł się Jaskier. – My swoi!

Tym razem poskutkowało.

Zniesiony prądem prom ze zgrzytem wrył się w łachę i znieruchomiał. Wszyscy wyskoczyli na wyspę lub w wodę, uciekając przed kopytami wierzgających w męce koni. Milva była ostatnia, albowiem jej ruchy stały się nagle przerażająco wolne. Dostała bełtem, pomyślał wiedźmin, widząc, jak dziewczyna niezgrabnie gramoli się przez burtę, jak bezwładnie wali się na piasek. Doskoczył do niej, ale wampir był szybszy.

– Cosik się we mnie urwało – powiedziała dziewczyna bardzo powoli. I bardzo nienaturalnie. A potem przycisnęła ręce do krocza. Geralt zobaczył, jak nogawka wełnianych spodni ciemnieje od krwi.

– Lej mi to na ręce – Regis podał mu wyciągniętą z torby buteleczkę. – Lej mi to na ręce, prędko.

– Co jej jest?

– Roni. Daj mi nóż, muszę rozciąć jej odzienie. I odejdź.

– Nie – powiedziała Milva. – Chcę, by był przy mnie.

Po jej policzku pociekła łza.

Most nad nimi zahuczał od żołnierskich butów.

– Geralt! – wrzeszczał Jaskier. Wiedźmin, widząc, co wampir robi Milvie, z zażenowaniem odwrócił głowę. Zobaczył, jak po moście pędzą na łeb na szyję żołnierze w białych jakach. Z prawego brzegu, od bindugi, wciąż słychać było wrzask.

– Uciekają – wydyszał Jaskier, doskakując i szarpiąc go za rękaw. – Nilfgaardczycy są już na prawym przedmościu! Tam wciąż trwa bitwa, ale większość wojaków pierzcha na lewy brzeg! Słyszysz? My też musimy uciekać!

– Nie możemy – zacisnął zęby. – Milva poroniła. Nie będzie mogła iść.

Jaskier zaklął wrednie.

– Trzeba więc ją nieść – oświadczył. – To jedyna szansa...

– Nie jedyna – powiedział Cahir. – Geralt, na most.

– Po co?

– Powstrzymamy ucieczkę. Jeżeli ci Nordlingowie dostatecznie długo utrzymają prawe przedmoście, może nam uda się wymknąć lewym.

– Jak chcesz powstrzymać ucieczkę?

– Dowodziłem już wojskiem. Właź na filar i na most!

Na moście Cahir z miejsca wykazał, że istotnie ma doświadczenie w opanowywaniu paniki wśród wojska.

– Dokąd, psiewiary! Dokąd, skurwysyny! – zaryczał, akcentując każdy ryk ciosem pięści, zwalającym zbiega na dyle mostu. – Stać! Stać, łajdaki pieprzone!

Niektórzy z uciekających – daleko nie wszyscy – zatrzymali się, przerażeni rykiem i błyskami miecza, którym Cahir malowniczo wywijał. Inni usiłowali przemknąć się za jego plecami. Ale Geralt też już dobył miecza i włączył się do przedstawienia.

– Dokąd? – krzyknął, mocnym chwytem osadzając jednego z żołnierzy w miejscu. – Dokąd? Stać! Zawracać!

– Nilfgaard, panie! – krzyknął knecht. – Tam rzeź! Puszczajcie!

– Tchórze! – ryknął włażący na most Jaskier głosem, jakiego Geralt nie słyszał nigdy. – Niegodziwi tchórze! Zajęcze serca! Zmykacie, ratujecie skóry? By w sromocie życie przeżyć, podłoty?

– Siła ich, panie rycerzu! Nie dostoimy!

– Setnik ubity... – wystękał drugi. – Dziesiętniki pierzchły! Śmierć idzie!

– Głowy nam unosić!

– Wasi towarzysze – krzyknął Cahir, wywijając mieczem – wciąż biją się na przedmościu i na bindudze! Wciąż walczą! Hańba temu, kto im z pomocą nie ruszy! Za mną!

– Jaskier – syknął wiedźmin. – Złaź na wyspę. Musicie z Regisem jakoś dotaszczyć Milvę na lewy brzeg. No, czego tu jeszcze stoisz?

– Za mną, chłopy! – darł się Cahir, wywijając mieczem. – Za mną, kto w bogów wierzy! Na bindugę! Bij, zabij!

Kilkunastu żołnierzy potrząsnęło bronią i podjęło okrzyk, głosami wyrażającymi bardzo różne stopnie zdecydowania. Kilkunastu z tych,

którzy już uciekli, zawstydziło się, zawróciło i dołączyło do mostowej armii. Armii, na której czele stanęli nagle wiedźmin i Nilfgaardczyk.

Armia może i rzeczywiście ruszyłaby na bindugę, ale na przedmościu zaczerniały nagle płaszcze konnych. Nilfgaardczycy przebili się przez obronę i wdarli na most, o dyle załomotały podkowy. Część powstrzymanych żołnierzy znowu rzuciła się do ucieczki, część zatrzymała niezdecydowanie. Cahir zaklął. Po nilfgaardzku. Ale nikt oprócz wiedźmina nie zwrócił uwagi.

– Co się zaczęło, trzeba skończyć – warknął Geralt, ściskając miecz w garści. – Idziemy na nich! Trzeba zagrzać do boju nasze wojsko.

– Geralt – Cahir zatrzymał się, spojrzał na niego niepewnie. – Chcesz, bym... bym zabijał swoich? Nie mogę...

– Ja sram na tę wojnę – zgrzytnął zębami wiedźmin. – Ale tu chodzi o Milvę. Przyłączyłeś się do kompanii. Podejmij decyzję. Idziesz ze mną albo stajesz po stronie tamtych w czarnych płaszczach. Szybko.

– Idę z tobą.

I stało się tak, że jeden wiedźmin i jeden sprzymierzony z nim Nilfgaardczyk ryknęli dziko, zamłynkowali mieczami i skoczyli bez zastanowienia, dwaj towarzysze, dwaj druhowie i kompani, na spotkanie wspólnych wrogów, na nierówny bój. I to był ich chrzest ognia. Chrzest wspólnej walki, wściekłości, szaleństwa i śmierci. Szli na śmierć, oni, dwaj towarzysze. Tak myśleli. Nie mogli przecież wiedzieć, że nie umrą tego dnia, na tym właśnie moście, przerzuconym nad rzeką Jarugą. Nie wiedzieli, że przeznaczona jest im obu inna śmierć. W innym miejscu i w innym czasie.

Nilfgaardczycy mieli na rękawach srebrne hafty, wyobrażające skorpiony. Cahir zarąbał dwóch szybkimi ciosami swego długiego miecza, Geralt zasiekł dwóch uderzeniami sihilla. Potem wskoczył na balustradę mostu, biegnąc po niej zaatakował pozostałych. Był wiedźminem, utrzymanie równowagi było dla niego fraszką, ale akrobatyczny wyczyn zdumiał i zaskoczył atakujących Nilfgaardczyków. I umarli, zdumieni i zaskoczeni, od cięć krasnoludzkiego brzeszczotu, dla którego kolczugi były jak wełna. Krew zbryzgała wyślizgane deski i dyle mostu.

Obserwująca orężne przewagi dowódców silna już liczebnie mostowa armia wzniosła chóralny okrzyk, ryk, w którym słychać było powracające morale i wzbierającego ducha bojowego. I stało się tak, że

niedawni spanikowani zbiegowie rzucili się na Nilfgaardczyków jak zajadłe wilki, rąbiąc mieczami i toporami, dźgając dzidami, tłukąc maczugami i halabardami. Pękły balustrady, konie poleciały do rzeki razem z jeźdźcami w czarnych płaszczach. Rycząca armia wwaliła się na przedmoście, nadal pchając przed sobą Geralta i Cahira, przypadkowych dowódców, nie pozwalając im zrobić tego, co chcieli zrobić. A chcieli wycofać się chyłkiem, wrócić po Milvę i dać nogę na lewy brzeg.

Na bindudze wrzała walka. Nilfgaardczycy otoczyli i odcięli od mostu żołnierzy, którzy nie zbiegli, ci bronili się zaciekle zza barykad zbudowanych z cedrowych i sosnowych kloców. Na widok nadciągającej odsieczy garstka broniących się podniosła radosny wrzask. Nieco zbyt pochopnie i przedwcześnie. Zwarty klin odsieczy wypchnął i wymiótł Nilfgaardczyków z mostu, teraz jednak, na przedmościu, runęło na nich flankowe kontruderzenie jazdy. Gdyby nie barykady i sągi bindugi, hamujące zarówno ucieczkę, jak i impet kawalerii, piechota w mgnieniu oka poszłaby w rozsypkę. Przyparci do sągów, żołnierze podjęli zacięty bój.

Dla Geralta było to coś, czego nie znał, zupełnie nowy rodzaj walki. Nie było mowy o fechtunku i pracy nóg, była tylko chaotyczna rąbanina i nieustanne parowanie ciosów, które leciały ze wszystkich stron. Wciąż jednak korzystał z niezbyt zasłużonego przywileju dowódcy – żołnierze kupili się do niego, osłaniali boki, chronili plecy, wymiatali front przed nim, robiąc miejsce, w które mógł uderzyć i ukąsić na śmierć. Ale tłok robił się coraz większy. Wiedźmin i jego wojsko nie wiedzieć kiedy walczyli już ramię w ramię z pokrwawioną i wycieńczoną garstką obrońców barykady, w większości krasnoludzkimi najemnikami. Walczyli w pierścieniu okrążenia.

A potem przyszedł ogień.

Jednym z boków barykady, usytuowanym między bindugą a mostem, była wielka, kolczasta jak jeż kupa sosnowych konarów i gałęzi, niepokonana przeszkoda dla koni i piechoty. Teraz ta kupa stanęła w ogniu – ktoś cisnął na nią pochodnię. Obrońcy cofnęli się, uderzeni żarem i dymem. Stłoczeni, oślepieni, przeszkadzający sobie wzajem, zaczęli umierać pod ciosami szturmujących Nilfgaardczyków.

Sytuację uratował Cahir. Mając doświadczenie wojenne, nie pozwolił okrążyć na barykadzie skupionego wokół siebie wojska. Dał się odciąć od grupy Geralta, ale teraz wracał. Zdobył nawet konia w czarnym

kropierzu, teraz, rąbiąc dookoła mieczem, uderzał na flankę. Za nim, wrzeszcząc opętańczo, wdzierali się w lukę halabardnicy i oszczepnicy w jakach z czerwonym rautem.

Geralt złożył palce i uderzył w gorejący stos Znakiem Aard. Nie liczył na wielki efekt, od tygodni pozbawiony był wiedźmińskich eliksirów. Ale efekt był. Stos eksplodował i rozsypał się, tryskając iskrami.

– Za mną! – ryknął, tnąc w skroń wdzierającego się na barykadę Nilfgaardczyka. – Za mną! Przez ogień!

I poszli, rozrzucając oszczepami wciąż palącą się stertę, ciskając w nilfgaardzkie konie chwytanymi gołą ręką głowniami. Chrzest ognia, pomyślał wiedźmin, jak szalony rąbiąc i parując ciosy. Miałem przejść przez ogień dla Ciri. A idę przez ogień w bitwie, która w ogóle mnie nie obchodzi. Której w ogóle nie rozumiem. Ogień, który miał mnie oczyścić, zwyczajnie pali mi włosy i twarz.

Krew, którą był zbryzgany, syczała i parowała.

– Naprzód, wiara! Cahir! Do mnie!

– Geralt! – Cahir zmiótł z siodła kolejnego Nilfgaardczyka. – Na most! Przebijaj się z ludźmi na most! Zewrzemy obronę...

Nie dokończył, bo runął na niego w galopie jeździec w czarnym napierśniku, bez hełmu, z rozwianymi, zakrwawionymi włosami. Cahir sparował cios długiego miecza, ale zwalił się z przysiadającego na zadzie konia. Nilfgaardczyk schylił się, by przygwoździć go do ziemi. Lecz nie zrobił tego, wstrzymał cios. Na jego naramienniku błyszczał srebrny skorpion.

– Cahir! – krzyknął zdumiony. – Cahir aep Ceallach!

– Morteisen... – w głosie rozciągniętego na ziemi Cahira było nie mniej zdumienia.

Biegnący obok Geralta krasnoludzki najemnik w osmalonej i nadpalonej jace z czerwonym rautem nie tracił czasu na dziwienie się czemukolwiek. Z rozmachem wbił rohatynę w brzuch Nilfgaardczyka, pchając drzewce, zwalił go z kulbaki. Drugi doskoczył, przydeptał czarny napierśnik obalonego ciężkim butem, wraził grot oszczepu prosto w gardło. Nilfgaardczyk zacharczał, rzygnął krwią i zaorał piasek ostrogami.

W tym samym momencie wiedźmin dostał w krzyże czymś bardzo ciężkim i bardzo twardym. Kolana ugięły się pod nim. Upadł, słysząc wielki triumfalny ryk. Widział, jak jeźdźcy w czarnych płaszczach

pierzchają w las. Słyszał, jak most huczy pod kopytami nadciągającej z lewego brzegu konnicy, niosącej sztandar z orłem otoczonym czerwonymi rautami.

I tak skończyła się dla Geralta wielka bitwa o most na Jarudze, bitwa, której późniejsze kroniki nie poświęciły, rzecz jasna, najmniejszej nawet wzmianki.

•

– Nie turbujcie się, wielmożny panie – powiedział felczer, opukując i obmacując plecy wiedźmina. – Most zniesiony. Nie zagrozi nam pościg z tamtego brzegu. Wasi druhowie i owa niewiasta też w bezpieczności. To małżonka wasza?

– Nie.

– Ach, a jam myślał... Wżdy straszne to, panie, gdy wojna białogłowy brzemienne krzywdzi...

– Milczcie, ani słowa o tym. Co to za chorągwie?

– Nie wiecie, dla kogo walczyliście? Dziw, dziw... To armia Lyrii. Widzicie, lyrijski orzeł czarny i rivskie rauty czerwone. No, gotowym. To jeno stłuczenie. Krzyż trocha boleć będzie, ale nic to. Ozdrowiejecie.

– Dzięki.

– To mnie wam dziękować. Gdybyście wy mostu nie udzierżyli, Nilfgaard w pień wyciąłby nas na tamtym brzegu, do rzeki przyparłszy. Nie zdołalibyśmy ujść pogoni... Królową ocaliliście! No, bywajcie, panie. Idę, insi ranni pomocy wyglądają.

– Dzięki.

Siedział na pniu bindugi, zmęczony, obolały i zobojętniały. Sam. Cahir gdzieś zniknął. Między palami przełamanego w połowie mostu płynęła zielonozłota Jaruga, połyskując w blasku zmierzającego na zachód słońca.

Uniósł głowę, słysząc kroki, stuk podków i chrzęst pancerzy.

– To on, miłościwa pani. Pozwólcie, pomogę wam zsiąść...

– Zoftaw.

Geralt podniósł głowę. Stała przed nim kobieta w zbroi, kobieta o bardzo jasnych włosach, prawie tak jasnych jak jego własne. Zrozumiał, że włosy nie były jasne, lecz siwe, choć twarz kobiety nie nosiła znamion starości. Wieku dojrzałego, owszem. Ale nie starości.

Kobieta przyciskała do ust batystową chusteczkę z koronkowymi rąbkami. Chusteczka była silnie zakrwawiona.

– Wstańcie, panie – szepnął do Geralta jeden ze stojących obok rycerzy. – I złóżcie hołd. To królowa.

Wiedźmin wstał. I ukłonił się, pokonując ból w krzyżach.

– Tyf obronił moft?

– Słucham?

Kobieta odjęła chustkę od ust, splunęła krwią. Kilka czerwonych kropelek osiadło na ornamentowanym napierśniku.

– Jej wysokość Meve, królowa Lyrii i Rivii – powiedział stojący obok kobiety rycerz w fioletowym płaszczu zdobionym złotymi haftami – zapytuje, czy to wy bohatersko dowodziliście obroną mostu na Jarudze?

– Jakoś tak wyszło.

– Wyfło! – królowa usiłowała się zaśmiać, ale nie bardzo jej się udało. Wykrzywiła się, zaklęła brzydko, acz niewyraźnie, splunęła znowu. Zanim zdążyła zasłonić usta, zobaczył paskudną ranę, zauważył brak kilku zębów. Złowiła jego spojrzenie.

– A tak – powiedziała zza chusteczki, patrząc mu w oczy. – Jakif fkurwyfyn walnął mnie profto w gębę. Drobiafg.

– Królowa Meve – oznajmił z emfazą ten w fioletowym płaszczu – biła się w pierwszej linii, jak mąż, jak rycerz, stając przeciw przeważającym siłom Nilfgaardu! Ta rana boli, ale nie szpeci! A wy uratowaliście i ją, i nasz korpus. Gdy jacyś zdrajcy opanowali i porwali prom, ten most był dla nas jedynym ratunkiem. A wyście go bohatersko obronili...

– Pfeftań, Odo. Jak fię nazywaf, bohatefe?

– Ja?

– No pewnie, że wy – rycerz w fioletach spojrzał na niego groźnie. – Co z wami? Ranniście? Kontuzjowani? W głowę was rażono?

– Nie.

– Odpowiadajcie tedy, gdy królowa pyta! Widzicie wszak, że jest raniona w usta, że trudno jej mówić!

– Pfeftań, Odo.

Fioletowy skłonił się, po czym spojrzał na Geralta.

– Wasze imię?

A niech tam, pomyślał. Dosyć mam już tego wszystkiego. Nie będę łgał.

– Geralt.

– Geralt skąd?

– Znikąd.

– Nie pafowany? – Meve ponownie ozdobiła piasek pod stopami czerwonym rozbryzgiem śliny zmieszanej z krwią.

– Słucham? Nie, nie. Nie pasowany. Wasza królewska wysokość.

Meve wyciągnęła miecz.

– Klęknij.

Usłuchał, nadal nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. Nadal myśląc o Milvie i o drodze, którą wybrał dla niej, lękając się trzęsawisk Ysgith.

Królowa odwróciła się do Fioletowego.

– Ty powief formułę. Ja nie mam fębów.

– Za bezprzykładne męstwo w boju za słuszną sprawę – wyrecytował z emfazą Fioletowy – za dany dowód cnoty, honoru i wierności Koronie, ja, Meve, z łaski bogów królowa Lyrii i Rivii, mocą moją, prawem i przywilejem pasuję cię na rycerza. Służ wiernie. Znieś to uderzenie, ni jednego bolej.

Geralt poczuł na ramieniu uderzenie klingi. Spojrzał w jasnozielone oczy królowej. Meve splunęła gęstą czerwienią, przyłożyła chusteczkę do twarzy, mrugnęła do niego znad koronek.

Fioletowy podszedł do monarchini, szeptał. Wiedźmin usłyszał słowa: „predykat", „rivskie rauty", „sztandar" i „cześć".

– Słufnie – skinęła głową Meve. Mówiła coraz wyraźniej, pokonując ból, wpychała język w szczerbę po wybitych zębach . – Trzymałeś most wespół z wojakami z Rivii, mężny Geralcie znikąd. Tak ci wyfło, ha, ha. No, a mnie wyfło nadać ci za to predykat: Geralt z Rivii. Ha, ha.

– Skłońcie się, panie rycerzu – syknął Fioletowy.

Pasowany rycerz Geralt z Rivii skłonił się głęboko, tak by królowa Meve, jego suzerenka, nie dostrzegła uśmiechu, gorzkiego uśmiechu, nad którym nie potrafił zapanować.

KONIEC TOMU TRZECIEGO